

*JACK CAMPBELL*

Jako John G. Hemry

# WOJNA STARKA

*Stark's War*

Tłumaczył

Robert J. Szmidt

*Trylogia Starka:*

- 1. Wojna Starka*
- 2. Dowództwo Starka*
- 3. Krucjata Starka*



*Mojemu ojcu,  
komandorowi porucznikowi US Navy, Jackowi M. Hemry'emu,  
który wstąpił do marynarki jako zwykły marynarz  
i ciężką pracą zasłużył sobie na stopień oficerski,  
oraz mojej mamie, Iris J. Hemry,  
która wiernie przy nim trwała mimo kilku wojen,  
zadań pełnionych na drugim krańcu świata,  
licznych manewrów  
oraz  
czwórki dzieci.*

*I jak zawsze dla S.*

# SPIS RZECZY

Spis rzeczy.....	3
Prolog .....	4
Część pierwsza Operacja „Spokój” .....	6
Część druga Tam, gdzie nie doleciał żaden skowronek.....	81
Część trzecia Idź i powiedz Spartanom .....	143

# PROLOG

Amerykanie przybyli tutaj niegdyś w swoich prymitywnych rakietach na paliwo ciekłe, gnani charakterystycznym dla ich nacji przeświadczeniem, że to oni właśnie muszą pierwsi pokonać ostateczną granicę, jaką jest niebo. Wylądowali, posiedzieli chwilę, zbadali skromny wycinek terenu, szukając nowej wiedzy. Potem ich zapał do eksploracji wygasł, zwyciężyła opcja kolonizacji bliższych, tańszych i bardziej bezpiecznych rejonów. Odlecieli więc po raz ostatni i nigdy nie powrócili, pozostawiając ledwie kilka wątych śladów świadczących o tym, że ludzkość kiedykolwiek ważyła się opuścić macierzystą planetę.

Tuż przed końcem dwudziestego wieku, gdy trwająca niemal pięćdziesiąt lat zimna wojna dobiegła końca, a nowe potęgi - przewyciężywszy kryzys, który dotknął świat w początkach nowego tysiąclecia - zaczęły się rozwijać w niespotykanym do tej pory tempie, Ameryka pozostała ostatnim z supermocarstw. Przewyższała rywali gospodarczo i militarnie. Jej korporacje, wspierane przez najbardziej zaawansowaną technologicznie armię świata, zdominowały Ziemię bardziej niż jakiegokolwiek imperium wcześniej.

Gdy koncerny zdobyły kontrolę nad wszystkimi surowcami dostępnymi na Ziemi, reszta państw zaczęła się rozglądać za nowymi źródłami zaopatrzenia. Wiele lat po odlocie Amerykanów pojawili się wysłannicy innych nacji i sojuszy, poszukujący bogactw oferowanych przez kosmos. To oni wybudowali tutaj laboratoria, kopalnie, rafinerie, linie produkcyjne w strefie niskiego ciśnienia i osiedla dla siły roboczej, które rozrosły się wkrótce do rozmiarów niewielkich miast. Po etapie wielkich inwestycji nadszedł czas wysyłki pozyskanych dóbr na macierzystą planetę i bogacenia się kolonistów.

Wtedy Ameryka po raz kolejny spojrzała w niebo i zdawszy sobie sprawę, że jest ono teraz własnością innych, uznała, iż czas najwyższy powrócić w przestrzeń i odebrać to, co - przynajmniej w swoim mniemaniu - utraciła.

**CZĘŚĆ PIERWSZA**

**OPERACJA**

**„SPOKÓJ”**

Okręt desantowy trząsł się niemiłosiernie. Zmieniał co chwilę kierunek lotu, aby zmylić losowymi manewrami systemy ogniowe przeciwnika, co wkurzało żołnierzy tkwiących w przewożonych na jego pokładzie transporterach. Regularne zwroty dało się przewidzieć i kompensować ze stosownym wyprzedzeniem, ale w takiej sytuacji pasażerowie desantowca byli całkowicie bezbronni. Sierżant Ethan Stark zaklął głośno, gdy podczas kolejnego zwrotu uprzęż fotela wbiła mu się boleśnie w ciało. Nigdy nie można było mieć pewności, co stanie się z człowiekiem po zrzucie, ale jedno nie ulegało kwestii: tym razem już sam dołot do celu oznaczał liczne siniaki i otarcia.

- Przygotować się do zrzutu. - Z interkomu dobiegł głos porucznika, przerywając przytłaczającą ciszę w przedziale osobowym.

Kanciaste wnętrze transportera opancerzonego rzadko nastrajało optymistycznie, ale na moment przed dokonaniem zrzutu zawsze panowała w nim bardzo napięta atmosfera.

Stark przymknął oczy, próbując się skoncentrować.

- Zrzut! - wrzasnął porucznik Porter.

Moment później rozległ się charakterystyczny wizg wind desantowych. Wielokrotnie trenowali symulowane zrzuty w grawitacji lunarnej, zauważyli więc niemal natychmiast, że coś jest nie tak. Pilot odpalił kapsułę transportera, ale zrzut trwał już o dziesięć sekund dłużej, niż powinien. A to oznaczało problem.

Stark otworzył oczy i spojrzał w stronę siedzącego w sąsiednim boksie zeszywniałego porucznika. Dowódca milczał, miał niepewność wypisaną na twarzy.

- Przygotować się do zderzenia! - rozkazał Ethan swoim ludziom na moment przed tym, jak transporter zarył w grunt z tak głośnym zgrzytem, że utonął w nim nawet jazgot złorzeczających żołnierzy. Maszyna poszła bokiem, odbiła się i znów wzniosła.

Zwykły szeregowiec nie miał żadnego oglądu sytuacji, ale Stark nie zaliczał się do tego rodzaju żołnierzy. Był dowódcą drużyny, załatwił więc sobie dodatkowe środki łączności. Dostał do nich dostęp nie dlatego, że ceniono go bardziej od innych, ale na wypadek, gdyby porucznik Porter został zabity na początku operacji. W takiej sytuacji właśnie na sierżanta spadał obowiązek odbierania i przekazywania dalej rozkazów z góry. *Co wcale nie znaczy, że mam zamiar tkwić w niewiedzy aż do tego tragicznego momentu,*

pomyślał Stark, naciskając klawisz komunikatora, aby obejść zabezpieczenia linii łączności zarezerwowanej dla oficerów. Teraz miał dostęp nie tylko do oficjalnego kanału informacji, ale też do wiedzy, jaką posiadali jego przełożeni - co prawdę powiedziawszy, ani trochę go nie uspokoiło.

- Gdzie my jesteśmy, u licha? - zołdkował się porucznik. - Nie mogę skalibrować mojego taka.

- Znajdujemy się poza obszarem załadowanym do waszych map taktycznych. - Lakoniczna odpowiedź pilota została wygłoszona takim tonem, jakby zamierzał nią wkurzyć żołnierzy do reszty. - Przekazuję nowe dane.

Wgranie nowych map na sprzęt porucznika zajęło kilka sekund, które Stark wykorzystał, aby paroma szybkimi ruchami palców na klawiaturze komunikatora ściągnąć je także na swojego taka. Ledwie skończył, porucznik znowu wybuchnął.

- Szlag by ich trafił! Zrzucili nas dwadzieścia kilosów za celem!

- Wiem - mruknął pojednawczo pilot transportera. - I w dodatku ze zbyt dużej wysokości. Na szczęście nie uszkodziliśmy mocno maszyny. Robię, co mogę, by dowieźć was do strefy zrzutu.

- Dwadzieścia kilosów za celem i ze zbyt dużej wysokości. Bóg jeden wie, gdzie jest reszta mojego plutonu. Sądzicie, że powinienem napisać oficjalne zażalenie?

- A czy to coś kiedyś dało? Zameldowałbym o tym mojej przełożonej, ale jej wóz walnął w grunt z takim impetem, że całkowicie stracił łączność. - Po tej wiadomości pilota zaległa na moment cisza.

Stark usadowił się wygodniej w uprząży, studiując nowe mapy, ale w trzewiach wciąż odczuwał ucisk charakterystyczny dla niepewności. Czasami człowiek może tylko czekać. Pokonanie dwudziestu kilometrów zajmie parę minut nawet przy maksymalnej prędkości transportera.

- Poruczniku? - Pilot odezwał się znacznie szybciej, niż powinien, gdyby chciał zameldować o dotarciu do celu.

- Jestem - burknął w odpowiedzi Porter. - Czego?

- Musimy lądować. Ogniwa zasilające się przegrzewają. Jeśli nie zatrzymam silników, wylcimy w powietrze.

- Czy mi się zdaje, czy powiedziałeś przed chwilą, że transporter nie odniósł poważniejszych uszkodzeń podczas przyziemienia?

- Bo nie odniósł. - Pilot, sądząc po głosie, także był przytłoczony. - To wada konstrukcyjna. Czasami ogniwa przegrzewają się same z siebie. Jedynym sposobem na



załatwienie sprawy jest wyłączenie ich i pozwolenie, by ostygły.

- Jak daleko do strefy zrzutu? - Po kolejnej wpadce porucznik balansował na krawędzi załamania nerwowego.

- Cztery kilometry. Podchodzę do lądowania - zameldował pilot drżącym głosem. Może obawiał się reakcji porucznika, a może niepokoił go stan napędu.

- To za daleko. Co się stanie, jeśli nie zmniejszysz obciążenia ogniów jeszcze przez chwilę?

- Eksplodują.

- Chyba powinniśmy zaryzykować. Musimy się trzymać planu taktycznego, a on mówi wyraźnie, że masz nas dowieźć na wyznaczone pozycje.

Stark zamarł, zaczął szukać argumentów, którymi przekonałby dowódcę, że warto słuchać pilota maszyny, ale jak się okazało, ten doskonale wiedział, co powiedzieć.

- Nie radziłbym, poruczniku. Siedzicie na tych ogniwach. Jeśli je szlag trafi, cały impet eksplozji pójdzie najpierw do przedziału osobowego, a dopiero potem wybije panele pancerza. Wiem, że tak nie powinno być, ale niestety jest. Widywałem już skutki podobnych awarii i może mi pan wierzyć, nie było to nic przyjemnego.

Porucznik Porter zamilkł, a kiedy odezwał się znowu, przemawiał znacznie rozsądniejszym tonem.

- To kolejna wada konstrukcyjna, jak mniemam?

- Ja nie projektowałem tych cholernych maszyn, ja je tylko prowadzę. Pójdziecie pieszo czy poczekacie godzinę na wystudzenie ogniów?

- Nie wiem. Dlaczego, u licha, nie mam wciąż łączności ze sztabem?

- To już nie moja wina. - Pilot zaczął się niecierpliwić. - Nawalacie z buta albo czekacie. Decyzja należy do pana.

- Muszę mieć rozkaz.

*Czas wkroczyć na scenę*, pomyślał Stark, luzując uprząż, by klepnąć dłonią - z niewinną, ale zatroskaną miną - w opancerzone kolano dowódcy.

- Zatrzymaliśmy się, panie poruczniku. Czy to nie oznacza opóźnień w stosunku do harmonogramu?

- Opóźnienie? - powtórzył przerażony Porter. - Boże. Szlag by to trafił. Idziemy - poinformował obcesowo pilota transportera.

Stark zaczął się przygotowywać do akcji, aby porucznik nie zauważył, że nasłuchuje nawet teraz, gdy Porter zmienił częstotliwość na kanał dowodzenia.

- Dobra, słuchajcie mnie uważnie. Transporter ma awarię, a znajdujemy się cztery

kilosy od właściwej strefy zrzutu. Musimy iść dalej sami. Zajmijcie się przygotowaniem ludzi, sierżancie.

- Tajest! - Stark zignorował chóralny jęk zawodu, jaki rozległ się w łączach po tym wystąpieniu dowódcy. - Słyszeliście, co powiedział pan porucznik. Ruszać się! Szybko i z zachowaniem szyku albo załatwię wam taką musztrę po powrocie, że zatęsknicie za kolejnym zrzutem.

Właz opadł i żołnierze wyskoczyli na zewnątrz, opadając bardzo wolno na pylisty, usiany drobnymi kamykami grunt. Niektórzy wykonywali instynktownie kontrolowane przewroty, ale zaraz się podnosili, by sprawnie zająć miejsca w luźnym szyku, tak charakterystycznym dla weteranów znajdujących się na terytorium wroga. Stark stał na skraju rampy, nadając butem pęd kolejnym wylatującym na zewnątrz żołnierzom, zwłaszcza tym, którym wydawało się naiwnie, że ciążenie załatwi całą resztę. Gdy ostatni z nich wylądował pod komicznym kątem, machając rozpaczliwie rękoma, jakby próbował się chwycić nieistniejącej atmosfery, Ethan opuścił swoje stanowisko, odbijając się mocno od obramowania luku, by nabrać wystarczającego pędu i dotrzeć bez problemów na powierzchnię satelity.

Spod ciężkich wojskowych butów uniosły się maleńkie chmurki pyłu. Wisiały nad powierzchnią Księżyca jeszcze przez dłuższą chwilę, po czym zaczęły wolno opadać na swoje miejsce. Stark omiół wzrokiem horyzont, sprawdzając wzmocniony elektronicznie obraz bezkresnej kamienistej równiny upstrzonej dziwnie wyglądającymi kolorowymi ikonkami, wyświetlanymi na wizjerze hełmu. Pozycje własnych oddziałów oznaczono na jego HUD-zie zielonymi markerami, innych barw na razie nie widział, co wcale jednak nie musiało oznaczać, że w pobliżu nie kryje się żadne zagrożenie.

- Chen! Billings! Odsuńcie się od siebie, u licha. Nie jesteście na pieprzonej randce! - Ikonki rozdzieliły się, gdy dwoje żołnierzy odskoczyło od siebie posłusznie. - Rozmieszczenie oddziału zakończone, poruczniku - zameldował.

- Dobra robota - mruknął Porter roztargnionym tonem. - Nadal nie mogę wywołać nikogo spoza waszej drużyny - dodał z jeszcze większą troską w głosie.

Stark także przełączył swój komunikator na odbiór, ale urządzenie pozostało ślepe i głuche. A nawet na autoryzowanym przez sztab paśmie powinien mieć dokładny ogląd sytuacji własnego plutonu. Furtka w systemie łączności dowódcy gwarantowała mu dostęp do przekazów z całego pola walki.

- Ja też nie odbieram żadnych sygnałów, poruczniku.

- Musimy przerwać misję. Łączność całkowicie wysiadła.

- Jeśli komunikatory nie działają, jak zsynchronizujemy nasze ruchy z pozostałymi drużynami?

- Nie mam pojęcia! Przeciwnik zakłóca łączność na wyższych poziomach dowodzenia. I jak tu działać w takich warunkach? W tej chwili wróg może prowadzić zmasowany atak na pozycje całej reszty naszej brygady!

Stark okręcił się na pięcie, ponownie omiatając wzrokiem cały horyzont. - Czy tego rodzaju działań nie zarejestrowałyby nasze sensory? Widzielibyśmy pył wzniesiony eksplozjami. Czuliśmy wywołane przez nie drgania podłoża...

- Przecież wiem!

- Harmonogram taktyczny wciąż działa. - Widoczne na osłonie hełmu Ethana cyfry miały barwę żółtą zamiast zielonej, co oznaczało, że są spóźnieni w stosunku do ustalonego w sztabie planu działania. Porter wciąż się wahał. Stark podglądał jego działania, korzystając z furtki w systemie, wiedział więc, że dowódca nerwowo przeskakuje z obwodu na obwód, szukając jakiegokolwiek połączenia z łańcuchem dowodzenia. - Zdaje się, że zegar odliczający czas zmienił właśnie kolor na pomarańczowy.

- Pomarańczowy? - Porucznik zaczerpnął mocno tchu, rozdarty między chęcią wykonania powierzonego mu zadania i potrzebą kontaktu z przełożonymi.

- Tajest! - potwierdził Ethan. - Zaczyna się robić czerwony. Chyba na dobre wypadamy z harmonogramu.

- Przestańcie mnie poganiać, sierżancie!

- Tajest! - *Jeszcze nie zacząłem cię tak naprawdę naciskać*, pomyślał Stark, ale odpowiedział, zachowując odpowiednią dozę zawodowej obojętności i przeproszającego tonu.

- Staram się wspierać pana porucznika merytorycznie i dbać o to, by miał pan pełen ogłęd sytuacji.

- Sierżancie, ja... - Porter nagle stracił głos, a gdy go odzyskał, kontynuował z ogromnym przejęciem: - Mamy status pomarańczowy, sierżancie. Co teraz?

- Musimy podjąć niezależne działania. Plan na tę ewentualność ma pan w taku.

- Oczywiście. Znakomity pomysł, sierżancie. Postępujmy zgodnie z planem. Zaraz wydam drużynie odpowiednie rozkazy... A niech to szlag! - zaklął moment później. - Nie mogę uaktualnić mojego taka.

Stark wpisał własną sekwencję aktywacji i skrzywił się, gdy jego urządzenie także odmówiło współpracy.

- Ja też nie mam dostępu, poruczniku.

- Świetnie. Po prostu cudownie... - wyjął Porter tonem sugerującym, że niczego nie

jest już pewien. - Mamy blokady w naszych systemach. Można je uaktualnić jedynie z poziomu dowództwa brygady.

Ethan sprawdził i to.

- Pamięta pan, poruczniku, mówili nam na odprawie, że zakładają blokady, bo nie chcą, żeby ktoś coś sknocił.

- Powinni to powiedzieć temu idiocie, który kazał nas zrzucić dwadzieścia kilosów od celu, albo kretynom odpowiedzialnym za zaprojektowanie transportera, nie wspominając już o tych durniach, którzy lada moment zaczną nas ostrzeliwać, ponieważ element zaskoczenia diabli wzięli! - Porter zamilkł na moment, jego opancerzona głowa skierowana była na północno-zachodni wycinek horyzontu Księżyca. - Dobrze, sierżancie. Nasza strefa zrzutu znajduje się gdzieś tam. Będziemy szli we właściwym kierunku, dopóki nie uda nam się nawiązać łączności z resztą brygady.

- Tajest!

- Ruchy, sierżancie. Mamy spóźnienie w stosunku do planu!

- Tajest! Za mną! - Stark wydał rozkaz swojej drużynie i ruszył przodem, kierując się żyrokompasem, którego wąska zielona strzałka wskazywała dokładnie północny zachód. Przez chwilę zastanawiał się, czy cisza w eterze nie jest przypadkiem efektem zbyt mocnego przyziemienia transportera, ale zaraz skoncentrował myśli na utrzymywaniu szybkiego tempa marszu i jednoczesnym wyszukiwaniu potencjalnych zagrożeń. Każde odbicie od gruntu posyłało go łagodną trajektorią do przodu. Sunął leniwie nad powierzchnią, stanowiąc idealny cel i marząc tylko o tym, by jego podeszwy znów zetknęły się z twardymi skałami Księżyca. Z wolna nabierał właściwego rytmu, przekształcając większość energii odbicia w ruch, wydłużając systematycznie skoki i walcząc z nabytym na Ziemi przyzwyczajeniem, aby wybijać się jak najwyżej. Doświadczenie zdobyte podczas tysięcy marszobiegów na różnym terenie pozwalało mu na poruszanie się z automatyczną precyzją, dzięki czemu mógł skoncentrować myśli na poważniejszych sprawach, takich jak wypatrywanie zagrożeń i obserwacja dwunastki podległych mu ludzi.

Coś było nie tak. Stark sprawdził raz jeszcze wyświetlacz HUD-a, zastanawiając się, co też może być źródłem jego nagłego zaniepokojenia. Nie stwierdził niczego niezwykłego, niemniej zwrócił uwagę na nieco nerwowe ruchy kaprała.

- Co się dzieje, Desoto?

Odpowiedział mu głos świadczący o zmęczeniu zbyt dużym jak na dystans, który do tej pory pokonali.

- Nic takiego, sierżancie. Mam drobny problem z kombinezonem. To nic poważnego.

- Drobnny problem? - Stark nie próbował nawet kryć sceptycyzmu. Sprawdził zdalnie status swojego podwładnego. - Co ty pieprzysz, Pablo? Wydajność twojego systemu podtrzymywania życia ma zaledwie trzydzieści procent i nadal spada.

- Tak, tak. Ale już się stabilizuje. Poradzę sobie.

- Nie, nie stabilizuje się, i nie, nie poradzisz sobie.

- Nic mi nie jest, sierżancie.

- Będziesz się ze mną licytował, Desoto? Wracaj do transportera, i to w podskokach. Zabraniam ci zdychać z powodu przegrzania organizmu.

- Dam radę, sierżancie - powtórzył Pablo błagalnym tonem.

- Wydałem ci rozkaz, do jasnej cholery. Jazda mi stąd! - Teraz Stark musiał się zastanowić, kim powinien go zastąpić. W tym celu przeleciał w myślach charakterystyki pozostałych członków drużyny. Rola kaprała może nie była znacząca, zwłaszcza gdy porównało się go z generałem dowodzącym takimi operacjami, ale i tak należało dobierać na to stanowisko ludzi zaufanych, jako że to oni właśnie ubezpieczali tyłek swojego sierżanta. - Gomez!

- Tak, sierżancie?

- Przejmujesz obowiązki kaprała Desoto. - Gomez nie miała najdłuższego stażu w jego drużynie, ale była ostra. Bardzo ostra.

- Sierżancie. Nie jestem najstarsza. Ktoś inny powinien go zastąpić.

Stark prychnął gniewnie.

- Czego wy się naćpaliście, durne małpoludy, że zamiast wykonywać rozkazy, dyskutujecie ze mną za każdym razem? Gomez, przejmuje obowiązki kaprała. Koniec, kropka. Wykonać.

- Tak jest, sierżancie.

- Jeszcze jedno, Gomez.

- Słucham, sierżancie.

- Tylko niczego mi nie schrzań.

Nie zdążył dokończyć zdania, gdy w komunikatorze rozległ się głos porucznika.

- Sierżancie, dokąd udaje się kapral Desoto?

- Wraca do transportera, poruczniku. Ma uszkodzony skafander. Zastąpiła go szeregowka Gomez. - Wypowiedział te słowa zdecydowanym tonem, raczej donosząc o podjętej decyzji, niż prosząc o zgodę na nią.

- Dlaczego nie zostałem o tym poinformowany?

- To decyzja na poziomie drużyny, poruczniku. Odpowiedzialność za nią spoczywa

wyłącznie na mnie.

- Ja tu dowodzę, sierzancie! Mam być poinformowany o planowanych posunięciach, zanim o nie zapytam, bo to do mnie należy ostateczna decyzja.

*Jasne. Fakt, że nie wiesz, co sam masz robić, upoważnia cię także do utrudniania roboty innym.*

- Oczywiście, poruczniku. - Mów jak zawodowiec, spokojnie i na tyle niejednoznacznie, by w razie potrzeby zostawił ci wystarczającą swobodę działania.

Stark dopiero po dłuższej chwili zauważył, że jego drużyna przeprawia się przez teren wyglądający jak największy na świecie lej po bombie. Przypomniawszy sobie krater, na jakie trafiał, walcząc lata temu na Bliskim Wschodzie. Tamte wyryły taktyczne głowice nuklearne, ale ten był od nich znacznie większy. Takich dziur nie mogła stworzyć marna ludzka technologia, musiały być dziełem artylerii niebios. *Na powierzchni Księżyca roi się od podobnych wgłębień*, uzmysłowił sobie, od razu dostrzegając przewagę, jaką daje obrona na terenie pociętym setkami naturalnych fortyfikacji. Niestety, w tej akurat chwili jego drużyna należała do strony atakującej. Strefy cienia tak czarnego, że nie sposób go przebić wzrokiem, stanowiły idealne kryjówki dla dobrze okopanych żołnierzy. Stark poczuł, że mimowolnie napina mięśnie grzbietu. Położył palec na spuście broni. Ładunki zostały dobrane tak, by pociski miały znacznie mniejszą prędkość niż ich odpowiedniki na Ziemi, ale i tak musiałby mierzyć znacznie niżej, niż to podpowiada instynkt, by nie przestrzelić nad celem przy tak niskiej grawitacji i braku atmosfery.

- Dzięki Bogu - jęknął porucznik, wdychając z ulgą w komunikator. Rozproszył tym przygnębiające myśli Starka. - Odzyskaliśmy łączność.

- Świetnie - mruknął Ethan.

Natychmiast wyświetlił pozycje własnego plutonu i z niedowierzania aż pokręcił głową, gdy dostrzegł na wyświetlaczu nazbyt rozproszoną drużynę sierżant Reynolds. Ją także zrzucano za daleko od celu. Uśmiechnął się pod nosem, czując sporą ulgę. Victoria była jego starą znajomą i najlepszym żołnierzem, z jakim miał przyjemność służyć, dlatego ucieszyło go, że wyszła z tego przyziemienia cała.

- Się masz, Vic - zawołał, uruchamiając łącze, które już dawno zaszyfrował na własną rękę, by mieć kanał do prywatnych rozmów. - Miło cię widzieć. Od razu poczułem się bezpieczniej.

- Cześć, Ethan. Ja również.

- Wygląda na to, że ciebie także zrzucano nie tam, gdzie trzeba.

- Owszem. - Victoria nie próbowała nawet kryć zniesmaczenia. - Piloci przywykli do

stosowanych na Ziemi systemów automatycznej nawigacji, mają więc teraz spory problem, gdy trzeba chwycić osobiście za stery.

- Co się stało z łącznością? Dlaczego wcześniej nie widzieliśmy się wzajemnie? Czyżby wróg znalazł jakiś sposób na zakłócanie naszych transmisji?

- Nie mam pojęcia, ale wszyscy oficerowie ganiają w kółko jak kot z pęcherzem, szukając kontaktu z kimś, kto powie im, co mają robić.

- Sierzancie Reynolds. - Porter wciął się do rozmowy, o której przebiegu nie miał pojęcia. - Co tam u was?

- Wszystko w porządku, poruczniku. Nie trafiliśmy na wyznaczone pozycje, ale zmierzamy w ich kierunku i wkrótce powinniśmy nadrobić opóźnienia.

- Świetnie. Świetnie. Z czym mieliście wcześniej problem? Dlaczego nie widzieliśmy się na takach i nie mogliśmy wymieniać danych?

- Coś zagłusza naszą łączność w tym sektorze, poruczniku - odparła uspokajającym tonem Reynolds, widząc jego rozemocjonowanie. - Chrzani nam się też oprogramowanie przekaźników. Ale nasi chłopcy już nad tym pracują.

- Ktoś zagłusza nasze komunikatory? - w głosie Portera dało się wyczuć przerażenie. - Jak w takim razie dowodzi pani swoją drużyną?

- Jak Juliusz Cezar, poruczniku, wykorzystuję sygnalizację ręczną.

- Aha, no tak, rozumiem. A gdzie Sanchez?

- Nie mam pojęcia. Jego drużyna nie dotarła na powierzchnię.

Stark skrzywił się bezwiednie. Sierżant Sanchez miał prawdziwie pokerową twarz, nikt nie potrafił powiedzieć, co mu się podoba, a czego nie znosi. Niemniej znał się na swojej robocie a do tego dowodził dwunastką świetnych ludzi.

Porter najwyraźniej doszedł do tego samego wniosku.

- Chryste. Jego transporter rozbił się podczas zrzutu?

- Nie sądzę. Zobaczylibyśmy albo poczulibyśmy, gdyby tak się stało. Raczej nie doszło do odpalenia jego windy. Sierżant Sanchez wspominał mi niedawno, że jego pilot skarżył się na usterki systemu.

- Dlaczego, u licha, nikt mi o tym nie powiedział?

- Jestem pewna, poruczniku, że sierżant Sanchez wiedział, co robi, ale jeśli mam zgadywać...

- Dajmy temu spokój. Stark!

- Słucham, poruczniku.

- Pański komunikator jest sprawny? Otrzymał pan uaktualnienie taktyczne ze sztabu

brygady?

- Tajest! - Ethan przeleciał wzrokiem po otrzymanych danych. - Żadnych zagrożeń?

- Na razie niczego nie wykryto - potwierdził Porter. - Ale przed nami długa droga do celu. Nie zatrzymujcie się. Ja dołączę do pierwszej drużyny i sierżant Reynolds.

- Rozumiem, poruczniku. - Stark przełączył się od razu na prywatny kanał. - Hej, Vic, będziesz miała towarzystwo.

- Tak, słyszałam. Znowu wykazałeś się niesubordynacją?

- Wykonywałem tylko swoją robotę, starając się utrzymać wszystkich przy życiu.

- A co ja powiedziałam?

- Vic, nic na to nie poradzę, że oficerowie nie potrafią działać, dopóki ich przełożeni nie dadzą im na piśmie rozkazów, co mają zrobić.

- Wiesz dobrze, że to nie do końca ich wina, Ethan. Młodym podoficerom zakazuje się myślenia. Trepy ze sztabu bez przerwy monitorują ich ruchy i instruuja na każdym kroku.

- Gdyby któryś wytrzymał na swoim stanowisku dłużej niż pół roku, może nauczyłby się samodzielnego myślenia - zasugerował Stark. - Nam to się jakoś udało. Chociaż jeśli spojrzeć na to z drugiej strony, człowiek, który myśli niezależnie i wytrzyma dość długo, by się nauczyć fachu, nigdy nie awansuje, bo na wyższe szczeble dowodzenia trafiają wyłącznie ci, którzy wierzą, że mikrozarządzanie jest jedynym kluczem do sukcesu. Co to za system...

- Samowystarczalny. Mógłbyś mimo wszystko zachowywać się bardziej dyplomatycznie, Ethan.

- Jestem żołnierzem, Vic. Nie przymilam się do wrogo nastawionych ludzi, tylko ich zabijam.

Roześmiała się. Jej rechot rozbrzmiewający z głośniczków komunikatora wydawał się dziwnie obcy w szarawej pustce otaczającej Starka.

- Dobra. Postaram się udobruchać naszego porucznika.

- Dzięki. Właśnie dlatego jesteś jego ulubienicą.

- Wal się.

Żadnych zagrożeń. Przerazające do niedawna cienie nie kryły żołnierzy wroga czekających z palcami na spustach broni. Wypełniała je pustka, jak wszystko wokół. Napięcie ustąpiło znużeniu. Wprawdzie żołnierze pierwszej linii nie powinni się poddawać temu uczuciu, lecz jak tu się nie nudzić, kiedy w okolicy nie ma wroga ani żadnych przeszkód do pokonania, a wokół rozciąga się tylko bezbrzeżna szara równina zasypana warstewką drobniotkiego pyłu. Gwiazdy musiały wyglądać prześlicznie, ale jedno spojrzenie w niebo mogło się skończyć zaczepieniem stopą o wszechobecne kamienie, a co za tym idzie, bolesną



przewrotką.

*Za monotonnie tutaj i za cicho...* Stark uaktywnił pirackie łącze, by sprawdzić, czym się teraz zajmuje porucznik Porter i reszta przełożonych.

- ...nuda! Tracimy widownię z każdą sekundą! - Ten głos należał chyba do generała dowodzącego dzisiaj ich brygadą.

O czym on, u licha, gada? Jaką znowu widownię?

- Nie mamy z kim walczyć, generale - narzekał inny oficer.

- Bo za bardzo się guzdrzecie. Weźmy tę jednostkę. Co to za ludzie? Kto nimi dowodzi?

- To część plutonu porucznika Portera - wyjaśnił następny głos.

Stark poczuł zimny dreszcz, gdy padły te słowa.

- Porter! Wypadliście z harmonogramu!

- Wiem, generale - odparł natychmiast porucznik. - Zrzucano nas dwadzieścia kilometrów od...

- Dlaczego pańscy ludzie nie poruszają się szybciej?

- No... Nasza doktryna, generale...

- Pieprzyć doktryny! Domagam się akcji. Pogońcie swoje jednostki!

- Tak jest, generale. Już się robi. - Stark zdołał się opanować, zanim porucznik wywołał go na oficjalnym kanale. - Sierzancie, podwajamy tempo marszu.

- Jeśli przyśpieszymy - zaczął ostrożnie Ethan - nie zdołamy zareagować w porę na ewentualny ostrzał.

- Nie będziecie musieli reagować na nic, sierzancie! Po prostu pogońcie swoich ludzi.

Biegniemy z boczem w dół, lada moment dotrzemy do jego podstawy. Przygryzając dolną wargę, Stark jeszcze raz sprawdził odczyty na HUD-zie. Nic, tylko zielone ikony własnych jednostek. Brak widocznych zagrożeń, a skoro nie mogą zauważyć pozycji wroga przy tej prędkości, jej zwiększenie może nam wyjść tylko na dobre, o ile nie straciliśmy do reszty przewagi zaskoczenia.

- Trzecia drużyna, podwoić tempo marszu. - W komunikatorze rozległy się jęki i przekleństwa. - Zamknijcie jadaczki i ruszcie tyłki! Gomez, pilnuj, żeby twój koniec formacji nie stracił kontaktu z moim. Nie pozwól nikomu zostać z tyłu.

- Tak jest, sierzancie.

Przyśpieszenie marszu groziło utratą orientacji. Głazy przesuwwały się wolno pod ich nogami, ale z powodu braku atmosfery trudno było ocenić ich wielkość i dystans dzielący je od skaczących żołnierzy. Tak wyraźnie widoczne obiekty musiały znajdować się bardzo

blisko, aczkolwiek w tych warunkach Ethan nie postawiłby na to nawet centa. Spoglądanie prosto w dół groziło zawrotami głowy z powodu wielkiego kontrastu między oślepiająco białymi połaciami pyłu i atramentowo czarnymi strefami cienia. Po podniesieniu głowy człowiek miał przed oczyma tryliony gwiazd, które zdawały się przyciągać go do siebie, prosto w kosmos, więc zaczynał mimowolnie machać rękami i nogami, dopóki nie uzmysłowił sobie, że wcale nie leci w górę. Nad tym wszystkim wisiał błękitny dysk upstrzony białą chmur - planeta, z której pochodzili i na której zdaniem wszystkich tu obecnych powinni toczyć swoje wojny.

- Żeby cię... - jęknęła pełniąca obowiązki kaprała Gomez, ale urwane w połowie przekleństwo przeszło w głośnie stęknienie.

- Wszystko w porządku? - zapytał Stark, sprawdzając od razu stan jej skafandra.

- Tak jest. Potknęłam się i padłam na ryj.

- Skafander nie utracił szczelności.

- Wiem. Dlaczego ten horyzont wydaje się taki bliski, ale nie sposób do niego dotrzeć bez względu na to, jak szybko się posuwamy? - zapytała z rozgoryczeniem.

- Przecież to proste, Anito - wtrącił Chen. - Wydaje ci się, że tkwisz w koszmarze, i masz całkowitą rację, bo trafiłaś prosto do piekła, kiedy nasz transporter rozpieprzył się o powierzchnię Księżyca.

- No tak. Jestem w piekle. Fakt, że cię widzę, uprawdopodobnia tę teorię.

- Skończcie te głupie gadki, pajace - rozkazał Stark, chociaż nie widział niczego zdrożnego w tym, że jego podwładni rozładują nieco napięcie kąśliwymi docinkami, zwłaszcza że przełożeni uznali, iż stopień zagrożenia jest tak niski, że żołnierze mogą biec do wyznaczonego celu. Niemniej już dawno zrozumiał jedną z podstawowych prawd: nie powinno się ufać ocenom, jeśli pochodzą z wyższego szczebla niż kompanijny, a już szczególnie gdy formułujący je człowiek siedzi daleko poza linią frontu. - To nie spacer po parku, kierujemy się do strefy walk. Żadnych prywatnych rozmów.

- Tak jest. - W głosie Gomez wychwycił tak nietypowe dla niej zakłopotanie. - Przepraszam.

- Za co przepraszacie? - zapytał ostro Stark.

- Pełnię tymczasowo obowiązki kaprała, sir. Nie powinien mi pan przypominać o takich rzeczach.

- To prawda. - Czasami dodatkowa, nawet niezbyt wielka odpowiedzialność zmieniała całkowicie postawę żołnierza. A czasami nie zmieniała. Gomez, jak widać, czuła brzemień dodatkowej władzy. - Ale nie musicie mnie przepraszać. Po prostu róbcie, co do was należy.

Stark ponownie wszedł na kanał dowodzenia, martwiąc się, że tymczasem wykryto jakieś źródła zagrożenia, a także licząc po cichu na to, iż ktoś po raz kolejny zruga porucznika Portera. Zamiast tego jednak usłyszał wydawane monotonnym tonem szczegółowe rozkazy dla kolejnych jednostek i żołnierzy. Normalka. *Ciekawe, co robiliby oficerowie siedzący nam na karku, gdyby nie wydawano im co sekundę kolejnych poleceń?* Przełączył się znowu, wywołując sierżant Reynolds. - Vic? Jesteś bardzo zajęta?

- Niespecjalnie, zważywszy, że prowadzimy właśnie natarcie - rzuciła cierpkim tonem. - Czego chcesz?

- Co jest z tą widownią?

- A co ma być?

- No właśnie nie wiem, a bardzo nie lubię, kiedy na polu walki dzieje się coś, czego nie rozumiem.

Vic zawahała się, zanim odpowiedziała:

- Nasza operacja jest retransmitowana przez cywilne media na Ziemię z zaledwie półgodzinnym opóźnieniem.

- Co takiego?

- Przekaz audio i wideo z naszego sprzętu trafia prosto do departamentu spraw wewnętrznych - wyjaśniła cierpliwie - skąd jest retransmitowany do sieci wizyjnych. Gratuluję, stałeś się gwiazdą wyświetlaczy.

- Nie chcę być żadną gwiazdą. Po jaką cholere oni to robią? - zapytał poirytowany Stark. - Nie chcę, żeby wróg widział, co robimy, i to w naszych cywilnych sieciach.

- Opóźnienie transmisji zapewnia nam całkowite bezpieczeństwo. Rzecz jasna, o ile będziemy się trzymać harmonogramu.

- Z czym akurat mamy spory problem. Pieprzeni planiści zawsze zbyt optymistycznie podchodzą do ustalania czasu akcji.

- Wiem. Nie ja to wymyśliłam. - Ton Vic zmienił się, znów była rzeczowa i zwięzła. - Czas na mnie. Docieramy do celu.

- Rozumiem. My też jesteśmy już blisko. - Stark spojrzął przed siebie, szukając wzrokiem miejsca, które według komputera taktycznego powinno znajdować się tuż przed nim. *Skoncentruj się na robocie, która cię teraz czeka.* Ledwie minął krawędź kolejnego krateru, w polu widzenia dostrzegł wielki obiekt, który jarzył się feerią barw na ekranie czujnika podczerwieni. *Emitują ciepło. I to w jakich ilościach. Wygląda na to, że nie spodziewali się problemów i nie ograniczyli emisji, by zmniejszyć możliwość wykrycia. Świetnie.*

- Mam cel w polu widzenia - zameldował Murphy.

- Ja też - potwierdził Stark. - To powinno być główne wejście do naszego celu. Mendoza, sprawdź, czy na pokrywie nie założono jakichś pułapek albo czujników. Gomez, zostaniesz z Billings i Carter na tyłach, będziecie osłaniać resztę drużyny, dopóki nie otworzymy tego wjazdu. Reszta zbiórka wokół celu.

Poruszali się szybko i sprawnie, przećwiczyli to wcześniej tysiące razy w setkach innych miejsc, aczkolwiek żadne nie wyglądało tak obco jak powierzchnia Księżyca. Stark zbliżył się ostrożnie do wjazdu, przykucnął z bronią gotową do strzału, aby osłaniać szeregowego Mendozę, gdy ten wyjmował sprzęt z zamiarem przeskanowania wejścia w poszukiwaniu urządzeń alarmowych i pułapek.

- Nie ma tu niczego prócz standardowego dzwonka - zameldował żołnierz. - Wygląda na to, sierżancie, że nie spodziewali się żadnych problemów.

- Świetnie. Zatem...

Przerwał mu czyjś głos dobiegający z komunikatora.

- Co to jest, sierżancie? Na co teraz patrzycie?

Stark sprawdził tożsamość rozmówcy, zanim odpowiedział. Wyglądało na to, że sztab raczył zwrócić uwagę na drobny wycinek wielkiej operacji, przynajmniej w tym momencie.

- To drzwi, pułkowniku.

- Drzwi? Na Księżycu?

- Właściwie to wjazd, sir. Główna śluza prowadząca do wnętrza naszego celu.

- Czyli do laboratorium, jeśli mnie pamięć nie myli? To jednostka badawcza zajmująca się testowaniem technologii stosowanych w produkcji przy niskim ciśnieniu.

Cokolwiek to znaczy.

- Taką informację mam na swoim taku, sir.

- Świetnie. Doskonale. Zbierzcie swoich ludzi i przygotujcie się do wejścia.

- Oni są już gotowi, sir - wyjaśnił Stark z wymuszoną cierpliwością.

- No to na co jeszcze czekasz, człowieku?!

Ethan wskazał ręką na wjazd.

- Dobra, małpoludy...

- Chwileczkę! - Kolejny głos pojawił się na łączu. - Sprawdziliście, czy to wejście nie zostało zaminowane?

- Tak jest, generale. - Stark przygryzł mocno wargę, zanim odpowiedział na to pytanie.

- I jest czyste?

- Tak jest, generale.

- Nie chciałbym, aby to miejsce zostało uszkodzone bardziej niż trzeba. Powiedźcie temu szeregowcowi... Nie, czekajcie. Jak on się nazywa?

- Mendoza, sir. On...

- Szeregowy Mendoza, sprawdźcie jeszcze raz, czy na włączniku nie ma przypadkiem ładunków wybuchowych - rozkazał generał.

- Tajest - wysyczał wywołany żołnierz. Skan trwał zaledwie kilka sekund. - Wygląda na czysty, generale.

- Wygląda na czysty czy jest czysty?

- Jest czysty - poprawił się natychmiast Mendoza.

- Zatem możecie wchodzić - rozkazał generał.

- Dziękujemy, sir! - odparł Stark, wymawiając ostrożnie te dwa słowa.

- Postarajcie się wypaść jak najlepiej. Pamiętajcie, że mamy na was oko z góry.

*Pamiętamy jeszcze czasy, kiedy obowiązywał tradycyjny łańcuch dowodzenia,* pomyślał z przekąsem Stark, ale posłusznie odpowiedział:

- Tajest!

Włącznik przetoczył się na bok bez problemu, był czysty, tak jak twierdził Mendoza. Drużyna weszła do środka z bronią gotową do strzału i oczekiwała na wypełnienie służby powietrzem. Moment później pokrywa wewnętrznego włącznika odskoczyła od kołnierza i ożył panoramiczny ekranik umieszczony na ścianie, ukazując twarz jakiegoś zaskoczonego mężczyzny. Oczy miał wielkie jak sowa.

- Kim jesteście? Nie spodziewaliśmy się dzisiaj wizyty, a w każdym razie nie o tak wczesnej porze.

- I o to chodziło, cywilu - mruknęła Gomez, gdy włącznik stanął otworem. - My to nazywamy pełnym zaskoczeniem.

- Zaskoczeniem? - Zagraniczny naukowiec zrobił jeszcze większe oczy. - Nie rozumiem. Po co mielibyście nas zaskakiwać? Mam wam wskazać drogę?

- Lepiej zostań, człowieku, tam, gdzie jesteś - poradził mu Stark. - Już idziemy po ciebie. - Odwrócił się do żołnierzy i wskazał ręką otwarte przejście. - Ruchy! Zgarnąć cywilbandę, zanim zorientuje się, co jest grane.

Ludzie natychmiast się podzielili na zespoły ogniowe i ruszyli wyciosanymi w skałę tunelami w głąb laboratorium, zgodnie ze wskazówkami wyświetlanymi na takach. Stark wziął dwóch żołnierzy i przeszedł na koniec najszerszego korytarza do miejsca, skąd odchodziła poprzeczna odnoga. Zatrzymał się, podnosząc broń, aby móc otworzyć ogień

natychmiast po minięciu załomu, gdyby oczywiście zaszła taka potrzeba.

- Sierzancie! - Ethan drgnął mimowolnie, gdy w jego komunikatorze rozległ się kolejny głos. - Uważajcie na ten zakręt!

- Tak jest, pułkowniku - wycedził przez zęby.

- Za załomem możecie natrafić na zbrojny opór - kontynuował niezrażony sztabowiec.

- Upewnijcie się, że wasi ludzie was kryją.

- Jestem pewien, że to robią, pułkowniku - Ethan uspokoił znajdującego się gdzieś daleko przełożonego. - A teraz zamknij się i daj mi zrobić to, co do mnie należy - dodał, mruczając pod nosem.

- Co powiedzieliście, sierzancie? Nie dosłyszałem ostatniego zdania.

- Nic nie mówiłem, pułkowniku - zapewnił go pośpiesznie Ethan.

- Ale ja wyraźnie słyszałem, że coś mówicie. Majorze, słyszeliście to samo co ja?

- Ktoś coś powiedział. - Drugi głos był bardziej stłumiony. - Na pewno.

- Chyba coś jest nie tak z waszym systemem łączności, sierzancie - zdecydował pułkownik. - Przeprowadźcie natychmiast pełną diagnozę.

- Pułkowniku, przeprowadzamy właśnie operację przejęcia...

- Nie przejmujcie się. Zrobimy to zdalnie, z punktu dowodzenia. Nie możemy sobie pozwolić na utracenie kontaktu z wami.

Stark otworzył usta, by gorąco zaprotestować, ale zamknął je zaraz, widząc na wyświetlaczu HUD-a czerwoną ikonkę oznaczającą wyłączenie systemu na czas przeprowadzania diagnostyki. Zaczął walić pięścią w najbliższą ścianę, posyłając gniewne spojrzenia w kierunku obu szeregowców, którzy starali się udawać, że niczego nie widzą. Stark czekał, nie mogąc posuwać się naprzód, dopóki nie odzyska łączności z pozostałymi członkami oddziału, i pieklił się na płynący cholernie wolno czas, gdy komputery skanowały całe oprogramowanie i sprawdzały elektronikę jego komunikatora.

*Proszę cię, słodki Jezu, modlił się w duchu, żeby te barany z dowództwa brygady znalazły sobie kogoś innego do zajezdzenia na śmierć, kiedy już uporają się z diagnostyką mojego sprzętu.*

Błysk zielonej diody oznajmił zakończenie diagnostyki. Stark zamarł, wstrzymując oddech. Czekał na kolejne wskazówki z tylnego siedzenia, ale w komunikatorze panowała idealna cisza. *Może znudziło ich czekanie na koniec skanowania i przerwali się na innego biedaka, żeby go uczyć, jak wiązać sznurowadła?* Ethan ruszył w stronę zakrętu, dając znak swoim ludziom, by szli za nim, a potem zatrzymał się ponownie. Szkolono go, by w takich momentach najpierw wysuwał z za węgła palec - to pozwalało mu zbadać otoczenie za

pomocą światłowodowej kamery umieszczonej na materiale rękawicy. Dzięki temu mógł się upewnić, że za załomem ściany nie czeka na niego żadna niespodzianka, ale ta metoda miała także swoje minusy - wróg dowiadywał się, że właściciel wysuwanego palca za moment sam znajdzie się w polu widzenia.

- Idziemy - mruknął do mikrofonu i przemknął za róg, przylegając plecami do ściany i kierując lufę w głąb następnego sektora korytarza. W jego kierunku szło wolnym krokiem dwóch diskutujących ze sobą naukowców. Najpierw pierwszy, a moment później drugi zauważył mierzącą w nich opancerzoną sylwetkę żołnierza, co sprawiło, że obaj stanęli jak wryci z opadniętymi szczękami. Stark machnął ręką, przywołując towarzyszących mu szeregowców. W tym samym momencie włączył zewnętrzny głośnik.

- Uwaga. To laboratorium zostało zajęte przez siły zbrojne Stanów Zjednoczonych - wyrecytował. - Wszyscy pracownicy zostaną zatrzymani dla ich własnego dobra. Na wszelkie próby oporu odpowiemy siłą.

Szeregowcy dobiegli do pary cywilów, nadal zbyt zaskoczonych, by stawiać czynny opór, i ustawili ich pod najbliższą ścianą, trzymając cały czas na muszkach karabinów.

- Billings, odprowadź ich - rozkazał Ethan. - Murphy i ja wchodzimy do laboratorium.

Główna sala laboratorium - czyli jego cel - była największym pomieszczeniem tego kompleksu, a przynajmniej wyglądała na taką na ekranie taka.

Stark pognał od razu przed siebie, uznawszy, że element zaskoczenia, którego jak widać, jednak nie utracili, będzie działał na ich korzyść. Biegł, kierując się odczytami mapy wyświetlanej na taku. Pokonał jeden korytarz, potem skręcił w prawo, ale gdy po chwili spróbował powtórzyć ten manewr, natknął się na litą skałę.

- Cholera!

- Sierżancie? - zapytał lekko wystraszony Murphy. - Czy tutaj nie powinno być przejścia?

- Owszem, ale jak widać, już go nie ma. Plany zdobywane zawczasu przez wywiad nigdy nie zgadzają się w stu procentach z wykończonymi budowlami.

- I co teraz, sierżancie?

Regulamin mówił jasno, jak mają się zachować w podobnych sytuacjach. Nie dopuszczał żadnych zmian w planie zapisanym na taku, co oznaczało, że Stark musiał skontaktować się z pułkownikiem odpowiadającym za jego sektor i poczekać na oficjalne potwierdzenie, iż stanął właśnie przed ścianą, której tu nie powinno być, i wgranie nowej sekwencji programu uwzględniającej tę poprawkę. Żołnierzom nie wolno pozwolić na samodzielne myślenie! Tknięty przecuciem Stark sprawdził, jak duże opóźnienia występują

w komunikacji ze sztabem brygady, i wyszczerzył zęby z radości. Zgodnie z jego oczekiwaniami szum informacyjny narastał w miarę rozwoju operacji. W chwili obecnej przekraczał już wydolność systemu. Opóźnienia wynosiły nie sekundy, ale całe minuty, co dawało mu całkiem sporo czasu, zanim ktokolwiek w sztabie zorientuje się, że jego działania nie są w stu procentach zgodne z zaplanowanymi.

- Za mną - warknął na Murphy'ego, ruszając biegiem do następnego zaznaczonego na planie wejścia. Jego HUD pokazywał, że pozostałe zespoły ogniowe zajęły już wyznaczone pozycje i zabezpieczyły teren, nie musiał się więc przejmować potencjalnymi zagrożeniami i mógł w pełni wykorzystać te kilka minut, jakie mu zostały, zanim któryś z oficerów zauważy, że zszedł ze ścieżki wytyczonej przez taka.

Czasami to się sprawdzało, ale nie tym razem, niestety. Za kolejnym rogiem trafili na mężczyznę w mundurze tutejszego stróża prawa. Stał tam uzbrojony w pistolet wiszący przy pasie i spoglądał na nich groźnie. Złudzenie przewagi spowodowanej zaskoczeniem prysnęło jak bańka mydlana, gdy sięgnął do kabury. Stark - wisząc właśnie w powietrzu po zrobieniu kolejnego długiego susa - zauważył, że Murphy podnosi broń, ale czyni to z widocznym wahaniem.

- Zastrzel go, do cholery!

- Ale sierżancie, ten pistolet nie...

W tym momencie Stark znów stał pewnie na nogach i mógł wymierzyć, co też uczynił, natychmiast pociągając za spust. Trafił w dolną część tułowia. Pocisk uderzył w ciało z takim impetem, że policjant poleciał cały metr do tyłu.

- Rozbrój go! - rozkazał Ethan. - I żeby mi to było ostatni raz!

- Ale sierżancie...

- Nie ma żadnego ale! - Choć lufa jego karabinu wciąż była wymierzona w ранego mężczyznę, całą wściekłość Stark skierował na szeregowca. - Wisi mi, czy jego pukawka może przebić twój pancierz. Lepiej nie ryzykować. Rozumiesz? Jeśli przeciwnik ma pistolet, strzelasz do niego. Nawet jeśli to tylko zabawka na wodę.

Murphy kopnął broń policjanta, nie patrząc nawet na Starka.

- Przepraszam, sierżancie.

- I słusznie, cholera. - Ethan zdołał zapanować nad gniewem i odłożył broń, widząc, że krew tryska z rany na brzuchu postrzelonego o wiele mocniej, niż miałyby to miejsce w ziemskim ciężeniu. - Patrz, Murphy. Przyjrzyj się dobrze. Nie chciałbym, abyś to ty znalazł się na jego miejscu. A teraz bierz apteczkę, opatrz go i odprowadź do punktu zbornego.

- Dobrze, sierżancie. Pan się nie martwi. Wiem, co spieszyłem.



- Świetnie.

Stark ruszył ponownie w kierunku wyznaczonego celu. Wpadł do pomieszczenia laboratorium w tej samej chwili, gdy w jego słuchawkach rozległ się rozeźlony głos.

- Sierżancie, dlaczego nie wykonujecie poleceń zapisanych w taku?

- Wykonuję je, sir - odparł tonem zranionej niewinności. - Zgodnie z zapisem na komputerze taktycznym miałem dotrzeć do pomieszczenia, w którym teraz się znajduję.

- Ale... - zaczął oficer, lecz zaraz umilkł. Zapewne trafił na kolejny dowód czyjejś niesubordynacji. - Niech wam będzie. Róbcie swoje.

- Tajest!

Stark zapoznał się z aktualną sytuacją. W pomieszczeniu znajdowała się już spora grupa zagranicznych naukowców stojąca pod strażą żołnierzy z jego drużyny. Większość zatrzymanych miała na sobie białe fartuchy, ale kilku doprowadzono w tym, w czym akurat spali. Więźniowie spoglądali na swoich oprawców z wyraźnym niedowierzaniem. Ethan przywołał do siebie kobietę pełniącą tymczasowo obowiązki kaprała.

- Miałaś jakieś problemy, Gomez?

- *No, sargento* - odparła Anita z wyraźnym rozbawieniem. - To znaczy kilku cywili nie miało ochoty iść z nami, ale nie trzeba ich było zbyt mocno przekonywać.

Stark przyjrzał się raz jeszcze zgromadzonym naukowcom. Przynajmniej jeden z nich miał podbite oko.

- Ktoś został ranny?

- Nie, sierżancie. A jeśli już, to lekko.

- Świetnie. Musimy się z nimi dogadać. - Ethan przełączył się na zewnętrzny głośnik, dzięki czemu mógł przemówić jednocześnie do schwytanych i swoich ludzi. - To laboratorium zostało zajęte przez siły Stanów Zjednoczonych. Zostaniecie pod strażą dla swojego własnego bezpieczeństwa do momentu przybycia środków transportu, którymi przewieziemy was na Ziemię, do waszych krajów. Nikt nie poniesie szkody, jeśli nie...

Jakaś kobieta wystąpiła z grupy, przerywając jego przemówienie. W jej ciemnych oczach tliła się furia, a podniesione w górę ręce służyły wzmocnieniu przekazu.

- Wynocha stąd. Przeszkadzacie w niezwykle ważnej pracy, nie mówiąc już o tym, że wkroczyliście na prywatny teren.

- Jak już wspomniałem, szanowna pani, kompleks ten jest od tej pory własnością rządu USA.

- Piraci! Najemnicy!

Stark wyczuł nerwowość swoich ludzi. Zwłaszcza to drugie określenie ubodło ich do

żywego.

- Nie jesteśmy najemnikami, proszę szanownej pani - poprawił ją wyniośle. - Nie walczymy dla pieniędzy.

- Mam gdzieś, czym usprawiedliwiacie swoje czyny! - Kobieta patrzyła mu prosto w oczy. - To bezprawie! Wy, Amerykanie, zagarnęliście dla siebie wszystkie bogactwa naturalne Ziemi. Jeszcze wam mało? Musieliście przylatywać tutaj i odbierać nam nasze laboratoria?

- Otrzymałem rozkaz, aby...

- To akt piractwa! - powtórzyła, oglądając się na pozostałych naukowców, jakby szukała u nich wsparcia. - Nie macie prawa zajmować tego kompleksu.

- To już nie moja działka, proszę pani - zapewnił ją Stark, akcentując mocno każde słowo. - Chce pani złożyć skargę, proszę skierować ją na ręce mojego przełożonego. Ja tylko wykonuję rozkazy.

- Zatem proszę poinformować swojego dowódcę, że żądam, abyście natychmiast opuścili nasze laboratoria.

Stark podniósł wyżej lufę karabinu. Metal, z którego wykonano broń, załśnił złowieszczo w jasnym świetle wypełniającym pomieszczenie. Tym prostym gestem zwrócił na siebie uwagę wszystkich cywili, napelniając ich serca lękiem i niepewnością.

- Otrzymałem rozkaz zajęcia tego kompleksu i zatrzymania jego personelu.

- Nie obchodzą mnie pańskie rozkazy!

- To zrozumiałe. Ale ostrzegam, że każda próba oporu z waszej strony spotka się z naszą zdecydowaną odpowiedzią. - Stark ułożył broń tak, że jej lufa skierowana była teraz w stronę zbitych w gromadkę naukowców. - Decyzja należy do was.

Większość zatrzymanych natychmiast podniosła ręce w kierunku kamiennego sklepienia, pocąc się obficie mimo panującego w laboratorium chłodu. Gdy pozostali wciąż się wahali, do sali wszedł Murphy, niosąc rannego, który wciąż jeszcze oddychał, ale był blady jak kreda. Na ten widok reszta rąk wystrzeliła w górę. Tylko rozwścieczona kobieta nadal nie dawała za wygraną.

- Zabiliście go! - raczej stwierdziła, niż zapytała.

- Jeszcze żyje - odparł Stark lodowatym tonem. - Ale każdy, kto zagrozi moim ludziom, podzieli jego los.

Kobieta zacisnęła dłonie w pięści.

- Nie zamierzam legitymizować waszych działań, idąc na współpracę.

- Pani sprawa - odparł Stark i wskazał na nią kciukiem. - Zabrać ją!

Mimo odblaskowej powłoki hełmu ukrywającej twarz Ethan zdawał sobie doskonale sprawę, że Gomez radośnie szczyrzy zęby, występując z szeregu, by walnąć buntowniczkę kolbą karabinu w lewą gołąb. Kobieta padła na podłogę, jęcząc z bólu, a jej pogromczyni obróciła szybko broń, przyłożyła wylot lufy pod brodę ofiary, a potem przyklękła sprawnie i skuliła jej ręce. Kajdanki zacisnęły się automatycznie, a przylegały tak idealnie, jakby taśma z fibry utworzyła drugą niezniszczalną skórę na nadgarstkach.

- Jeśli spróbujesz je rozciąć - ostrzegła Gomez - wykrwawisz się na śmierć.

*Comprendo?*

Kobieta skinęła głową i pozwoliła się odprowadzić razem z resztą jeńców w najdalszy kąt sali.

- Poruczniku... - Stark przełączył się na wewnętrzny komunikator. - Zabezpieczyliśmy cały kompleks.

- Przyjąłem. Napotkaliście opór?

- Postrzeliliśmy jednego człowieka z ochrony kompleksu. Ale przeżyje.

- Szkoda. Sztab brygady narzeka na niewystarczający poziom walk podczas tego ataku.

Stark zaczerpnął głęboko tchu, skupiając wzrok gdzieś w przestrzeni.

- Nie ponieśliśmy żadnych strat, poruczniku.

- Jedno dobre, sierżancie. Transporter dotrze do was za jakieś pół godziny i zabierze jeńców. Nie pozwólcie im skonstruować w tym czasie jakiejś atomówki.

- Tajest! - Ethan posłał gniewne spojrzenie w stronę grupy naukowców zgromadzonych przy sprzęcie, którego przeznaczenia nawet się nie domyślał. - Gomez, dopilnujesz, żeby nikt niczego nie dotykał. Mówię poważnie. Jeśli któryś wyciągnie rękę, żeby podrapać się po dupie, masz mu ją połamać.

- *Si, sargento.* Słyszeliście, co powiedział sierżant? - To pytanie Gomez skierowała do cywilów. Ci byli tak przerażeni, że niemal żaden nie odważył się skinąć w odpowiedzi. - Dobrze. Nie chcemy kłopotów. Nie cierpię łać ludzi, którzy nie mogą mi oddać, ale zrobię to, jeśli zajdzie potrzeba.

Stark nie zdołał się odprężyć. Patrolował bez końca korytarze kompleksu w poszukiwaniu potencjalnych źródeł zagrożenia, dopóki nie pojawił się zapowiadany transporter i nie zabrał wszystkich jeńców. A przyleciał jakieś pół godziny po wyznaczonym terminie, przywożąc klnącego na czym świat stoi Desoto, który narzekał, że nie mógł wziąć udziału w akcji.

- Powinienem być iść z wami - burczał do Starka.

- Jasne, nie nudzilibyśmy się przynajmniej po drodze, próbując uratować cię przed rozgotowaniem wewnątrz uszkodzonego skafandra. Miałem dość problemów w czasie tej akcji, żeby się jeszcze zajmować tobą.

Desoto gapił się przez chwilę w podłogę, potem skinął głową.

- Ma pan rację, sierzancie. Nie powinienem narzekać.

- A niech cię, Pablo - Ethan wyszczerzył zęby. - Ty zawsze będziesz narzekał. Tego jednego wojo nigdy cię nie oduczy. - Uśmiech ustąpił miejsca śmiertelnej powadze. - W czasie walki nie mam czasu na myślenie o niczym prócz mojej roboty. Nie liczą się ani moje, ani twoje uczucia. Albo czy któremuś małpoludowi z naszej drużyny coś się podoba, czy też wręcz przeciwnie. Jesteś kapralem, Pablo. Pamiętaj o tym. Jeśli zobaczę, że nie wyrabiasz, dostaniesz kopa w dupę i znajdę na twoje miejsce kogoś lepszego.

Desoto raz jeszcze zwiesił głowę.

- Wiem. Nie zapomnę o tym, sierzancie. - Rozejrzał się, przeczesując wzrokiem widoczną część kompleksu. - Jak długo tu zostaniemy?

- Jeszcze trochę, jeśli dopisze nam szczęście. Mieszkało tutaj ponad dwudziestu cywili, więc wyposażono to miejsce w kuchnię z prawdziwego zdarzenia. Wygodnie tutaj jak u mamy, a siłownię zaopatrującą ten kompleks w energię przejęli mechanicy z drugiego batalionu, więc nie musimy się o nic martwić.

- Nieźle! - Żołnierze służby zasadniczej byli przyzwyczajeni do takich warunków, że nawet proste udogodnienia wydawały im się luksusem. Zachwyt Desoto szybko jednak wyparował. - Oficerowie wypieprzą nas stąd, jak tylko się o tym dowiedzą.

- Niekoniecznie. Słyszałem, że w okolicy jest sporo wygodniejszych kwater niż ta...

- Sierzancie! - zawołał Murphy z pokoju przerobionego na tymczasowe centrum dowodzenia. - Mamy połączenie z Reynolds.

Victoria wyglądała na zadowoloną, gdy ujrzał ją na ekranie stacjonarnego komunikatora. Rozpierała się w głębokim fotelu, który na Ziemi prezentowałby się idealnie, ale w obniżonej grawitacji wydawał się jakby... opuchnięty.

- Zabezpieczyłeś wszystko, Ethan?

- Bez problemu - odparł. - Jakies wieści?

- Możecie się tam rozgościć - poradziła mu Reynolds. - Mamy bronić tych instalacji, dopóki nie nadejdą nowe rozkazy.

- To wszystko? Nie powiem, żeby mi to przeszkadzało. Widziałem tutaj kilka naprawdę przyzwoitych kwater. Na pewno nie będziemy umacniać naszych pozycji?

- Żadnego okopywania się. Trepy nie chcą, abyśmy doprowadzili do jakichkolwiek

zniszczeń, na wypadek gdyby trzeba było przehandlować część tego, co zdobyliśmy.

- Świetnie. Kiedy nastąpi kontratak, po prostu poddamy się bez walki.

Vic roześmiała się.

- Nie będzie żadnego kontraktaku. Z tego co wiem, jesteśmy jedynymi wojskowymi na Księżycu.

- I uważasz, że to się nie zmieni w najbliższym czasie?

- Tego nie powiedziałam. Ale tej nocy możesz spać spokojnie.

- Teoretycznie tak - mruknął Stark bez głębszego przekonania.

Pokręciła głową.

- Co cię gryzie, Ethan? Odpręż się. Już po walce.

- Walka jeszcze się nawet nie rozpoczęła - poprawił ją natychmiast. - Odprężę się, kiedy zobaczą ponownie mury naszego garnizonu.

- Jak tam sobie chcesz - posłała mu kolejny uśmiech. - Moja drużyna zajęła dom zarządcy tego sektora. Powiem ci tyle, że przełożeni cywilbandy wiedzą, jak żyć.

- Domyślam się. A gdzie będzie kwaterował nasz porucznik?

- Tutaj. - Vic zdołała zachować radosny wyraz twarzy.

Stark postanowił, że nie będzie gorszy.

- Czyż to nie rozkoszne? Kilka miesięcy, jak Bóg da, z porucznikiem wpitym w twój kark przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Życzę dobrej zabawy, sierżant Reynolds.

- Dzięki. Ale bez obaw, w czasie pobytu na froncie nie pozwalam sobie na relaks.

- Nie jesteś już kotem, Vic. Wybacz, jeśli potraktowałem cię jak jednego z nich. Do cholery, jesteś lepsza ode mnie w tej robocie. - Stark przygryzł dolną wargę i przymknął powieki w zamyśleniu. - Nie podoba mi się to, że nie umacniamy naszych stanowisk. Czy trepy naprawdę uważają, że faceci, którym zabraliśmy tak fajne zabawki, nie zechcą ich odzyskać?

- Na to wygląda. Albo liczą, że wystarczy, jeśli oddamy niewielką ich część.

- Wiesz, Vic, walczyliśmy już przeciw ludziom, których własność teraz zagarnęliśmy, ale przy tej okazji sięgnęliśmy też po dobra należące do naszych niedawnych sojuszników.

- Technicznie biorąc, ustawa Kongresu stanowi, że to nasza własność. My ją tylko odebraliśmy.

- Jasne. Bądźmy szczerzy, korporacjom, które mają w kieszeni nasz rząd, nie spodobało się, że jacyś ludzie z Pierwszego, Drugiego czy też Trzeciego Świata położyli łapę na tutejszych surowcach.

- To jedyne złoza, jakie jeszcze pozostały. Zdobyliśmy już wszystko, co oferowała

staruszka Ziemia. Takie są korzyści z bycia jedynym supermocarstwem. Wiesz, jeśli umiesz dobrze rozgrywać, nikt nie zagrozi twojej bramce.

Stark skrzywił się.

- Jasne, Vic. Jak już wspomniałem, znamy tych ludzi. Zmęczyło ich już to ciągle uginanie grzbietu, żebyśmy mieli lepsze widoki. Tym razem nie puszczą nam tego płazem.

Victoria wzruszyła ramionami.

- To nie nasza sprawa, Ethan. I uważaj, co mówisz, bo twoje słowa trącą sympatią dla Trzeciego Świata.

- Po prostu mam już dość walki i zabijania tylko po to, by jakaś gruba ryba mogła się bardziej nachapać. Cholerny Pax America. Co jest pokojowego w wysyłaniu wojsk do każdego zakątka Ziemi, a teraz nawet na ten kawałek skały wiszący w kosmosie?

- Wydawało mi się, że nie narzekałeś na warunki zamieszkania w tym kompleksie - drażniła go Reynolds.

- Nie mam nic do tych pokoi. Nie podoba mi się tylko miejsce, w którym się znajdują.

- Nie ten sektor?

- Nie ta planeta, satelita czy jak to zwać. To paskudne miejsce, Vic. Nie ma tu żadnego życia. Znaczący na zewnątrz. Księżyc jest martwy. Całkowicie martwy.

- I dobrze. Wolałbyś, żeby przed wjazdem waszego laboratorium stał teraz batalion wrogo nastawionej zmechanizowanej piechoty?

- Bardzo zabawne. - Stark poczuł zimny dreszcz mimo bardzo przyjemnej temperatury, jaką termostaty utrzymywały we wnętrzu jego zbroi. - Przecież tu nie ma nawet źdźbła trawy, Vic. Tylko kamienie.

- Wydawało mi się, że nie cierpisz trawy, aczkolwiek chyba nigdy nie powiedziałeś dlaczego.

- Nie lubię zielska, ale jeszcze bardziej nienawidzę martwego krajobrazu. - Ethan poczuł kolejny dreszcz. - Mimo że to naprawdę wielka odmiana, wcale nie czuję się lepiej. No wiesz, chodzi mi o Ziemię, a zwłaszcza o naszą ostatnią operację. Nie podobało mi się tam, ale tutaj jest jeszcze gorzej.

\* \* \*

Pięć miesięcy wcześniej wyruszyli na misję pokojową, która zawiodła ich na pewną wyspę. Jej mieszkańcy nie okazywali wdzięczności obcym starającym się powstrzymać ich przed wzajemnym wyrzynaniem. Miejsce to porastała tak gęsta roślinność, że trzeba było wycinać sobie przez nią drogę, mając nadzieję, iż nie trafi się na żadne jadowite stworzenie żyjące w tej zacienionej płataninie. Przy takiej obfitości form życia śmierć nawet całkiem

pokażnej masy istot nie czyniła żadnej różnicy dla ekosystemu.

- Zaszłości potrafią być niezłym jarmem - zauważył Mendoza, bo ta wyspa miała tak pokręconą historię, że trudno było na niej zachować zdrowy rozsądek.

Tubylcy byli teraz zgodni wyłącznie co do tego, że trzeba się wziąć wspólnie za tych, którzy nie pozwalają na zabijanie sąsiadów. Zwłaszcza że tak zwani strażnicy pokoju przybyli tam wyłącznie po to, by wynajęte przez przekupny rząd kompanie naftowe miały święty spokój podczas eksploatacji bogatych złóż ropy naftowej - surowca, który stał się niezwykle rzadki i cenny już w początkach dwudziestego pierwszego wieku.

To była paskudna misja: nieustanne wypatrywanie pułapek podczas patrolowania gęstej dżungli i wieczny niepokój, czy następna bomba nie zostanie podrzuczona do twojej latryny. Samopoczucia nie poprawiał też fakt, że na wyspie - jak chyba wszędzie w strefie tropikalnej - pełno było starej, ale wciąż śmiertelnie niebezpiecznej broni palnej stanowiącej ostatni relikw z zimnej wojny. Stark i jego ludzie przywykli wprawdzie do takiego stanu rzeczy, ale w niczym nie ułatwiała im to roboty.

- Zawsze mi się wydawało, że M-16 to straszny złom, który bez przerwy się zacina - zwierzył się kiedyś Vic.

- Bo to prawda - przyznała. - I co z tego?

- Wyłumacz mi w takim razie, jakim cudem tubylcy zachowali tyle w pełni sprawnych egzemplarzy, aby nas nieustannie ostrzeliwać?

- To proste - odparła ze śmiechem. - Sprzedaliśmy wszystkie dobre egzemplarze innym krajom. I pewnie zarobiliśmy na tym wiadra pieniędzy. A tak przy okazji, jak tam u ciebie z amunicją?

- Kiepsko.

Technicznie biorąc, kraj korzystający z obecności wojsk pokojowych powinien łożyć na ich utrzymanie, ale to wymagało przynajmniej jednego funkcjonującego sprawnie ośrodka władzy, który by dopilnował, aby większość przeznaczonych na ten cel pieniędzy nie trafiała na trudne do namierzenia konta w zagranicznych bankach. W tym przypadku ocalone kwoty przewidziane na zakup amunicji były tak niskie, że cięto niemal każde spływające zamówienie.

- To operacja pokojowa, nie wojna - pouczał ich przysłany z Ameryki oficer. - Nie potrzebujecie dużej ilości amunicji. Strzelając, prowokujecie tylko kolejne wrogie zachowania wobec was.

Stark wbił wzrok w ziemię. Podobne odprawy były nieodłączną częścią wojny, na równi z pociskami i żelaznymi racjami. Ta jednak, nazwana dla niepoznaki „Pokój 101”,

miała wyjaśnić im niezwykle ważne zasady walki. Ethan lubił mieć jasność sytuacji i wiedzieć, kiedy wolno mu odpowiadać ogniem biednej „spacyfikowanej” ludności tubylczej, która w rzeczywistości dysponowała ciężką bronią i była wyjątkowo wrogo nastawiona.

- Jeśli zostaniecie ostrzelani - pouczone ich - będzie to oznaczało, że ktoś chce sprowokować ostrą odpowiedź, która zdyskredytuje naszą misję w oczach międzynarodowej opinii publicznej. Dlatego powtarzam raz jeszcze: nie wolno wam odpowiadać ogniem do momentu bezpośredniego zagrożenia życia.

Trzeba było dłuższej chwili, by przelknęli tę informację. Potem Stark uniósł rękę. Na jego twarzy malował się upór.

- Chce pan powiedzieć, że jeśli ktoś będzie do nas strzelał, ale nie trafi, mamy go ignorować i czekać, aż któryś z naszych ludzi zostanie ranny albo zabity?

- Zgadza się.

- No dobrze, a jeśli zabiją mnie w zasadzce, mogę bryzgać krwią w kierunku moich oprawców? Czy raczej powinienem zginąć dyskretnie, aby nie urazić w żaden sposób uczuć kogoś z miejscowych?

- Niczego nie zrozumieliście z mojego wykładu - oświadczył oficer z wyraźną irytacją w głosie. - Nie zginiecie, sierżancie. To misja pokojowa.

W tym momencie rękę podniósł jeden z żołnierzy pierwszej drużyny.

- Skoro tak, do czego my tu jesteśmy potrzebni?

Kapitan Disrali, ówczesny dowódca kompanii, zerwał się z krzesła, odwrócił i długo spoglądał na swoich podwładnych z marsową miną.

- Koniec pytań! I komentarzy. Dotyczy to was wszystkich. Wysłuchajcie do końca tej cholerniej odprawy. - Usiadł, odwracając się plecami do kompanii.

Stark pochylił się do Reynolds.

- Idę o zakład, że on nie poprowadzi żadnego z patroli - wyszeptał.

- Nie wiedziałby nawet, jak to się robi - odparła równie cicho. - Przyjechał tutaj, żeby odwalić staż na polu walki, przypiąć sobie Brązową Gwiazdę, na którą na pewno nie zasłuży, i dochrapać się stopnia majora.

- Oby nie włożył nam w paradę. Dość mamy problemów z tą misją bez przeszkód ze strony własnego dowództwa.

Vic skinęła głową.

- Skoro mowa o przeszkodach, zauważyłeś ograniczniki, jakie zamontowano na naszej broni?

- Owszem. Pozwalają na wystrzelanie jednego magazynka tygodniowo. Ani jednego



naboju więcej.

- Naboje kosztują...

- Tak samo jak bandaż i worki na zwłoki. Korporacje ograbiające ten żalony kawał gnijącej dżungli, zwanej przez miejscowych wyspą, koszą tutaj taką kasiorę, że mogłyby bez problemu zrzucić się na dodatkową amunicję. Ja już zrobiłem sobie obejście ogranicznika, więc moglibyśmy strzelać cały tydzień na okrągło, gdyby zaszła taka potrzeba. Kapral z drużyny Sancheza zhakował wczoraj to ustrojstwo. Wgrać ci tę wersję oprogramowania?

- Jasne. - Victoria zachichotała. - Dzięki. Czy ty kiedykolwiek kierujesz się regulaminem?

- Tylko wtedy, gdy widzę w tym sens.

- Czyli niezbyt często?

Jedynym gorszym zajęciem od takich nasiadówek były patrole w terenie, gdzie naniesione na mapę miejscowości można było poznać wyłącznie po wypalonych do fundamentów ruinach i nieodłącznych grobach. Rurociągi wysadzano z taką regularnością, że kwatera główna wydrukowała specjalny formularz, na którym raportowało się rozmiary zniszczeń. Po każdym z takich incydentów kompanie naftowe zgłaszały zapotrzebowanie na większą liczbę żołnierzy, nalegając, aby ustawić ich wzdłuż wszystkich nitek, najlepiej co dwa metry. Sztab opierał się przed spełnieniem tych żądań, jednakże nie wynikało to bynajmniej ze zdrowego rozsądku dowódców, tylko z faktu, że nie dysponowali wystarczającą liczbą żołnierzy, aby móc spełnić tak idiotyczną zachciankę.

Stark patrolował dwa razy większy teren niż inne drużyny, starając się zawsze tak rozśrodkować swoich ludzi, by nie stanowili kuszącego celu, a zarazem znajdowali się na tyle blisko, by w razie ataku przeciwnik nie mógł ich wyłuskać pojedynczo w gęstwinie.

- Murphy, ty beużyteczna karykatura żołnierza, jeszcze raz zostaniesz z tyłu, a oszczędzę problemów miejscowym i osobiście cię zastrzelę.

- Chyba obtarłem sobie nogę, sierzancie - poskarżył się szeregowiec.

- Mam zadzwonić po twoją matkę, żeby niańczyła cię do końca patrolu? Dołącz do reszty drużyny! - Stark sprawdził pozycje pozostałych ludzi na wyświetlaczu HUD-a i w geście bezsilnej złości walnął pięścią w bok hełmu, gdy obraz po raz kolejny zamarł. Brutalna, ale skuteczna metoda naprawy sprzętu polowego zadziałała, ikonki zamrugały i po chwili pojawiły się aktualne odczyty. - Billings! Mówiłem ci, że masz iść podczas tego patrolu na prawej flance. Nie wspominałem nic o marszu na plażę znajdującą się sześć kilometrów od cholernej trasy. Dołącz do reszty oddziału.

- Sierzancie? - wywołał go Desoto. - Mam przerwy w odczytach i zakłócenia w

łącności z pozostałymi członkami drużyny. Czy pan mnie odbiera?

- Tak. Tym razem cię słyszę, Pablo.

Idący na czele kapral miał powody do obaw. Wydawać się mogło, że ciężkie wilgotne liście wyrosły tu tylko po to, by blokować sygnały, dzięki którym drużyna stanowiła doskonale zgraną jedność. Patrowanie terenu było przez to jeszcze trudniejsze niż zwykle, nie wspominając o histerii w szeregach oficerów dekujących się na tyłach, którzy pragnęli liznąć choć odrobinę klimatu pola bitwy i obserwowali każdą potyczkę dzięki kamerom zamontowanym na hełmach walczących żołnierzy.

Z gęstwiny dobiegło głucho stęknienie. Stark natychmiast padł na miękkie poszycie z liści oraz błota. Od razu zaczął sprawdzać, czy nie ma ofiar. Przed osłoną wizjera hełmu miał kępkę ostrej trawy. Widząc ją, przypomniał sobie o wydarzeniu z odległej przeszłości i poczuł, że po policzku zaczyna mu ściekać kropelka potu. Wyciągnął rękę, by zmiażdżyć roślinę opancerzoną dłonią. Wcierał ją w blokco mocnymi ruchami nawet wtedy, gdy nawiązywał łączność ze swoją drużyną.

- Co to było? Czy ktoś oberwał? - Z głośników nie dobiegał żaden dźwięk, a obraz na wyświetlaczu znowu zamarł, co oznaczało, że stracił wszelką łączność z resztą oddziału. - Szlag by to. - Wstał, by mimo grożącego niebezpieczeństwa znaleźć zasięg. Za drugim razem uzyskał odpowiedź na swoje wezwanie.

- Mina przeciwpiechotna - wypluła z siebie Gomez. - Zerwałam linkę przywiązaną do zapalnika.

- Odniosłaś jakieś obrażenia?

- Zranili tylko moją dumę. Roślinność przyjęła impet wybuchu. Przynajmniej raz przydała się do czegoś sensownego, chociaż capi tu teraz, że hej.

- Sierżancie! - zawołała Carter. - Mam tu następną. Zauważyłam linkę zwalniającą, kiedy padłam po wybuchu spowodowanym przez Gomez.

- Już o tym melduję. - Ethan zmienił kanał. - Tutaj trzecia drużyna drugiego plutonu. Kompania Bravo. Trafiliśmy na pole minowe.

- Potwierdzam. - Oficer z kwatery głównej nie był podekscytowany meldunkiem, i nic dziwnego, zważywszy na zatrzęsienie min zakopanych na wyspie. - Kontynuujcie patrol.

- Ktoś musi najpierw oczyścić trasę, nasz sprzęt saperski został wypożyczony pierwszemu batalionowi.

- Pamiętam. - Oficer powiedział to takim tonem, jakby zapomniał, ale za cholere nie chciał się do tego przyznać. - Zagrożenie ze strony min w tym sektorze jest określane jako minimalne. Kontynuujcie patrol.

Czasami trudno było powiedzieć, kto bardziej starał się ich zabić: wróg czy dowództwo.

- Proszę o anulowanie rozkazu patrolowania do momentu oczyszczenia terenu z min - upierał się Stark.

- Odmawiam. Mamy zbyt niskie statystyki zakończonych patroli. Wykonać zadanie.

- Co powiedzieli, sierżancie? - zapytał Desoto.

- Mówią, że mamy iść dalej - odparł Ethan. *Żeby te cholerne obszcymury mogły sobie poprawić statystyki.* - Okay, wygląda na to, że nie trafiliśmy na pułapkę, skoro nikt nie otworzył do nas jeszcze ognia. Ustawić się w rzędzie i posuwać naprzód z największą ostrożnością.

Oczyszczenie drogi z min zajęło im wiele czasu. Wyszukiwanie w splątanej gęstwinie linek zagrzebanych na wysokości kostek nie należało do łatwych zadań. Zanim zdołali dotrzeć do najdalszego punktu wyznaczonej trasy, czyli wioski - która musiała być całkiem miłym miejscem dla oka, zanim została zamieniona w kupę wypalonych ruin - zrobiło się tak późne popołudnie, że ponure twarze kilku ocalałych cudem mieszkańców tonęły w półmroku.

Dowlekli się do obozu po zmierzchu, nie czując prawie nóg. Byli tak wykończeni, że nie przejmowali się nawet snajperami, którzy lubili zapolować od czasu do czasu na ruchome cele za zasiekami.

- Spóźniliście się - zauważył czekający na nich oficer, klepiąc dłonią po noszonym na udzie tablecie. - Trzymanie się harmonogramów jest najważniejsze, sierżancie. Chodzenie w dżungli po zmierzchu grozi wieloma niebezpieczeństwami.

- Podobnie jak bieganie po polach minowych - odparł Stark z pełnym spokojem.

Oficer pokręcił głową.

- Na trasie waszego patrolu nie było żadnych min. Sprawdziłem to dzisiaj rano w najnowszych doniesieniach wywiadu.

Stojący za Ethanem żołnierze zaczęli warczeć jak stado rozwścieczonych psów, niektórzy wykonywali też nieprzyzwoite gesty. Oficer wycofał się w takim pośpiechu, że widać było wyraźnie, iż nie lekceważył grożącego mu niebezpieczeństwa. Stark po jego odejściu odwrócił się do swoich ludzi.

- Zastrzelę drania, jeśli zobaczę go kiedyś na polu walki - burknęła Gomez.

- Nie chcę tego słyszeć - uciszył ją Ethan. - Wracajcie na kwatery i sprawdźcie wyposażenie. Jutro możemy otrzymać kolejny przydział, więc wolałbym, aby nikt z was nie odpadł z powodu usterki zbroi. - Zignorował ich rytualne jęki i ruszył prosto do swojego namiotu, przed którym zastał czekającą Reynolds. - Cześć, Vic.

- Cześć, Ethan. Długi patrol mieliście.

- Można tak powiedzieć - przyznał z ponurą miną, rozpinając wtyczki zbroi bardzo ostrożnie pomimo wściekłości, jaka go przepełniała. - Wrócilibyśmy szybciej, gdybym miał gdzieś, ilu ludzi stracę po drodze. Czemu zawdzięczam twoją wizytę?

Vic uniosła znacząco brew.

- Mam dobrą i złą wiadomość...

- Zaczynij od dobrej.

- Opuszczamy wyspę.

- Alleluja! Dokąd nas wysyłają?

- I to jest właśnie ta zła wiadomość.

- Nie możemy trafić gorzej! Nie znam miejsca paskudniejszego od tej dziury.

- Doprawdy?...

Stark przyglądał się kobiecie rozpartej wygodnie w fotelu i patrzącej przez wąskie okno na atramentowo czarne niebo.

Po dłuższej chwili Victoria dopowiedziała:

- Na razie to ściśle tajna informacja.

- Oczywiście. Gadaj, co wiesz.

- Dostaliśmy rozkaz, aby ściągnąć wszystkie w pełni sprawne zbroje bojowe, które nie tylko wytrzymają ataki elektroniczne i gazowe, ale są na tyle szczelne, by nadawać się do działania w próżni. Systemy podtrzymywania życia zostaną w nich uaktualnione do tego stopnia, by mogły wytrzymać w pełnej gotowości przez cały okres trwania patrolu. Przekalibrowujemy właśnie wszystkie symulatory, żeby imitowały jedną szóstą przyciągania ziemskiego. Co te wszystkie przygotowania mogą oznaczać?

Stark tylko się na nią gapił.

- Że lecimy w naprawdę paskudne miejsce. - Jego myśli skupiły się na jednym z wymienionych przez Vic szczegółów. - Jedna szóstą ziemskiej grawitacji. Udajemy się na inną planetę?

- Nie polecimy aż tak daleko - poprawiła go Reynolds. - W okolicy mamy tylko jedno ciało niebieskie, na którym panują podobne warunki. Nazywamy je Księżycem.

- Księżyc?! - wybuchnął Stark. - Co takiego znajduje się na Księżycu?

- Niedługo my się tam znajdziemy. Ty i ja.

Przewidywania Vic sprawdziły się co do joty. Ostatnimi czasy większość jednostek wchodzących w skład pierwszej dywizji była rozsiana po całym świecie. Część pełniła misje pokojowe, inne brały czynny udział w odrażających wojenkach toczonych na terytoriach

zapyziałych kraików. Niektóre zostały wynajęte przez szanujące się demokracje do wykonania za nie brudnej roboty, oczywiście w zamian za zasilenie wiecznie niedopinającego się budżetu armii. Teraz jednak zebrano je wszystkie ponownie, by przeszły pełny cykl szkolenia przed wykonaniem misji określanej jako ściśle tajna, mimo że jej cel z każdym dniem stawał się coraz szerzej znany.

- Sierzancie - zapytał Desoto po którejś sesji wyczerpującego treningu - czy na Księżycu naprawdę panują takie warunki?

- A skąd ja mam to wiedzieć? Poza tym skąd ci przyszło do głowy, że chodzi o Księżyc?

Kapral wyszczerzył zęby.

- Mam kuzyna w sekcji wywiadu. Siedzi tam i bez przerwy ogląda dzienniki wizyjne. Cały świat już wie, do czego się przygotowujemy. Nie sposób przecież ukryć budowy i umieszczania na orbicie transportowców, nie mówiąc już o tym, co się dzieje tutaj. Ludzie mają jednak nadzieję, że to tylko bluff, dzięki któremu chcemy uzyskać spełnienie naszych żądań. No i że chcemy dać zarobić korporacjom zajmującym się konstrukcjami kosmicznymi.

- To ostatnie jest przynajmniej wiarygodne. Kontrakty dla armii zawsze uwzględniają najpierw interes oferentów, a dopiero w drugiej kolejności nasz własny.

- Racja - przyznał Desoto. - Niemniej żaden rząd nie wierzy, że naprawdę wyruszymy na podbój Księżyca.

- Mówiąc szczerze, sam mam problem z uwierzeniem w taki rozwój sytuacji. Twój kuzyn powiedział, po jaką cholerę tam się pchamy?

- Powiada, że na Księżycu są całe góry szmalu.

- Mów mi tak dalej. Może uszczkniemy z tych gór kilka dolców, jak już tam dolecimy.

- Poważnie mówię - upierał się kapral. - Przecież wie pan, że wysyłają nas zawsze tam, gdzie chodzi o jakieś... kwestie ekonomiczne.

- Chciałeś powiedzieć - sprostował obojętnym tonem Stark - że do tej pory musieliśmy chronić źródła dochodu dla kilku wypchanych forsą ważniaków, żeby mogli je spokojnie osuszać, nie mając zagranicznej konkurencji na karku.

- Zgadza się. A teraz ci sami ludzie chcą sięgnąć po Księżyc. Po kryzysie z początku tysiąclecia mamy już prawie wszystko. Pax Americana, nie? To z jego powodu pozostali zaczęli latać na Księżyc. Tylko tam mogą wydobywać surowce, które nie należą do nas. Tak mówi mój kuzyn.

- I pewnie się nie myli.

- Więc pan sierżant uważa, że naprawdę polecimy na Księżyc?

- Pozwól, że dam ci dobrą radę, Pablo. Jesteś w wojsku już tak długo, że sam powinienesz wiedzieć, iż tak naprawdę nigdy nie mamy pewności, gdzie nas poślą, dopóki tam się nie znajdziemy.

- Ta operacja cholernie drogo kosztuje, więc chyba sztab traktuje ją serio. Ciekaw jestem, skąd armia wytrzasnęła taką masę pieniędzy? - dopytywał się Desoto.

- Jeszcze jedna dobra rada, Pablo. Nie zadawaj pytań, na które nie chcesz poznać odpowiedzi.

Pod koniec przygotowań znowu zaczęły się odprawy. Armia zainwestowała krocie w sprzęt wideokonferencyjny najnowszej generacji zdolny do równoczesnego połączenia wszystkich żołnierzy z każdego pola bitwy, aby mogli dzielić się każdym bitem informacji, a mimo to wciąż upierała się przy gromadzeniu sporej liczby ludzi w ciasnych i dusznych pomieszczeniach i zmuszała ich do słuchania przydługich nudnych przemówień, podczas których otrzymywali wyłącznie strzępy potrzebnej im wiedzy. Stark przedzemał wykłady dotyczące najnowszych zasad pola walki, prawa wojennego, jednolitego kodeksu sądów wojskowych, traktowania ludności cywilnej oraz zmian w regulaminie. Tak samo potraktował najnowsze doniesienia z frontu walki z chorobami wenerycznymi. Tego dnia jednak stanął przed nimi sam dowódca batalionu, pułkownik Danzel. Podwładni widywali go na tyle rzadko, że każde spotkanie z nim budziło takie zainteresowanie jak obserwacja wybuchu supernowej. A teraz stał przed nimi jakby nigdy nic, prezentując szeroki uśmiech na nalanej twarzy.

- Dobry wieczór wszystkim. Przeszliście naprawdę ciężkie szkolenie. Chciałbym wam więc przekazać, że jesteśmy niezwykle dumni z wyników, jakie osiągnęliście. Dotyczy to zwłaszcza inspekcji umundurowania. Prezentujecie się bosko w kombinezonach wyjściowych. Naprawdę niesamowicie. Koszary także wyglądają nienagannie. Ktoś wykonał kawał solidnej roboty, polerując na wysoki połysk wszystkie podłogi. Dobra robota, że tak powiem... - Danzel przeniósł ciężar z nogi na nogę, podrapał się po nosie, a na koniec pokiwał głową, jakby przyjmował do wiadomości czyjąś uwagę. - Są jakieś pytania?

Czyjaś dłoń wystrzeliła w górę. Stark natychmiast zapuścił żurawia; chciał zobaczyć, kto okazał się na tyle głupi, by wziąć pytanie pułkownika na serio. *Pewnie któryś z kotów*, uznał.

Pułkownik także zgłupiał na ten widok, ale zaraz wyciągnął rękę w stronę pytającego.

- Tak?

Szeregowiec wstał, oblizując spierzchnięte wargi.

- W czasie ostatniego wyczerpującego szkolenia bardzo często psuł się nam sprzęt -

powiedział.

Danzel skrzywił się.

- To nie zabrzmiało jak pytanie.

Szeregowiec przełknął głośno ślinę i spróbował raz jeszcze.

- Chodziło mi o to, że nie możemy polegać na tym sprzęcie. Czy dostaniemy nowe skafandry przed czekającą nas bitwą? A może ktoś zajmie się ich porządną naprawą?

Mina pułkownika stała się jeszcze poważniejsza i chmurniejsza.

- Zdaję sobie sprawę z plotek, które krążą na temat zawodności zbroi bojowej model IV. To najdoskonalszy sprzęt, jaki kiedykolwiek trafił w ręce żołnierzy. Nie ma żadnych, powtarzam, żadnych problemów z waszymi zbrojami. Zarejestrowaliśmy jedynie kilka drobnych usterek w mniej istotnych podsystemach. To wszystko.

Akurat, pomyślał nie bez ironii Stark. Awarie dotyczą tak nieistotnych podsystemów, jak kontrola temperatury albo dozowanie tlenu. Nie ma się czym przejmować.

Szeregowiec usiadł bardzo szybko, co mogło sugerować, że w końcu pojął swój błąd. Zamiast niego wstał jednak któryś z kaprali, na jego twarzy widać było determinację.

- Z całym szacunkiem, panie pułkowniku, wiemy, co potrafi zbroja model IV, pod warunkiem że jest w pełni sprawna, problem jednak w tym, że mamy się udać na powierzchnię Księżyca, a w tak wrogim środowisku, gdzie nie występuje tlen, trudno mówić o „drobnych usterekach”.

Zachmurzenie na twarzy dowódcy przeszło w najprawdziwszą burzę.

- Wydawało mi się, że cel naszej misji jest ściśle tajny i nie został jeszcze oficjalnie ogłoszony. Nie mam zamiaru komentować niesprawdzonych plotek na temat naszych przyszłych działań.

Kapral zawahał się, twarz mu zapłonęła, ale nie odezwał się więcej i usiadł na miejscu. Pułkownik spojrzał na żołnierzy spode łba. - Jeszcze jakieś pytania?

Gdy niezręczna cisza zaczęła się przedłużać, z krzesła zerwała się major O’Kane pełniący obowiązki zastępcy dowódcy batalionu.

- Na co czekacie? To jedyna okazja, żeby otrzymać odpowiedź na dręczące was pytania. - Ona chyba naprawdę liczyła na to, że chłopcy zaczną skarżyć się przełożonemu, który właśnie pokazał, że zlewa problemy żołnierzy ciepłym moczem, i była mocno zdziwiona, że nie ma chętnych do kontynuowania tej farsy. - To by chyba było tyle, pułkowniku - dodała z zawiedzioną miną.

- Świetnie. - Danzel nie podzielał jej zatroskania. - Zatem dobrze. Trzymajcie poziom.

- Zszedł z podium, zanim O’Kane zdążyła wrzasnąć: „bacność” i cały batalion zerwał się na

równe nogi, odpowiadając wyuczoną na pamięć postawą.

- Co to miało być? - zrzędził Murphy, przekrzykując harmider, jaki zapanował na sali po pośpiesznym wyjściu przełożonych.

- Zdaje się, że chcieli poprawić nasze morale - odpowiedziała mu Carter. - Czujesz się lepiej?

- Akurat. Zapieprzałem podczas szkoleń, aż mi pot po dupie ściekał, a nasz pułkownik zauważył jedynie, jak pięknie lśnią podłogi w koszarach. Sierżancie, dlaczego nie powiedzą nam w końcu, jaki jest cel tej operacji?

Stark zmierzył go ostrym spojrzeniem.

- Co ja jestem, szczekaczka pułkownika? Dlaczego sam go o to nie zapytałeś?

- U licha, sierżancie, aż taki głupi nie jestem.

Dalszą dyskusję uciał komunikat dobiegający z megafonów.

- Wszyscy dowódcy drużyn zgłoszą się u swoich przełożonych. Natychmiast. Vic i Stark wymienili znaczące spojrzenia, moment później dołączył do nich Sanchez i razem, bez jednego słowa komentarza, skierowali się do gabinetu kapitan Ringon, aktualnego dowódcy kompanii. Po drodze dołączyły do nich jeszcze dwie trójki sierżantów: Halstead, Dwa Noże i Podesta z pierwszego plutonu oraz Greeley, Singh i Rosinski z trzeciego.

Ringon zmierzyła wzrokiem całą dziewiątkę, gdy wyprężyli się przepisowo przed jej biurkiem, patrząc obojętnie w przestrzeń przed sobą.

- Pułkownik jest bardzo zniesmaczony nieprzystojnym zachowaniem podczas jego przemowy... - Kapitan zawiesiła głos, przenosząc spojrzenie z twarzy na twarz.

- Proszę o pozwolenie na zadanie pytania - odezwał się bezbarwnym tonem Podesta.

- Udzielam pozwolenia.

- O jakim nieprzystojnym zachowaniu mówił pułkownik?

Twarz Ringon zapłonęła z gniewu.

- Już wy doskonale wiecie, o jakim zachowaniu mowa. Chodziło o pytania z sali!

- Żaden z pytających nie należał do naszej jednostki - zaprotestował Podesta.

- Poza tym pułkownik sam zachęcał do zadawania pytań - dodał Stark, skupiając na sobie uwagę przełożonej.

- To nie ma żadnego związku z omawianą sprawą! Menadżerowie średniego szczebla nie wspierają należycie swoich przełożonych, sierżancie Stark.

- Nie jestem menadżerem - odburknął Ethan - tylko dowódcą pododdziału.

- Jesteście tym, kim ja wam każę być! Oczekuję, że sytuacja z dzisiejszego popołudnia nie powtórzy się już nigdy. Czy to jasne? - Ringon zamilkła tylko na sekundę, a potem



dodała: - To wszystko. Możecie odejść. Wszyscy prócz sierżanta Starka. Porozmawiamy na osobności.

Pozostali podoficerowie opuścili biuro, zamykając za sobą drzwi. Ethan został na swoim miejscu, stojąc przepisowo na baczność z kamienną miną. Ringon uniosła rękę i pogroziła mu złowieszczo palcem.

- Słyszałam o was, Stark. Mówiono mi, że sprawiacie problemy. Podobno nie lubicie, gdy wydaje się wam rozkazy. - Słuchał jej, milcząc. - I co wy na to?

- Wykonuję wydane mi rozkazy - odparł beznamiętnym tonem.

- Ale potem je kwestionujecie!

- Ja tylko wyrażam opinię. W prywatnym gronie.

Twarz Ringon zrobiła się jeszcze bardziej sina.

- Nie ma czegoś takiego jak prywatne grono, Stark! Jesteście sierżantem. Nie macie prawa wyrażać opinii... - zamilkła, czekając na odpowiedź.

- Tajest.

- Macie robić, co wam każemy. I to niezwłocznie.

- Tajest.

- I trzymać gębę na kłódkę.

- Tajest.

Sfrustrowana Ringon obserwowała go jeszcze przez chwilę, wreszcie wskazała ręką drzwi.

- To wszystko. I żebyś nie słyszała już żadnej skargi z ust nowego dowódcy plutonu.

- Tajest.

Stark zaszalutował przepisowo i nie odrywał dłoni od czoła, dopóki kapitan Ringon nie zmusiła się do szybkiego machnięcia ręką. Dopiero wtedy obrócił się na pięcie i opuścił jej biuro. Za drzwiami trafił od razu na czekającą na niego, jak zwykle nieporuszoną, Vic Reynolds.

- Możemy wrócić razem? - zapytała.

- Nie ma sprawy. - Szli przez chwilę szpalerem oznaczonych insygniami identycznych drzwi, które wyglądały jak pozbawieni twarzy żołnierze. - Słyszałaś, o co poszło?

- Każde słowo.

- I co o tym myślisz?

- Wydaje mi się, że jesteś najbardziej kłamiwym sukinsynem, jakiego znam. Żadne z twoich „tajest” nic nie znaczyło.

- Bo nie miało znaczyć. Ja tylko potwierdzałem przyjęcie do wiadomości jej słów, nie

zgadzając się z ich treścią.

- Ethan, nie możesz naginać regulaminu w taki sposób. Prędzej czy później któryś z oficerów ukarze cię za to.

- Ale na pewno nie będzie to żadna z tych ciot, które teraz mamy na karku. Poza tym muszę chronić moich podwładnych.

- Masz prowadzić swoich ludzi do walki. Po to tutaj jesteśmy: żeby walczyć w wojnach bez względu na to, za jak wartościowych ludzi się uważamy.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Ale wiem też, że wojny można prowadzić na więcej niż jeden sposób, i zamierzam walczyć najskuteczniej, jak tylko potrafię.

- Całkiem słusznie. W kompanii do tej pory wspomina się numer, który wyciąłeś na Bliskim Wschodzie.

- Numer? - zdziwił się Stark. - Daj spokój, jakiś major, który nawet na moment nie wychylił głowy z bunkra, kazał nam przeprowadzić frontalne natarcie na wroga kryjącego się w umocnieniach wykutych wewnątrz jakiejś pieprzonej góry.

- Nie zapominaj, że tenże major otrzymał takie polecenie od pułkownika, a ten z kolei od któregoś z generałów.

- A co to ma do rzeczy? Gdybym przypuścił frontalny atak, straciłbym połowę drużyny, a i tak nie zdołalibyśmy zdobyć tych umocnień. - I dlatego wymyśliłeś tajemnicze przerwy w łączności pozwalające ci na zaatakowanie sąsiedniego wzgórza, jego zajęcie i obejście wspomnianej góry bokiem, dzięki czemu mogłeś ostrzeliwać kwaterę główną nieprzyjaciela, wywołując panikę wśród pracujących tam oficerów i zmuszając ich do wycofania jednostek z wykutych sztolni, aby pomogły odeprzeć twój atak.

- Zgadza się - przyznał Stark. - Rozpieprzyliśmy ich w drobny mak, a potem wspięliśmy się na ten cholerny szczyt i zatknęliśmy na nim naszą flagę. Rozkaz został wykonany, więc w czym problem?

- Może w tym, że chwilę później zakłócenia w komunikacji cudownym sposobem zniknęły. Przyznasz, że technicy do dzisiaj nie wiedzą, dlaczego twoja drużyna przez całą godzinę nie była w stanie odbierać przychodzących transmisji.

Ethan wzruszył ramionami.

- Takie... zbiegi okoliczności czasami się zdarzają. Przecież wiesz.

- Mhm. A jak wytłumaczysz niezastosowanie się do ostatnich wytycznych z taka?

- Wydawało mi się, że tuż przed utratą łączności usłyszałem w komunikatorze komunikat o unieważnieniu poprzedniego zestawu rozkazów. Sama wiesz najlepiej, jak nasze komputery taktyczne zwalniają, kiedy trafiamy w strefę zagłuszania sygnału, nie mówiąc już

o zatorach powodowanych przez szum informacyjny.

Pokiwała głową, jakby uważała jego wyjaśnienia za sensowne.

- A co robił dowódca plutonu podczas trwania tej akcji?

- Wykrwawiał się na śmierć - odparł Ethan z kwaśną miną. - Próbował poprowadzić pierwszą drużynę prosto na umocnienia, jak mu nakazywały zapisy z taka. Szkoda człowieka. On jeden czasami słuchał, kiedy dawaliśmy mu dobre rady. Niestety, miał też w zwyczaju wykonywać każdy rozkaz, jaki wydawali mu przełożeni. I to co do joty. Realizowanie wszystkich zapisów z komputera taktycznego to dzisiaj chyba jedyny sposób na awans. A on bardzo chciał się dochrapać stopnia kapitana.

- Tak bardzo, że dał się zabić. Powiedz mi, jako osobie, która dołączyła do jednostki już po tych wydarzeniach, dlaczego nie trafiłeś pod sąd polowy za niesubordynację?

- Może dlatego, że wygraliśmy? A to oznaczało, że nasz generał jest pieprzonym geniuszem strategicznym. Przełożeni byli tak zajęci odbieraniem pochwał za błyskotliwe zaplanowanie akcji, że nie mieli czasu mnie oskarżać o spowodowanie przerw w łączności. Sama rozumiesz... jak mogliby przyjąć medale za zwycięstwo w tym pieprzonym starciu, gdyby okazało się, że to nie oni zaplanowali moje działania?

- Rozumiem. Sierzancie Stark, jesteście przebieglejsi, niż mi się do tej pory wydawało.

- Jestem, a co? - Stark spojrział jej prosto w oczy. - Robię, co trzeba, kiedy muszę. Ale nie knuję niczego za plecami innych.

Vic uniosła dłoń w przepaszającym geście.

- To prawda. Wybacz, jeśli coś takiego zasugerowałam. Niemniej podejmujesz spore ryzyko, nie wykonując rozkazów czy też raczej obchodząc je umiejętnie. Dlaczego to robisz?

- Powiedzmy, że jestem to komuś winien - odparł Ethan, kiwając w zadumie głową. Do siebie albo do niewidzialnych towarzyszy broni. - Tak. Jestem to komuś winien.

Vic przyglądała mu się bacznie jak nowo poznanemu człowiekowi.

- Tak właśnie myślałam. Czasami zachowujesz się, jakbyś toczył prywatną wojnę.

- Może to prawda. - Chcesz o tym pogadać?

- Nie. Nie rozmawiam na ten temat.

- Dlaczego?

Stark spojrział na nią z wyrzutem.

- Jak miałbym wyjaśnić, dlaczego nie chcę rozmawiać na ten temat, bez wdawania się w szczegóły, których nie mam zamiaru ujawniać?

- Teraz mówisz od rzeczy.

- A ty zaczynasz zachowywać się jak baba.

Vic udała osłupienie.

- Widać, że jestem kobietą? A ja głupia miałam nadzieję, że mundur ukryje to przed waszym wzrokiem.

- Przestań pieprzyć, Vic! - Stark zaczął się śmiać wbrew sobie. - Dlaczego przejmujesz się tym, co mogą mi zrobić?

- Nie będę o tym rozmawiać.

Znów zachichotał.

- Zresztą co mi się może stać, skoro mam taką opiekę?

- Wolę o tym nie myśleć. - Uśmiechnęła się złowieszczo. - Skoro mowa o problemach... Wiesz, co wyjdzie, jeśli skrzyżujesz sierżanta Rangersów z małpą?

Ethan przewrócił oczami, z przesadą okazując brak zainteresowania tym żartem.

- Czyżby doszły cię słuchy, że chodziłem kiedyś z pewną panią sierżant sił specjalnych? Dobra, poddaję się, nie wiem. Wal śmiało.

Uśmiech na twarzy Vic poszerzył się znacznie.

- Głupia małpa.

Ethan pochylił głowę, by ukryć mimowolne rozbawienie, a potem spojrział na nią wyniośle i oświadczył:

- Nie słyszałem tego kawału od wielu lat.

Vic zrobiła niewinną minę.

- Chciałam sprawdzić, czy nie masz doświadczeń w tym temacie.

- To niemożliwe. Nie znajdziesz małpy na tyle głupiej, żeby chciała przelecieć kobietę w stopniu sierżanta Rangersów. Tego jestem pewien.

- Daj spokój, Ethan. One są takie słodziutkie. I mają bardzo ponętne ciała.

- A skąd ty to wiesz? Poza tym znają także dziesięć sposobów na zabicie człowieka gołymi rękami, i to tak, żeby się nawet nie spocić. Mogą połamać ci wszystkie kości ot tak, od niechcienia.

Vic znów się uśmiechnęła, tym razem z politowaniem.

- Nie miałeś szczęścia, co?

- Przynajmniej przeżyłem i nadal mam się nieźle. Jak na mój gust to wystarczająco szczęśliwe zakończenie. Okazało się potem, że ona szukała przyjaciela.

- Auć... - Reynolds skrzywiła się. - Nie martw się, Ethan, ja mogę być twoją przyjaciółką.

- Dzięki. Polecisz ze mną na Księżyc?

- Daj mi chwilę na przemyślenie sprawy. Mama zawsze mnie przestrzegała przed facetami w mundurach.

- Sama nosiła mundur - przypomniał jej Stark. - Mówiłaś mi, że dochrapała się stopnia sierżanta. Jeśli dobrze kojarzę, z twoich opowieści wynikało, że ojciec także służył w armii.

- I co z tego? To może oznaczać, że mama wiedziała, co mówi. - Wyraz beztroski zniknął z jej twarzy, gdy pochyliła się w jego kierunku po dokładnym sprawdzeniu, czy ktoś nie zdoła usłyszeć następnych słów. - Zaczęło się. Wylatujemy już jutro.

- Cholera. Skąd ty to wszystko wiesz?

- My dziewczyny mamy swoje sekrety. Jeśli jest ktoś, z kim powinieneś się pożegnać, lepiej zrób to dzisiejszej nocy.

Stark zamyślił się na moment, potem wzruszył ramionami. - Nie. Wszyscy, których chciałbym pożegnać, polecą z nami.

- Zacznij żyć, Ethan.

- Jestem sierżantem, Vic. Odpowiadam za całą drużynę. Oni są moim życiem.

\* \* \*

Czasami to życie nie było wcale takie złe. Na przykład teraz - siedzieli sobie w kompleksie laboratoriów, z których i tak nie potrafiliby korzystać, mając rozkaz, by pod żadnym pozorem nie dotykać zainstalowanego tu sprzętu. Mogli liczyć na kilka tygodni odpoczynku w wrytych w skale podziemnych kwaterach. Stark rzecz jasna dwoił się i troił, by nie zgnuśniali w tym czasie.

- Chen, mógłbym wpakować w ciebie pięć albo i sześć pocisków, zanim opadłbyś na ziemię.

- Myślałem, że odbijam się od warstwy pyłu, a tymczasem trafiłem na litą skałę - poskarżył się Chen, stojąc za głazem o ostrych krawędziach, który musiał brać udział w jakiejś straszliwej kolizji, zanim ugrzązł na Księżycu cholera wie ile stuleci temu.

- Przestań myśleć - rozkazał mu oschłym tonem sierżant. - I nie staraj się zgadywać. Zawsze musisz wiedzieć, co robisz w danej chwili. - Przełączył się na kanał innego żołnierza drużyny, który także usiłował się zakradać, wykorzystując naturalne osłony terenu, czyli pole głazów rozrzuconych opodal wejścia do kompleksu. Na wyświetlaczu w hełmie Ethana jego sylwetkę otaczały grube wiązki potencjalnych linii ostrzału. - Pochyl głowę, Hector!

- Przecież muszę wiedzieć, gdzie idę, sierżancie!

- Nie musisz. Powinieneś znać trasę na pamięć, zanim ruszysz tyłek z miejsca. - Stark przeszedł na kanał ogólny. - Posłuchajcie mnie. Tu jest tak samo jak na Ziemi. Wiecie, jak się poruszać w warunkach bojowych, więc róbcie to jak należy!

- Sierżancie? - wywołała go Gomez. - Poruszanie się w takich warunkach jest naprawdę trudne. Wie pan, jeszcze ani razu nie udało mi się odbić z odpowiednią siłą. Ciężko też uchwycić właściwą perspektywę, bo tu nie ma atmosfery.

- Nie rób sobie ze mnie jaj, Gomez. Zadami ci pytanie, na które odpowiesz na kanale ogólnym, żeby wszyscy słyszeli. W jaki sposób możesz poprawić swoje wyniki?

- No... ćwicząc ostro, sierżancie?

- Bardzo dobrze. A teraz zgadnij, co będziecie robić, dopóki nie opanujecie w pełni poruszania się w tym środowisku.

- Rozumiem, sierżancie - powiedziała, aczkolwiek bez wielkiego entuzjazmu. Reszta drużyny potwierdziła jej słowa serią niewyraźnych pomruków.

- Dobra. Przechodzimy do kolejnego etapu szkolenia... natarcie, a potem odwrót. Jeśli opanujecie jedno i drugie w zadowalającym stopniu, pozwolę wam na chwilę wytchnienia.

Dwie godziny później wciąż się mozolili, próbując opanować trudną sztukę sprawnego poruszania się w całkowicie obcym środowisku - zarówno dla nich, jak i dla sprzętu. W końcu Desoto podszedł do Ethana i wskazał głową na widoczne na ekranach postacie ćwiczących.

- Dają z siebie wszystko, sierżancie.

- Wiem. Ale wciąż nie opanowali sztuki kamuflażu. Muszą się bardziej starać.

- Są już zmęczeni, sierżancie.

- Wolałbyś, aby byli martwi? - Stark podniósł głos, kierując kolejne pytanie do całej drużyny. - Czy ktoś ma jakieś sugestie albo skargi? - Żołnierze spojrzeli po sobie, ale zachowali milczenie. - No dalej. Słucham.

Murphy posłał mu wyzywające spojrzenie.

- Inne drużyny nie przechodzą tak ostrego szkolenia, sierżancie. Przeszły zwyczajową musztrę, ale teraz nie muszą już harować jak my.

- Inne drużyny, powiadasz? - zapytał Ethan. - Którą z nich miałeś na myśli?

- Nie chcę narobić chłopakom kłopotów, sierżancie.

- I nie narobisz. Ta sprawa pozostanie między nami. Mów, o którą drużynę ci chodziło.

- Na przykład o drugą z pierwszego plutonu.

- Mhm. - Stark obrócił głowę, by mieć w polu widzenia resztę swoich ludzi. - Ostatnia operacja. Jakie straty poniosła druga drużyna pierwszego plutonu?

- Stracili trzech ludzi - odparła Gomez. - Jeden zginął, dwóch zostało rannych, jeśli się nie mylę.

- Czterech - poprawił ją spokojnie Mendoza. - Czwarty odniósł tylko lekkie obrażenia.  
- Jeśli nie wykluczyło go to ze służby, nie powinien się liczyć - zaprotestowała Gomez.

- Dość tych przekomarzań - przerwał jej Stark. - A teraz słucham, jakie my ponieśliśmy straty?

- Żadnych, sierzancie. Mieliśmy cholerne szczęście.

- Doprawdy? - zdziwił się Ethan. - Uważasz, że tylko szczęściu zawdzięczasz, że wyszłaś z tej operacji cała? Nikt z was nie zginął, ponieważ robię co mogę, żebyście przeżyli. Ocaleliście, bo wyciskam z was siódme poty, podczas gdy żołnierze z innych drużyn wylegują się na pryczach albo grają w wirtualu. I wiecie co? Nie odpuszczę wam nawet na moment, dopóki nie sięgniecie ideału.

- Ale tutaj nie ma żadnego wroga - zauważyła Billings.

- Jeszcze go nie ma - przyznał Stark. - Chcesz poczekać ze szkoleniem, jak działać w odmiennych warunkach, aż się pokaże? Pozostali też?

- Przecież to, czego chcemy, i tak nie ma najmniejszego znaczenia - burknęła Gomez. Stark wyszczerzył zęby.

- Nie ma. Wolę pozabijać was wszystkich osobiście podczas szkolenia, niż pozwolić, by któreś poległo z ręki nieprzyjaciela tylko dlatego, że okazało się niewystarczająco przygotowane do prawdziwej walki.

- I nie mamy nawet prawa do protestu - rzuciła pół żartem, pół serio Carter.

- Nie macie. Czy ktoś chce wystąpić o przeniesienie?

Cisza przeciągała się, przerwała ją dopiero Billings, wskazując pustkowie widoczne na pobliskim ekranie.

- Do cholery, przeniesienie oznaczałoby wyjazd z tego kamyka, a zaczyna mi się tutaj podobać.

Jej żart wzbudził wesołość reszty, potem wszyscy wrócili do przeglądu zbroi. Model IV w pełni zasługiwał na swoją opinię. Padały w nim systemy podrzędne, mało szkodliwe, ale i te najważniejsze, grożące nawet utratą życia. Należało jednak przyznać, że góra zdawała sobie z tego sprawę i części zapasowe płynęły szerokim strumieniem do każdego, kto zgłosił zapotrzebowanie. Jednakże - choć darowanemu koniowi w zęby się nie zagląda, jak głosi stare przysłowie - Stark traktował tę szczodroblewość kwatermistrzostwa z wielką podejrzliwością. Zbyt dobrze pamiętał poprzednie operacje, podczas których brakowało im dosłownie wszystkiego.

Rozbawiona wciąż Billings wskazała ręką kolejny kierunek.

- Mówię poważnie, sierżancie. Są jakieś szanse na odwiedzenie najbliższej kolonii?  
Tej za równiną?

Ethan wzruszył ramionami.

- Oni dopiero ją budują. A raczej drążą. Pewnie jedno i drugie zarazem. Wątpię, aby potrzebowali tłumu gapiów.

- Są tam już jacyś mieszkańcy?

- Owszem. Słyszałem, że cywilbanda już przyleciała, żeby pomóc przy budowie i wykańczać powstające moduły.

- Całe rodziny?

- Prawdopodobnie. Albo już tam są, albo niedługo przylecą.

- Może w takim razie powstanie tutaj także fort. I stacjonujący w nim żołnierze będą mogli ściągnąć rodziny?

- Niewykluczone. - Stark zadbał, aby odpowiedź była nieprecyzyjna, ale sprawiała wrażenie twierdzącej. Nie przekreślił tej możliwości od razu, ponieważ wiedział, że morale większości żołnierzy rosło, jeśli ich rodziny mieszkały w pobliżu miejsca stacjonowania. - Za wcześnie jednak, by o tym mówić. Sądzę, że najpierw sprowadzą tutaj cywilbandę, a dopiero potem zaczną myśleć o rodzinach żołnierzy.

- Otworzyli już jakieś knajpy? - zainteresowała się Billings.

- Nie słyszałem o niczym takim - zgasił ją Stark. - Te, które istnieją, działają nielegalnie.

*Ale to akurat na pewno ulegnie zmianie, jeśli będziecie stacjonować tutaj dłużej...*  
Ethan nie potrafił wyjść z podziwu nad ludzką inwencją, zwłaszcza gdy chodziło o pędzenie gorzały albo syntetyzowanie prochów. Ci, którzy protestują przeciw obecności wojska, pierwsi otwierają potem przybytki, gdzie personel garnizonów wyda ostatni grosz zarobiony na misji. Zawsze tak było, jest i zapewne będzie. Po chwili namysłu pouczył podwładnych:

- Jeśli któreś z was trafi przypadkiem na teren kolonii, trzymajcie się z dala od cywilów. Dzięki temu oni będą szczęśliwsi, a wy unikniecie poważnych kłopotów.

- Skoro mowa o cywilach... - wtrącił Chen, zwracając na siebie uwagę pozostałych. - Wczoraj rozmawiałem z moimi starymi. Ponoć oglądali naszą akcję w wizorach. Prawie na żywo.

Stark zmilczał tę uwagę, nie chcąc zdradzać wiedzy uzyskanej od Reynolds i z nasłuchu kanału dowodzenia.

- Jaja sobie robisz - odparła Carter. - Chyba nie chodzi o jakąś relację w dziennikach?

- Nie - zaprzeczył Chen, kręcąc zdecydowanie głową. - To była specjalna transmisja.



Dali krótkie opóźnienie i pokazywali, jak zdobywamy kolejne cele. Z przerwami na reklamy, rzecz jasna.

- Zrobili show z naszego natarcia? - prychnęła Gomez. - Z reklamami?

- To jeszcze nie było najgorsze - dodał Chen zadowolony z uwagi, jaką mu poświęcali. - Pamiętacie chłopaków z drugiej dywizji? Tych, którzy zajmują się sprawami na Mamusi Ziemi? Ich też pokazali. W czasie akcji, w pełnym uzbrojeniu. Można było zobaczyć, jak odnoszą rany, giną, wszystko bez wyjątku. Starzy twierdzą, że wszyscy oglądają te transmisje. To ponoć lepsze od tego nowego hokeja bez reguł. Chyba dlatego, że na polu bitwy leje się więcej krwi.

- Zastrzelę pierwszego oficera z sekcji kontaktów z mediami, jakiego zobaczę - zagroziła Gomez.

- Oni też wykonują czyjeś rozkazy - uspokoiła ją Billings. - Ciekawe, dlaczego trepy postanowiły zabawiać cywilbandę transmisjami z walk... Wie pan może, sierzancie?

- Pojęcia nie mam - przyznał Stark. - Pewnie mieli jakiś dobry powód, ale ja go nie znam.

Poirytowana Carter zrzuciła narzędzia na podłogę.

- Świetnie - burknęła. - Teraz w czasie walk będę miała na karku nie tylko bandę przygłupich oficerków, ale jeszcze całe setki milionów cywilów siedzących przed wizorami w nadziei, że ktoś mnie postrzeli albo zabije.

- Jeśli jeszcze raz zrzucisz narzędzia, zginiesz tu i teraz - opieprzył ją Ethan. - Wiesz doskonale, co się dzieje podczas bitew. Kamery wszystkich żołnierzy przesyłają sygnał wideo do sztabu. Nie ma więc takiej możliwości, żeby cywilbanda mogła podglądać nas wszystkich jednocześnie. Zatem szansa na to, że staniesz się bohaterką mediów, jest raczej mała. Zadowolona?

- O nie, sierzancie - wychrypiał Desoto. - Ja pragnę zostać wielką gwiazdą.

Wszyscy obecni wybuchnęli śmiechem.

- Życzę powodzenia w takim razie - mruknął sierżant. - A pozostałych zapraszam do kontynuowania napraw sprzętu bojowego. Nie ma sensu zastanawiać się nad czymś, na co nie mamy najmniejszego wpływu.

W pomieszczeniu zapanowała na kilka minut cisza, przerywana jedynie brzęknięciami i mechanicznym buczeniem.

- Sierzancie. - Murphy oderwał wzrok od swojej zbroi. Usta miał zaciśnięte, co oznaczało u niego głębsze zamyślenie.

- Słucham.

- Dotarli do mnie paskudne plotki, sierżancie.

Gomez prychnęła z rozbawienia.

- Mam nadzieję, że nie były tak paskudne jak twój ryj.

- Nie, to znaczy tak. Odwal się z łaski swojej.

Stark westchnął ciężko.

- Dobra, mów, co słyszałeś.

- Powiadają - zaczął Murphy pretensjonalnie, rozglądając się wokół, żeby sprawdzić, jakie wrażenie zrobią na pozostałych jego słowa - że kończą nam się części zamienne do kombinezonów.

- Naprawdę? - zdziwił się Chen, podrzucając w dłoni nowiutki moduł tlenowy. Wyhodowane sztucznie komórki w jego wnętrzu zamieniały wydychany dwutlenek węgla z powrotem w tlen i czyniły to z niesamowitą wydajnością, dopóki dostarczano im pokarmu. Miały jednak jedną paskudną cechę, obumierały przy jakimkolwiek kontakcie z inną ożywioną materią. - Powiedz mi w takim razie, skąd biorą się te wszystkie cudeńka, którymi nas zarzucają?

- Ponoć rozmontowują kombinezony, które zostały wycofane z użytku. Tak przynajmniej słyszałem.

Mendoza spojrział z niepokojem na Starka.

- Czy to prawda, sierżancie?

Ethan wzruszył ramionami.

- A jeśli tak, to co?

- To by znaczyło, że nie posiadamy żadnych rezerw - zauważył Mendoza. - Czyli nie będzie odsiecz, gdybyśmy jej potrzebowali.

Wszyscy spoglądali na Starka, starając się wypatrzeć jego reakcję na ostatnie rewelacje Murphy'ego i Mendozy. Dlatego Ethan zaczerpnął głęboko tchu, zanim odpowiedział, ostrożnie dobierając słowa:

- Znam te plotki. I co z tego? Wiecie dobrze, małpoludy, że podczas walki możecie liczyć wyłącznie na siebie. Oraz na pozostałych członków drużyny. Nie zapominajcie o tym i nie pakujcie się w strefę walk, sądząc, że ktoś inny uratuje wam tyłek, ponieważ nie możecie mieć żadnej pewności, czy ten ktoś znajdzie się tam, gdzie trzeba, we właściwym czasie.

Mniej więcej połowa drużyny przyjęła jego słowa, kiwając głowami, reszta miała jednak spojrzenia pełne wątpliwości.

- Sierżancie - odezwał się Murphy - czasami wszystko się pieprzy i każdy może potrzebować pomocy. Niedobrze jest z góry wiedzieć, że na pewno jej nie otrzymamy.

Stark zwalczył dreszcz, próbując nie dopuścić do siebie wspomnień, do których wolałby nigdy nie wracać. Wizja trawy poznaczonej krwistoczerwonymi cętkami momentalnie stanęła mu przed oczami.

- Czasami... - zaczął i natychmiast zamilkł, zaskakując zupełnie swoich ludzi. - Okay - dodał nieco ostrzejszym tonem, niż zamierzał, budząc jeszcze większe zdziwienie żołnierzy. - Mogę bagatelizować tę sprawę, żebyście się poczuli lepiej. Mogę też przedstawić ją z całą powagą, na jaką zasługuje, licząc na to, że wy, małpoludy, potraficie przyjąć nawet najgorszą prawdę. Zgadnijcie, co wybieram tym razem. - Podeszedł do wiszącego na ścianie panelu wizora i wywołał obraz przedstawiający rozmieszczenie amerykańskich jednostek w tym sektorze. - Sytuacja jest do bani. Widzicie? To terytorium, jakie udało nam się zająć do tej pory. Mendoza, ty jesteś bystrzak. Powiedz mi, co widzisz?

Wezwany do odpowiedzi żołnierz przełknął nerwowo ślinę, przybrał niepewnie postawę zasadniczą i wpatrzył się w ekran.

- Nasze siły są bardzo rozśrodkowane, sierżancie.

- Znakomicie. A teraz wyjaśnij to słowami, które zrozumie nawet Murphy.

- Tak jest! - Mendoza wskazał mapę sektora. - Nasze siły są rozrzucone na dużej przestrzeni. Drużyna tutaj, pluton tam. Zajęliśmy zbyt duże terytorium jak na liczbę żołnierzy, którą dysponujemy.

- Mhm. - Stark przesunął spojrzeniem po twarzach otaczających go żołnierzy, unosząc palec dla podkreślenia wagi następnych słów. - Wiecie, co to znaczy? Jeśli dojdzie do najgorszego i obcokrajowcy, których stąd wykurzyliśmy, wrócą, aby walczyć o swoje, każdy z naszych oddziałów będzie musiał dać sobie radę w pojedynkę. Znikąd nie otrzymamy wsparcia, ani z tyłów, ani z prawej czy lewej flanki. - Jego ludzie kierowali wzrok na mapę, próbując przeanalizować sytuację taktyczną, a konkluzje, do których dochodzili dzięki latom doświadczenia, nie były zbyt wesołe. - Dlatego będą się liczyć nie rezerwy, tylko ludzie, którzy stoją obok was. Utrzymamy pozycje albo zostaniemy zmuszeni do wycofania się. Kto wie, może idioci ze sztabu wpadną na pomysł, żebyśmy sami zaatakowali wroga, ale jedno jest pewne, cokolwiek zrobimy, będziemy zdani tylko na siebie.

- A jeśli dojdzie do najgorszego? - wyszeptala Billings. - Jeśli wszystko sprzysięgnie się przeciwko nam?

Stark zmierzył ją groźnym spojrzeniem, wkładając w nie całą siłę woli. Musiał uspokoić swoich żołnierzy, sprawić, by nie utracili pewności siebie, gdyż w przeciwnym razie sami będą straceni, zupełnie jak wyposażenie, którego nikt nie sprawdza dzień w dzień. Musiał także przekonać siebie. Wygrana zawsze jest wynikiem splotu wielu czynników, ale

kto nie wierzy w zwycięstwo, przegrywa.

- Nie ma takiej opcji. Przeciw wam, małpoludy, wszystko sprzysięgło się już dawno. Koniec, kropka. Jeśli nawet wszystko inne rozsypie się w proch, wy będziecie trwali na swoich pozycjach. Zrozumiano? Nie przyjmuję do wiadomości innego rozwiązania.

- *Si, sargento.* - Gomez przerwała ciszę, jaka zapanowała po słowach Ethana, uśmiechając się dziko od ucha do ucha. - Skopimy im dupską.

Stark także wyszczerzył zęby, czując, że morale jego ludzi znowu rośnie.

- Jestem cholernie pewien, że to zrobicie. - Wskazał ręką na broje rozłożone do przeglądu. - Przygotować mi sprzęt na sto procent wydajności. Macie być gotowi na wszystko.

Czas płynął nieubłaganie i wkrótce chronometry oznajmiły, że zapadła noc, choć otaczające laboratorium głązy i pyliste pustynie wciąż tonęły w tym samym upiornym blasku i czarnych jak sama przestrzeń cieniach. Stark przyglądał się im, siedząc samotnie w stołówce przy zgaszonych światłach i rozmyślając o zagrożeniach czyhających na jego żołnierzy. *Mam nadzieję, że to tylko nerwowość wywołana tkwieniem w tym paskudnym miejscu. Nie otrzymaliśmy jeszcze ani jednego ostrzeżenia o grożącym nam ataku, ale czy cywile, których stąd wygnaliśmy, zostali zawczasu ostrzeżeni? Boże, spraw, abym nie spoczął w grobie na tym kamieniu. Skoro mam zakończyć życie w walce, chciałbym, aby stało się to w nieco przyjaźniejszej scenerii. Ale nade wszystko zachowaj od złego moich ludzi.*

- Wraca pan na kwaterę, sierzancie? - zapytał Desoto, stając nad nim.

- Za chwilę...

- Coś pana gnębi? Jeśli któryś z chłopaków ma być naprostowany...

Stark pokręcił głową, siląc się na uśmiech.

- Nie, Pablo. Nie mam nic do drużyny.

- Wiem, że Murphy zrobił się ostatnio jeszcze bardziej niezdolny. Pogadam z nim.

- Słusznie. Nieco gniewu Bożego mu nie zaszkodzi.

Desoto zawahał się.

- Zastanawia się pan nad przeniesieniem tego drania?

Ethan zaprzeczył ruchem głowy, tym razem bardziej stanowczo.

- Nie. Może Murphy nie jest najjaśniejszą gwiazdą na naszym firmamencie i spieprzy wszystko, jeśli go nie przypilnujesz, ale zawsze znajdzie się tam, gdzie trzeba, i wykona powierzone mu zadanie, jeśli będzie wiedział, że tego od niego oczekujemy.

- Ale ile trzeba się nad nim napracować...

- To prawda. Niemniej jeśli go odeślę i trafi pod mniej wymagającego sierżanta, zginie

jak Andzia w krzakach. Nie, to ja jestem odpowiedzialny za Murphy ego.

- *Verdad* - przyznał Desoto. - Spotkał pan jego rodziców, jeśli się nie mylę.

- Tak - odparł Ethan. - Kiedyś w Stanach. Mili ludzie. Ale nie o to chodzi. Odpowiadam za niego, bo to mój człowiek. Służy w mojej drużynie. I jeśli nawet odeślę go stąd, to i tak będę za niego odpowiadał, ponieważ ja o tym zdecydowałem. Tak to wygląda.

- Większość ludzi widziałaby tę sprawę inaczej. Na przykład nasi oficerowie.

- No i dobrze, oni muszą żyć ze swoimi problemami, a ja mam zupełnie inne zmartwienia na głowie. - Stark wypuścił powietrze z płuc. - I dlatego próbuję się odprężyć. Mam złe przeczucia co do naszej sytuacji.

- Coś poszło nie tak?

- Nic mi o tym nie wiadomo. To raczej kwestia nerwów, jak sądzę.

Desoto się skrzywił.

- Rozumiem. Ta informacja o rozbieraniu wycofanych zbroi mnie też przytłoczyła. To kolejna misja na krawędzi. Znowu będziemy musieli się obyć bez amunicji i części zapasowych. Niech Bóg błogosławi naszych przywódców - dokończył lekceważącym tonem.

- Nie zapominaj o korporacjach, dla których zdobyliśmy ten burdel. Zarobią na tym mnóstwo pieniędzy.

- Zgadza się. Na moje oko wysyłają nas w takie miejsca, żebyśmy pomogli bogaczom nachapać się jeszcze bardziej. Czy wojo zawsze do tego służyło, sierżancie?

Stark pokręcił głową.

- Nie wiem. To ma chyba niewiele wspólnego z konstytucją, której przysięgaliśmy bronić? Musiałbyś zapytać o to Mendozę. - Zamyślił się na moment, potem pokręcił głową. - Zaczekaj. On mówił mi coś na ten temat. Skierowano nas kiedyś do akcji na Pacyfiku, a on wyjaśnił podczas lotu, dlaczego uważa Hawaje za swoją ojczyznę.

- Hawaje? Za ojczyznę?

- Tak. Ponoć wpadły w oko jakimś biznesmenom z Ameryki, więc odebrali wyspy ich rodowitym mieszkańcom.

Desoto wyglądał na zaskoczonego.

- Kiedy to było? Jak dla mnie Hawaje są stanem, i to od zawsze.

- Nie pamiętam. Ale raczej dawno temu.

- Dlaczego więc nie zagarnęliśmy więcej takich kasków, no wie pan: Korei i jej podobnych? - zastanawiał się kapral.

- Ktoś go o to zapytał i Mendoza wyjaśnił, że były inne kraje, które na to nie pozwalały. Równie silne jak my. - Człowieku, to musiało być wieki temu. Od dobrych stu lat

jesteśmy jedynym supermocarstwem...

- Coś koło tego. Mendoza będzie wiedział dokładniej.

- ...i nikt nie mógł nas powstrzymać, jeśli naprawdę czegoś chcieliśmy - kontynuował kapral. - Zagarnęliśmy dla siebie wszystko, co oferowała Matka Ziemia, a teraz wzięliśmy się też za Księżyc. Na moje oko pozostałe państwa będą musiały się z tym pogodzić.

- Zobaczymy. Może się pogodzą, a może nie. Powiem ci jedno, Pablo, jeśli zapędzisz kogoś w kozi róg, to albo się załamie i podda, albo będzie walczył do ostatniej kropli krwi.

- Sądzi pan, że tym razem będą walczyć?

- Tak. Uważam, że tym razem odpowiedzą. Ja bym tak zrobił na ich miejscu. - Stark powiódł wzrokiem po widocznym na monitorach niezwykle przygnębiającym krajobrazie, który wyglądał na odwieczne pole bitwy, i to znacznie większych potęg niż armie stworzone przez człowieka. - Nienawidzę tego miejsca, ale walczyłbym o nie do upadłego.

- Chciałbym, żeby wszystkie grube ryby znalazły się tutaj, kiedy padnie pierwszy strzał.

Stark roześmiał się krótko, ale za to głośno.

- To byłby piękny widok. Wielka szkoda, że nie możemy zamienić się z nimi miejscami, kiedy znowu zrobi się naprawdę gorąco.

- Sierzancie, dlaczego nasi oficerowie zmieniają się regularnie co pół roku? W tym czasie nie zdążą się nawet zapoznać ze swoją robotą. Mielibyśmy o wiele łatwiejsze życie, gdyby umieli nami dowodzić, ale nawet ci najporządniejsi, to znaczy najniżsi stopniem, nie są w stanie liźnąć porządnie zawodu.

Stark pokazał mu trzy palce.

- Są trzy powody. Po pierwsze, mamy zbyt wielu oficerów w stosunku do liczby żołnierzy. Muszą ich wiecznie przenosić, żeby sprawiać wrażenie, iż wszyscy są potrzebni armii. - Złożył pierwszy palec. - Po drugie, aby otrzymać awans, oficer musi odsłużyć swoje na kilku stanowiskach, które ktoś kiedyś uznał za znaczące dla dalszej kariery wojskowego. Problem w tym, że jest ich zbyt wiele. Aby móc je zaliczyć wszystkie, oficer nie może tkwić długo na jednym stołku. - Kolejny palec powędrował w dół. - Po trzecie wreszcie, każdy z nich otrzymuje medal na koniec służby w danej jednostce. Im więcej ich zaliczy, tym częściej będzie odznaczany. - Trzeci palec zniknął z oczu kaprała.

- Wiedziałem, że odpowiedź na to pytanie bardzo mi się nie spodoba - mruknął skwaszony Desoto.

- Dlaczego więc je zadałeś?

- Żeby wiedzieć. Pan, sierzancie, poznał tę prawdę w inny sposób?

- Owszem. Sierżant Reynolds wbiła mi ją do głowy jakiś czas temu.

Po ustach kaprała przemknął przelotny uśmiech, ale zniknął tak szybko, jak się pojawił.

- Przejmuje się pan nadchodzącą bitwą?

- Ja mam zawsze powody do zmartwień. Dzięki temu jeszcze żyjemy, i ja, i wy.

- Ale ja mówię o konkretnej bitwie - upierał się Desoto. - O tej, która nadejdzie, prędzej czy później, gdy oni przylecą. Boi się pan, że tym razem przegramy?

- Szczerze? Trochę się obawiam. Ale sam pomyśl, czy ludzie oglądaliby transmisje wizyjne z takim napięciem, gdybyśmy zawsze wygrywali?

- Nie przegramy, sierżancie. Nie ma takiej opcji.

- Modłę się do Boga, żebyś miał rację, Pablo. Jeśli ty i ja będziemy mieli cokolwiek do powiedzenia, na pewno nie przegramy. Dzięki za tę rozmowę. Widzę w tobie doskonały materiał na sierżanta.

- I ja dziękuję, sierżancie. Dobrej nocy.

- Trzymaj się, Pablo.

Mimo wcześniejszych zapewnień Stark nie potrafił zasnąć, kręcił się więc nieustannie po korytarzach kompleksu tonących teraz w półmroku ze względu na panującą „noc”. Znów czuł klucie pomiędzy łopatkami, zwiastujące zazwyczaj zbliżające się niebezpieczeństwo.

*Jak długo trwa lot z Ziemi na Księżyc? Ile czasu trzeba, by wyszkolić ludzi do takiej misji? Czy rozpoczęto te szkolenia, zanim my wyruszyliśmy w przestrzeń? Czy przeciwnik dysponował wcześniej odpowiednimi środkami transportu, czy musiał je dopiero budować na orbicie? Jak wściekli albo zdesperowani są ludzie, którzy zyskali w końcu szansę na wyrwanie się z uzależnienia i na rzucenie Stanom Zjednoczonym wyzwania do walki o miano samca alfa tego świata? Co będzie, jeśli wystarczająco wielu z nich zaprzestanie walk między sobą i utworzy wspólny front przeciw nam? Czy zdołają nas pokonać?*

Tak wiele pytań i ani jednej odpowiedzi. W tych wykutych w skale korytarzach nie mógł ich znaleźć, ale przynajmniej pozwalały mu iść przed siebie aż do bólu nóg.

- Sierżancie! - Dobiegający z komunikatora głos Billings wydal mu się przerażająco głośny w grobowej ciszy. - Mam połączenie od sierżant Reynolds. Mówi, że to pilne.

- Już idę. - Stark sprawdził w przelocie czas, potem potarł zarost na policzku, próbując uspokoić myśli. Coś tu cuchnęło, i to mocno, na nowo budząc jego najgorsze lęki. Kierował się do centrum dowodzenia, do terminalu komunikacyjnego, przy którym dyżurowała Billings. Mijał po drodze przedziały zajmowane przez śpiących członków podległej mu drużyny. Chociaż tyle prywatności mogli sobie zapewnić w tym miejscu.

Reynolds otworzyła usta, ledwie Ethan znalazł się w polu widzenia.

- Zaczęło się. Atakują.

- Cholera. Dlaczego nie ogłoszono oficjalnego alarmu?

Vic skrzywiła się.

- Trepy wciąż szukają swoich głów, więc mają zajęte obie ręce.

Stark złapał paczkę kawy w proszku, przechylił ją do ust. Połykając łapczywie pylistą kofeinę, układał jednocześnie w pamięci listę ruchów, jakie będzie musiał teraz wykonać.

- Jak bardzo jest źle? Co się w ogóle dzieje?

- Nie mam pojęcia. Tutaj nikt tego nie wie. - Vic nagle spojrzała gdzieś w górę. - Flota obrywa mocno, ale robi co może, by ich powstrzymać i dać nam czas na przygotowania. Mamy jednak potwierdzone doniesienia, że zauważono obecność transportowców w konwojach wroga.

- Dzięki. - Gdy ekran ściemniał, Stark spojrzał na przysłuchującego się tej rozmowie spiętego szeregowca. - Zostaniesz tutaj, masz być gotowy do ogłoszenia alarmu, kiedy nadejdzie sygnał. - Po wydaniu tego rozkazu rzucił się w kierunku kwater, zapalając po drodze wszystkie światła. - Wstawać! Szybko! Zbiórka! Za pięć minut widzę was wszystkich w pełnej gotowości bojowej! Ruchy! Ruchy! Ruchy!

Minęło niemal dziesięć minut, zanim ostatni z członków drużyny pojawił się na wyznaczonym miejscu, co i tak było znakomitym rezultatem.

- Mendoza, zmień Billings przy stanowisku łączności, żeby także mogła się przebrać. Reszta słucha mnie uważnie. Flota właśnie solidnie oberwała, a wróg ciągnie ze sobą okręty desantowe. Nie mam pojęcia, ile ich jest i jakie rozkazy otrzymamy, ale musimy być gotowi na skopanie kilku tyłków. Jakies pytania?

- Kim oni są? Kto nas atakuje?

- Nie wiem. Wygląda jednak na to, że w końcu zbyt mocno nadepnęliśmy na odciski Pierwszego, Drugiego, a nawet Trzeciego Świata i musimy się spodziewać solidnego kopa w odpowiedzi.

- Będziemy wojować ze wszystkimi pozostałymi narodami? - jęknął Chen.

- Przecież powiedziałem, że nie wiem.

Zanim ktokolwiek zdążył coś dodać, terminal komunikacyjny rozbrzęczał się i do taka Starka zaczęły napływać dane. Natychmiast przełączył go, by redystrybuować rozkazy do swoich ludzi. A te napływały nawet wtedy, gdy na osłonie hełmu pojawiła się zaktualizowana mapa sektora.

- Czy wszyscy odebrali pakiety danych? - zapytał Ethan. - Zgodnie z rozkazami mamy



się wycofać i utworzyć linię obrony wokół budowanej kolonii.

- Sierżancie - wtrącił Murphy - jesteście daleko za tą linią.

- Sierżant zdaje sobie z tego sprawę, Murphy - zgasił go Desoto.

Stark skinął głową.

- To prawda. Dlatego wyruszamy, jak tylko Billings zdąży włożyć broń. Pożegnajcie się z wygodami.

- Sierżancie! - odezwała się Gomez, zataczając ręką szeroki łuk, jakby chciała wskazać cały kompleks. - Rozkazy mówią, że przed wycofaniem się musimy to wszystko wysadzić. Ale to potrwa wiecznie, zwłaszcza że nie mamy materiałów wybuchowych.

- Wiem - przytaknął Ethan. - Dlatego nie będziemy nawet próbować. Wychodząc, wrzucimy kilka granatów zapalających do pomieszczeń serwera, powinno wystarczyć do uziemienia tych laboratoriów. Jeśli dowództwo uzna, że to zbyt mało, będzie mogło samo dokończyć tę robotę. - Billings wpadła do sali, w pośpiechu dopinając ostatnie uszczelnienia zbroi. - Dobra. Ruszamy. Znowu jesteśmy w stanie wojny. Pełne skupienie i niech mi nikt niczego nie spieprzy.

Stark obejrzał się, gdy wyszli po chwili przez służbę powietrzną. Wielki wąż lśnił jasno w podczerwieni, przypominając mu moment, gdy trafili w to miejsce zaledwie kilka tygodni temu, podczas szturmów. Zaczął się nawet zastanawiać, czy ta mała krzykaczka wróci z wojskami wroga i zacznie się zżymać na ogrom zniszczeń, jakie poczynili jego ludzie, ale szybko o niej zapomniał.

- Sierżancie! - Spojrzał w kierunku stojącego z wyciągniętą ręką Desoto. Gdy uniósł lekko głowę, dostrzegł nowe, obco wyglądające gwiazdy na księżycowym firmamencie. Flota walczyła w desperackiej próbie opóźnienia ataku. Nagle w ciemności rozblęsnęła znacznie większa gwiazda, rozlewała się przez jakiś czas, a potem powoli zgasła.

- Czy to był jeden z naszych? - zastanawiał się na głos Desoto.

- Ciężko powiedzieć - odparł Stark. - Zważywszy na przytłaczającą przewagę wroga, to bardzo prawdopodobne. No dobra, ci marynarze polegli, aby kupić nam trochę czasu. Ruszcie tyłki.

Ethan starał się nie myśleć o dystansie, jaki mieli pokonać, ani o tym, ile czasu będą potrzebowali na dotarcie do wyznaczonej linii obrony, którą dowództwo starało się właśnie pośpiesznie organizować. Najbardziej jednak unikał myśli o tym, co się stanie, jeśli wróg przydybie ich tutaj osamotnionych na otwartej przestrzeni. Poruszali się szybko, mknąc ku horyzontowi, ale ten zdawał się kpić z nich i oddalać po każdym skoku. Wokół rozciągała się bezkresna szaro-czarna równina upstrzona odłamkami skał.

- Sierzancie! - wydarł się nagle Hector.

- Zamknij się! - warknął Ethan, nie spuszczać oka z balistycznych krzywych opadających w kierunku powierzchni Księżyca, jakie pojawiły się właśnie na wyświetlaczu jego HUD-a. To transportery. Miały przyziemić daleko za nimi, ale ich ogromna liczba zwiastowała przybycie piechoty wroga w takiej masie, że niejeden oficer w kwaterze głównej musiał mieć teraz pełne gacie.

Paskudnie wyglądający pojazd wypadł niespodziewanie zza grani przed nimi. Jego czarny pancierz połyskiwał złowieszczo.

- Nie strzelać! - zawołał Stark. - Sprawdzić IFF! - Te słowa utonęły w głośnym świergocie, jakim system identyfikacji taktycznej informował go o tym, że maszyna należy do amerykańskiej armii. Transporter skręcił z niewiarygodną gracją jak na takiego giganta i zamarł tuż przed nimi.

- Włazić na pokład, ale w podskokach! - wydarła się kobieta pilotująca maszynę. Głos łamał się jej z przejęcia.

Stark pogonił swoich ludzi, ignorując regulaminowe rozproszenie. Żołnierze stłoczyli się na rampie, zmierzając do ciasnego przedziału osobowego. Stark wskoczył w ostatniej chwili, gdy metalowa płyta zatrzęsała się i ruszyła w górę, zrzucając stojących na niej jeszcze ludzi do wnętrza maszyny. Wszyscy klęli na cały głos, usiłując w czasie jazdy zapiąć uprząż podtrzymujące.

Ethan usadowił się na jednym z foteli, potem natychmiast sprawdził odczyty kombinezonów wszystkich członków drużyny.

- Czy ktoś został ranny podczas ewakuacji? - Odpowiedział mu zgodny chór gniewnych pomruków przetykanych niewybrednymi uwagami na temat pochodzenia pilotki. - Zamknąć mordy. Ktoś wolałby zapieprzać z buta? - Sierżant wpiął się w systemy transportera, aby uzyskać nowe dane o sytuacji, ale mapa taktyczna maszyny była identyczna z tą, jaką już znał. - Pilocie?

- Tak? - Ton jej głosu wskazywał na wysoki stopień koncentracji, jaką kobieta musiała utrzymywać, jadąc tak szybko po powierzchni Księżyca, oraz na napięcie przed zbliżającą się walką.

- Jak daleko nas zawieziesz?

- Nie tak daleko, jak byście chcieli, sierzancie... - Zamilkła na moment, a transporterem mocniej zarzuciło. - Pieprzone głązy. Wolałabym nie walnąć w żaden. Podrzucę was tylko kilka kilosów.

Stark sprawdził na taktycznym.

- Czyli poza wyznaczonym perymetrem.

- Mhm. Kazali mi podjąć jeszcze kilka innych oddziałów, kolego. Nie mam czasu na kursy aż do linii umocnień.

- Rozumiem. - Stark usiadł wygodniej, starając się nie myśleć o tym wszystkim, co może pójść nie tak w ciągu najbliższych kilku godzin. Wydawało mu się, że transporter zahamował ostro zaledwie parę chwil później, wywołując kolejną falę głośnych przekleństw w przedziale osobowym, i natychmiast opadł na skaliste podłoże.

- Wszyscy na zewnątrz - zakomenderował Ethan.

- Ale sierzancie - zaprotestował Chen. - Nadal jesteśmy daleko od...

- Wiem! - uciął Stark. - Ruchy! - Wykonali jego rozkaz najszybciej, jak potrafili. - Rozproszyc się! - wrzasnął moment później. - Uformować szyk bojowy! - Gdy transporter ruszył, aby pomknąć w kierunku lądowisk oddziałów nieprzyjaciela, on już sprawdzał sytuację na HUD-zie. *Powodzenia, koleżanko*, pomyślał. - Słuchajcie, nie mamy czasu na ściągnięcie dokładnych map tej okolicy, ale wiemy z grubsza, dokąd zmierzamy. Ruszcie się!

Gdy drużyna podjęła marsz, Stark przełączył się na szczebel plutonu. Przeskanował teren i odetchnął z ulgą, gdy ujrzał w pobliżu ikonki drugiej drużyny.

- Sanchez? Jesteś tam?

- Jestem, Stark. - Sądząc po braku podekscytowania w głosie dowódcy drugiej drużyny, można było pomyśleć, że biorą udział w manewrach, a nie prawdziwej akcji.

Sprawdził jeszcze raz dane z wyświetlacza.

- Wygląda na to, że zmierzamy mniej więcej w tym samym kierunku.

- Zgadza się. Moja lewa flanką połączy się z twoją prawą za mniej więcej dziesięć minut.

- świetnie. - Oczywiście zdawał sobie sprawę, że w obliczu wiszącego nad nimi niebezpieczeństwa jego poczucie zadowolenia jest irracjonalne, niemniej nawiązanie kontaktu z innym oddziałem sprawiło, że przestał czuć się tak samotnie na przerażająco pustej powierzchni Księżyca. - A co z pierwszą drużyną? Gdzie Reynolds?

- Zdaje się, że wysłano po nich transporter.

Stark poczuł zimny dreszcz.

- Szlag. Znajdowali się o wiele dalej niż moja drużyna.

- Uspokój się - poradził mu Sanchez. - My możemy wpaść w tarapaty, to znaczy ty albo ja, ale Vic na pewno doprowadzi swoich ludzi do punktu zbornego.

- Masz rację.

Stark zamilkł. Poganiał ludzi, dopóki prawe skrzydło jego formacji nie nawiązało

kontakty wzrokowe z biegnącym najdalej po lewej żołnierzem drugiej drużyny. Wspólnie dotarli do gigantycznego przedwiecznego głazu na szczycie grani, która była celem ich wyprawy. Tam członkowie obu drużyn padli na grunt, dysząc ciężko po biegu i spoglądając ponurym wzrokiem w kierunku, z którego przybyli.

Broń powędrowała w górę, gdy na wyświetlaczach HUD-ów pojawiła się pulsująca ikonka oznaczająca szybko jadący obiekt.

- Wstrzymać ogień! - rozkazał Stark, gdy rozpedzony pojazd skręcił w ich stronę.

- Nie mamy odczytu IFF - zameldował Sanchez.

- My też - przyznał Ethan. Jego palec nieświadomie zbłądził na spust, chociaż umysł podpowiadał, że to nie będzie konieczne. - Czy wróg pchałby nam się pod lufy w tak durny sposób?

- Myślisz, że to jeden z naszych?

- Tak. Może mieć spieprzony nadajnik.

- Rozumiem. Moja drużyna nie otworzy ognia, dopóki ty nie wydasz takiego rozkazu.

Uniesiona broń została wymierzona w stronę miejsca, w którym zbliżający się pojazd - przynajmniej zdaniem systemów bojowych - miał wejść w pole rażenia. To musiało stanowić niesamowity widok: trzydzieści luf poruszających się z idealną synchronizacją, jako że komputer każdego żołnierza podawał identyczne dane.

- Sierżancie! - zawołała Carter. - Jak blisko to bydlę musi podjechać, żeby nasze pociski mogły przebić jego pancerz?

- Zależy od tego, z jakim rodzajem wozu mamy do czynienia - odparł Stark. - Niech nikt się nie waży otwierać ognia, dopóki nie wydam rozkazu. Pamiętajcie, że to może być jeden z transporterów przewożących waszych kumpli.

Pojazd wjechał w końcu w pole widzenia, jego ciemny kadłub chwiał się niezdarnie, przypominał w tym momencie wielkiego żuka wędrującego z trudem po żwirowisku. Stark od razu zrozumiał, że te ruchy są zbyt chaotyczne, aby można mówić o robionych celowo unikach. Na jego oczach pojazd zawadził pancerzem o skałę i odbił się od niej, by zaraz uderzyć w drugą. Pilot pędził przed siebie z determinacją ranionego zwierzęcia, które w panice szuka bezpiecznej kryjówki.

- Ale pokieraszowana kupa złomu - jęknęła Gomez.

Ethan przytaknął, nie mówiąc słowa. Zastanawiał się, ile z tych poszarpanych otworów mogło sięgać do przedziału osobowego. Transporter dotarł do podnóża zbocza i spróbował wjechać na nie, ale nie dał rady, zsunął się bokiem i znieruchomiał. Z jego wnętrza natychmiast wysypały się ludzkie sylwetki.

- Kto idzie? - zapytał Stark.

- Pierwsza drużyna - odparła zasapana Reynolds. - Porucznik Porter oberwał.

- Co się stało?

- Wymiana ognia. Wróg wykonał zrzut nad naszymi pozycjami. Ten transporter zdołał nas ewakuować dosłownie w ostatniej chwili. Niestety, sam zaliczył kilka trafień podczas akcji.

- Jezu. Dawaj tutaj pilota i działonowego.

- Pilot idzie z nami. To kobieta. Jest ranna, wkurzona jak wszyscy diabli, ale ma przynajmniej broń. Działonowy zginął.

- Szlag!

- Musimy go zostawić - dodała Reynolds po chwili milczenia.

- Ale... - Stark zacisnął zęby. Musimy ich zostawić. Te słowa wciąż krążyły mu po głowie. Nie ich, jego. To tylko jeden facet. Co chciałbyś dla niego zrobić? Zaryzykujesz życie wszystkich swoich żołnierzy, by próbować pomóc komuś, komu ta pomoc na nic się nie zda? Taszczenie zwłok jest zbyt niebezpieczne, zwłaszcza tutaj, na Księżycu, kiedy trzeba gnać przed siebie z maksymalną prędkością. - Przynajmniej wiemy, że nic się nie stanie z ciałem.

- Fakt - przyznała krótko Vic. Żołnierze jej drużyny już wspinali się na zbocze. Dwaj z wyraźnie uszkodzonymi zbrojami korzystali z pomocy kolegów. - Zdołamy utrzymać te pozycje?

- Wątpię. Wprawdzie ukształtowanie terenu będzie nam sprzyjać, ale nie mamy wsparcia.

- Sanchez, kto jest na twojej drugiej flance?

- Nie mam kontaktu wzrokowego z innymi oddziałami - rzucił lodowatym tonem wywołany sierżant. - Pomędzy moją lewą flanką a kolejną jednostką jest mniej więcej Półkilometrowa wyrwa.

*Wystarczająco wielka, by zmieściła się w niej cała brygada*, uznał Stark, ale Sanchez miał przynajmniej kogoś, kto go wesprze od tej strony.

- Mówi porucznik Porter. - Głos dowódcy drżał, zapewne na skutek przeżytego szoku, a na pewno w wyniku osłabienia i działania leków, które kombinezon zaaplikował mu automatycznie. - Utrzymamy te pozycje, jeśli takie są rozkazy.

Czas dłużył im się niemiłosiernie, gdy czekali, ale wreszcie na krawędzi pola widzenia sensorów pojawiły się ikonki oznaczające potencjalne zagrożenie. Symbole te sunęły nieprzerwanie prosto na nich i na boki, a oznaczały oddziały piechoty i pojazdy poruszające się z niewzruszoną determinacją. Stark przeliczył nacierające oddziały, potem porównał ich

liczebność z siłą ognia własnego plutonu, a na koniec zmówił w myślach szybką modlitwę.

Według podręcznika wyglądało to prosto. Aby obronić zajmowane pozycje, należało uniemożliwić wrogowi atak z flanki albo od zaplecza. To była jedna z najprostszych zasad pola walki. Inna głosiła, że żołnierz może mierzyć i strzelać tylko w jednym kierunku na raz. Ostatecznie dałoby się ustawić żołnierzy w kręgu, jak uczyniły to choćby ostatnie szwadrony generała Custer'a podczas pamiętnej obrony. *To mogłoby się udać, gdybyśmy dysponowali odpowiednią liczbą ludzi i gdyby wróg nie nacierał w takiej sile. Dobrze by było przy okazji postradać zmysły i walczyć dłużej, niż nakazuje rozum.* Mendoza opowiadał kiedyś, że Brytyjczycy postąpili podobnie w miejscu zwanym Rorke's Drift, niemniej zdaniem Starka większość Angoli rodziła się z niewytłumaczalnymi defektami mózgu. Zdarzały się jednak wyjątki od tej reguły. Kawalerzyści Custer'a nie byli wystarczająco liczni i zostali wybici do nogi podczas obrony. Taki sam los spotkał masę innych żołnierzy, gdy próbowali zastosować tę taktykę. Ethan znał nawet kilku z nich. Dlatego tak wyraźnie odczuwał dzisiaj brak towarzyszy broni za ostatnim ze swoich ludzi. Ta pustka drażniła go, wręcz z niego kpiła, uzmysławiając dobitnie, że jego drużyna została pozbawiona wsparcia. W końcu nie wytrzymał i musiał się odezwać. Zrobił to, próbując ukryć rozdrażnienie.

- Poruczniku, nie mam nikogo na prawej flance.

- Wiem o tym, Stark! - Porter nie był w najlepszym nastroju, czego przyczyną mógł być trudny do zniesienia ból w ranie, tym gorszy, że ostra jazda uszkodzonym transporterem musiała doprowadzić do szeregu kolejnych urazów. - Zgłosiłem to już dowództwu! Czego jeszcze ode mnie chcesz?

Stark obliznął wargi, zwalczając kolejną falę strachu, a potem odezwał się ponownie, na otwartym kanale, aby mieć pewność, że Sanchez i Reynolds także go usłyszą.

- Poruczniku, widzę symbole jednostek wroga poruszających się na prawo od naszych pozycji. Niektóre z nich znajdują się już za naszymi liniami. Jeśli nie wycofamy się teraz, zostaniemy otoczeni i odcięci.

Zanim Porter zdążył zareagować, w eterze rozległy się słowa Reynolds. Mówiła tak niewinnym głosem, jakby nie dosłyszała ostatniego stwierdzenia Starka.

- Poruczniku, sugerowałabym wycofanie się za kolejne wzniesienie. Musimy zyskać czas potrzebny jednostkom wsparcia do zatkania tego wylomu.

Przez moment panowała neutralna cisza. Porter miał stracha przed niewykonaniem rozkazu, ale z drugiej strony jeszcze bardziej obawiał się utraty oddziału. Fakt, że dopiero co wymknął się z okrążenia, o mały włos nie tracąc przy tym życia, musiał w końcu przeważyć.

- Dobrze. Podzielcie ludzi na zespoły ogniowe i wycofajcie się za następne

wzniesienie. Ja poinformuję dowództwo, że... skracamy linię obrony, aby uniknąć jej potencjalnego przerwania.

*Dzięki Bogu*, pomyślał Stark, ale zanim te słowa wywietrzały mu z głowy, usłyszał w hełmie głos Victorii.

- Wszystko w porządku, Ethan?

- Tak. Nic mi nie jest.

- Mówiłeś, jakby ci coś dolegało. Co...?

- Powiedziałem przecież, że nic mi nie jest!

- Dobrze, już dobrze - prychnęła i rozłączyła się.

Stark pogonił swoją drużynę. Podzielił ją na osłaniające się wzajemnie podczas kolejnych skoków dwuosobowe zespoły. Jego tak rozbłysnął nowymi danymi, zanim zdążyli dotrzeć do następnego szczytu. Ethan znajdował się akurat w powietrzu, dlatego wylądował miękko, od razu przykłękając, by sprawdzić uaktualnienia. Spomiędzy jego warg wydobył się mimowolny gwizd, gdy zobaczył nowe rozkazy. Kazano im skrócić linię obrony, ale tym razem porządnie, do perymetru, który byliby w stanie obronić posiadanymi siłami.

- Desoto, otrzymałeś nowe plany?

- Tak, sierżancie. Jak widzę, nowy perimetr jest znacząco mniejszy od poprzedniego.

- Można tak powiedzieć. Trepy ogarnęły w końcu sytuację. Musimy się wycofać spory kawałek. Trzymaj się lewej flanki i pilnuj, żeby twój koniec tyraliery zmierzał we właściwym kierunku. Ja zajmę się prawą... - Zamilkł na moment i przełączył się na kanał dowodzenia, aby sprawdzić, czy nie uzyska dostępu do szerszego oglądu sytuacji. Potrzebował dłuższej chwili, by połapać się w chaosie informacyjnym, jaki zalał jego wizjer. Wyglądało na to, że los na razie obchodził się z nimi łaskawie, za to jednostki broniące przeciwległej strony perymetru zbierały ostre cięgi - Najpierw zmuszono je do wycofania się, ale potem znowu przyparto do muru. Masa nieruchomych ikonek przedstawiających oddziały wroga sugerowała, że ich celem może być próba przedarcia się do serca amerykańskich pozycji - dzięki wcześniejszemu ostrzeżeniu, jakie oddziały naziemne otrzymały z przestrzeni, opór związał niemal całe siły przeciwnika. *Dzięki ci, floto. Już nigdy więcej nie zakpię sobie z marynarza.*

- Sierżancie? - wywołał go Hector.

- Słucham.

- Co się dzieje? Najpierw omal nie zostaliśmy otoczeni, a teraz wiejemy w takim tempie. Jak daleko mamy się wycofać? I co będziemy tam robili?

Stark przyjrzał się długiej strzałce wskazującej ciąg kraterów okalających zewnętrzną

granicę budowanej kolonii.

- Chłopcze, czy ja wyglądam jak Bóg? Przestań się martwić tym, co omal się nie wydarzyło. Było, minęło. Tym, co będzie, też się nie przejmuj. Teraz liczy się tylko to, że masz dotrzeć na następny grzbiet. A kiedy tam się znajdziesz, najważniejsza stanie się kolejna grań. Zrozumiano? Dotyczy to was wszystkich. Liczy się wyłącznie to, co jest teraz. Koniec, kropka.

- Tak jest, sierżancie - odparł wyraźnie zmieszany Hector.

Coś przemknęło szybko, za szybko, na ich prawej flance. Być może wrogi transporter, którego załoga zamierzała wykonać ryzykowny manewr oskrzydlający, by odciąć drogę ucieczki amerykańskim oddziałom. Gdy Stark obserwował jego ruchy z zaciśniętymi mocno zębami, odezwały się działa, wypluwając z daleka ciężkie, wielkokalibrowe pociski. Moment później odległy błysk poświadczył zniszczenie maszyny przeciwnika. *Dzięki ci, Boże. Mamy wreszcie kogoś na naszej prawej flance. Trzymajcie się, chłopcy, idziemy do was.*

Dotarli do następnego szczytu, czując oddech wroga na Plecach. Na HUD-ach bez przerwy pojawiały się i znikwały symbole oznaczające potencjalne źródła zagrożenia. To żołnierze przeciwnika zbliżali się długimi skokami, zmniejszając dystans. Gdy drużyna dotarła na dno płytkiej doliny, napięcie wzrosło niebotycznie za sprawą kilku strzałów oddanych nad głowami biegnących. Strzelcy nie przywykli jeszcze do warunków panujących na powierzchni satelity, dlatego wszystkie pociski poszły górą.

- Nie zatrzymywać się! - rozkazał Stark. - Musimy dotrzeć na następną grań!

Wspinali się ku szczytowi wzniesienia skuleni, by stanowić jak najmniejszy cel. Pociski spadające wokół nich wznosiły w powietrze małe obłoczki pyłu, czasem wyrzucały w górę odłamki rozbitych kamieni. Kanonada z każdą minutą przybierała na sile. Stark sprawdził odczyty na HUD-zie. Jeszcze jedna grań i dotrą na wyznaczone pozycje, ale wróg deptał im po piętach. Obraz na wyświetlaczu stracił ostrość na krawędziach, gdy przeciwnik włączył zakłócanie na stosowanych przez Amerykanów częstotliwościach.

- Stark. Sanchez - wywołała ich Vic. - Wysłałam przodem porucznika i pilota transportera. Musimy pokonać ostatnią dolinkę drużynami.

- Oni siedzą nam już na plecach - zaprotestował Stark. - Jedna drużyna ich nie powstrzyma.

- Nie będzie musiała nikogo powstrzymywać. Wystarczy, że lekko spowolni ruchy wroga. - Usłyszeli ciche westchnienie. Stark wiedział, że robiła taki wydech za każdym razem, gdy oddawała strzał. - Dobra. Trzecia drużyna idzie pierwsza. Pokonuje połowę drogi, zatrzymuje się i kryje nas ogniem. Potem idzie druga drużyna, tyle że cofa się aż na grań i



zaczyna ostrzeliwać przeciwległy szczyt. Czy wyraziłam się jasno, Sanchez?

- Tak - odparł lakonicznie jak zwykle dowódca drugiej drużyny.

Stark poczuł absurdałne pragnienie, aby zobaczyć coś, co skruszy pokrywą obojętności tego człowieka.

- Ruszajcie - znowu jedno słowo.

- Trzecia drużyna, za mną.

Stark zaczął się wycofywać. Wstał, gdy tylko odczołgał się od grani na odpowiednią odległość. Jego ludzie zbiegali szybko pomiędzy sunącymi w letargicznym tempie strumieniami pyłu i odłamków skał, jakby Księżyc chciał pokazać ludziom, że jemu nigdzie nie jest śpieszno. Dotarli do dna doliny, ciężko dysząc, i przypadli do gruntu, mierząc w kierunku chłopaków Sancheza, którzy właśnie wyruszyli tą samą trasą w towarzystwie nieodłącznych, poruszających się w zwolnionym tempie lawin.

Sporo wysiłku włożyli w to, by nie zerwać się z ziemi i nie pognać za przebiegającymi obok żołnierzami drugiej drużyny.

- Nie opuszczać wyznaczonych pozycji - pouczył ich Stark, unosząc się nieco, by świecić przykładem. Stawał się przy okazji najbardziej widocznym celem, ale taka właśnie była cena tej roboty. Jego drużyna pozostała na miejscu, czekając z niecierpliwością na pojawienie się ikonki zwiastujących zagrożenie i śledząc z uwagą tor każdego pocisku, który przelatywał nad szczytem wzniesienia.

Strzelająca pod wysokim kątem artyleria żłobiła nowe kratery w miejscach, które do tej pory były zarezerwowane wyłącznie dla meteoroidów. Moździerze posyłały pociski niemal pionowo w górę, by padały prosto z nieba, ale oni leżeli tam, gdzie im kazał, mając nadzieję, że kamuflaż kombinezonów sprawdzi się, gdy przyjdzie czas, a urządzenia zakłócające zmylą każdy inteligentny pocisk wystrzelony w ich kierunku. Mieli też nadzieję, że nie dosięgnie ich żadna zabłąkana kula.

W końcu, zgodnie z oczekiwaniami Starka, nawała ogniowa osłabła. Natarcie przebiegało zbyt szybko, by czołowe oddziały miały dostęp do pełnego zaopatrzenia, dlatego musiały zatrzymać się na chwilę, czekając na dostawę świeżej amunicji. Pierwsza drużyna zbiegła w dół zbocza znacznie szybciej niż ludzie Sancheza. Żołnierze skakali dalej i unosili się znacznie wyżej niż ich poprzednicy. Troje wymagało pomocy towarzyszy broni.

- Jeszcze chwila - powiedział Stark, gdy uciekinierzy mijali ich pozycje.

Sierżant Reynolds zaszalutowała mu pośpiesznie, gdy przebiegała obok. Na szczyt wzniesienia znów spadły pociski, szukając celów, zaraz jednak zapanował spokój. *Nadchodzą*, pomyślał Ethan i wymierzył w grań, unosząc lufę na widok czerwonych ikonki

rojących się na skraju wizjera. *Nie trafię, jeśli będę mierzył tak wysoko. Powinni wymyślić jakieś sensowne celowniki, żebyśmy nie posyłali pocisków na orbitę.*

- Przygotować się - rozkazał swoim podwładnym. - Nie marnować naboju.

Pierwsi żołnierze wroga przetoczyli się przez grzań. Drużyny Starka i Sancheza otworzyły ogień jednocześnie, posyłając w ich stronę długie serie. Ethan widział w wizjerze swojej broni powiększony widmowy obraz nacierających wrogów, także wyposażonych w skrzące się kamuflaże i zakłócacze. Koncentrował ogień na kolejnych sylwetkach, broń uderzała go mocno w ramię po każdym strzale. Ostre strumienie odłamków poszybowały we wszystkich kierunkach, gdy Desoto użył miotacza granatów zamontowanego na swoim automacie, lokując kolejne ładunki z zabójczą precyzją. Wrogowie padali od razu albo próbowali odpowiedzieć ogniem, ale to tylko przyspieszało ich śmierć, gdyż natychmiast koncentrowano na nich ogień.

- Rozkwasił im nos - stwierdziła Vic. - Możesz dołączyć do nas, Stark.

- Już się robi. Trzecia drużyna, wycofywać się skokami - Desoto, ty i ja ubezpieczamy odwrót. *Wiej, teraz możesz jedynie poganiać zostających w tyle ludzi. Gnaj przed siebie, przez grzań przetaczają się już następni przeciwnicy.* Wróg strzelał dalej mimo morderczej zapory ogniowej, jaką stawiali ludzie z pierwszej i drugiej drużyny. Chen potknął się i padł. Widoczne na wyświetlaczu Starka odczyty danych z jego kombinezonu wykazywały liczne uszkodzenia. Ethan podbiegł, zygzakując, i chwycił pod ramię usiłującego wstać szeregowca. Pchnął go do przodu, nadając tempo, mimo że żołnierz skowyczał z bólu wywołanego nagłym ruchem.

Znowu odezwała się artyleria, pociski pomknęły śladem wycofujących się ludzi z trzeciej drużyny, którzy nie szczędząc sił, starali się dotrzeć do w miarę bezpiecznego miejsca za ostatnią granią. Stark padł na ziemię ostatni i dysząc ciężko, sprawdził odczyty - najpierw swój, potem pozostałych żołnierzy.

- Matko litościwa. Wygląda na to, Chen, że tylko ty oberwałeś.

- Szczęściarz ze mnie - odpowiedział niezbyt sensownie ranny szeregowiec. Głos mu się łamał, ale to normalne w sytuacji, gdy systemy kombinezonu wstrzykują człowiekowi dokładnie odmierzone dawki środków uspokajających. - Nie jest chyba aż tak źle?

- Dobrze też nie jest, ale jakoś się wylizesz. - Stark przełączył kanał.

Cieszyła go uspokajająca obecność zielonych ikonek oznaczających ludzi z innych oddziałów, ale nie zapominał nawet na moment o rosnącym mrowiu czerwonych symboli rojących się po drugiej stronie wyświetlacza. Starał się jednak ignorować narastające dudnienie spowodowane spadającymi coraz bliżej ich pozycji pociskami artyleryjskimi.

- Dostałaś nowe rozkazy, Vic?

- A ty masz jakieś na taktycznym?

- Nie.

- Czyli nic nie uległo zmianie. Musimy bronić tej linii, Ethan.

Stark obejrzał się przez ramię: za nim w odległości kilku kilometrów za długim łagodnym zboczem znajdowała się budowana właśnie kolonia, której zręby wykopywali i wznosili cywile na tyle szaleni i zdesperowani, by przylecieć na Księżyc z nieprzymuszonej woli. Tam też znajdował się ostatni z kosmodromów, do którego Amerykanie mieli jeszcze dostęp.

- Tak, wiem, że musimy się utrzymać. W przeciwnym razie to będzie koniec, nie tylko nasz, ale i tych nieszczęsnych kolonistów, których los złożono w naszych rękach.

\* \* \*

To wydarzyło się gdzieś pomiędzy Ziemią i Księżycem w czasie zbyt długiego jak dla nich czasu, jaki dzielił załadowanie oddziałów na pokłady transporterów i rozpoczęcie zrzutu. Stark i kapral Desoto siedzieli w sieci uprząży, przyglądając się z ponurymi minami szarej powierzchni satelity, który miał być ich następnym celem, rozmawiając o pierdołach i sprawach niezwyklej wagi, czyli o tym wszystkim, o czym żołnierze mają zwyczaj dyskutować w spokojniejszych momentach.

- Nigdy nie sądziłem, że kiedyś opuszczę Ziemię - stwierdził nagle Pablo.

- Ja też - przyznał Ethan. - Ponoć ją zobaczymy, kiedy transportowce wykonają zwrot, żeby rozpocząć hamowanie przed wejściem na orbitę. Aczkolwiek nie spodziewam się spektakularnego widoku.

- Znaleźliśmy się tak daleko od domu... - zauważył Desoto po chwili ciszy. - Pan zagląda czasem do siebie?

- Nie rozumiem.

- Wie pan. Dom, rodzice, bracia i siostry.

- Dom... - powtórzył Stark, przeciągając to słowo, a potem pokręcił głową. - Nie. Nie byłem w domu od wstąpienia do armii. W mojej okolicy mieszka sama cywilbanda.

Desoto zrobił wielkie oczy ze zdziwienia.

- Pana rodzice byli cywilami? Nie wychowywał się pan w forcie?

- Zgadza się. - Ethan odwrócił wzrok do ekranu, skupiając myśli na głębokiej przestrzeni. - Chciałem tam pojechać zaraz po otrzymaniu awansu na kaprala. Taki byłem z tego dumny, mówię ci. Dochrapałem się tego stopnia w zaledwie trzy lata.

- Trzy lata? - powtórzył z podziwem Pablo. - Jakim cudem udało się panu ta sztuka?

- Zaraz tam sztuka. - Sierżant próbował się wykręcić, a potem wzduszył ramionami. - Po prostu miałem szczęście.

- Trzeba czegoś więcej niż szczęścia, żeby awansować w tak szybkim tempie. Dostał pan awans na polu bitwy czy coś?

Stark znów wbił wzrok w tarczę Księżycy, by uniknąć spojrzenia kaprała.

- Czy coś. Słuchaj, nieistotne, jak to się stało. Po prostu dostałem awans.

Desoto w końcu zauważył, że jego przełożony nie ma ochoty o tym mówić, dlatego skinął tylko głową i zmienił temat.

- I co się stało, kiedy spróbował pan wpaść do domu?

- Przejeżdżałem akurat przez moje miasto i pomyślałem: a co mi tam, zajrzę na moją starą dzielnicę.

- Idę o zakład, że mocno się zmieniła.

- Nic podobnego. - Stark skrzywił się na to wspomnienie. - Wszystko było tam takie jak dawniej. To ja się zmieniłem. Nosilem mundur. Cywile gapili się na mnie jak na jakiegoś odmieńca. - Przebywał w koszarach od tak dawna, że już zapomniał, jak rzadkim widokiem dla cywilbandy był człowiek w uniformie, jeśli nie liczyć weteranów walk z początku dwudziestego pierwszego wieku. - Gapili się na mnie, jakbym był Obcym z dwiema głowami.

Desoto przytaknął.

- Wiem coś o tym. Sam przeżyłem podobną sytuację. Ludzie zachowują się, jakbyś miał zaraz ich pozabijać albo przynajmniej zgwałcić synów i córki. - Nagle roześmiał się na cały głos. - A może boją się, że ich dzieci, widząc nas, mogą nabrać ochoty, by zaciągnąć się do woja.

Stark zareagował krótkim rechotem.

- Możliwe. Popatrz tylko, co ja zrobiłem. Oni nas po prostu nie znają, Pablo.

- Mendoza twierdzi, że kiedyś prawie każdy znał kogoś z armii albo sam w niej służył. Ale to było dawno temu, jeszcze przed impasem. Teraz jest niewielu ludzi w służbie czynnej i wszyscy spędzają w niej niemal całe życie, dlatego cywilbanda nie ma z wojskowymi żadnej styczności... Co się stało, gdy dotarł pan do domu?

- Nie dotarłem. - Stark przypomniał sobie gliniarzy, cały ten zamęt i niepokój, z jakim powitano go na dworcu autobusowym.

Zgubiłeś się, żołnierzyku? Twoja baza leży tam. Chcesz się napić, wsiadaj w autobus numer dwanaście i jedź do dzielnicy barów dla armii. Nie, zaprotestował, wpadłem tutaj tylko przejazdem. No to jedź dalej, poradzili mu, nie zatrzymuj się. To spokojna okolica. Cywilna dzielnica...

- Zostałem zatrzymany przez patrol policji. Funkcjonariusze dali mi do zrozumienia, że nikt mnie tam nie chce. „Boicie się, że mogę kogoś zabić?” zapytałem. „Przecież to właśnie robicie”, odpowiedzieli. „Zabijacie ludzi”.

- *Bastidos.*

- Cholerna racja.

- I dał się pan wyprosić?

- Niezupełnie. - W oczach Starka zapłonęły ogniki, stare urazy znów wypłynęły na wierzch. - Ale zawróciłem. I nigdy więcej nie pojechałem do domu.

Desoto spróbował obrócić to w żart.

- W życiu bym nie pomyślał, że ktoś taki jak sierżant Stark wymięknie przed paroma gliniarzami.

Ethan spojrzał na swoje dłonie, nie przejawiając oznak rozbawienia.

- Nie wymiękłem przed nimi, Pablo. Wystraszyłem się tego, że moi rodzice mogą być tacy jak oni. To mnie skutecznie odstręczyło od domu.

- Przepraszam. Dlaczego oni zachowują się wobec nas w ten sposób? Bez przerwy narażamy za nich życie, a oni odpłacają nam najgorszym, kiedy tylko nas widzą. Dlaczego?

- Może dlatego, że nie mają pojęcia o tym, jak wygląda prawda? Chcą, aby wojsko ich broniło, ale najlepiej, żeby robiło to jak najdalej od ich domów.

- Czasami zastanawiam się też, dlaczego my to robimy... Dlaczego nie zajmujemy się czymś innym?

- Czymś innym? - Stark zaśmiał się. - Na przykład czym? Chciałbyś pracować na etacie jak cywile? Chodzić do roboty w garniaku?

- Nie. Zdaje się, że cywilbanda jest dla nas równie obca jak my dla niej.

- To prawda. Dorastałem wśród cywilów, ale czasami nie potrafię sobie przypomnieć, jak to było. Bywa, że tamto życie wydaje mi się koszmarem, zupełnie odmiennym od tego, co znam teraz.

- Jak to: odmiennym?

- Przecież wiesz... - Stark szukał przez chwilę lepszego określenia. - No, po prostu odmiennym.

- Dorastałem w forcie - przypomniał mu Desoto. - Nie wiem, o czym pan mówi. W szkole to samo, albo matka, albo ojciec, a czasami nawet oboje rodzice byli mundurowi, wielu służyło na misjach. A my wszyscy wiedzieliśmy, że jak dorośniemy, także wstąpimy do armii. Czy z dziećmi cywilów jest tak samo?

- Nie. - Stark opuścił głowę i wbił wzrok w stalowy pokład pod swoimi stopami. -

Nie. Dzieci cywilów... Powiem tak: ich rodzice robią mnóstwo rzeczy. Pracują w rozmaitych zawodach. Nie przypominam sobie jednak, by któryś z moich rówieśników biegał po ulicy i darł się, że zostanie tym, kim był jego ojciec albo matka.

- Nie chcieli?

- Nie. Ja też nie chciałem. To takie... zagmatwane. Będąc cywilem, ma się wiele opcji do wyboru, choć większość i tak okazuje się potem nieosiągalna, ale tego się z początku nie wie. A wojo jest całym twoim życiem. Cokolwiek zrobisz, służy to armii. Z pracą w cywilu sprawa wygląda zupełnie inaczej. Możesz rozumieć, w jaki sposób twoi rodzice zarabiają na życie, albo i nie. Możesz chcieć robić to samo, ale nikt cię do tego nie zmusi.

Desoto kiwał głową, choć minę miał nietęgą.

- Nie chciał pan iść w ślady ojca?

- Nie.

- Stary miał paskudną robotę?

Stark podniósł w końcu głowę, z jego miny nie można było jednak niczego wyczytać.

- Tak wtedy uważałem. Kiedy byłem nastolatkiem, wydawało mi się, że pozjadałem wszystkie rozumy.

- Jak nam wszystkim, sierżancie - przyznał rozbawiony Desoto.

- Wiem. Teraz już tak nie myślę. Może mój ojciec nie miał najbardziej odpowiedzialnej roboty na świecie, ale przynajmniej dawał z siebie wszystko.

- Pan ma za to bardzo odpowiedzialne stanowisko.

- Lubię tak myśleć, ale wiem, że cywilbanda ma na ten temat inne zdanie. Byłem tam, Pablo. Byłem jednym z nich. I nie miałem bladego pojęcia, jak jest w armii. - Wzruszył ramionami. - Teraz to już nieważne. Cywilny epizod mojego życia przeszedł do historii.

- Ale nadal ma pan dom po tamtej stronie.

- Chyba tak. W pewnym sensie. Jak już wspomniałem, życie bez munduru wydaje mi się dzisiaj bardzo nierzeczywiste. - Poklepał Desoto po ramieniu. - Po cholere mam się kręcić po mieście, szukając chaty, skoro mój dom jest tutaj?

\* \* \*

Gdy wróg uderzył na ostatnią linię obrony, rzucając do walki wszystko, czym dysponował, sensory przestały się wyrabiać z informowaniem o nadchodzących zagrożeniach nawet po założeniu najlepszych filtrów na łącza komunikacyjne sprzętu bojowego. Powierzchnia Księżyca drgała rytmicznie bombardowana pociskami artyleryjskimi. Wniecony ich eksplozjami pył opadał wolno, tworząc półprzezroczyste kaskady rozdzierane tu i ówdzie przez pociski z broni ręcznej i odłamki granatów.

Wyświetlacz komputera taktycznego na przedramieniu Starka połyskiwał radośnie, nie pokazując żadnych nowych rozkazów i uaktualnień. Wyglądało na to, że trepy znowu potraciły głowy. Zero decyzji, żadnych błyskotliwych forteli. Brońcie swoich pozycji do ostatniego człowieka. Moi ludzie nie będą pierwszymi, którzy polegli tylko dlatego, że ktoś nie potrafił wymyślić, jak wydostać jednostkę z kotła. A teraz w dodatku leci przekaz na żywo do sieci wizyjnych. Wielki dramat. Krew i flaki. Cywilbanda napatrzy się z chora fascynacją na śmierć, ale nie przez wizjery hełmów upstrzone ikonkami, tylko wygodnie rozparta w fotelach, z precelkami i schłodzonym piwem w dłoniach.

Nie można po prostu zwać, bo to naraziłoby wszystkie pozostałe jednostki broniące ostatniej linii. Pozostanie na miejscu natomiast oznaczało śmierć w walce o jej utrzymanie, a tym razem ponoszenie tak wielkiej ofiary było bezsensu. Stark wtulił się w pył między odłamkami skał, czując, jak zabójcze uderzenia zbliżają się do jego stanowiska. Oczami wyobraźni widział przed osłoną hełmu tańczące duchy zdeptanej trawy. Kołysały się w takt kolejnych eksplozji. Ilu ludzi broniących tej grani już poległo? Ile czasu zostało do chwili, gdy wróg po przygotowaniu artyleryjskim ruszy ponownie i przełamie linię obrony?

Każda jednostka jest w stanie wytrzymać określony napór. Może odpowiadać ogniem do momentu, gdy wyczerpie posiadane zapasy amunicji albo zmęczenie walką pokona ludzi dzierżących broń. Zbyt długa wymiana ognia powoduje, że człowiek dochodzi do przekonania, iż każdy nadlatujący pocisk zniszczy wszystko, a własny ogień nie jest w stanie sięgnąć niczego. Stark mógł teraz jedynie czekać, kiedy linia obrony jego oddziału przestanie stanowić całość, a żołnierze rzuca broń i zaczną uciekać.

On sam znalazł się już w podobnej sytuacji, daleko stąd, tam, gdzie rosła trawa. Całe mnóstwo wysokiej bujnej trawy pokrywającej szczyt niewielkiego wzniesienia. Trawy zdeptanej ciężkimi buciorami i zroszonej potokami krwi podczas pewnego gorącego popołudnia, które przechodziło z wolna w nie dający nadziei zmierzch. W miejscu, gdzie przeciwnik mógł liczyć na wsparcie z zewnątrz, a oni mieli braki we wszystkim: w sile żywej, amunicji i taktyce. Wystarczyło, że Stark przymknął oczy, i znów widział wszystko, jakby cofnął się w czasie: linię drzew rozświetlaną ogniem broni maszynowej, widoczną bardzo wyraźnie mimo gorączkowości panującej na polu bitwy; żołnierzy obu stron ginących natychmiast bez słowa skargi bądź konających głośno w niekończących się paroksyzmach bólu. Spełniających ostatni obowiązek wobec towarzyszy broni, którzy rozszabrowywali wyposażenie stygnących zwłok, desperacko poszukując dodatkowej amunicji i pakietów medycznych.

*Nie tym razem, pomyślał Stark, czując narastający gniew. Nie będę siedział beczynn*

*i patrzył, jak wszyscy wokół mnie giną. Nie dbam o to, co się ze mną stanie. Tylko... co ja mogę zrobić?*

Na kanale drużyny usłyszał łamiący się z przejęcia głos Hectora.

- Sierzancie, tutaj robi się *mondo* nieciekawie.

Odpowiedział natychmiast, starając się zachować pełny spokój, mówił ostrym chłodnym tonem jak podczas rutynowej inspekcji. *Nie panikuj, kontroluj ich i swój strach.*

- Mam cię trzymać za rączkę? Bywałem w znacznie gorszych sytuacjach niż ta.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza, w którą wciąła się dopiero Billings, meldując z nienaturalnym spokojem w głosie:

- Hector nie żyje, sierzancie.

Oniemiały Stark spojrział na wyświetlacz HUD-a. Nie miał żadnych odczytów o stratach. *Sukinsyny! Odcieśli mi dostęp nawet do takich danych. Szlag, szlag, szlag!* Sztab brygady zaczynał cedzić informacje dostępne dla żołnierzy niższych stopni. To mogło oznaczać, że trepy spodziewają się poważnych strat i nie chcą, by ich podwładni wiedzieli, że są dziesiątkowani. Mieli gdzieś, że podoficerowie tacy jak Stark nie będą mogli ocenić gotowości bojowej własnych jednostek.

*O nie*, pomyślał Ethan z jeszcze większą wściekłością. *Nie będę grał według waszych zasad. Nie tutaj. Nie teraz.*

Istniało inne rozwiązanie. Nie ma rozkazów? Świetnie. Zacznie wydawać własne. Może po raz ostatni. Ale ocali swoją drużynę, jeśli to jeszcze możliwe. Skoro i tak mają trafić do worków na zwłoki, tym bardziej nie widział powodu, żeby nie spróbować. Uniósł szybko głowę mimo strachu, że gwałtowniejszy ruch ściągnie na niego ogień wroga, i wolno przeskanował otoczenie, koncentrując się mocno, by nie ulec narastającej wciąż panice. Nawalnica ogniowa była tak silna, że wzniecone nią strumienie wolno opadającego księżycowego pyłu oraz kamieni zaczęły przesłaniać, a nawet całkowicie blokować pole widzenia. Stark zerknął na szcztątkową mapę zapisaną na wyświetlaczu HUD-a. Gdyby udało mu się pokonać równinę dzielącą ich pozycje od grani, znalazłby się wśród żołnierzy przeciwnika. Nawet jeśli nie odniesie sukcesu, przynajmniej nie zginie jak robał rozgnieciony pod kamieniem. A może będzie lepiej. Nieprzewidywalne ruchy są najlepsze. Wróg napierał nieprzerwanie, starając się przerwać linię obrony, i dlatego musiał być już także wyczerpany walką.

*Dobra. Atakujemy tamtą grań. To tylko sto metrów. Bulka z masłem na torze przeszkód, ale tutaj niemożliwie długi dystans.* Jego drużyna będzie potrzebowała wsparcia ogniowego, a nie mieli już amunicji, by prowadzić ostrzał osłonowy.



Za to wzniesiony pył może działać na ich korzyść. A było go tu cholernie dużo.

Stark przełączył się na osobisty kanał, ten, do którego dowództwo ani wideo nie miało dostępu.

- Pablo - wywołał swojego kaprała. - Będziesz mi potrzebny. Rozbij jaja po tej linii... - Gdy to mówił, zaznaczył dzięki celownikowi zamontowanemu na hełmie serię punktów zarówno na samej grani, jak i na równinie przed nią.

- Robi się, sierzancie. - Desoto nie wyglądał na uszczęśliwionego, ale nie kwestionował zasadności wydanych rozkazów. - Tym sposobem pozbędę się całego zapasu granatów - ostrzegł.

- Jeśli to nie zadziała, i tak nie będą ci potrzebne. - Po tych słowach Stark przełączył się ponownie na ogólny kanał, pozwalając, by dowództwo mogło śledzić jego posunięcia. Zdawał sobie bowiem sprawę, że sztab i tak nie zdąży zablokować wydanych przez niego rozkazów.

- Trzecia drużyna, przygotować się. Dobra. Kapralu Desoto, ognia!

Na wyświetlaczu HUD-a w jego hełmie pojawiły się trajektorie dwunastu granatów zmierzających łukiem do wyznaczonych przez niego punktów. Wszystkie trafiły w cel mimo silnego ognia z przeciwnej strony. *Dobra robota, Pablo*. Pociski uderzyły w grunt i po krótkiej chwili eksplodowały pod jego powierzchnią, wzbijając tuż przed szczytem wzniesienia chmury gęstego pyłu.

- Trzecia drużyna! Za mną!

Stark ruszył przed siebie, ignorując głos, który darł się nieprzerwanie w jego głowie: padnij, padnij, padnij! Stoczył się w dół łagodnego zbocza, odzyskał równowagę i zaczął biec, wykonując serię uników na wypadek, gdyby któryś z żołnierzy przeciwnika jakimś cudem zdołał go dostrzec. Starał się jednak nie zbroczyć za bardzo z kierunku prowadzącego na przeciwległą grań. Jego HUD migał jak szalony w coraz mocniejszym polu zakłóceń, potem całkiem zgasł oślepiiony tumanami pyłu. Ethan widział teraz wyłącznie miejsca w najbliższym otoczeniu, gdy ciemną zawiesinę rozjaśniały gazy wylotowe z luf karabinów i impulsy energetyczne. Gnał dalej, mając nadzieję, że jego ludzie podążają za nim, i starając się nie wybiegać myślami poza następne posunięcie.

Wyczuł pod stopami, że teren zaczyna się wznosić, odbił się więc najmocniej jak potrafił, by uzyskać maksymalny pęd. Wydostał się niespodziewanie z chmury pyłu, błyszczące na czarnym niebie gwiazdy wydały mu się nienaturalnie jasne, gdy pokonywał ostatnim susem szczyt wzniesienia i opadał na grunt po drugiej stronie. W locie wykonał obrót wokół własnej osi i sunąc plecami po pyle, odpalił ostatnie granaty, naprowadzając je

na dwa skupiska przyczajonych sylwetek. Żołnierze wroga rozpierchli się, z rozszczelnionych skafandrów wytrysnęły strumienie pary. W kierunku leżącej sylwetki napastnika poszybowały długie serie pocisków, przeszły jednak górą, zadając kolejne straty stojącym naprzeciw zgrupowaniom.

Stark zatrzymał się w końcu, mierząc nerwowo i nie przestając strzelać. Poczł narastającą panikę, gdyż ogień przeciwnika nie osłabł za bardzo, i zdał sobie sprawę, że pozostały mu zaledwie sekundy życia. *Nie udało się, pomyślał. Ale przynajmniej spróbowałem. Wybaczcie, chłopaki. Mam nadzieję, że cywilbanda zobaczy nasze poświęcenie. Może moja mama i tata też będą to oglądali i poczują dumę ze swojego syna, o ile zdołają patrzeć na moją śmierć w tym odległym miejscu.*

Na szczycie wzniesienia zamajaczyła kolejna sylwetka. Gdy Stark skierował w jej kierunku broń, spust pod jego palcem nie poddał się, a system IFF zaświergotał: „Swoj, swój!”. Moment później dostrzegł kolejnych Amerykanów. Jego drużyna wpadła, wrzeszcząc i strzelając, między żołnierzy przeciwnika, którzy nie zdołali się jeszcze otrząsnąć po zaskakującym manewrze Ethana. Wróg zaczął się cofać, jego szeregi poszły w rozsypkę.

- Jezu, sierżancie - wysapał Murphy, gdy przypadł do ziemi obok Starka, nie przestając strzelać ani na moment. Trzymana w opancerzonych rękawicach broń wypluwała z siebie niekończący się strumień pocisków. - Dlaczego pan to zrobił, u licha? Powinien pan nas ostrzec następnym razem.

- Jasne! - odkrzyknął Ethan, instynktownie odtaczając się od szeregowca, aby nie kusić losu. Jego komunikator ożył, to dowództwo starało się przebić przez zagłuszacze wroga.

- Zająć się ciężką bronią! - rozkazał.

Jego ludzie natychmiast zwrócili lufy karabinów w stronę umocnionych stanowisk. Obsady karabinów maszynowych i moździerzy odzyskały w końcu zmysły i próbowały przenieść ogień na intruzów, których nie zasłaniały już szeregi własnej piechoty. Kilku chłopców Starka próbowało się wspiąć ponownie na wzniesienie, ale przypadli do ziemi, gdy otwarto ogień, z którym ich pancerze nie mogły się mierzyć. Atak załamał się i doszło do chwilowego impasu, podczas którego żołnierze przeciwnika starali się zrozumieć, na czym polegał ich błąd, i wymyślić naprędce sposób zlikwidowania wroga, który tak niespodziewanie znalazł się za ich plecami.

Masywny kształt wysunął się zza grani, opadając na jej przeciwległy stok w asyście gęstych chmur pyłu. Wieżyczka czołgu obróciła się i umieszczone na niej ciężkie karabiny maszynowe zasypały gradem pocisków pobliskie umocnienia, niszcząc je doszczętnie. W komunikatorach drużyny rozległy się gromkie wiwaty. *No jasne, pomyślał Stark. Teraz, kiedy*

*oczyściliśmy granie z żołnierzy wroga, czołg mógł dostać się na nią bez ryzyka zniszczenia.* Zapalał nagle ciepłym uczuciem do wszystkich pancerniaków, a zwłaszcza do tych, którzy zaryzykowali życie i sprzęt, aby wesprzeć ich atak. Wieża wozu bojowego zamarała na moment i cały pojazd zadrżał, gdy ożyło główne działo. Kilka sekund później dostrzegli w oddali błysk potężnej eksplozji.

Zza grani wysypywały się kolejne oddziały piechoty. Gdy Ethan przeładował dane do HUD-a, zobaczył na wyświetlaczu, że niemal cały pluton ruszył w ślad za jego drużyną.

- Stark! - w komunikatorze usłyszał zagniewany głos Porucznika Portera. - Co wy u licha... - zaraz jednak utracił połączenie, to taktyczny po wyłączeniu zagłuszania zaczął uaktualniać dane. Góra kazała im rozpocząć uderzenie wzdłuż grani. Ktoś w sztabie dostrzegł okazję, jaką stworzyła niespodziewana szarża drużyny Starka, i zdołał się otrząsnąć na czas ze stuporu, by zaplanować kolejne ruchy.

Pierwsza linia wroga poszła w rozsypkę. Część piechoty nadal uciekała w popłochu, inni żołnierze zatrzymywali się i rzucali broń, czekając, aż ktoś weźmie ich do niewoli. Czołg likwidował metodycznie każdy cel w polu widzenia, zjeżdżając powoli w dół zbocza, by kolejne maszyny mogły dołączyć do tego dzieła zniszczenia. Stark widział na wyświetlaczu HUD-a, jak inne oddziały poszerzają stworzony przez niego wyłom, rozlewając się niczym fala powodziowa po przerwaniu tamy. Chwilę później potoki ludzi zaczęły jednak rzednąć, a potem skończyły się raptownie, gdy ostatni żołnierze przekroczyli linię frontu. *Nie mamy żadnych odwodów*, pomyślał ze smutkiem Ethan. *Musieliśmy zaangażować całe siły, aby powstrzymać natarcie wroga.*

Przyklęknął i spróbował ocenić sytuację własnej drużyny, aczkolwiek zdawał sobie sprawę, że nie może tak do końca ufać widzianym odczytom. Ani tym dotyczącym stanu zdrowia ludzi, ani ich gotowości bojowej. Gdzieś daleko rozgorzała gwałtowna wymiana ognia, to wróg wprowadził do walki odwody, próbując powstrzymać kontrnatarcie i załatać wyłom. Obie armie starły się w boju, który przypominał ostatnią rundę walki bokserskiej, podczas której obaj zawodnicy wyprowadzają wciąż ciosy, ale są zbyt wyczerpani, by mogli sobie zrobić większą krzywdę. Na wyświetlaczu HUD-a Stark widział tylko prawdopodobne rozmieszczenie jednostek, co było nieuniknione przy tak wielkim szumie informacyjnym, zagłuszaniu i opóźnieniach w przekazie danych, niemniej dało się zauważyć, że linia frontu stabilizuje się mimo napływających ze sztabu ponagleń, aby kontynuować natarcie na zwierającego szeregi wroga.

- Dajcie spokój - jęknął Ethan, sprawdzając stan amunicji. W magazynku miał zaledwie sześć naboí. Wątpił, aby któryś z jego ludzi znajdował się w lepszej sytuacji. -

Poruczniku Porter?

- Stark! - Sygnał był tak mocny, jakby dowódca plutonu zdołał dotrzeć jakimś cudem na tę stronę grani. Może pomogła mu w tym ta kobieta, pilotka uszkodzonego transportera, dysząca wciąż żądzą odwetu za śmierć swojego działonowego. - Jeśli jeszcze raz nie wykonasz rozkazów zapisanych na taktycznym, to... to...

- Tajest, panie poruczniku. Właśnie otrzymaliśmy rozkaz kontynuowania natarcia, ale nie mamy już amunicji.

- I co z tego? Wykonać rozkaz! Róbcie, do cholery, co wam każą!

- Pragnę panu przypomnieć - odpowiedział mu Ethan, siląc się na niewinny ton - że w takiej sytuacji regulamin naszej armii każe okopać się i czekać na uzupełnienia.

- Naprawdę? A niech mnie. Sierzancie Reynolds!

- Zgłasza się Reynolds. - Usłyszeli głos Vic. Stark pokiwał głową z radości, że i ona przeżyła ten szaleńczy atak.

- Jak u was z amunicją?

- Zostało nam po parę naboju na głowę, panie poruczniku.

- Sierzancie Sanchez? - W głosie dowódcy plutonu dało się wyczuć rosnącą irytację.

- Melduję się, panie poruczniku. - Dowódca drugiej drużyny był niewzruszony, jakby wzywano go do raportu po porannym apelu. - Ja nie mam już ani jednego naboju.

- Dlaczego nie zachowano dyscypliny ogniowej? - zapytał Porter. - Jakie ponieśliście straty?

- Nie wiem - odparł lodowatym tonem Stark. - Zablokowano mi dostęp do tego rodzaju danych. Odczyty w taktycznym nie są aktualizowane.

- Ale... - zaczął Porter, lecz zaraz zamilkł. Gdy odezwał się znowu, mówił z wyraźnym wysiłkiem. - Zamelduję dowództwu o stanie naszej jednostki. Czekać na dalsze rozkazy.

Stark, zwalczając nudności charakterystyczne dla człowieka wychodzącego z niespodziewanego zagrożenia, przełączył się na kanał osobisty, chcąc porozmawiać z Reynolds.

- Hej, Vic. Co zrobiłaś z amunicją? Wy też walczyliście na swoim odcinku?

- I kto o to pyta? Ilu aniołów stróżów trzeba było tym razem, żebyś... O Boże!

- Co? - Ethan natychmiast sprawdził odczyty wyświetlacza i mimo panującego na nim zamętu natychmiast zauważył nadciągający problem. *Ale błęd. To jeszcze nie koniec. Postąpiliśmy nieroztropnie...*

- Trzecia drużyna! Kryć się!

Ciężka artyleria wroga w końcu zareagowała. Wielkie pociski zaczęły spadać na krawędź grani, uciekające w popłochu jednostki piechoty musiały przekazać dane o aktualnych pozycjach Amerykanów. Stark przypadł do najbliższej skały, gdy ziemia zadrżała pod jego nogami. Eksplozje były tak potężne, że fontanny wzniesionego pyłu zdawały się sięgać czarnego firmamentu. Zastanowiło go, dlaczego wróg koncentruje ogień akurat na tym odcinku frontu, gdy nagle zrozumiał, w czym rzecz.

- Trzecia drużyna, wynosimy się stąd! - zawołał. - Spieprzajcie jak najdalej od tych czołgów, ale już!

Pancerne kolosy zawsze ściągały na siebie ogień artyleryjski. A wokół stanowisk drużyny Starka znajdowały się aż trzy stalowe bestie. Ethan rzucił się na prawo, w dół zbocza, lecz zdołał zrobić zaledwie kilka kroków, zanim czujniki jego skafandra wykryły kolejne zagrożenie. Znowu padł na ziemię, zapominając na moment o tym, gdzie się znajduje. Zamiast łagodnie przykłęknąć, zdał się na prawa fizyki i poszybował sennie ku grubej pokrywie pyłu. Obok niego wystrzeliła w niebo kolumna oślepiającego ognia. Gigantyczna dłoń eksplozji musnęła go palcami szrapneli. Widział ciemność, z której zniknęły wszystkie gwiazdy. W uszach dzwoniło mu tak mocno, że nie był w stanie rozróżnić padających komunikatów od brzęczyków alarmowych skafandra. Sponiewierana, ale jakimś cudem wciąż sprawna zbroja przyjęła na siebie cały impet eksplozji, niemniej mimo wielu rys zachowała szczelność i sprawność.

- Trzecia drużyna, za mną. - Zerwał się i ruszył niezdarnie w dół zbocza. Albo noga, albo jej opancerzona osłona odmawiała mu posłuszeństwa.

- Sierzancie? - Ktoś pytał zniekształconym przez zakłócenia, piskliwym głosem. - Znowu będziemy atakować?

Stark spojrzał na taka. Czerwone litery układały się w słowa, z których wynikało, że dowództwo każe im natychmiast ruszać na wroga.

- Nie.

- Ale rozkazy...

- Pieprzyć rozkazy. Okopimy się w tym miejscu.

\* \* \*

Stark stał niepewnie z hełmem w zagięciu łokcia, jakby oddawał zwyczajowy hołd poległym. Znajdował się w szpitalu polowym przed lekarzem, który wyglądał, jakby nie spał co najmniej od tygodnia. Mężczyzna mierzył go spojrzeniem zaczerwienionych oczu.

- Przyszedłem w odwiedziny do Gomez - poinformował go sierżant, wskazując głową na blok pooperacyjny.

- Gomez. - Lekarz skoncentrował się z wyraźnym wysiłkiem, zaczął wolno stukać w klawiaturę leżącego przed nim laptopa. - Anita? Sala 25B.

- Dziękuję.

Ethan udał się we wskazanym kierunku, trzymając ręce z dala od idealnie białej farby, którą pokryto powierzchnię kamiennych ścian w korytarzu. Sala 25B znajdowała się za równie nieskazitelną zasłoną. Ona także była biała, podobnie jak sufit, pościel, w której ułożono Gomez, i zagipsowana niemal w całości noga tej ostatniej. W takiej scenerii nawet skóra na twarzy kobiety wydawała się kredowa. Ale temu akurat winny był szok pourazowy.

Stark przysiadł obok niej, czekając cierpliwie. Sen był teraz ważniejszy nawet od tego, co chciał jej powiedzieć, dlatego nie przeszkadzał Anicie, dopóki nie poruszyła się nerwowo i nie zmrużyła oczu, rozglądając się z wyrazem wielkiego zdziwienia na twarzy po śnieżnobiałym otoczeniu.

Gomez gapiała się na niego, nie mogąc wydukać słowa, dopóki nie skrzywił lekko warg, siląc się na uśmiech.

- Wygląda na to, że w końcu znalazłem sposób na zamknięcie ci ust. - Pochylił się, by spojrzeć jej w oczy. - Nie wyglądasz mi na osobę oszołomioną środkami uspokajającymi. - Wskazał palcem jej nogę. - Powiedziano mi, że obok ciebie eksplodował jeden z tych ciężkich pocisków. Na tyle blisko, że znalazłaś się w polu rażenia fali uderzeniowej, ale zarazem na tyle daleko, że ominęły cię wszystkie odłamki. Wstrząs doprowadził jednak do złamania kości i pozbawił cię przytomności, ale nie doszło do rozszczelnienia kombinezonu. Miałaś szczęście.

Gomez zaczerpnęła tchu, a potem na poły jęknęła, na poły załkała, gdy nawet tak mały ruch spowodował kolejną falę bólu. Podniosła kołdrę jedną ręką i skrzywiła się, widząc purpurowo-czarne lizsaje sińców na ciele. W tym otoczeniu wydawały się o wiele intensywniejsze, niż były w rzeczywistości.

- Cholera. Myślałam, że zginęłam. - Znowu się skrzywiła, jakby poczuła, że nie powinna sobie pozwalać na aż taką szczerłość wobec przełożonego.

- Wszyscy o mało tam nie poginęliśmy - przyznał Ethan.

- Kazał nam pan iść za sobą - wytknęła mu zaraz.

- Tak. To prawda. To było szalone, ale obawiam się, że inaczej nie wyszlibyśmy z tego cało.

- Wiem. Dokonał pan słusznego wyboru, sierżancie. Ocalił pan nam tyłki.

- No tak, przynajmniej chwilowo.

- Co słychać na linii frontu?

- Okopujemy się - oznajmił Stark. - Wszyscy budują bunkry i stawiają pola minowe. Krążą słuchy, że będziemy odbijali to, co utraciliśmy. Politykom nie przeszła chęćka na zagarnięcie całego Księżyca. Piekielnie się na niego napalili.

- Wspaniale. A co na to druga strona? Pozwolą nam na to?

- Nie. Wygląda na to, że zrobią wszystko, aby wygnać nas na dobre z Księżyca. Mają już dość tego wiecznego popychania. Bali się stawić nam czoło na Ziemi, gdzie mamy gigantyczną przewagę, ale tutaj mogą próbować.

- Jezu - jęknęła. - Wychodzi na to, że dzisiaj wszyscy postanowili postawić na swoim.

- Zgadza się, a my siedzimy dokładnie na linii podziału. Zapowiada się cholernie długa wojna.

- Szczęściarze z nas - Gomez wyszczerzyła wszystkie zęby. - Proszę spojrzeć, ja wciąż żyję.

- Ano szczęściarze. - Stark zaczerpnął tchu, unikając wzroku Anity. - Dobrze się sprawowałaś ostatnimi czasy. Naprawdę świetnie. Mogłem na tobie polegać. Byłaś ostra. Dbałaś nie tylko o siebie, ale i o innych żołnierzy.

Splonęła się i odwróciła wzrok, nie będąc w stanie przyjąć ze spokojem tak wielu pochwał.

- Robiłam, co do mnie należało. Zawsze pan nam powtarzał, że powinniśmy dbać o siebie wzajemnie.

Stark rozparł się na krześle, uważnie mierząc ją wzrokiem.

- Zostałaś awansowana na polu walki. Jesteś teraz kapralem. Gratuluję.

Gomez spojrzała na niego z niepokojem.

- Kapralem? Sierzancie, dobrze mi było jako szeregowej. Nie chcę tego awansu. Nie, dziękuję.

- To nie propozycja, więc nie możesz odmówić. Potrzebujemy nowego kaprała - oświadczył dobitnie Stark - a ty najlepiej nadajesz się do tej roli.

Trochę to trwało, ale prawdziwe znaczenie jego słów dotarło w końcu do Gomez.

- Pablo? On też dostał kulkę?

- Dostał? Tak. - Twarz sierżanta pozostała niewzruszona, głos mu też nie zadrzał. - Dzięki nagraniom z kamer zdołano ustalić, co się z nim stało. Zaliczył bezpośrednie trafienie jednym z tych wielkokalibrowych pocisków, bodajże z dwustumilimetrówki. Ty i ja mieliśmy szczęście, jemu go zabrakło. Znalaziono tylko tyle szczątków, by potwierdzić zgodność DNA.

- A niech to - wyszeptwała Gomez, mrugając szybko. - Pablo zawsze bał się worków na zwłoki. Mówił, że jego największym koszmarem jest, że ktoś go zapakuje do takiego worka za

życia. Śmieszna sprawa, nie? Tyle mieliśmy powodów do obaw, a on bał się czegoś takiego. A jak się okazało, nie będzie potrzebował żadnego worka, rozerwany na miliony strzępów spocznie... no właśnie, jak nazywało się to miejsce, o które walczyliśmy?

- Morze Spokoju - odparł Ethan. - W każdym razie jego skraj.

Gomez pokiwała głową.

- Te czołgi, które uratowały nam skórę, wjeżdżając na grań. To one ściągnęły na nas później ogień i przez nie zginął Pablo.

- Prawdopodobnie. Ale to raczej moja wina. Powinienem był przewidzieć taki rozwój sytuacji i wycofać nas z tamtego rejonu zawczasu.

- Nie, sierżancie. Potrzebowaliśmy osłony tych czołgów, ale nie ma nic za darmo.

- Zgadza się.

- Straciliśmy kogoś jeszcze?

- Hector dostał kulkę podczas ostrzału na chwilę przed rozpoczęciem kontrataku. Carter odstrzelili głowę, zanim czołgi zlikwidowały umocnienia na grani. Chen jest ranny, zaliczył postrzał w lewe biodro, ale łapiduchy już mu wymieniły staw i wyjdzie z tego.

*Ciekawa sprawa. Zbroja bojowa dobrze chroniła umieszczonego w niej człowieka, ale jeśli coś zdołało ją przebić, przeważnie kończyło się na śmierci żołnierza. Mniej rannych. Więcej zabitych. Z punktu widzenia armii dobry interes.*

- Mogło być gorzej - pocieszyła go Gomez. - Znacznie gorzej.

- Tak, mogło być gorzej. - Stark wstał, czując na barkach ogromny ciężar mimo zmniejszonego przyciągania satelity. - Muszę już iść. A ty odpoczywaj. Chciałem być przy tobie, kiedy się obudzisz. - Odwrócił się, ale spojrzał jeszcze w jej kierunku, zanim wyszedł. - Przykro mi z powodu śmierci Juana Hectora, Susan Carter i Pabla. Wiem, że to byli twoi przyjaciele. Desoto był także moim kumplem i cholernie dobrym kapralem. Zostałby kiedyś świetnym sierżantem. - *Powinienem być bardziej się starać. Zrobić coś. Cokolwiek.* Tych ostatnich zdań nie wypowiedział na głos. Ciężyły mu one na ramionach jak niewidzialne brzemie.

Gomez raz jeszcze skinęła głową, nic nie mówiąc, i Stark wyszedł.

Białe ściany, zasłony i sklepienia emanowały spokojem i ciszą, tak potrzebną rannym do zdrowienia. Ale w umyśle idącego przez szpitalne oddziały Starka nie było miejsca na nic prócz pożogi wojennej, chaosu i bólu.



**CZĘŚĆ DRUGA**

**TAM, GDZIE NIE DOLECIAŁ  
ŻADEN SKOWRONEK**

Po okopach na pierwszej linii zaczęła krążyć plotka. Wiadomość trafiała do kolejnych bunkrów, zwiastując więcej bólu i kolejne straty.

- Spadają wyniki oglądalności tej wojny.

Stark zaklął pod nosem, w półmroku bunkra na jego twarzy odbijał się skomplikowany wzór światłocieni rzucanych przez blask bijący z wyświetlacza komputera taktycznego. Poranne komunikaty nigdy nie zwiastowały niczego dobrego, ale niektóre z nich były bardziej złowieszcze od innych.

- Pięć punktów to cholernie duży spadek.

- Wybacz, że przynoszę złe wieści. - Vic Reynolds wyglądała na równie szczęśliwą jak on.

Pokręcił głową ociężale, otrząsając się z resztek snu. W ciągu minionych kilku lat postarzał się bardzo, jakby czas płynął dla niego dwukrotnie szybciej albo ciężenie było tutaj większe, a nie mniejsze od ziemskiego. To miejsce było tak odmienne od wszystkiego, co do tej pory poznali, i to zarówno w kategoriach fizycznych, jak i psychologicznych, że zaczęli je nazywać „innym światem”.

- Nawet bardzo złe, Vic. Nie rozumiem tylko, dlaczego nie ogłoszono tego oficjalnie. Przecież ratingi stacji cywilnych nie są tajne.

- To na razie nieoficjalne dane. Trepy zdobyły je jeszcze przed ogłoszeniem.

- Miło wiedzieć, że gnojki z wywiadu robią coś podczas pełnienia służby, nawet jeśli to tylko oglądanie wizji. - Stark przymknął na moment oczy, rozważając możliwe implikacje.

- Dzięki za tak szybkie powiadomienie, Vic. Znam tylko jeden sposób, w jaki kwatera główna może poprawić te notowania.

Reynolds przytaknęła. Miała minę człowieka, który właśnie napchał usta wyjątkowo podle smakującą potrawą.

- Coś naprawdę dramatycznego. - Przeniosła wzrok poza ekran, gdy obok jej przedziału w bunkrze dowodzenia pojawił się któryś z oficerów. Gdy cień tajemniczego gościa przesunął się po ekranie i zniknął w mroku, znowu popatrzyła prosto w kamerę. - Trepy uwielbiają planować spektakularne widowiska kończące się zazwyczaj śmiercią występujących w nich postaci.

- Mhm. Po ogłoszeniu dzisiejszych ratingów wróg zorientuje się, że spróbujemy poprawić wyniki oglądalności, i na pewno się przygotowuje. - Stark znów pokręcił głową, tym razem z niepokojem. Po latach militarnego i dyplomatycznego impasu obie strony konfliktu lunarnego znały się tak dobrze, że potrafiły przewidzieć swoje ruchy równie precyzyjnie, jak moment wzejścia Ziemi nad linią horyzontu. - Tak, Vic, kwatery główna wyda nam rozkazy chwilę po tym, jak przeciwnik zajmie stanowiska, więc każdy nasz ruch będzie wyjątkowo dramatyczny i śmiertelnie niebezpieczny. Ale nie zwieszajmy od razu nosów na kwintę, może tym razem dowództwo mile nas zaskoczy.

- Postawisz na to jakąś sumkę?

- Za nic. Zameldowałaś już o tym porucznikowi?

W normalnej sytuacji to właśnie dowódca plutonu informował podległych mu sierżantów o poleceniach i nowinach otrzymanych z wyższych poziomów łańcucha dowodzenia. W rzeczywistości jednak podoficerowie informowali się wzajemnie o każdym istotnym fakcie, ponieważ ufali swojemu bezpośredniemu przełożonemu jeszcze mniej niż sztabowcom.

Reynolds uśmiechnęła się, ale bez cienia radości.

- Nie. Kilroy na razie o niczym nie wie. Jest za świeża na dobre dojścia do kwatery głównej. Niech więc sobie siedzi zadowolona jak norka, zanim nie otrzyma oficjalnych danych.

Ich poprzedni przełożony wrócił do życia, czyli na Ziemię, zaledwie kilka tygodni temu po odsłużeniu zwyczajowej sześciomiesięcznej tury, podczas której nie popełnił żadnego rażącego błędu w dowodzeniu. Stark zaczynał się łapać na tym, że nie pamięta już jego nazwiska. Trepiera, która go zastąpiła, nazywała się Conroy, ale sierżanci poza oficjalnymi momentami, takimi jak rozmowa w cztery oczy i zdawanie raportów podczas zbiórek całego oddziału, używali pogardliwego pseudonimu. Zasłużyła sobie na miano Kilroya - czyli nieistniejącej postaci będącej pośmiewiskiem żołnierzy z czasów drugiej wojny światowej - jak każdy niedoświadczony oficer przylatujący tutaj prosto po szkółce na Ziemi. Nie można było wykluczyć, że jeśli dobrze się spisze na stanowisku dowódcy, podwładni zmienią podejście i zaczną wymieniać jej prawdziwe nazwisko podczas prywatnych rozmów, zanim upłynie owe pół roku, jakie miała z nimi spędzić. Tutaj nikt nie dostawał niczego, dopóki sobie na to nie zasłużył.

- Słodkich snów, Ethanie - pożegnała go Vic.

- Wielkie dzięki, Vic.

Ekranik ściemniał, pozostawiając Starka na pastwę mroku i masy dręczących go

obaw. W ciągu minionych lat już kilkakrotnie miał do czynienia z podobnymi sytuacjami, ale ta wydała mu się wyjątkowo złowieszcza. Nie był przesądny, lecz wierzył swoim przecuciom, bo te nigdy go nie zawodziły. Reszta nocy dłużyła mu się niemiłosiernie. Nie był w stanie zasnąć po ostrzeżeniu, jakie przekazała mu Reynolds. Rozmyślał więc, obserwując odcinek frontu, na którym stacjonowała jego drużyna, i przyglądając się kolejnym umocnieniom po stronie przeciwnika, które będą musieli ominąć podczas spodziewanego ataku albo nie daj Boże, szturmować. *Tak bowiem będzie wyglądało poprawianie ratingów. Nasi chłopcy i dziewczęta udowodnią widowni, że nawet w solidnych zbrojach bojowych potrafię krwawić jak mało kto, gdy dostanę się pod zmasowany ogień ciężkiej broni ukrytej za tymi fortyfikacjami.*

Gwiazdy przesuwwały się po nieboskłonie, a on czekał. Rozkazy jednak nie napływały. W końcu nadszedł umowny świt, chociaż w tym miejscu ludzkie kategorie pojmowania czasu nie przystawały do rzeczywistości. Obwieścił go krótki ostrzał artyleryjski, podczas którego wrogie pociski wspięły się wysoko na hebanowe niebo, by zniknąć bezpowrotnie w feerii barw po celnej odpowiedzi amerykańskich systemów obronnych albo runąć z furją na zryty kraterami grunt. Echa tych eksplozji odbijały się wibracją skał, w których wykuto bunkier Starka.

Ethan włożył zbroję i ogolił się wiele godzin wcześniej. Wykonał te czynności przed umownym świtem w niemal całkowitych ciemnościach, próbując nie narobić hałasu. Dzięki temu mógł siedzieć teraz spokojnie i wsłuchiwać się w gorączkową krzątaninę podwładnych. A żołnierze kręcili się po pomieszczeniach, wymieniali uwagi i pozdrowienia. Część udała się na śniadanie, pozostali natomiast sprawdzali na grafikach, jaki jest rozkład dnia i komu przypadnie kolejna warta. Do jego uszu dotarły słowa reprimendy, jakiej kapral Gomez udzieliła niechlujnie wyglądającemu szeregowcowi. Anita miała wyjątkowy dar do obrazowego wytykania osobistych i zawodowych niedostatków każdemu, kto nie spełniał kryteriów ustalonych przez sierżanta. Stark wątpił więc, by opieprzony żołnierz chciał wysłuchać kolejnej takiej tyrady.

W końcu wstał, by wyjść na „główny” korytarz ciągnący się aż na drugi koniec bunkra, który jego zdaniem nie zasługiwał na tę szumną nazwę. Najpierw szybkie śniadanie, zdecydował mimo braku apetytu, potem poranny apel. Muszę dopilnować, aby nie zorientowali się, że jestem podenerwowany. W przeciwnym razie moje przygnębienie udzieli się wszystkim. Pozostaje jednak pytanie, czy mam im powiedzieć, że szykuje się kolejna walka? Czy przeciągające się milczenie góry po tak spokojnej nocy nie zwiastowało przypadkiem czegoś naprawdę dramatycznego? Ta myśl, choć absurdalna, niepokoiła go

coraz bardziej. Trepy nigdy nie panikują, jeśli wiedzą, że to mogłoby pogorszyć sytuację. Zatem poczekamy dzisiaj dłużej na wiadomość, jak zła jest sytuacja i kto oberwie najmocniej, aby to zmienić. Moi chłopcy zasługują na to, by wiedzieć o spadającej oglądalności, zanim wartownicy z sąsiednich bunkrów wyszeptają im to w najgłębszym sekrecie.

Pomimo wielu miesięcy spędzonych na powierzchni Księżyca pierwszy krok znów okazał się zbyt mocny i Stark musiał chwycić krawędź blatu biurka, by nie unieść się w powietrze. Jego ciało wciąż nie potrafiło zaakceptować faktu, że nie znajduje się już na Ziemi, i dlatego reagowało, jakby wciąż obowiązywało tutaj większe ciężenie. Zbyt mocne wybicie przy pierwszym kroku weszło w krew wszystkim obrońcom Ameryki, jacy znaleźli się na ostatniej linii frontu tej wojny.

Wpół do ósmej czasu księżycowego. Poranny apel - nie różniący się niczym od poprzednich - po którym żołnierze ruszają do wykonywania przydzielonych im zadań i robienia tego wszystkiego, co ich sierżant uznał za ważne. A jednak zbiórka różniła się od tych zwoływanych pod błękitnym niebem pokrytym chmurami na odległej Ziemi, tej samej, którą widzieli teraz jako niewielki dysk nad horyzontem. Tam do codzienności należały sytuacje, gdy żołnierze wymykający się na spotkania z nowymi „przyjaciółkami” nie byli w stanie wstać z pryczy po upojnej nocy, budząc się z potwornym bólem głowy i pustymi kieszeniami. Tutaj nie groziło im nic podobnego, ponieważ w najbliższej okolicy można było trafić jedynie na wrogie umocnienia, których załogi tylko czekały, aby urządzić sobie ćwiczenia strzeleckie, biorąc za cel nieostrożnego amerykańskiego żołnierza. Niemniej apele odbywały się każdego ranka, aby utrzymać dyscyplinę i przypomnieć o obowiązującej wciąż hierarchii.

Kapral Gomez wyprężyła się w salucie, gdy tylko zauważyła nadchodzącego Starka.

- Wszyscy obecni, *sargento*. Zadania i służby zostały już przydzielone.

- Świetnie. - Anita tak dobrze sobie radziła na stanowisku jego zastępcy, że zaczynała się zastanawiać, czy nie powinien dać jej większej władzy nad ludźmi, aczkolwiek zdawał sobie sprawę, że podobne rozwiązanie niesie kilka zagrożeń. Kapral był dobry w swojej robocie, dopóki widział, że jest za nią doceniany, i czuł bat nad dupą. - Mam wam coś do powiedzenia.

Od strony szeregu dobiegł szmer zaniepokojenia. Podobny wstęp oznaczał, że ma im do zakomunikowania coś pozaregulaminowego, co z kolei kojarzyło im się z dodatkową robotą albo ryzykiem, a nawet z obiema tymi niedogodnościami naraz.

- Ostatnimi czasy było tu za spokojnie - zaczął niezbyt zręcznie, wszyscy jednak wiedzieli, że Stark nie należy do złotoustych sierżantów. - Dotarły do mnie informacje, że

transmisja z minionej nocy miała bardzo słabą oglądalność. Zanotowała spadek o pięć punktów. - Żołnierze zareagowali żywiołowo na tę informację. - Tak wielkie obniżenie ratingu wpływa niekorzystnie na zyski z reklam, zatem możemy się spodziewać, że niedługo ktoś nam każe podkreślić akcję. Może nas ta przyjemność ominie, ale nie liczyłbym zbyt na aż takie szczęście. - Widział na ich twarzach zaniepokojenie, lęk, napięcie, czasami wszystko naraz. - Cokolwiek góra wymyśli, damy sobie radę. Upewnijcie się, że wasz sprzęt jest w stu procentach sprawny, bo rozkazy mogą nadejść niebawem. Są jakieś pytania?

Weterani wiedzieli, że nie ma sensu zadawać pytań, na które sierżant nie zna odpowiedzi, ale koty nie miały przed tym oporów, okazując, jak zwykle zresztą, sporą dawkę ignorancji. Przybyła z ostatnimi uzupełnieniami szeregowka Kidd podniosła dłoń po dłuższej chwili wahania.

- Kiedy dowiemy się, panie sierżancie, że to my będziemy na świeczniku?

- Kiedy się dowiemy. - Starzy żołnierze zaśmiali się szyderczo, widząc jej minę. Stark postanowił jednak rozwinąć myśl; sam był kiedyś kotem i zadał niemało podobnych pytań. - Przekażę wam informacje na ten temat, jak tylko do mnie dotrą. Jeśli będziemy mieli odrobinę szczęścia, kto inny wykona tę niewdzięczną robotę. Coś jeszcze? - rzucił w stronę audytorium. - Nic? Zatem bierzcie się do roboty. - Spojrzał na Gomez. - Chłopaki świetnie wyglądają.

Anita skinęła głową w odpowiedzi.

- Jak na bandę szczurów z Ziemi, wyglądają całkiem nieźle. - Gdy z szeregu posypały się gniewne pomruki, wyszczerzyła zęby w uśmiechu. - Słyszeliście, co powiedział sierżant? Jazda do roboty. I lepiej zapomnijcie, że przed chwilą was pochwalił.

Żołnierze rozeszli się, aby wykonać przydzielone im zadania. *Taktyka dzielenia się wszystkimi informacjami przynosi efekty*, pomyślał Stark. *To znak, że morale drużyny nadal jest wysokie*. Tkwienie na pierwszej linii wpływało destrukcyjnie na ludzi, zwłaszcza bezczynne siedzenie w rozlatującym się bunkrze, przerywane od czasu do czasu wybuchem krótkich, za to niezwykle gwałtownych walk.

- Musimy znaleźć dla nich więcej zajęć - rzucił półgłosem do Gomez. - W ciągu najbliższych kilku dni nie powinni mieć czasu na myślenie o tym, co nas czeka.

- Tajest, sierżancie - odparła posłusznie Anita. - Jest pan pewien, że powiedzenie im tego było dobrym pomysłem?

- Tak. Jestem pewien. Nie można trzymać podwładnych w niewiedzy. Musisz traktować ich tak, jak chcesz, aby ciebie traktowano. Dzięki temu będą gotowi na wszystko, zarówno mentalnie, jak i fizycznie. A to teraz najważniejsze.

- Oczywiście. To ma sens. - Kapral Gomez zatarła dłonie, spoglądając gdzieś w przestrzeń. - Mam złe przeczucia co do tego spadku oglądalności, *sargento*. Dowództwo od dawna nie wpakowało nas w żadne gówno. A to znaczy, że mogą nas teraz wytypować.

- Niewykluczone. Ale zamartwianie się tym w niczym ci nie pomoże.

- *Si, sargento!* Zadbam o to, by drużyna nie miała czasu na pogaduchy o sytuacji. Tak im dam popalić, że zapomną nawet o nocnych manewrach pod koczkami.

- Jeśli uda ci się sprawić, że wojo przestanie myśleć o seksie, osobiście zarekomenduję cię do odznaczenia. - Stark spojrział w kierunku rozchodzącej się drużyny. *Co u licha? Czy to... nie, oczywiście, że nie.* Czasami zdawało mu się, że widzi po apelu ludzi, których nie powinno tam być. Tych, którzy polegli albo odnieśli tak poważne rany, że nie mogli dalej walczyć. Ciekawe, że widywał ich wyłącznie od tyłu, gdy oddalali się od niego. - Do zobaczenia później. Muszę zrobić obchód.

- Powodzenia. - Gomez zatrzymała się w pół obrotu. - Miejmy nadzieję, że tym razem nie padnie na nas.

- O, tak. Miejmy nadzieję.

Stark każdego ranka obchodził cały, nie taki znów wielki bunkier. Czysta rutyna; dbał o to, by mieć kontakt ze wszystkimi i utrzymywać ich w pełnej gotowości bojowej. Służył kiedyś pod człowiekiem, który potrafił nie wychodzić z biura przez cały dzień. Chłopcy nazywali go „zaginionym sierżantem” i robili co mogli, aby znaleźć się jak najdalej od jego drzwi.

Przedziały mieszkalne żołnierzy. Niewielkie, a w każdym z nich cztery prycze. „Luksusy”, jak powiedział pewien cywil, któremu pozwolono na wizytację umocnień. Wyglądało na to, że człowiek ten szukał nowych oszczędności w wydatkach wojennych. I chyba dlatego dowództwo wysłało go na odcinek zajmowany przez drużynę Starka.

- Dlaczego macie trzy osobne pomieszczenia zamiast jednego dla całej drużyny? - zapytał po obejrzeniu bunkra.

Ethan pokazał pięść, powoli unosząc ją przed twarz cywila, a ten zareagował prawidłowo, robiąc wielkie oczy.

- Przeciwnik chce nam zrobić krzywdę - wyjaśnił spokojnie Stark. - Jeśli jego pocisk zdoła przebić osłonę ze skał nad naszymi głowami, stracę czterech żołnierzy. To mi się z pewnością nie spodoba. Ale gdybym kazał umieścić w jednym pomieszczeniu całą drużynę, mógłbym stracić wszystkich dwunastu ludzi. A to by mnie wkurzyło, że hej.

Cywil zadrżał pod ostrym spojrzeniem sierżanta, ale zdołał się na tyle opanować, że odpowiedział:

- Niemniej budowanie tylu osobnych pomieszczeń sypialnych nie jest specjalnie ekonomiczne.

Ethan pokiwał głową, zachowując pokerową twarz.

- Ale zgodzi się pan ze mną, że i tak tańsze od szkolenia i wysyłania na Księżyc kolejnych dwunastu żołnierzy, aby wypełnili lukę powstałą w naszej linii obrony.

Po tych słowach cywil oddalił się szybkim krokiem. Stark nie dowiedział się nigdy, jakie treści zawierał spisany przez niego raport, ale bunkry dla drużyn nadal budowano z podziałem na trzy pomieszczenia sypialne, więc wyglądało na to, że dowództwo upiekło dwie pieczenie na jednym ogniu. Zniechęciło cywila do oszczędzania i jednocześnie obciążyło odpowiedzialnością za ewentualne problemy nielubianego sierżanta Starka.

Zajmujący jeden z takich przedziałów sypialnych Chen pochylał się właśnie nad dołą pryzcą z przenośnym odkurzaczem w ręku. Wciągał do niego drobniutki pył, który zdawał się brać z powietrza. Pełno go było w każdej księżycowej budowlu. Mikroskopijne drobinki sprawiały sporo problemów równie miniaturowej elektronice, dzięki której działały systemy podtrzymywania życia, stąd też odkurzanie - jakkolwiek idiotycznie wyglądało - należało do podstawowych zadań każdego żołnierza.

- Witam, sierżancie. - Szeregowiec obdarzył go przelotnym uśmiechem, nie przerywając pracy.

- Witajcie, Chen. Jak leci?

Tym razem odpowiedź nadeszła po chwili wahania.

- W porządku, panie sierżancie.

- Akurat. Co was gryzie, u licha?

- No... - Szeregowy wskazał ręką na drzwi. - Zdaje się, że zmodyfikowano nam drzwi, kiedy byliśmy na warcie.

Stark przyjrzał się obojętnym wzrokiem futrynie, a zwłaszcza stalowym kołnieriom osadzonym w litej skale.

- Owszem - przyznał. - Wzmocniono bolce wybuchowe i uszczelniono krawędzie, żeby lepiej przylegały, gdy nastąpi dekompresja któregoś z przedziałów.

- A co z ogranicznikami? - zapytał Chen. - Powinniśmy mieć blokady, które uniemożliwią tym drzwiom awaryjne zamknięcie, jeśli akurat znajduje się w nich człowiek.

- Owszem, powinniście - przyznał po raz kolejny Ethan.

- Wygląda jednak na to - ciągnął szeregowiec - że trepy uznały, iż nie mają zamiaru tracić całej drużyny z powodu dekompresji spowodowanej przez pojedynczego żołnierza, który znalazł się przypadkiem w niewłaściwym miejscu. Tak sobie kombinujemy, że teraz nie



ma żadnych zabezpieczeń i te drzwi zmiążdżą każdego, kto stanie na ich drodze. Czy to prawda?

Nigdy nie okłamuj swoich podwładnych!

- Nie jestem w stanie ani tego potwierdzić, ani temu zaprzeczyć.

- Ale co mamy robić, panie sierzancie? Jak się zachować, wiedząc, że drzwi przetną na pół każdego, kto w nich stanie?

- Po prostu nie stójcie w tych pieprzonych drzwiach.

- Aha. - Chen pokiwał głową. - Rozumiem. Okay.

Ta mądrość przychodzi z wiekiem. Jeśli coś może cię skrzywdzić, nie dotykaj tego, jeśli nie musisz. Stark pozdrowił szeregowego Chena skinieniem i wyszedł.

Przedostał się przez niewielką siłownię, w której każdy z przebywających tutaj żołnierzy musiał ćwiczyć co najmniej kilka godzin dziennie, by jego mięśnie nie zaniknęły z powodu zmniejszonego ciężenia. Obok znajdowała się kuchnia - mikroskopijne pomieszczenie z podajnikiem racji żywnościowych i podstawowym sprzętem do gotowania. Na końcu korytarza umiejscowiono salę dowodzenia, największą komorę bunkra, aczkolwiek w innych warunkach nikt rozsądny nie nazwałby jej dużą. Wszystkie ściany pokrywały monitory nieprzerwanie wyświetlające ciągi danych, obok drzwi siedzieli dwaj wartownicy. W przypadku ataku, a te zdarzały się sporadycznie, gdyż wróg wciąż próbował znaleźć najsłabsze punkty obrony, większość podlegających Starkowi ludzi udawała się na zewnątrz, by zająć miejsca w okopach otaczających bunkier i odpowiadać ogniem. Cięższe uzbrojenie, jak półautomatyczne działka i wyrzutnie granatów, umieszczono na opancerzonych stanowiskach rozsianych w nieco większej odległości. Wszystkimi można było jednak sterować z wnętrza tej właśnie sali. Identyczne umocnienia, produkty wielu lat tajnych badań, zostały rozmieszczone w nieregularnych odstępach wzdłuż całego perymetru, by strzec księżycowej kolonii noszącej nazwę New Plymouth. Po przeciwległej stronie frontu istniał również szczelny kordon niewidocznych z tego miejsca fortyfikacji. Ponoć Wielki Mur Chiński widać gołym okiem z kosmosu. Powiadają, że wygląda jak smok wijący się po ziemi. Stark nigdy go nie widział, z powierzchni Księżyca trudno było nawet dostrzec kontynenty, a to za sprawą gęstej pokrywy chmur przykrywających często biało-błękitny dysk dominujący na tutejszym niebie. Niemniej gdy obejrzał wideo o tej starożytnej budowli, zarżał ze śmiechu. Tak długiego muru nie można było bronić na każdym odcinku. Co więcej, przy tych rozmiarach był też bardzo łatwy do zniszczenia, zwłaszcza że stał na otwartej przestrzeni. Niemniej ludzkość nauczyła się wiele o niszczeniu i zabijaniu podczas tysiącleci, jakie dzieliły moment powstania tego cudu antycznej inżynierii od współczesności. Linie obrony na

powierzchni Księżyca były niemal niewidoczne z zewnątrz, a ich załogi zachowywały się jak jadowite węże, które nie wypełzną spod kamieni, dopóki ktoś nie zagrozi ich gniazdom.

Część żołnierzy wyciskała z siebie siódme poty na stanowiskach ogniowych, ćwicząc pod wszystkowidzącym i czujnym jak zwykle okiem kapral Gomez. Nieco dalej Mendoza pełnił dzienną wartę, omiatając pas ziemi niczyjej wszystkimi dostępnymi sensorami. Przysypiał w trakcie tej nudnej służby, co zdarzało się chyba każdemu strażnikowi od zarania dziejów. Czyż Adam także nie przymknął na moment oczu, pilnując rajskiej jabłonki? Mendoza zerwał się jednak na równe nogi, gdy usłyszał podchodzącego do niego sierżanta. Stark powitał go skinieniem głowy i stanął za fotelem, by przyjrzeć się odczytom widocznym na ekranach.

Miał na nich całą gamę obrazów zależnych od tego, do jakich czujników byli akurat podłączeni. Podczerwone ukazywały nierealną scenerię pełną lśniących kul w miejscach emanujących ciepło. Wibracyjne dostarczały obraz składający się z rozedrganych linii - w tym sektorze rejestrowały głównie pęcznienie wystawionych na światło słoneczne skał bądź ich kurczenie się w strefach głębokiego cienia. Także te procesy, jak najbardziej naturalne, były zapisywane przez skonstruowane przez człowieka i wykrywające wszystko inteligentne czujniki.

Uwagę Starka przyciągnął jednak monitor rejestratora wizyjnego. I czarno-biały krajobraz pocięty ostrzami cieni. Niesamowicie stare skały i równie wiekowy pył. Z tego kąta nie było widać na niebie połyskującej tarczy Ziemi, jedynej ostoji koloru i życia. Na tę myśl przypomniał sobie wygląd chmur, ich nieregularne pasma sunące po błękitie nieba, przestwór nieokiełznanego oceanu i fale przyboju uderzające z hukiem o brzeg opodal domu, w którym się wychował. Wysokie drzewa przesłaniające niebo, bujne zarośla z kilku tropikalnych kraików, w których walczył, zanim wysłano go w to miejsce. No i trawę, rzecz jasna, zdeptane źdźbła pokryte kropelkami krwi - tak ją pamiętał za każdym razem, gdy przymykał oczy. Wszystko to wydawało się teraz takie odległe, wręcz niewyobrażalne, gdy stał pośrodku martwego, srebrzysto-czarnego krajobrazu w królestwie smolistych cieni i oślepiająco białego światła.

- A nad nim gwiazdy wciąż połyskują dzielnie.

Słowa Mendozы wyrwały Starka z zamyślenia. Obrzucił szeregowego ostrym spojrzeniem lekko poirytowany, ale i zaciekawiony znaczeniem rzuconej uwagi. To drugie uczucie w końcu zwyciężyło.

- Co chciałeś przez to powiedzieć?

Mendoza wyglądał na zmieszanego, jakby wypowiedział na głos uwagę, którą miał

zachować tylko dla siebie.

- To słowa starego poematu z początków dwudziestego wieku, traktującego o polu bitwy.

- Niewiele mi to mówi. - Uczępię się wszystkiego, co może odciągnąć moje myśli od tego ponurego, martwego miejsca i zbliżającej się wielkimi krokami walki. Poza tym Mendoza niezwykle rzadko otwiera się przed innymi, a trzeba przyznać, że jest cholernie dobrze wyedukowany. Z tego, co zawierają jego akta osobowe, wynika, że bez problemu mógłby zostać oficerem. Nie po raz pierwszy Stark zaczął się zastanawiać, dlaczego jego podwładny wybrał służbę liniową zamiast bezpieczniejszej posadki w sztabie. Może kiedyś dowiem się, co nim kierowało, aczkolwiek muszę przyznać, że nie wyobrażam sobie wyciszonego, szczerego Mendoza jako trepa szalejącego bez przerwy na punkcie awansu, a tak wygląda przecież świat przeciętnego oficera. - Powiedz mi coś więcej. O jakich wydarzeniach mówi ten poemat?

Mendoza rzucił spojrzenie w głąb bunkra, zauważając, że znalazł się w centrum uwagi nie tylko Starka, ale i grupki skupionej wokół Gomez, a potem uśmiechnął się przepraszająco.

- Nie pamiętam wszystkiego, panie sierzancie. Zdaje się, że chodziło o miejsce zwane Flandrią. A dokładniej o pola tej Flandrii. Pierwszy wers mówił o rzędach krzyży ustawionych na grobach poległych żołnierzy, potem było coś o skowronkach wciąż śpiewających na niebie pomimo toczącej się wokół wojny. I tak mi się skojarzyło, że skoro nie ma tutaj skowronków, mogę zastąpić je gwiazdami.

- Co to są skowronki? - zapytał ze zdziwioną miną Murphy.

- To takie ptaki, głupku - prychnęła z pogardą Gomez. - Skąd ty jesteś, ziemski cieciu, że nie wiesz nawet takich rzeczy? Tkwią w kamaszach tyle co ty, ale...

- Dość tego - przerwał jej Ethan. - Murphy to zakuta pała. Koniec tematu. - Spojrzał ponownie na Mendozę.

- Flandria, powiadasz? Pole bitwy? To było jakieś wielkie przedstawienie teatru wojny?

Szeregowiec skinął głową.

- O tak, sierzancie. Naprawdę wielkie. Rzecz działa się w Belgii. Miliony żołnierzy z całej Europy, ale wśród nich najwięcej Brytyjczyków, nawałało się z Niemcami. Setki tysięcy poległy w ciągu kilku dni walk o błotnisty skrawek ziemi szerokości kilkuset metrów.

- Miliony żołnierzy? - Gomez aż się skrzywiła. - Setki tysięcy poległych i rannych? Skąd ty bierzesz te liczby? Jakim cudem potracili taką masę ludzi i nie ukrzyżowali potem wszystkich własnych generałów? Ludziska nie lubią, jak tylu chłopców wraca w workach na

zwłoki.

- To były inne czasy, kapralu. - Mendoza zasępił się jeszcze bardziej, gdy zrozumiał, że będzie musiał rozwinąć temat. - Wtedy większość armii nie składała się wyłącznie z zawodowych żołnierzy, do woja ludzi brano z poboru, aczkolwiek Brytyjczycy, z tego co pamiętam, szli na tę wojnę na ochotnika. Oni wierzyli, że od zwycięstwa zależy przetrwanie ich kraju, kultury i wszystkiego innego. Wstępowali więc masowo do armii, a ich rodziny były w stanie zaakceptować takie straty, ponieważ wszyscy w Wielkiej Brytanii myśleli podobnie.

Członkowie drużyny spoglądali na niego z niedowierzaniem.

- Wtedy wojny musiały wyglądać zupełnie inaczej - rzuciła po chwili Billings. - Powiadasz, że siłą wcielano cywilbandę do armii i kazano jej walczyć? Jak ci ludzie mogli głosować za takim rozwiązaniem?

- Pojęcia nie mam - przyznał Mendoza.

- Czy oni nie oglądali transmisji z pola walki? - zastanawiała się Gomez. - Wiem, że nie mogli mieć takiego sprzętu jak my teraz, ale wizja istnieje przecież od bardzo dawna.

- Wizja? Kobieto, wtedy nie było niczego takiego. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Mieli jedynie nieme filmy, ale one nie przypominają niczego, co my znamy. A skoro nie wpuszczali kamer na pola bitew, nie mogli zdawać sobie sprawy z rzezi, jaka miała tam miejsce.

- Ale jak oni to finansowali? - dopytywał się Murphy z poczuciem winy, gdyż rozumiał, że łamie właśnie zakaz wydany przez Starka. - Znaczący skoro nie mieli wizji. Skąd brali pieniądze na finansowanie wojen?

- Z podatków. - Mendoza pozwolił, by to krótkie zdanie zawisło w powietrzu.

- Z podatków? - Gomez z kolei wyglądała jak kobieta, która uważa, że ktoś chce ją zrobić w konia. - Pieniądze z podatków wystarczały na pokrycie kosztów działań wojennych? Gówno prawda. Korporacje zarabiały swoje od zawsze i dbały, by prawo nie nakazywało im płacić za cokolwiek. Cywilbanda też nigdy za nic nie płaciła. Politycy od tak dawna wmawiali ludziom, że bez płacenia mogą mieć, co tylko sobie zamarzy, że w końcu w to uwierzyli. Przecież dobrze o tym wiecie. Dzisiaj nie dają nawet tyle, żeby wystarczyło na opłacenie policji, która ma pilnować, by złodzieje nie okradali ich z zapomogi socjalnej. Jakim cudem tacy ludzie mieliby łożyć na wojnę, w której musieliby na dodatek walczyć?

Mendoza spojrzał na nią tym razem wyzywająco, z wyższością.

- Nie do mnie te pytania. Wtedy cywilbanda była zupełnie inna. Może w dwudziestym wieku ludzie mieli większe poczucie obowiązku wobec ojczyzny niż my teraz. Może nie

wiedzieli, że nie muszą iść na wojnę, i nie mieli pojęcia, że wystarczy zagłosować, żeby ktoś inny wykonał za nich brudną robotę, nie biorąc za to ani grosza. A może po prostu wierzyli, że to niezwykle istotna sprawa, i dlatego płacili podatki i walczyli za nią.

Stark pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Co to był za świat, u licha? I co to były za wojny? - Coś chyba o tym mówili w ogólniaku, do którego uczęszczał przed laty, ale nie był tego wcale pewien. Czasy nauki wydawały mu się tak odległe jak wydarzenia, o których wspominał Mendoza. Ethan wprawdzie przespał większość zajęć z historii, lecz nie przypominał sobie, aby ktokolwiek kazał mu się zastanawiać nad powodami, dla których Stany Zjednoczone bez przerwy wikłały się w wojny, zwłaszcza że nawet na lekcjach historii nie wspomniano o ani jednej z nich.

- Nasz świat, sierżancie - odparł Mendoza. - I to wcale nie działo się tak dawno. Mówię o wydarzeniach z początku dwudziestego wieku. Nazwano je pierwszą wojną światową. To znaczy później, kiedy wybuchła druga wojna światowa. W swoich czasach była znana pod mianem Wielkiej Wojny.

- Ja tam nie widzę w niej nic wielkiego - rzuciła z goryczą w głosie Gomez.

- Wielka w znaczeniu, że taka duża, kapralu - wyjaśnił jej cierpliwie Mendoza.

- I nie było wizji? - Hoxely machnął ręką w kierunku najbliższego monitora. - Ale korporacje już mieli? I one zarabiała na wojnie?

- Nie sądzę. A w każdym razie nie odbywało się to tak jak teraz. Po zakończeniu walk padało wiele oskarżeń pod adresem spekulantów, którzy na niej zarabiali, ale to zupełnie inna sprawa.

- Spekulanci? - zapytał Stark. - Czyli jednak korporacje sprzedające sprzęt i uzbrojenie?

- Tak, sierżancie.

- I cywilbanda uznawała, że to coś złego?

- Tak, sierżancie. Ludzie uważali, że ich przywódcy polityczni siedzieli w kieszeniach wspomnianych spekulantów.

Wokół rozległy się głośnie śmiechy.

- Dobrze, że dzisiaj nie ma już takich ludzi! - zawołała Billings. - Dopiero mieliby kwaśne miny.

- Mówisz poważnie, Mendoza? - zapytał Hoxely. - Cywilbanda buliła grube sumki na wojnę, w której musiała potem walczyć, bo nie chciała, by korporacje na tym zarabiały, i dziwiła się, że politycy siedzą w kieszeni przemysłowców, jakby to nie była codzienna rutyna? Cholernie dziwna sprawa, moim zdaniem. Taki świat daleko by nie zaszedł.

- Nie wrabiam cię, Piotrze - zapewnił go Mendoza. Wyglądał na mocno zmęczonego tą rozmową i wolno cedził słowa. - Tak jednak ludzie myśleli w tamtych czasach. I wielu zginęło za to, w co wierzyli. Wtedy nie miało to wielkiego sensu, więc i dzisiaj trudno go znaleźć. Podsumowując: było podobnie jak teraz, tylko nieco inaczej. - W bunkrze zapanowała przygnębiająca cisza, gdy z tematu starożytnej wojny przeszli płynnie do aktualnych wydarzeń.

- Tak... tylko nieco inaczej. - Gomez zmierzyła Mendozę ostrym spojrzeniem. - Powiadasz, że tutaj nie ma ptaków? Racja, ale kogo to obchodzi? Cywilbanda wytlukła się wzajemnie dawno temu na staruszce Ziemi, a nawet nie mieli wizji. Może po prostu wyrzynali się z czystej głupoty. My trafiliśmy tutaj dzisiaj, ponieważ chronimy „korporacyjne aktywa” kilku grubych ryb finansjery i skorumpowanych polityków. Nasi dowódcy posłaliby nas z ochotą na pewną śmierć, gdyby tylko ktoś obiecał im za to awans. A cywilbanda w dupie ma wysokość strat, dopóki walczymy z dala od ich domów i dostarczamy godziwej rozrywki w wizji. Wielkie mecyje. Nikt nie zadba o żołnierza, jeśli on sam nie zadba o siebie. Zgadza się, sierżancie?

- Owszem. - Gomez zaskoczyła Starka tym pytaniem, właśnie zastanawiał się, jak odpowiedzieć Mendozie. *W normalnej sytuacji wściekłby się, gdyby przeszkodziła mu w zebraniu myśli, ale zdał sobie nagle sprawę, że udało jej się przedstawić problem o wiele czytelniej, niż on mógłby to zrobić. Głębsze przemyślenia nie mają sensu, zwłaszcza gdy każdy dzień może przynieść ci nagłą śmierć, a każde wspomnienie dotyczy przyjaciół, których nie zobaczysz już po tej stronie życia. Wszystko jest do bani, los, szanse na przeżycie. Musisz wiedzieć, jak się bronić, ale nie wolno ci o tym myśleć zbyt często. Jeśli się rozkleisz, zaczniesz popełniać błędy, kto wie, czy któryś nie okaże się śmiertelny. Bywa, że żołnierz doprowadza się do takiego stanu, że może wpakować sobie kulkę w łeb, byle zakończył się jego koszmar.*

- Owszem - powtórzył głośniejszym głosem. - To wszystko prawda. Znacnie zasady. Wiecie też, że jedyni ludzie, na których możecie liczyć, siedzą teraz w tych bunkrach. I będziecie dbali o siebie nawzajem, jaskiniowe małpoludy, albo ja i Gomez osobiście wbijemy wam to kolbami do łbów. Nikt, powtarzam: nikt was nie pokona, dopóki ja tu dowodzę. - Nie zamierzał wypowiedzieć na głos ostatniego zdania, ale pokusa okazała się silniejsza, niż przypuszczał. Czuł przecież, że to najczystsza prawda. Oni też musieli o tym wiedzieć, dostrzegali to w jakże znajomym wyrazie ich twarzy. *Te biedne dranie ufają mi. Chryste, nie pozwól, bym ich kiedykolwiek zawiódł.* Przeniósł wzrok na Mendozę. - A ty nie myśl tyle. Nigdy nie zostaniesz porucznikiem, jak będziesz główkował.

Wybuch radości rozładował napięcie panujące w bunkrze, nawet Mendoza uśmiechnął się półgębkiem, skinął lekko głową i wrócił do pełnienia warty, czyli obserwacji monitorów, na których widać było obrazy przesyłane ze wszystkich rodzajów czujników, jakie znał człowiek.

\* \* \*

Stark już się nauczył, że nie ma nic za darmo. Ignorancja pozwalała mu uważać, że pozjadał wszystkie rozumy. Ale lata praktyki sprawiły, że świat jego złudzeń rozpadł się kawałek po kawałku, odsłaniając ponurą rzeczywistość. Czasami te ubytki bywały ogromne. A największy z nich wciąż spoczywał gdzieś w odległym zakątku Ziemi na wzgórzu porośniętym wysoką trawą. Inne powstały w znacznie mniej dramatycznych okolicznościach.

Dawno temu, może ze trzy tygodnie, jeśli dobrze policzyć, drużyna miała wolny dzień i poświęcała się rekreacji. Tak wyglądała ich służba. Miesiąc na froncie, tydzień urlopu, potem intensywne szkolenie i powrót do okopów. Ale to pierwszy dzień na przepustce zawsze wydawał się najlepszy. Pierwsze piwo, pierwszy wypad poza klaustrofobiczne mury bunkra, pierwsza okazja do rozluźnienia wiecznie spiętych mięśni. Człowiek mógł się przejść korytarzami szerszymi niż zasięg jego rąk, nachlać piwka albo spędzić kilka chwil w kompletnej samotności. *Cywilbanda nigdy nie zdoła się cieszyć takimi momentami*, uznał Stark.

Żołnierz, który pragnął prawdziwej rozrywki, powinien się udać do tak zwanego Zewnętrznego Miasta, pierścienia tanich barów i jeszcze tańszych hotelików z najtańszymi dziwkami, okalającego rzeczywiste granice New Plymouth. Człowiek wychodzący na przepustkę nigdy nie trafiał do centrum pięknego czystego miasteczka, które amerykańskie korporacje wybudowały na powierzchni Księżyca, licząc na ogromne korzyści. Stark zaliczył już wizytę w Zewnętrznym Mieście i zamierzał tam jeszcze wrócić, ale tej nocy spędzał wolny czas z Reynolds w bazie, z dala od nieustającego zgiełku oferowanego przez podłe lokale rozrywkowe.

Ethan wysuszył pierwsze piwo jednym długim łykiem, wdrygając się mimowolnie, gdy lodowaty płyn dotarł do jego wnętrza.

- Szlag by to...!

- Masz na myśli coś konkretnego? - zapytała Vic, odrywając wzrok od własnej puszki.

- Owszem - odparł, otwierając kolejne piwo. - Wiesz co? Jedyłą rzeczą gorszą od zaliczenia kulki jest patrzeć, jak twój najlepszy kumpel obrywa, a ty nie jesteś w stanie mu pomóc.

- Tu masz rację. - Ironiczny chichot Reynolds przypominał syk żmii. - Ale operacja

Offside zapewne wyglądała imponująco na mapie ściennej w Pentagonie.

- Mhm. Niemniej w praktyce okazała się kompletnym fiaskiem.

- To prawda. Ale takie katastrofy przyciągają największą widownię. Jestem pewna, że ratingi wystrzeliły w górę. A niejeden generał otrzymał za nią medal.

- Nawet mi o tym nie przypominaj. - Wyżsi oficerowie przemykali przez sztab operacji księżycowej w takim tempie, że nikt już nawet nie próbował zapamiętywać ich nazwisk. Przylatywali i za moment wracali na Ziemię, pusząc się zdobytymi odznaczeniami. Stark skupił wzrok na baretkach zdobiących mundur Vic nad lewą piersią. - Skoro o medalach mowa, może powiedziałaś mi w końcu, za co dali ci tę Srebrną Gwiazdę?

- Za to samo, za co dostałam Purpurowe Serce.

- Dostałaś je, zanim się poznaliśmy.

- Wiem. Gdybym dostała je po twoim przyjsciu do plutonu, wiedziałbyś o wszystkim lepiej ode mnie. - Vic wzruszyła ramionami, rzuciła pustą puszkę i sięgnęła po następną. - To zamierzchła przeszłość.

- Być może, ale to wcale nie zmniejsza mojej ciekawości.

- Dobra. Zawrzyjmy umowę. Ty mi opowiesz o swojej przeszłości, a ja ci wyjawię moją.

Stark zmierzył ją wzrokiem.

- Nie ma mowy.

- Dlaczego? - zapytała z figlarnym błyskiem w oku. - Ty pierwszy wszedłeś na ten temat.

- Ja nie przyklejam sobie przeszłości nad cykiem, żeby ludzie zastanawiali się, co też takiego zrobiłem.

- Nie. Ty trzymasz ją pod kluczem we łbie do chwili, gdy nieopatrznie wymsknie ci się podczas pyskówki z przełożonymi. - Reynolds pociągnęła długi łyk. - Albo w równie idiotycznych okolicznościach.

- Nie prosiłem cię o analizę mojej osobowości, tylko zapytałem o ten pieprzony medal.

- O co ci chodzi? Chcesz mieć taki? Proszę, dam ci swój.

Vic chwyciła mundur nad lewą kieszenią, jakby zamierzała oderwać baretkę.

- Gdybym pragnął odznaczeń, już dawno byłbym oficerem.

- Akurat! - Reynolds zaniósła się śmiechem. - Ja swój dostałam, gdy byłam oficerem, ale zdegradowano mnie do stopnia sierżanta, kiedy odkryto, że posiadam serce i mózg. - Uniosła piwo. - A potem dali mi te procenty, żeby nabrała jeszcze odwagi.



- Bardzo śmieszne - mruknął Ethan. - Chociaż muszę uczciwie przyznać, że całkiem dobre.

Roześmiała się raz jeszcze, tym razem radośniej, podczas gdy Stark omiatał wzrokiem kantynę dla podoficerów, nieludzko obszerne pomieszczenie mające więcej niż piętnaście metrów średnicy. Trójwymiarowe monitory wiszące na wyciosanych w skale ścianach miały sprawiać wrażenie okien wychodzących na ziemskie krajobrazy. Tej nocy wyświetlały panoramę lasu, może nawet pochodzącego z Północno-Zachodniego Wybrzeża, na którym Ethan się wychowywał - Naturalnie żywa zieleń zarośli zlewała się z wyblakłym seledynem otaczających ich ścian. Psychologowie twierdzili, że ten kolor ma uspokajać i odprężyć ludzi, ale Stark zawsze widział jedynie pociągnięte zieloną farbą skały. Nad głową miał stalowe kratownice z wieloma źródłami jasnego oświetlenia - typowe sklepienie każdej księżycowej jaskini. Na powierzchni metalu spoczywała tłumiąco-izolująca osłona składająca się z grubych na kilka metrów warstw kamieni i pyłu. Ludzkość potrzebowała tysięcy lat, by wypełznąć z jaskiń i dorobić się nowoczesnej technologii pozwalającej na sięgnięcie Księżyca i ponowne zaszcycie się w grotach pod jego powierzchnią.

- Dlaczego wstąpiłeś do armii, Ethan? - Pytanie Vic zaskoczyło go zupełnie.

Zmarszczył brwi, próbując przebić się myślami do chwili ukrytej za zasłoną trzynastu lat służby i trzech wypitych piw.

- Znowu pytasz o moją przeszłość.

- Owszem - przyznała bez cienia wstydu. - Dlaczego wstąpiłeś do armii?

- Nie pamiętam, cholera. A dlaczego ludzie to robią? Po prostu chwila niepoczytalności, nic więcej.

Skwitowała te słowa kolejnym parsknięciem.

- Pytam poważnie. Wstąpiłeś do wojska, bo taka była tradycja rodzinna, czy może miałeś jakieś ważniejsze powody? Nigdy nie wspominasz swojej młodości. Twój stary był wojskowym, o ile się nie mylę. Gdzie służył?

Stark wyśmiał jej sugestię.

- Mój staruszek? Wojskowym? W życiu. Hodował ryby w stanie Waszyngton. Nienawidził armii. Myślał, że oszalałem, kiedy dowiedział się o mojej decyzji.

- Naprawdę? - Pochyliła się mocniej w jego kierunku. - Chcesz powiedzieć, że twoja matka też należała do cywilbandy?

- Oczywiście. Była kasjerką w którymś z sieciowych supermarketów. - Oboje rodzice bez przerwy siedzieli w pracy co bardzo bolało ich syna, aczkolwiek od czasu do czasu przyjmował prezenty zakupione za ich ciężko zarobione pensje. - I co z tego?

- Co z tego? - powtórzyła Vic. - Ethan, niemal każdy znany mi żołnierz i podoficer pochodzi z rodziny żyjącej na terenie fortu albo bazy. Wiesz o tym doskonale. Jako nastolatka ani razu nie widziałam cywila. Jesteś cholernym wyjątkiem od tej reguły.

- Owszem. Masa ludzi mi to powtarza.

- Wiesz, o czym mówię. - Reynolds nie spuszczała go z oka, kręcąc powoli głową. - Mów, dlaczego taki wymuskany cywil trafił do armii?

To było bardzo osobiste i kłopotliwe pytanie, na które nie znał odpowiedzi ani przed laty, ani tym bardziej teraz.

- Po prostu to zrobiłem. Może był to największy zawód, jaki mogłem sprawić mojemu staremu. Nie zamierzałem hodować tych pieprzonych ryb do końca życia, to jedno wiem na pewno.

- To był jedyny powód? - naciskała Reynolds. Dopiła piwo i zaczęła rozglądać się za następnym. - Jeśli to prawda, cholernie się zmieniłeś od tamtego momentu.

- Cóż... - Minęło sporo czasu, ale wciąż pamiętał, co znaczy samotność. Lokalne technikum było miejscem spotkań tłumu samotników pragnących poznać tajniki zawodu i próbujących przetrwać kolejne lata dojrzwania. Gdy nadszedł wieczór po ceremonii rozdania świadectw, Ethan uświadomił sobie, że w tym tłumie nie ma ani jednej bratniej duszy. Mimo iż wcześniej wydawało mu się, że stanowią zgraną paczkę. Uznał, że w wojsku przestanie czuć się wyalienowany, ale za diabła nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ta myśl przyszła mu do głowy. Może podczas jednego z filmów dokumentalnych o dawnych wojnach, które namiętnie oglądał w wizji. Tych czarno-białych, przedstawiających armie na polach bitwy, gdzie każdy żołnierz zdawał się wiedzieć, co robi i dlaczego.

Stark rozglądał się w zamyśleniu. Dostrzegł w kącie grupkę składającą się z ponad dziesięciu szeregowych, potem przypomniał sobie wygląd martwej panoramy Księżyca rozciągającej się za tymi skalnymi murami, na tle której teraz on toczył swoje bitwy w czarno-białej scenerii. Tutaj jednak stacjonował jego pluton i drużyna składająca się z ludzi, których znał, postępujących według tych samych zasad i mówiących tym samym językiem. Tych, którzy staną u jego boku, gdy zajdzie taka potrzeba.

- Może chciałem zrobić coś konkretnego. - Wzruszył ramionami. - I robię to, jak sędzę.

- Mówisz o służbie?

- Tak. O naszej wielkiej szczęśliwej rodzinie. - Zamierzał rzucić tę uwagę zjadliwym tonem, ale niespodziewanie nawet dla niego zabrzmiała w niej czysta szczerść.

Vic wyszczerzyła zęby.

- Tak, nasza rodzinka jest wielka. To ma sens. Większość z nas doszła do podobnych

wniosków w bardzo naturalny sposób, jako że wszyscy dorastaliśmy w otoczeniu mundurów, ale chyba wiem, o czym mówisz. I cieszy mnie, że znalazłeś w końcu to, czego szukałeś.

- Dzięki.

- Ale to nie był jedyny powód twojej decyzji?

- Jezu, Vic, dlaczego bawisz się ze mną w psychoanalizę? - burknął Stark.

- Ponieważ często zachowujesz się tak, jakbyś miał jakiś ukryty cel.

Ethan zagryzł wargę i wbił wzrok w porysowany blat stolika.

- Pragnąłem jakiejś odmiany. Chciałem, by to wszystko nabrało jakiegoś sensu.

- Wszystko, czyli co? - zapytała.

- No wszystko. Życie. Wszechświat. Zrywanie się przed świtem, żeby ktoś mógł sobie do ciebie postrzelać. Czego jeszcze chcesz, u licha?

Wzruszyła ramionami.

- Ty chociaż masz ambicje. Chciałbyś w pojedynkę zmienić ten świat. - Uniosła piwo w szyderczym toaście. - Za bohaterów!

- Nie jestem bohaterem - Stark pociągnął kolejny łyk - i nie zamierzam nim zostać, a już na pewno nie dam się zabić, aby mnie nim okrzyknięto.

- Dobry chłopczyk - pokiwała głową, szczerząc wszystkie zęby.

- Która część mojej wypowiedzi spodobała ci się najbardziej?

- To, że nie dasz się zabić, oczywiście.

- Błę - prychnął nie bez sarkazmu. - Nie wiedziałem, że tak bardzo ci na mnie zależy.

Jej uśmiech poszerzył się jeszcze bardziej.

- Nie licz na to. Jestem po prostu samolubna. Kto by mi stawiał piwo, gdyby cię zabili?

- Znalazłabyś sobie innego wystarczająco głupiego sierżanta.

- Niewykluczone - przyznała, spoglądając z odrazą na swoją puszkę. - Odnoszę wrażenie, że znowu kupili nam najtańsze piwo na rynku.

- To najdroższe tanie piwo, jakie można kupić na Księżycu - poparł ją. - Ale jaki sens miałyby nasza wojna, gdyby korporacje na niej nie zarabiałały? Wiem jedno, gdyby tym obcokrajowcom nie zachciało się zajmować Księżyca, walczylibyśmy teraz w miejscach, w których przynajmniej jest powietrze.

- Ci obcokrajowcy mieli pełne prawo do pobytu na Księżycu.

- Przecież wiem, dlaczego tutaj przylecieli - zachnął się Stark. - Wszystkie łatwo dostępne zasoby naturalne, jakie znajdowały się na Ziemi, zostały wyczerpane, a Stany Zjednoczone są jedynym krajem, który posiada monopol na technologię pozwalającą

eksploatować pozostałe. My skończyliśmy tutaj, ponieważ jesteśmy zbrojnym ramieniem naszych korporacji, które sięga do kieszeni opornych na całym świecie.

- Niezłe podsumowanie - przyznała Reynolds.

- Pamiętasz, co powiedziałem zaraz po zrzucie? Ja pewnie postąpiłbym identycznie jak oni. Ale prawda jest taka, że te złoża należą do nas. Znasz powód, dla którego obcokrajowcy mogliby przylecieć tutaj i eksploatować je jak swoje?

- Ty naprawdę tego nie wiesz? - Vic pokręciła z niedowierzaniem głową. - My nie mieliśmy żadnych praw do zasobów naturalnych Księżyca.

- Akurat - zaprotestował Stark. - Pierwsi tu przylecieliśmy. Gdzieś koło tysiąc dziewięćset czterdziestego.

- Raczej pod koniec lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku - poprawiła go.

- Nieważne. Zajęliśmy te terytoria.

- Nie, nie zrobiliśmy tego. - Vic uśmiechnęła się smutno. - Masz rację co do jednego. Byliśmy tutaj pierwsi. Ale nie otrzymaliśmy prawa własności do Księżyca. Byłam przy monumencie postawionym na skraju Morza Spokoju. Napisano na nim wołami, że pojawiliśmy się tutaj „w imieniu ludzkości”. Jakoś tak to leciało. Nie ma tam żadnej tabliczki typu: „wstęp wzbroniony”.

- Zatknęliśmy nasz sztandar - upierał się Stark. - Widziałem na zdjęciu, które wisiało w koszarach jeszcze na Ziemi. - Flaga wydawała się dziwnie sztywna, a stojąca obok niej postać w przyciężkim skafandrze kosmicznym oddawała jej salut. Wtedy czarno-biały krajobraz w tle nie był mu aż tak znajomy.

Vic pokiwała głową.

- Owszem, zatknęliśmy nasz sztandar. Ale nie po to, by ogłosić się właścicielami tego globu, ten pomysł zrodził się o wiele później. - Jej wzrok stał się nieostry, gdy sięgnęła pamięcią do zamierzchłych wydarzeń. - Przestaliśmy tu przylatywać. Nie wiem dlaczego. Może było to zbyt kosztowne w tamtych czasach. Zresztą po co ci kawałek martwej skały, jeśli masz do dyspozycji wszystkie bogactwa Ziemi? Inni ludzie potraktowali loty na Księżyc bardziej serio. Jak już wspomniałeś, potrzebowali surowców. Założyli tutaj kolonie, zbudowali bazy, rozpoczęli produkcję w niskiej grawitacji i wydobywanie rud. Robili wielką kasę.

- Tak też słyszałem. - Stark tulił w dłoniach swoje piwo przez dłuższą chwilę. - Ale nasze korporacje nie miały udziałów w tych przedsięwzięciach?

- Nie. Mówiłam ci, że nigdy nie uzyskaliśmy praw do Księżyca. Miał pozostać międzynarodowy, dostępny dla każdego.

Stark prychnął z odrazą.

- Akurat. Dostępny dla każdego. To zabrzmiało jak hasło jednej z tych pokojowych misji, które realizowaliśmy na Ziemi.

- Nie twierdzę, że to był najmądrzejszy układ, ale nie wątpię też, iż nasze korporacje z wielkim zdziwieniem przyjęły fakt, że inne państwa podeszły do niego z pełną powagą. - Vic rozmazała opuszką palca mokre kółka, jakie pozostawiły na blacie spody puszek. - Wtedy też wielcy prezesi sięgnęli do kieszeni na tyłku, w której trzymali Kongres, i nakazali ustanowienie prawa, wedle którego Księżyc staje się nasz od momentu lądowania na nim pierwszej misji.

- A potem wysłali nas tutaj. Ślicznie.

- Nie tak od razu. Najpierw prezydent stwierdził: „Świetny pomysł, ale dajcie mi pieniądze na jego realizację”, na co Kongres odparł...

- Niech zgadnę - przerwał jej Stark. - Kongresmani powiedzieli, że nie podniosą podatków, by sfinansować tę misję.

- Bingo. I tak nasz prezio znalazł się między młotem a kowadłem. Nie miał wystarczających środków, by wysłać tutaj armię, ale opinia publiczna mocno naciskała. A skoro prawo mówiło, że Księżyc należy do nas, ktoś musiał pogonić stąd wszystkich obcokrajowców. Cywilbanda poczuła się bardziej patriotyczna, aczkolwiek jestem pewna, że żaden krawaciarz nie przyleciałby tutaj, aby wykonać tę robotę osobiście.

- I co było dalej? No tak... - mruknął z niesmakiem. - Przecież wiem.

- Wydano armii polecenie przylotu na Księżyc, ale w taki sposób, by nie zwiększyło to jej wydatków. Dowództwo, co zrozumiało, nie mogło wykonać takiego rozkazu, na pewno nie bez znalezienia dodatkowych źródeł finansowania. Budżet przeznaczony na zbrojenia był od dawna zbyt mały, a wszystkie oszczędności szły na podwyżki żołdu dla generalicji i wypasione cudeńka w rodzaju pieprzonych czołgów McClellan.

- To całkiem udane maszyny.

- Owszem, ale tak drogie, że nikt nie zaryzykuje wysłania ich na pole bitwy. Podobnie jest z F-38, Strato-Fighterami. Aczkolwiek z tego, co mi wiadomo, czołgi przynajmniej działają, czego nie można powiedzieć o myśliwcach. Tak czy inaczej, armii nie stać na ich stratę, więc ich nie używamy.

- Gadasz do obrazu, Vic.

- Wiem. - Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem, chociaż to uczucie było skierowane przeciw komuś innemu. - Tropy mogły powiedzieć „nie da się”, ale sam wiesz, jak oni nie cierpią przyznawać przed swoimi przełożonymi, że coś jest niemożliwe do wykonania. Tak

więc któryś z nich wpadł na genialny pomysł, jak zdobyć fundusze wystarczające do Przygotowania tej wyprawy.

Stark przytaknął.

- Domyślam się, do czego zmierzasz. Chodzi ci o transmisje wizyjne z wojny? To dlatego zaczęli puszczać w cywilnych sieciach relacje na żywo z toczonych walk. - Owszem - rzuciła Vic. - Programy wizyjne. Mieliśmy znakomity sprzęt służący do kontroli pola walki. Stałe łącza zapewniające nieustanny podgląd sytuacji, aby oficerowie mogli kierować każdym żołnierzem z osobna, jeśli zajdzie taka potrzeba. Stąd zresztą wysyp oszałamiających filmów propagandowych, które wyświetlano po każdej większej bitwie. Ktoś w dowództwie zrozumiał nagle, że nie należy rozdawać takich materiałów za darmo. Że można stworzyć własne programy i sprzedawać czas antenowy reklamodawcom. I wyświetlać starcia w czasie niemal rzeczywistym. Na tyle szybko, by cywilbanda chciała za to płacić.

Stark skrzywił się do wspomnień. Lata temu, gdy lądowali na Księżycu, zastanawiało go, dlaczego dowództwo tak bardzo narzeka na brak dramatycznych wydarzeń.

- Tak. Z tego, co wiem, te transmisje okazały się wielkim hitem. Krew i flaki na żywo w wizji. Ktoś, chyba Chen, twierdził, że dzieciaki cywilbandy śledzą wyniki poszczególnych oddziałów, jak kiedyś zespołów sportowych.

- Też o tym słyszałam. Mówiono też, że zawodowi sportowcy zgodzili się na zwiększenie dawki przemocy podczas rozgrywek, by odzyskać choćby część widowni. To musiały być piękne czasy dla nastolatków mieszkających na Ziemi...

Stark roześmiał się chrypliwie.

- Masz rację. Byli wystarczająco dorośli, by oglądać krew i flaki, ale za młodzi na zastanawianie się nad tym, jak wielki ból czuje ginący na ich oczach żołnierz. Ale to zadziało, do jasnej cholery. Armia zarobiła na tym masę pieniędzy.

- System sprawdził się znakomicie - odparła Vic, uśmiechając się gorzko. - Ale miał też swoje minusy.

- Niech zgadnę...

- Przecież wiesz. Kongres i prezio skumali, że armia zarabia krocie na reklamach, więc obcięli jej budżet. Dlatego wojsko musiało finansować z reklam nie tylko rozpoczęcie naszej operacji, ale też całą resztę działań aż po dzień dzisiejszy - Vic pokręciła głową z wyraźną odrazą. - I tak cwaniaczki z dowództwa same sobie założyły pętlę na szyję. Teraz muszą kontynuować walki, żeby utrzymywać wysokie ratingi oglądalności, bo państwowa kasa jest pusta. Okazali się zbyt cwani i dlatego zapłacą... wróc, my za to słono zapłacimy.

Stark siedział w milczeniu i zastanawiał się, czy powinien jej odpowiedzieć. Teraz

rozumiem, dlaczego ludzie powiadają, że niewiedza jest błogosławieństwem. Nie wyobrażam sobie kogoś, kto byłby zadowolony, znając całą prawdę o naszej sytuacji.

- Zastanawiałaś się kiedyś, Vic, co by się stało, gdybyśmy odpuścili? Gdyby trepy stwierdziły, że to zadanie jest niewykonalne?

Te pytania wywołały u niej kolejny smutny uśmiech.

- Naprawdę wierzysz, że nasi oficerowie byliby zdolni do czegoś takiego?

- Nie. - Stark obnażył wszystkie zęby. - Kongres nie weźmie na siebie odpowiedzialności, gdyby coś poszło nie tak. Politycy nigdy za nic nie odpowiadają. Każą nam chronić swoje tyłki i brać udział w każdej zadymie, jaka mogłaby zagrażać profitom wspaniałych amerykańskich koncernów i korporacji. A nasi przełożeni przytakują tylko: „tajest, tajest, się robi”, ponieważ jedynym sposobem na dostanie czwartej gwiazdki, czyli na spełnienie marzenia każdego trepa, jest słuchanie się polityków. I dlatego gdy o coś poprosimy, bez przerwy odpowiadają, że nie potrzebujemy uzupełnień w ludziach i sprzęcie, chyba że chodzi o kolejne zakupy wypasionej broni produkowanej przez cywilbandę w zakładach należących do tych samych korporacji, które nas gdzieś wysłały. A jeśli coś pójdzie nie tak, wszyscy obwiniają nas, armię, o marnowanie pieniędzy i złe zarządzanie. Co zresztą nie jest wcale tak dalekie od prawdy, zważywszy że nasi bezpośredni przełożeni bez przerwy podlizują się wyższym szarżom, zamiast rozwiązywać stojące przed nimi problemy. Doskonały świat. - Stark zacisnął mocno zęby. - Z punktu widzenia tych, którzy siedzą w Białym Domu, Kongresie albo Pentagonie, ale nie tutaj.

- Gratulacje! - Vic wzniosła kolejny prześmiewczy toast. - Zostałeś wyedukowany.

- Sama widzisz, jakim jestem szczęśliwym sukinsynem. Gdyby nie ta cholerna przysięga... - Ethan zamilkł w pół zdania.

- Jaka przysięga? - zapytała Reynolds. - Ach, ta. Będę bronił konstytucji Stanów Zjednoczonych przed wszelkimi wrogami, zarówno wewnętrznymi, jak i zewnętrznymi itede... Na moje oko, wszyscy mamy równo przesrane. Dorabiamy się garbów przez tę przysięgę, zdychamy za nią w próżni. A wszystko po to, by bronić dochodów wielkich korporacji i cywilbandy, dla której jedynym poświęceniem jest pójście po piwo w czasie transmisji.

- To nie wszystko, Vic. - Stark pochylił się i ujął ją za dłoń. - Przysięgamy też sobie nawzajem. Szczerze ci powiem, że czasami sam już nie wiem, kto naprawdę jest naszym wrogiem. Za to nie mam najmniejszych wątpliwości, gdzie są moi przyjaciele. To żołnierze, którzy stoją wokół mnie.

Vic uśmiechnęła się melancholijnie.

- A w każdym razie większość z nich. Oj, chyba za dużo paplam.

- Nie, ty po prostu za dużo wiesz. - Przesunął w jej stronę kolejne piwo i patrzył, jak puszka dzięki niższej grawitacji sunie o wiele szybciej i dalej, niż miałyby to miejsce na Ziemi. Reynolds zdołała ją złapać na krawędzi stołu.

- Staracie się mnie upić, żołnierzu? - zapytała.

- Wydawało mi się, że to znakomity cel na ten wieczór i dla ciebie i dla mnie.

- Cholerna racja.

W czasie przedłużającej się ciszy poszedł kolejny sześciopak. Milczenie przerywały jedynie świergoty ptaków ukrytych wśród widocznych na monitorach gałęzi wielkich drzew.

W końcu Reynolds uniosła dłoń i przesunęła opuszkami palców po baretce Srebrnej Gwiazdy. Wzrok miała przy tym nieobecny.

- Muszę ci coś wyznać, Ethanie... - powiedziała.

Stark skupił wzrok na niej i skrzywił się, gdy zobaczył, gdzie spoczywa jej dłoń.

- Co takiego?

- Dostałam ten medal za strzelenie do dowódcy.

- Jaja sobie robisz.

- Nie. Obrywaliśmy wtedy bardzo mocno. Zagłuszyli nas też kompletnie, więc nie mieliśmy łączności z dowództwem, a nasz porucznik całkiem spanikował. Próbował nas zmusić do odwrotu po otwartej przestrzeni. Gdybyśmy to zrobili, stracilibyśmy niemal cały pluton.

- Jezu, Vic.

- Co miałam robić, strzeliłam do drania. - Odzyskała ostrość wzroku i wbiła dziwnie pozbawione emocji spojrzenie w Starka. - Utrzymaliśmy nasze pozycje do momentu nadejścia odsieczy. Dali mi medal za przejęcie dowodzenia oddziałem i powstrzymanie wroga.

- Co zrobiłaś już po strzeleniu do porucznika.

- Tak. - Jeden z kącików jej ust powędrował do góry w parodii uśmiechu. - Zabawne, nie?

- Owszem. Zabawne.

- Ty zrobiłaś coś bardzo podobnego. - Te słowa zabrzmiały raczej jak usprawiedliwienie niż pytanie.

- Tak. - *No proszę, nie jestem jedyny, który nosi taki bagaż.* - Zrobiłem dokładnie to samo. Co się stało z twoim dowódcą?

- Trup na miejscu.



- Domyślałem się, że tak to musiało wyglądać. Kto był świadkiem tego zdarzenia?

- Podejrzewam, że część żołnierzy mojej drużyny mogła się domyślać prawdy.

Dlatego wystąpiłam o przeniesienie i w rezultacie trafiłam do tej samej jednostki co ty. Tak więc na pewno wiesz teraz o tym trzy osoby: ja, ty i ten tam, Ojciec Niebieski. Kiedyś beknę przed Nim za to.

- Postąpiłaś słusznie. Ocaliłaś wielu ludzi.

- Jasne. - Wodziła palcem po baretce. - Czasami, jeśli nawet wiesz, że czynisz dobro, nijak nie uspokoisz swojego sumienia.

- Po co więc nosisz tę baretkę?

Przyspiliła go spojrzeniem.

- Żeby pamiętać, że każda trudna decyzja wiąże się z konsekwencjami. Żeby nigdy nie zapomnieć, że podwładni mogą zapłacić życiem nie tylko za moje pomyłki, ale także wtedy, gdy postąpię słusznie. - Wymierzyła palec wskazujący w pierś Ethana, jakby to była lufa pistoletu. - Chcę, aby od tej chwili i tobie przypominała o tym wszystkim, Ethanie Stark.

- Dlaczego uważasz, że będę tego potrzebował? - zapytał, zniżając głos.

- Ponieważ tkwi w tobie taki sam demon. Jesteś równie oddany służbie jak swoim ludziom, więc jest niemal pewne, że kiedyś staniesz przed podobnym wyborem. Chciałabym, abyś był cholernie pewien tego, co masz zrobić, bo będziesz musiał z tym żyć długie lata.

- Dam sobie radę - zapewnił ją. - Ale dlaczego teraz mówisz mi o tym wszystkim? Podejrzewasz, że wydarzy się coś strasznego?

- Sama już nie wiem - wyszeptała. - Docierają do mnie plotki. Pogłoski o plotkach. To nic pewnego. Mówi się, że korporacje mają dość tej stagnacji i chcą jak najszybciej *położyć* łapy na tutejszych bogactwach. Politycy rozpoczęli już gierki wyborcze i wycinają się wzajemnie. Natomiast nasi dowódcy srają w gacie, że ktoś w końcu ich zapyta, dlaczego nie wykonują roboty, do której najbardziej się nadają. Czy to może coś znaczyć? Sama nie wiem. Jeśli jednak tak, powinniśmy się przygotować na niezłe piekło.

Stark potrzęsnał gniewnie głową. Widać było, że jest wściekły i poirytowany.

- Nie chcę już o tym gadać.

- Nie chcesz? Czyżby twój demon też się upił?

- Jeszcze nie, ale ta chwila jest bliska. - Podzielili się następnym sześciorakiem. Zielonkawe ściany zaczęły się dziwnie rozmywać, gdy go kończyli. - Chyba mam już dość - oświadczył w końcu Ethan, wypowiadając słowa z niejakim trudem. Spróbował wstać, ale pozwolił, by zmniejszone ciśnienie powoli sprowadziło go z powrotem. - Teraz jestem już pewien, że mam dość.

- Pomóc ci? - zaproponowała Vic, podnosząc się z niepewną miną. - Pozwolę ci się o mnie oprzeć, jeśli ty pozwolisz mi się wesprzeć na swoim ramieniu.

- Załatwione.

Skierowali się ostrożnie w stronę kwater, które na całe szczęście nie znajdowały się zbyt daleko. Szli, wisząc na sobie i zataczając się w przezabawny sposób głównie za sprawą zmniejszonego ciężenia. W końcu dotarli przed przedział Starka. Wystarczyło musnąć panel dłonią, by drzwi stanęły otworem.

- Dzięki za towarzystwo, Vic. - Odwrócił się, spojrzał jej prosto w oczy i zamarł, zdając sobie sprawę z bliskości jej ciała, zwłaszcza piersi wciśniętych w jego bok, i własnej dłoni spoczywającej na biodrze Vic. Ona patrzyła na niego z taką samą powagą.

Zaczerpnął głębiej tchu zaskoczony tym niespodziewanym podnieceniem, potem zawahał się. Przyglądał się jej nadal, ale nawet nie drgnął.

- Jesteś dobrym przyjacielem, Ethanie. - Vic odezwała się pierwsza.

Potrzebował chwili, by zdrowy rozsądek zatryumfował nad wypitym alkoholem.

- Ty też, Vic. Zbyt dobrym, by...

- ...by zepsuć to wszystko? - dokończyła za niego.

- Tak - przyznał po raz kolejny. - Nie wiem, co się ze mną porobiło, ale jednego jestem wciąż pewien. Chcę mieć w tobie nadal przyjaciela. To dla mnie najważniejsze... - Zamilkł na moment, wracając myślami do wcześniejszej rozmowy. - Rząd ma nas w dupie, podobnie korporacje, dowództwo i cywilbanda. Tylko żołnierz dba o innego żołnierza. Dzięki temu jeszcze żyjemy.

- Spryciarz z ciebie. - Uśmiechnęła się do niego czule. - Tego nam nigdy nie odbiorą, choćby bardzo chcieli.

Puścili się i zachwiali natychmiast, próbując odzyskać samodzielnie równowagę. Reynolds zaczynała się właśnie odwracać, gdy hormony Starka pokonały w końcu resztki tłącego się w głowie zdrowego rozsądku.

- Założę się jednak, że w łóżku nie ma drugiej takiej jak ty.

Posłała mu omdlewające spojrzenie.

- Masz rację, Ethanie. Jestem w tym lepsza, niż myślisz. Będziesz miał o czym pomarzyć. - Pchnęła go mocno do wnętrza przedziału, a sama skierowała się chwiejnym krokiem ku swojej kwaterze.

- Kurwa! - wrzasnął, oczywiście nie mając jej na myśli, i zaraz usłyszał głośny śmiech dobiegający z korytarza. Szlag. *Jakie to szczęście, że trafiła do mojego oddziału. Już kilka razy ocaliła mi życie. Może uda mi się jej odwdzińczyć Kiedyś.* Zdołał rozpiąć połowę zamka

błyskawicznego, zanim dał sobie spokój i padł w zwolnionym tempie na łóżko, by odespać wszystkie żale.

\* \* \*

Porucznik Conroy odchrząknęła, co jeszcze bardziej podkreśliło jej młody wiek, zwłaszcza w porównaniu z trójką sierżantów, z którymi prowadziła wideoodprawę.

- Drugi pluton kompanii Bravo został wybrany do przeprowadzenia nocnego rajdu na stanowiska jednostek wroga okupujących sektor Cowpens.

*Gada tak, jakby jej się wydawało, że to zaszczyt dla nas.* Nie musieli długo czekać na nowe rozkazy. Otrzymali je dopiero po południu wedle sztucznie wprowadzonego ziemskiego czasu. Na tyle późno, by wróg także mógł się zapoznać z wynikami oglądalności i przygotować do działania. *Jakie to typowe,* pomyślał Stark z rozgoryczeniem. *Mam nadzieję, że Conroy zdoła przeżyć kilka takich „honorowych” misji i załapie w czym rzecz.*

Porucznik przechodziła płynnie do kolejnych punktów odprawy, jakby czytała załączniki z podręcznika dla dowódcy plutonu. Może miała na ekranie otwarte okienko z tą publikacją? Kto wie. Widoczna na sąsiedniej części monitora Reynolds posłała mu znaczące spojrzenie: „Jest nowa, ale przynajmniej się stara, odpuść jej, chłopie”. *Szlag by to, czasami mam wrażenie, że Vic potrafi czytać mi w myślach.*

Gdy Conroy przeszła do omawiania szczegółów misji, Stark skoncentrował się na wyświetlanej mapie.

- Naszym celem będzie rafineria metali znajdująca się w punkcie o współrzędnych 44.10 i 151.72. Wysadzimy ją za pomocą ładunków z opóźnionym zapłonem.

Cała trójka zareagowała bezwiednie. Reynolds syknęła, Stark jęknął, a Sanchez zmarszczył brwi. Lekko, aczkolwiek zauważalnie. Rafineria była *mojo* celem, to fakt, ale chronił parasol składający się z wielu doborowych jednostek. Co gorsza, trójwymiarowa mapa pokazywała bardzo wyraźnie, że jedyna droga do kompleksu wiodła przez szeroką, usłaną pyłem równinę, na której atakujący będą widoczni lepiej niż tarcze na jarmarcznej strzelnicy.

- To bardzo trudne podejście, poruczniku - zagaił Stark, starając się kontrolować głos, ale i tak ton jego wypowiedzi był bardzo wymowny.

Conroy skinęła wolno głową i popatrzyła na niego z irytacją.

- Wiem o tym, sierżancie. - Przeniosła wzrok kolejno na Reynolds i Sancheza, sprawdzając, czy i na ich twarzach widać troskę przebijającą z głosu Ethana. - Nie tylko trudne, ale wręcz niemożliwe, o ile nie uda nam się oślepić sensorów przeciwnika.

*Ciekawe.* Ocena pani porucznik wzrosła w oczach Starka. Conroy zaliczyła taktykę w

stopniu wystarczającym do zauważenia tego szczegółu (czego nie można było powiedzieć o wielu młodych oficerach) i nie wahała się przyznać przed ludźmi, że czeka ich trudna misja. Czyli nie była marionetką w rękach dowództwa.

- Oślepić? - Reynolds także wyglądała na zaintrygowaną.

Sieci sensorów rzadko dawały się oszukać urządzeniom, kamuflującym. Jeśli nie dostrzegły człowieka w podczerwieni, znajdowały go dzięki porównywarkom obrazów, czujnikom ruchu albo drgań i innym cudeńkom, jakimi jeszcze dysponował przeciwnik. Kamuflaż stosowany w zbrojach świetnie sobie radził z takimi systemami, gdy żołnierz leżał dobrze ukryty, wysyłając mylące sygnały, ale przypuszczenie frontalnego ataku na pylistej równinie nie miało najmniejszego sensu. Równie dobrze mogliby sobie poprzyczepiać flary do hełmów i śpiewać ostatni hymn neoanarchistów, transmitując go na wszystkich częstotliwościach bojowych.

- W pewnym sensie. - Conroy wyglądała na zakłopotaną. zaraz też pokręciła głową. - Nie mogę wam powiedzieć nic więcej. Przyjmijcie po prostu, że w czasie wykonywania tej misji sensory przeciwnika w tym sektorze będą ślepe.

Stark z trudem się powstrzymał od ciętej odpowiedzi. Za to Sanchez, wyglądający jak zawsze na spokojnego, by nie powiedzieć znudzonego, odchrząknął cicho i zaczął mówić monotonnym, pozbawionym emocji głosem, jakby podane przed momentem informacje dotyczyły zupełnie innego plutonu.

- Poruczniku, ważnym elementem planowania każdej misji jest upewnienie się, że podstawowe informacje dotarły do tych, którzy ich najbardziej potrzebują. Jeśli dojdzie do wyeliminowania oficera albo utraty łączności pomiędzy nim a resztą plutonu, dowódcy drużyn muszą dysponować danymi taktycznymi, które mogą zaważyć na powodzeniu misji.

Stark zdołał powstrzymać uśmiech. Zastanawiał się, czy Sanchez wykuł tę formułkę na pamięć, by cytować ją potem w podobnych okolicznościach, czy też miał na monitorze otwarty plik podręcznika i na bieżąco wyszukiwał odpowiednie cytaty. *Nigdy nie odgadnę, o czym myśli ten facet, ale wiem, że to jeden z najbystrzejszych żołnierzy, jakich w życiu spotkałem.*

Porucznik Conroy otworzyła usta, jakby chciała odpowiedzieć, potem przygryzała wargę przez kilka sekund i na koniec skinęła głową.

- Chyba... macie rację. Powinniście poznać tło misji, jeśli macie ją wykonać. - Bardziej doświadczony oficer, albo chociaż pewniejszy siebie, kazałby Sanchezowi zamknąć pysk i wykonać rozkazy, ale Kilroy była na tyle niedoświadczona, że pozwoliła się zmanipulować. - Trzy miesiące temu - dodała - udało nam się umieścić wirusa w sieci

sensorów przeciwnika. Od tamtej pory czuwał, budując własne bazy danych o odczytach. Gdy go uaktywnimy, zastąpi prawdziwe dane z czujników w sektorze, do którego wtargniemy, spreparowanymi obrazami z własnych baz danych.

- Sprytnie - przyznał z aprobatą Sanchez, wyrażając myśl rodzącą się również w głowie Starka.

Tego rodzaju wirusy stosowano od dawien dawna, problem jednak w tym, że stworzono także oprogramowanie zwalczające takie infekcje. Cholernie skuteczne, trzeba to przyznać. Robal mający za zadanie zwykle oślepienie sensora był wykrywany i usuwany w ciągu kilku milisekund. Bardziej złożone programiki, będące w stanie naśladować odczyty czujników i tworzyć wrażenie, że wszystko jest w porządku, wytrzymywały niewiele dłużej. Antywirusy analizowały obraz z niewiarygodną precyzją, z dokładnością do jednej grudki żużlu, i potrafiły wychwycić błyskawicznie każdą niezgodność. Ale kilka miesięcy gromadzenia danych z prawdziwych odbiorników mogło stworzyć bazy danych zdolne do idealnego odwzorowania rzeczywistości, a co za tym idzie, ich wykrycie powinno trwać o wiele dłużej. Taką przynajmniej mieli nadzieję.

- Jakim cudem udało się stworzyć tak doskonałe oprogramowanie? - zastanawiała się na głos Vic. - Najodporniejszym elementem obrony przeciwnika, prócz bunkrów rzecz jasna, są zapory informatyczne w systemach komputerowych.

- No... - Conroy wyglądała na jeszcze bardziej zakłopotaną niż przed momentem, zdała sobie bowiem sprawę, że po ujawnieniu istnienia wirusa musi wdać się w dyskusję o pozostałych szczegółach. - Powiedziano mi, że to wariacja bazująca na wirusie Mitchella.

- O cholera! - jęknął Stark. - Czy mówimy o tym cholerstwie, które zakłócało prace naszych systemów przez kilka dekad?

- Zgadza się - odparła Reynolds. - Stworzyły go siły powietrzne jako broń informatyczną, ale wymknął się spod kontroli podczas testów i zainfekował nasze systemy. Nigdy nie udało się go usunąć całkowicie, ponieważ miał zdolność szybkiej mutacji.

- On się nie wymknął, sierżancie Reynolds - poprawiła ją natychmiast Conroy. - On wykroczył poza ustalone parametry testów.

Nazywaj to sobie, jak chcesz, pomyślał Ethan, ale nadal mówimy o najpaskudniejszym kawałku kodu, o jakim kiedykolwiek słyszałem. Co wcale nie znaczy, że nie stworzono gorszych, tyle że tamte zdołano zachować w tajemnicy.

- Cóż - zaczął ostrożnie - skoro nam sprawił tyle problemów, może też nieźle namieszać w systemach wroga.

- Zatem jego zadaniem będzie oślepienie czujników strony przeciwnej. Jak długo

będzie działał waszym zdaniem i ile procent odczytów zdoła zmienić? - kontynuowała Victoria, wgrzyzając się w jądro problemu, zanim pozostali uczestnicy odprawy zdołali przetrwać pierwsze dane.

Kilroy wyglądała w tym momencie jak ostatnie nieszczęście.

- Nie poinformowano mnie, jak długo może działać.

- Co znaczy, że trepy tego nie wiedzą. - Na to oświadczenie Conroy zareagowała, posyłając Starkowi ponure spojrzenie, a Reynolds uśmiechnęła się wrednie.

- Najprawdopodobniej nie mamy takiej wiedzy - przyznała w końcu Kilroy. - A co do zasięgu zmian, tu także istnieją limity. Zbyt mocny sygnał może się wyróżniać. A to oznaczałoby szybsze wykrycie źródła zakłóceń i jego eliminację albo ominięcie. - Wskazała punkt na mapie po ich stronie pylistego pustkowia. - Dlatego nie będziemy mogli pokonać całej drogi w transporterach. Nie zdołamy ekranować aż tak dużych celów jak nasze pojazdy. Zostaniemy dostarczeni tutaj, a resztę drogi pokonamy pieszo. Tam i z powrotem.

- To dlatego będziemy potrzebowali zapalników zegarowych. - Reynolds pokiwała głową. - Wysadzimy obiekty po powrocie na naszą stronę.

- Zgadza się, sierżancie. - Conroy wskazała ikonkę oznaczającą umocnienia mniej więcej kilometr przed rafinerią. - Mając odkrytą przestrzeń wokół celu, wróg nie przejmuje się specjalnie niespodziewanymi atakami. Ten bunkier jest jedynym umocnionym stanowiskiem obronnym na tym odcinku. Wywiad twierdzi, że najprawdopodobniej stacjonuje w nim tylko trójka strażników, niemniej dysponują oni potężną siłą ognia, a ponadto mają wsparcie z tych dwóch baterii zewnętrznych. - Na prawo i lewo od bunkra zamigotały ikonki ciężkiej broni.

- Kto tam stacjonuje? - zapytał Stark. - Zawodowcy czy leszcze?

Ten posterunek wydawał się zbyt oddalony i wyizolowany, by stanowił część linii obrony wroga, ale to wcale nie oznaczało, że nie obsadzono go doświadczonymi weteranami. Mimo gwarancji zatrudnienia, jaką dawała ta niekończąca się księżycowa rozróżba, kilka armii narodowych nadal oferowało swoje jednostki do wynajęcia, i to cholernie dobre jednostki, gdyby ktoś go pytał o zdanie. Tyle że cena za doświadczonego żołnierza rosła wraz z poziomem jego wyszkolenia. Wynajmowanie cywilnych najemników było o wiele tańsze, co niektórzy brali za dobrą monetę, nie zdając sobie sprawy, że taki człowiek na pewno nie będzie ryzykował życiem na polu walki. Bez względu na wysokość żołdu. Do tego trzeba było czegoś więcej, głębokiego poczucia obowiązku, a tego ubranym w fircykowate mundurki udającym żołnierzy najemnikom niestety brakowało.

- To najemnicy, sierżancie. Wynajęci przez korporację zarządzającą tą rafinerią. -

Conroy rozpromieniła się nagle. - Wywiad twierdzi, że należą do oddziału zwanego Batalionem Czarnej Śmierci.

Wszyscy podoficerowie roześmieli się pod nosem. Zawodowi żołnierze zdążyli się już nauczyć, że im wynioślejszą i bardziej przerażającą nazwę noszą formacje najemne, tym niniejszą reprezentują wartość bojową.

Porucznik wskazała palcem na Reynolds.

- Pierwsza drużyna zajmie się likwidacją tego posterunku. Czujniki będą oślepione, ale musicie poruszać się z niezwykłą ostrożnością w pobliżu stanowisk wroga.

Victoria przyglądała się mapie uważnie, aby zapamiętać wszystkie szczegóły, mimo że będzie ją miała na swoim taku podczas misji.

- Nie mówiąc już o potrzebie zachowania ciszy w pobliżu zainstalowanych sensorów - dodała.

Kilroy potwierdziła zdecydowanym ruchem głowy.

- Tak, sierżancie. Kompletnej ciszy. Druga drużyna sierżanta Sancheza wejdzie do rafinerii i rozmieści ładunki wybuchowe według planu dostarczonego na komputery taktyczne. Sierżancie Stark, pańscy ludzie zajmą pozycje osłaniające wzdłuż tego korytarza. - Na mapie pojawiły się kolejne ikonki określające pozycje wyjściowe i dalsze ruchy oddziału. - Zgodnie z wytycznymi zapisanymi na taku - dodała Conroy, kładąc szczególny nacisk na ostatnie zdanie i patrząc Ethanowi prosto w oczy. - Czyli żadnych odstępstw od planu.

*Zdaje się, że odchodzący dowódca musiał ją ostrzec przede mną. A może zrobił to jego poprzednik.*

- Oczywiście, poruczniku - zgodził się Stark. - Mamy stosować się do wszystkich zmian w planie.

Kilroy zawahała się. Szukała jakichś haczyków w odpowiedzi sierżanta, ale ich nie znalazła, więc pozostało jej tylko się z nim zgodzić.

- Owszem - wydukała w końcu niechętnie. Poirytowana Reynolds skwitowała to krzywym uśmiechem.

Stark także przyjrzał się bardzo uważnie mapie.

- Jak wielkiego zagrożenia możemy się spodziewać podczas akcji osłonowej? - zapytał.

- Niestety sporego. - Conroy z radością wróciła do tematu przerwanej odprawy. - W odległości dwunastu kilometrów na północ od rafinerii znajduje się baza obsadzona zawodowymi żołnierzami przeciwnika. Zazwyczaj stacjonuje tam... - dla efektu zaakcentowała mocniej ostatnie trzy słowa - wzmocniona kompania zmechanizowana. To siły

szybkiego reagowania tego sektora. Oni mogą dotrzeć na teren rafinerii dosłownie po chwili.

- Jeśli zostaną zbyt szybko zaalarmowani - zauważyła Vic - będziemy mieli problemy z wycofaniem się za równinę. A po zneutralizowaniu wirusa będą nas tam mieli jak na dłoni.

Stark sprawdził trasę odwrotu plutonu.

- Czy otrzymamy jakieś wsparcie w drodze powrotnej? Podciągniecie chociaż jakieś pojazdy opancerzone? - Fajnie byłoby mieć pod ręką transportery albo czołgi, jeśli na kark siądzie im kompania zmechanizowana.

Kilroy zmarszczyła brwi.

- Ten wypad ma być tak szybki, że zdążycie wrócić, zanim wróg zareaguje.

- Tajest - wtrącił w tym momencie Sanchez. - Jeśli jednak coś pójdzie nie tak, szybki transport może mieć kluczowe znaczenie dla ocalenia wycofujących się jednostek.

- Otrzymamy dodatkowe wsparcie - odparła Conroy, wolno cedząc słowa - gdy tylko znajdziemy się pod parasolem ochronnym perymetru. Sztab brygady zdecydował, że nie będzie narażał ciężkiego sprzętu w tak... niekorzystnej taktycznie sytuacji.

Sanchez zdołał jakimś cudem zachować obojętny wyraz twarzy, ale Ethan i Reynolds skrzywili się równocześnie. Udało im się jednak powściągnąć gniew. *Chciałaś powiedzieć, że zdaniem trepów żołnierz jest o wiele tańszy, niż pojazd bojowy. I dlatego żaden z wygwiazdkowanych dupków nie zaryzykuje utraty swoich cennych cacuszek. A i publice może się nie spodobać, że kasa, jaką łoży na podatki, pójdzie z dymem na oczach wszystkich, z niemal zerowym opóźnieniem podczas transmisji z pola walki. Zwłaszcza po tym, gdy ludziom wbito do łbów, że ta niezwykle droga broń jest niemalże niezniszczalna.* Niejeden dowódca poleciał ze stanowiska za nadmierne straty w sprzęcie, mimo że prowadzona przez niego operacja zakończyła się sukcesem.

- Musimy zatem założyć - dodała Reynolds, siląc się na obojętny ton - że większość drogi powrotnej przebedziemy na własnych nogach. Jeśli wróg zareaguje szybko, będzie to najdłuższy bieg po życie, jaki można sobie wyobrazić.

Conroy przygryzła wargę i raz jeszcze skinęła głową. Stark zagłębił się ponownie w studiowaniu trasy powrotnej plutonu. Pylista równina przecinała ją na sporym odcinku jak język ziemskiego lodowca. Cholernie prosta droga, ale zarazem śmiertelna pułapka. *To będzie naprawdę długi marsz.*

Na koniec odprawy otrzymali dokładniejsze dane dotyczące szczegółów misji. Stark swoim zwyczajem przesłał pakiety informacyjne na komputery kapral Gomez i pozostałych żołnierzy, aby mieć pewność, że wszyscy dostaną to, czego mogą potrzebować. Trepy uważały, że im mniej ludzie wiedzą, tym lepiej. Tym różnili się od Staraka, którego zdaniem



wojo powinien mieć pełne rozeznanie w sytuacji. Gdyby sam zaliczył kulkę albo gdyby stracił łączność z oddziałem, jego podwładni potrzebowaliby dostępu do takich informacji, a w sytuacji zagrożenia taktycznego nie ma czasu na ściąganie uaktualnień ze sztabu na taki poszczególnych członków drużyny. Ethan zachował dla siebie jedynie informację o wirusie. Z czystej ostrożności. Nie chciał znaleźć się na celowniku wroga i „swoich” przełożonych, gdyby doszło jakimś cudem do wycieku informacji. Technicznie biorąc, nie musiał wprowadzać swoich podwładnych w szczegóły misji. Mogli po prostu wykonywać rozkazy pojawiające się na ich takach. Idź tam, zrób to. Oficerowie z dowództwa i ich cywilni przełożeni z Pentagonu zawsze narzekali na zbyt długi czas przygotowań do akcji. Człowiek powinien ściągnąć plan do taka, włożyć zbroję i ruszać w pole. Tyle że żołnierze na pierwszej linii rzadko tak postępowali. Stark nie znał nikogo, kto polegałby wyłącznie na harmonogramach taktycznych. Było tak choćby dlatego, że ludzie woleli wiedzieć, w co się pakują, wykonując daną misję. Wyruszanie w pole tylko po to, by czekać, co też pokaże się za chwilę na wyświetlaczu taka, nie miało sensu. Nie dość, że wróg pozostawał wielką niewiadomą, to jeszcze można było liczyć na niespodziankę ze strony własnego komputera taktycznego.

A później... Później przychodził moment „po”, kiedy wszyscy otrzymali już i zapamiętali dotyczące ich szczegóły misji. Trzeba było się upewnić, że najbardziej tępi członkowie drużyny nie spieprzą czegoś, bo nie do końca pojęli swoją rolę, a ci najsprytniejsi nie zaczną kombinować, jak by tu zaskoczyć wszystkich jakimś zapierającym dech w piersi manewrem. Czas po sprawdzeniu oporządzenia po raz któryś z rzędu. Gdy człowiek zrobi już to wszystko, nie pozostaje nic innego, jak czekać. Stark nienawidził tych chwil, kiedy z braku innych zajęć zaczęli się nudzić.

Część żołnierzy pisała w takich momentach listy, wystukując je wolno na klawiaturach palmtopów. Siedzieli wtedy, marszcząc brwi z wysiłku potrzebnego, by przekuć ciąg słów w zrozumiałe zdania, albo gapili się w obiektywy kamer z udawaną pewnością siebie, nagrywając przekazy wizyjne. *Droga mamó i tato* albo *Kochanie moje* czy też *Kruszynko i wy dzieciaki*. Co byście napisali gdyby to miał być ostatni list, ostatnie słowa, które dotrą do najbliższych już po waszej śmierci? Nie ma wystarczająco dobrych sformułowań, więc nikt nigdy nie stara się ich znaleźć i zamiast poruszających dzieł powstają nudne epistoły o sprawach przyziemnych albo marzeniach, które tego dnia mogą, choć nie muszą, zostać zaprzepaszczone na zawsze.

Inni żołnierze grają na konsolach, uprawiają hazard albo czytają. Robią wszystko, co pomaga im utrzymać nerwy na wodzy. Na Starka jednak nie działała już żadna z tych metod.

Dawno temu odkrył, że nie potrafi robić dobrej miny do złej gry. Nie mógł jednak pozwolić na to, by ludzie dostrzegli jego niepokój. Robota sierżanta polegała, po części oczywiście, na okazywaniu niezachwianej pewności siebie, nawet jeśli bardzo mu jej brakowało. Drużyna uwielbiała, gdy czekał razem z nią, zawsze spokojny i zrównoważony, emanując pewnością, że akcja zakończy się murowanym sukcesem, bez względu na to, jakie niepokoje rozdzierały jego duszę.

Wyrobił więc sobie procedury, które pozwalały mu na sprostanie tym wyzwaniom. Siadał w najbardziej widocznym punkcie świetlicy, aby wszyscy mogli mieć go na oku, i oglądał z uwagą program rozrywkowy, jaki dowództwo zatwierdziło do wyświetlania w jednostkach. I mało kto wiedział, że to tylko pozory. Gomez powiedziała mu kiedyś w sekrecie, że chłopcy podziwiają go cholernie za to, że jest tak niewzruszonym sukinsynem i może ze spokojem oglądać wizję przed misją, kiedy oni konają ze strachu.

I tak, dzięki zmyślnemu kamuflażowi, morale jego oddziału wzrastało.

Szeregowy Hoxely wyrwał Starka z błógiego zamyślenia, zrywając się z miejsca i złorzecząc na kilku co najmniej bogów. Ethan spojrzał na otaczających Hoxa chłopców, marszcząc groźnie brwi. Cała trójka grała w keno, jakby to miała być ich ostatnia partyjka. Co akurat wcale nie musiało być aż tak odległe od prawdy. W kości nie dało się grać - za wolno spadały. Czasami trzeba było odczekać całą minutę, zanim się ostatecznie zatrzymały. A chłopcom wyruszającym na misję nawet poker wydawał się zbyt drętwą grą, chociaż można było stracić niemalą fortunę w jednym rozdaniu. Gomez także zerwała się z krzesła i uciszyła klnącego wciąż szeregowca, który nie potrafił znieść widoku kolegów dzielących się resztką jego żołdu.

- Nerwy - rzuciła w kierunku Starka, zniżając głos. - Wiedząc o spadających ratingach, zdali sobie sprawę, że ta misja musi być bardzo ryzykowna, skoro ma podwyższyć oglądalność. Niektórzy gadają, że tym razem opóźnienie transmisji zostanie zmniejszone do tego stopnia, że wróg będzie w stanie namierzać nas na podstawie pokazywanych obrazów.

- Wątpię, aby nasi oficerowie okazali się aż takimi głupcami. - Stark podniósł głos, aby wszyscy obecni mogli go usłyszeć. - Jeśli ta operacja nie zakończy się sukcesem, cały pion dowodzenia zostanie wypieprzony w kosmos za doprowadzenie do tak wysokich strat wśród żołnierzy. Opóźnienie transmisji musi być spore, żebyśmy mogli wykonać nasze zadanie.

*Taką mam nadzieję. Ale to, że moim zdaniem zmniejszenie opóźnienia jest czystym idiotyzmem, nie oznacza wcale, że nasze dowództwo musi dojść do identycznych wniosków.*

- To ma sens - przyznała Gomez. - Poprawił pan nastroje chłopców.

Stark skinął głową.

- Będą spokojni, jeśli zobaczą, że ty i ja nie okazujemy zdenerwowania. Staraj się sprawiać takie wrażenie. Dobrze sobie poradziłaś z Hoxem. Ustawiłaś go do pionu, nie tykając pozostałych. Znakomita robota.

Odwróciła wzrok.

- Dziękuję, sierżancie.

*Zawstydzila się, zauważył zaskoczony Ethan.* Nie zdawał sobie sprawy, że jego uwagi mogą mieć tak wielkie znaczenie dla podwładnych.

- Nie ma za co. Sam bym postąpił tak samo. Będzie z ciebie kiedyś dobry sierżant.

Uśmiechnęła się.

- Staram się naśladować pana.

Stark nagle poczuł się nieswojo. Przypomniał sobie rozmowę, którą przeprowadził z innym kapralem lata temu. Zmusił się jednak do uśmiechu i rzucił niezręcznym żarcikiem:

- Co oczywiście nastąpi za jakieś dziesięć, dwadzieścia lat. Chyba że przekreślę się szybciej.

Gomez uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Nic takiego się nie wydarzy, *sargento*. Pan jest niezniszczalny. Jakby wykuto pana z kamienia.

- Jasne - prychnął z irytacją. - W takim razie jest nas już dwóch. Ja i ten pieprzony Księżyc.

- Poważnie mówię - upierała się z błyskiem w oku, który zadawał kłam jej słowom. - Niemniej, *gracias*. Będę się starała. Muszę się jeszcze wiele nauczyć, ale ci chłopcy, chociaż daleko im do najlepszych żołnierzy świata, są całkiem niezli.

- Owszem, są całkiem niezli - przyznał Stark, znów podnosząc głos, żeby wszyscy go usłyszeli.

Gomez wyszczerzyła zęby, zauważając jego reakcję.

- Rozumiem. Świetna sztuczka. - Rozejrzała się, szukając pretekstu do zmiany tematu. W końcu jej spojrzenie spoczęło na zespole występującym w wizji.

- Lubi pan tę kapelę? - Wskazała brodą ekran. - Spieszoną Kawalerię Jacksona? Kim oni są, u licha?

Ethan wzruszył ramionami. Nie skupiał się na treści programu, ale słyszał już wcześniej ten kawałek.

- To retro-hill rock, tak zdaje się nazywają ten gatunek muzyki, cokolwiek to znaczy. Słyszałem, że ci chłopcy są strasznie popularni na Ziemi. Wiesz, oglądając ostatnie przekazy,

odniosłem wrażenie, że wszystkie zespoły, których słuchaliśmy przed odlotem, już nie istnieją.

Gomez przeniosła wzrok na ekran.

- Tak. Dziwnie się czuję, siedząc tutaj, mimo że mamy stały i wcale nie tak opóźniony kontakt z Ziemią. Wygląda to tak, jakby świat poszedł dalej, pozostawiając nas w tym samym miejscu, w jakim się znajdowaliśmy w momencie odlotu.

- Zawsze tak było. - Stark zaczął wspominać poprzednie wyjazdy i kampanie, a naprawdę rzadko to robił. - Nawet jeśli celem akcji były miejsca na Ziemi. Dom zmieniał się, ale my pozostawaliśmy tacy sami. Ciekawe. - Wskazał Gomez krzesło obok siebie. Ucieszyła się z tego gestu, ale usiadła w stosownej odległości od niego, jak wypadało kapralowi w obecności sierżanta. Rozmawiali jeszcze przez chwilę o miejscach, które odwiedzili, i tych wspomnianych w opowieściach koszarowych. Ciekawa sprawa, każde koszary są takie same, chociaż wyglądają inaczej. Trafiasz tam na przyjaciół, którzy mają masę znajomych, ale wszyscy bywaliście w tych samych miejscach. Stark pomyślał, że jego dom naprawdę mógł być nieco większy, niż przypuszczał, błakając się od bazy do bazy po całej Ziemi, a teraz nawet poza nią. A może wcale nie. Może to nie dom, tylko luźne związki z wieloma oddalonymi od siebie, ale zawsze niewielkimi skrawkami Ziemi? Miał to gdzieś. Najważniejsze, że czuł się w tych miejscach, między tymi ludźmi, jak w prawdziwym domu.

Towarzystwo przesiadujące w świetlicy zaczęło się powoli wykruszać. Ludzie wracali na kwatery, by sprawdzić sprzęt i dokonać ostatnich przygotowań przed wymarszem - Gomez także się oddaliła, aby doczyścić pancierz. Idąc, pocierała palcem wskazującym opuszkę kciuka. Ten nerwowy tik towarzyszył jej zawsze podczas oczekiwania na misję, wyglądała przy tym, jakby zmawiała niewidzialny różaniec. Stark pozostał na swoim miejscu. Nienawidził sterczenia w pełnym rynsztunku jeszcze bardziej niż bezczynnego siedzenia i czekania. W końcu wskazówki zegara dotarły tam, gdzie powinny. Czując narastające napięcie, wstał i natychmiast zwrócił na siebie uwagę wszystkich. Omiótł świetlicę wiele mówiącym wzrokiem i ruszając w kierunku swojej szafki, rzucił do ostatnich maruderów:

- Dobra. Czas się zbierać.

Nakładał zbroję powoli, dwukrotnie sprawdzając każdy jej element. Ta czynność pozwalała mu zapomnieć o zbliżającej się walce i wszystkich drobiazgach, które na pewno przeoczył. Odczyty zbroi powinny pokazać wszystkie niedociągnięcia i braki, ale weterani wiedzieli, że elektronice nie można ufać. Skoro wszystko inne mogło się spięrzyć, dlaczego odczyty miałyby być wyjątkiem od tej reguły? Prawo Murphy'ego najlepiej sprawdzało się na polach bitew. Mendoza podczas jednego z nielicznych momentów gadatliwości opowiadał o

pewnym Niemcu, który zwykł mawiać, że na wojnie wszystko jest proste, lecz na pewno nie łatwe. Tutaj te słowa nabierały głębszego sensu.

Diagnostyka skafandra potwierdziła, że wszystko jest w porządku, powielając wyniki uzyskane wcześniej z wielkim trudem przez Starka. *To tylko kolejna misja. Muszę dopilnować, żeby nowa porucznik nie popełniła jakiegoś głupstwa. Wykonam zadanie i sprowadzę moich ludzi całych i zdrowych.* Rozejrzał się uważnie po przedziale, aby sprawdzić, czy wszystko leży na swoim miejscu. Każdy żołnierz miał swój fetysz, rytuał przynoszący mu szczęście podczas walki. Stark na przykład musiał pozostawić rzeczy w idealnym porządku. Co było chyba zaprzeczeniem klasycznego fetysza. Wychodził jednak z założenia, że jeśli pozostawi po sobie nieład, choćby niewielki, kiedy zaliczy kulkę, wszyscy się o tym dowiedzą, pakując jego rzeczy, a tego przecież by nie chciał. Zostaw wszystko tak, jakbyś się szykował na inspekcję, a na pewno wrócisz do swojego przedziału. Jak na razie jego metoda się sprawdzała. - Sierzancie, transportery już podjeżdżają - zameldował Murphy, któremu przypadła ostatnia warta, wskazując na ekrany.

Stark zobaczył na nich mocno powiększone sylwetki opancerzonych wozów bojowych. Bunkry i transportery wymieniły się elektronicznymi pozdrowieniami, uznając jednocześnie, że mają do czynienia z sojusznikami, nie wrogami. Gdyby nie odczyty IFF, człowiek w tych warunkach nie potrafiłby zidentyfikować żadnego pojazdu, dopóki nie stanąłby tuż obok niego. Z bliska zaoblone burty maszyny przywodziły na myśl gigantycznego owada prześlizgującego się z gracją nad poszarpanymi graniami.

- Dzięki, Murphy. - Ethan skinął na resztę drużyny. - W szeregu zbiórka.

Wartownik wślizgnął się zwinnie na swoje miejsce w oczekującej dalszych rozkazów formacji. Gomez stanęła na jej czele. Stark przeszedł wolnym krokiem wzdłuż szeregu z kapral nie odstępującą go na krok, sprawdzając stan gotowości każdego żołnierza z osobna, najpierw naocznie, potem porównując wyniki z odczytami komunikatora. Gdy mijał Chena, na jego wyświetlaczu zaroilo się nagle od czerwonych ikon.

- Co jest...? - jęknęła zaskoczona tym widokiem Gomez. - Kiedy ostatni raz sprawdzałam, był cały zielony.

- Nie wątpię. - Ethan wiedział, że nigdy nie pozwoliłaby żołnierzowi na włożenie uszkodzonego pancerza. Uniósł zakutą w stal dłoń i walnął Chena w osłonę tuż poniżej ramienia. Czerwone znaczki zamigotały, zniknęły i zastąpiła je zieleń. *Pieprzona zbroja model IV.* - Ten sprzęt potrafi generować fałszywe odczyty, aczkolwiek dzieje się to bardzo rzadko. I zupełnie niespodziewanie. Miałem do czynienia z podobnymi wypadkami może ze dwa razy, ale wyglądały tak samo.

Gomez skinęła głową, wbiła spojrzenie w miejsce, w które uderzyła przed momentem dłoń sierżanta.

- Dobrze wiedzieć. Dostaniemy jakąś łatkę?

Stark zaprzeczył ruchem głowy.

- Na pewno nie do tego złomu. Ale obiecują, że problem zniknie po wprowadzeniu modelu V.

Przez szereg przetoczyła się fala ironicznych śmiechów. Zawsze obiecywano, że kolejna generacja sprzętu będzie pozbawiona wad, niemniej żołnierze dość szybko odkrywali, że dodatkowe właściwości i wyższa cena oznaczają jedno: trzeba borykać się z nowymi problemami. Nie należało także zapominać o tym, że zapowiadana szumnie od lat „piątka” wciąż jakoś nie mogła wejść do seryjnej produkcji. Kwatermistrzostwo czekało zapewne na wyeksploatowanie zapasu „czwórek” przed podpisaniem zapotrzebowania na nowy sprzęt, co było może sensowne z punktu widzenia zaopatrzeniowców, ale na pewno nie tych, którzy ginęli, nosząc przestarzałe pancerze.

- Dobra. - Stark stanął przed szeregiem, spoglądając na tuzin nieprzezroczystych osłon twarzy. Widział dwanaście identycznych odzianych w pancerze sylwetek, ale wiedział, że pod każdym kryje się odmienna osobowość. *Taka jest woja robota, jeśli nie podejść do niej z sercem, ktoś może stracić życie.* - To będzie ciężka misja. Bez kitu. Długa droga do celu, taka sama z powrotem. Trepy mają kilka asów w rękawie, które pomogą nam w jej pokonaniu, ale i tak chcę, abyście dali z siebie wszystko. Jeśli sytuacja stanie się krytyczna, macie być na nią gotowi. Jakieś pytania?

Tym razem nie było żadnych, nawet ze strony nieopierzonych kotów. Głuche stęknienie zasygnalizowało im, że transporter przyziemił i podłączył rękaw do głównego włazu bunkra. Po dłuższej chwili ciszy rozległ się odgłos ciężkich kroków. To nadchodził zespół, który miał przejąć bunkier na czas nieobecności drugiej drużyny. Na zastępstwo przysłano chłopaków z kompanii Alfa, Stark znał ich wyłącznie z widzenia, nazwiska zapamiętał ze wspólnych odpraw i komunikatów.

Prowadzący ich podoficer stanął przed Ethanem.

- Zajmiemy się waszym grajdołkiem, sierżancie. Powodzenia.

- Dzięki. - *Nie ma sensu zazdrościć tym, którzy zostają. Każdy kiedyś musi iść na misję. Dzisiaj my, jutro oni.* - Pilnujcie naszych rzeczy i nie wychlejcie całego piwa. - Stary żart. Na pierwszej linii nigdy nie było alkoholu, aczkolwiek plotka głosiła, że każdy oddział ma gdzieś schowek z procentami.

- Zostawimy wam sześciopak. - Po tych słowach kapral odesłał jednego ze swoich

ludzi na fotel wartownika, a sam podszedł do konsoli dowodzenia, by zameldować się na stanowisku.

Stark wskazał ludziom korytarz wyjściowy.

- Idziemy. Kolejno.

Chłopcy ustawili się w ustalonym wcześniej porządku. Gomez prowadziła, Stark zamykał stawkę. Kto ostatni wychodzi, pierwszy wkracza na pole bitwy.

Mimo kilku lat spędzonych na Księżycu w głębi z trudem wykutego niewielkiego bunkra wewnątrz transportera wydawało im się wyjątkowo ciasne. Zanim Stark dotarł do przedziału osobowego, jego ludzie zdążyli już zająć miejsca. Zapiął staranniej uprząż, a potem natychmiast wpiął się do systemów komunikacyjnych maszyny, korzystając z łącza dowódcy. Odczyty z pomocniczych obwodów łączności pojawiły się na wyświetlaczu HUD-a, ożył też wbudowany w hełm komunikator.

- Trzecia drużyna gotowa.

- Przyjąłem. - Sądząc po głosie, dowódca transportera tryskał humorem. Dla niego to tylko kolejna rutynowa misja dowiezienia ludzi na linię frontu. - Dobry wieczór wszystkim. To będzie wyjątkowo spokojna przejażdżka.

*Może dla ciebie.*

- Dzięki. Dowieź nas na czas, a nie poskąpimy napiwku.

Neandertale z transportu nienawidziły, gdy porównywano ich do taryfiarzy, i dlatego piechota rzadko kiedy odpuszczała sobie ten żarcik.

- Akurat. Zachowaj te żalosne kawały dla czujek wroga, cwaniaczku. Kręć paluchem.

Stark wykonał kilka obrotów uniesionym kciukiem, wysyłając ostrzeżenie swoim ludziom. Sekundę później transporter oderwał się od powierzchni Księżyca i chwiejnie ruszył do przodu. Ethan natychmiast przełączył się na kamery zewnętrzne maszyny. Zobaczył szybko umykający martwy krajobraz. Prawdziwy luksus dla piechociarza, widzieć, dokąd cię wiozą. Pozostali członkowie drużyny mogli patrzeć wyłącznie na swoich kumpli i klaustrofobiczne wewnątrz przedziału osobowego.

Siedzące w dwóch rzędach opancerzone sylwetki kołysały się przy każdym zakręcie, przyspieszeniu bądź hamowaniu. Nowi próbowali utrzymać się w pionie. Weterani już dawno pojęli, że nie ma sensu tracić na to cennej energii, opierali się więc o uprząż i podrygiwali w takt ruchów maszyny. W półmroku wyglądali jak wyznawcy dziwnego kultu kołyszący się przy wtórze sobie tylko słyszanej modlitwy.

Czas zwolnił jak zawsze podczas lotu do strefy zrzutu, ale przyspieszy ponownie, gdy tylko żołnierze opuszczą to wnętrze. Wielkie głązy zniknęły nagle, pod transporterem

rozciągała się teraz płaska jak stół pylista równina. Dwie maszyny przenoszące pierwszą i drugą drużynę już tam czekały, wyglądały jak para żuków sunących po skraju rumowiska.

Wóz z trójką zahamował ostro i zmniejszył znacznie odległość dzielącą go od pozostałych transporterów. Manewr jak z defilady, zupełnie nie na miejscu w sytuacji, gdy nie wolno grupować celów, by nie kusić losu. Te olbrzymy były doskonałymi maszynami, ale kosztowały tak dużo, że rzadko wykorzystywano je na polu walki. Stąd może niefrasobliwość pilotów.

- Okay, sierżancie. Wypad.

Żadnych ciepłych pożegnań. Być może dowódca transportera wciąż czuł się urażony porównaniem do taryfiarza.

Stark przełączył się na kanał drużyny, wodząc wzrokiem po znieruchomiłych nagle sylwetkach.

- Już czas. Wsiadacie za mną w ustalonej kolejności.

Pokrywa wjazdu transportera otworzyła się na całą szerokość. Ethan dał nura na zewnątrz, odbijając się natychmiast po zetknięciu stóp z gruntem, aby ustąpić miejsca następnemu w kolejce. Wokół było wiele kamieni, ale dość rzadko rozrzuconych i w sporej części przykrytych pyłem. Stark zrobił szybki skan okolicy, ale nie dostrzegł niczego prócz maszyn wysadzających pozostałe drużyny. Żołnierze rozbiegali się szybko, zajmując pozycje w nierównej linii na skraju rozległej równiny.

- Gotowe - zameldowała lakonicznie Gomez.

Ona wysiadła ostatnia i natychmiast zajęła pozycję na lewo od sierżanta. Transportery ożyły niespodziewanie, podrywając się w całkowitej ciszy, by wrócić lotem ślizgowym za amerykańskie pozycje. Pojawią się w tym miejscu o wyznaczonej porze. Nie mogły tkwić tutaj przez długie godziny bez żadnej osłony, czekając na wycofujących się żołnierzy.

Stark sprawdził raz jeszcze odczyty taka. Wyglądało na to, że wszystkie trzy drużyny są gotowe. Każda ikonka znajdowała się na znaczniku oznaczającym zaplanowaną pozycję wyjściową. Zegar umieszczony w prawym górnym rogu połyskiwał soczystą zielenią, co oznaczało, że nie mają najmniejszego spóźnienia. *Idź tam, zrób to.* Przeniósł wzrok za równinę, na poszarpane krawędzie krateru. Ich ostre, niemal pionowe granie wrzynały się w wieczną czerń nieboskłonu. Wydawały się przy tym takie odległe. Ethan uniósł głowę, by spojrzeć na lśniące w nieskończonej pustce gwiazdy. Gdzieś tam pomiędzy nimi znajdowały się niewidoczne stąd okręty wojenne. Amerykańskie i wrogie, krążące po tak odległych orbitach, by nie mogły ich osiągnąć naziemne systemy obronne, ale na tyle bliskich zarazem, by stanowić zagrożenie dla transportowców przewożących załogi i zaopatrzenie dla



księżycowych kolonii. Wróg próbował zablokować dostawy dla Amerykanów, a oni odpowiadali pięknym za nadobne. Setki marynarzy ginęły w krótkich rozbłyskach pośród morza czerni. Czasami wraki wisiały tak nisko nad gruntem, że żołnierze mogli je dostrzec gołym okiem. Niegdyś dumne krążowniki opadały łagodnym łukiem, by roztrzaskać się na powierzchni ziemskiego satelity i dodać kolejny krater do niezliczonej ich liczby.

Głos Vic, dochodzący z kanału ogólnego, kazał mu wrócić na tę stronę równiny.

- Pierwsza drużyna jest gotowa.

Stark zrobił szybki przegląd stanu swoich ludzi, gdy w głośnikach rozległy się słowa Sancheza.

- Druga drużyna gotowa.

Wszystko było w porządku.

- Trzecia drużyna gotowa.

Porucznik weszła na linię, w jej głosie dało się wyczuć zdenerwowanie. Jakkolwiek na to patrzeć, zaczynała się właśnie jej pierwsza misja bojowa.

- Drugi pluton, naprzód marsz. Zachowujemy ciszę radiową.

Dawno, dawno temu jakiś ogromny głaz złądził nie tam gdzie trzeba i zderzył się z satelitą Ziemi. Ginać, wybił ogromny krater w miejscu upadku, czyli nieco na lewo od miejsca, w którym znajdowali się teraz żołnierze drugiego plutonu. Tuż przed tym kataklizmem jakaś gigantyczna asteroida musiała się od niej oderwać i poszybować dalej, w kierunku horyzontu. Była o wiele mniejsza, ale i tak wystarczająco duża, by dokonać sporych przemebłowań w krajobrazie. Tenże drugi przybysz wyrzył okolony wysokimi ścianami podłużny krater, który wyglądał jak paluch sterczący z wielkiej kolistej dłoni, miejsca zagłady przedwiecznego kosmicznego giganta. Z czasem pył wypełnił jedno i drugie wgłębienie, tworząc tak zwane „morza” księżycowe, w których jednak darmo poszukiwać śladów życia. W ich powierzchni kolejne meteory wyrwały mniejsze kraterki otoczone kręgami wysokich i poszarpanych grani - jedyne pozostałości z czasów, gdy z nieba spadały potoki głazów. Na sam koniec przybyli tutaj ludzie, ustanawiając swoje linie obrony i uznając te wzniesienia za doskonałe naturalne fortyfikacje. I tak niewiarygodnie stare dowody na brutalność sił natury stały się areną starć najnowocześniejszych broni, jakie kiedykolwiek wymyśliła ludzkość.

Drugi pluton pokonywał właśnie nieckę wspomnianego przed momentem palca. Trzydzieści dziewięć osób ustawionych w trzy nierówne linie brnęło przez pył, kierując się na ledwie widoczny wylom w ścianie krateru. Jakimś cudem utworzyła się tam przełęcz prowadząca na drugą stronę najbardziej stromych klifów otaczających tę szeroką nieckę. Było to najdogodniejsze miejsce dla przeprowadzenia ataku, tak oczywiste, że nikt przy zdrowych

zmysłach nie próbowałyby pokonać znajdującej się przed nim pylistej równiny. Dlatego też wróg obstawił wąski kanion setkami czujników, nie kłopotząc się zainstalowaniem w tym miejscu żywych obserwatorów.

Stark czuł się tutaj dziwnie. Wiedział, że wirus działa - inaczej artyleria wroga już dawno rozniosłaby ich w pył. - Zazwyczaj żołnierze trzymali się blisko głązów, za którymi mogli się ukryć w każdej chwili. Nazywali swoje skafandry zbrojami, wiedząc, że nic nie jest w stanie powstrzymać większości nowoczesnych pocisków. Tylko ciężkie pojazdy bojowe, takie jak transportery czy czołgi, mogły ochronić przed nimi człowieka, ale i one miały się czego obawiać na współczesnym polu walki. Dlatego mądrzy żołnierze, ci, którzy chcieli przeżyć, zawsze trzymali się blisko naturalnych osłon. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wychodził na tak rozległą otwartą przestrzeń. Czasami jednak tak głupi manewr mógł przynieść efekty, ponieważ nikt nie wierzył, że można go wykonać. To był jedyny as w rękawie, jakim dysponowali. Oprócz wirusa, rzecz jasna.

Normalnie jeśli już żołnierze musieli pokonywać teren, na którym nie mieli żadnej osłony, połowa oddziału zajmowała pozycje obronne wokół trasy, jaką musieli przebyć, a druga pędziła naprzód, stosując wszystkie znane uniki. Ta metoda była jednak zbyt głośna. Ludzie za bardzo się kręcili, co mogło przekroczyć zdolność krycia ich ruchów przez wirusa. Dlatego wszystkie trzy drużyny posuwały się naprzód spokojnym krokiem, powoli pokonując dystans dzielący je od celu. Za nimi unosiła się dziwaczna mgła - zawiesina poruszonego pyłu wznieconego przez odbijających się od gruntu ludzi. Słabe ciążenie Księżyca toczyło zażartą walkę z każdym ziarenkiem żwiru, powoli sprowadzając je na swoje miejsce.

Po chwili Stark wyłączył się, pozwalając nogom na automatyczne wykonywanie kolejnych „kroków”. Wychodził z tego półletargu tylko wtedy, gdy wydarzyło się coś dziwnego. Ta metoda pozwalała człowiekowi maszerować w nieskończoność, czego nauczyły go lata ciężkich ćwiczeń, których chyba nigdy nie zapomni. Długa praktyka pozwalała mu także na monitorowanie drużyny w podobnie bierny sposób, reagując wyłącznie, gdy zauważał odstępstwa od normy. Tym razem jednak nie miał żadnych problemów ani z ludźmi, ani z ich wyposażeniem. Nawet Murphy, który czuł wielkie opory przed wyjściem na ten przestwór pyłu skakał równym tempem jak inni i nie trzeba go było pouczać ani poganiać.

Stark zdziwił się, widząc przed sobą wejście do przesmyku w sięgającym czarnego nieba niemal pionowym klifie! Nie spodziewał się, że dotrą tu tak szybko. Pierwsza drużyna zagłębiła się w kanion bardzo ostrożnie, identyfikując kolejne stanowiska sensorów i umieszczając pod nimi zdalnie odpalane ładunki wybuchowe. Gdy będą wracać, wirus na pewno zostanie już zneutralizowany, musieli więc znaleźć inny sposób na pozabawienie wroga

elektronicznych oczu.

Druga drużyna szła śladem pierwszej, poruszała się jednak nieco szybciej i dosłownie wsiadła na plecy swoich kompanów, gdy oba oddziały wynurzyły się po przeciwnej stroi nie przełęczą.

- Sanchez - poprosiła Reynolds przez komunikator - wycofaj swoich ludzi i trzymaj ich z dala od nas, dopóki nie zaminujemy wszystkich sensorów.

- Przyjąłem. Postaram się trzymać ich najdalej, jak to tylko możliwe - odparł. - Pamiętaj jednak, że w tym momencie mamy bardzo napięty harmonogram działań.

*Za bardzo napięty*, uznał w myślach Stark. Oficerowie siedzący w sztabie ustalają harmonogramy tak, by pasowały do ich planów, zamiast opierać wszystkie ustalenia na realnych możliwościach ludzi. Na szczęście Vic miała wystarczającą ilość czasu na wykonanie swojej roboty. W tym momencie niepokoiło go coś innego. Coś, czego mu brakowało - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. W normalnej sytuacji mieliby na karku całe stado oficerów z centrum dowodzenia wydających rozkazy na szczeblu plutonu, drużyny, a nawet pojedynczym żołnierzom. Tym razem cisza radiowa oszczędziła im chociaż tego piekielka. *Dzięki ci, Panie, i za to wcale nie tak małe błogosławieństwo.*

- Sierżancie Reynolds, skąd ten przestój? - zapytała porucznik Conroy.

- Moja drużyna potrzebuje czasu, aby wykonać zadanie w należyty sposób - odparła Vic spokojnym, ale stanowczym tonem.

- Wypadamy poza ramy czasowe planu.

- Poruczniku - wtrącił się Stark - czy mam rozstawić swoją drużynę i zapewnić osłonę pierwszej drużynie?

- Rozstawić? Poczekajcie chwilę.

Zanim Conroy zdążyła rozważyć tę kwestię, Reynolds odezwała się po raz kolejny.

- Wszystkie sensory zostały zaminowane, poruczniku. Podejmujemy marsz. - Natychmiast przełączyła się na kanał sierżantów. - Dzięki, że zdjęłeś mi ją z karku na te kilka chwil.

- Nie ma sprawy. Zmuszenie oficera do namysłu zawsze da ci parę minut wytchnienia.

Druga drużyna ruszyła za pierwszą, nadrabiając błyskawicznie pierwotne opóźnienie. Kilka minut później także ludzie Starka wydostali się z przełęczą. Po chwilowej zmianie szyku znowu rozwinęli się w tyralierę. Po tej stronie żołnierze natrafili na mrowie mniejszych ścian okalających nakładające się na siebie pomniejsze kraterzy. Musieli omijać niektóre w poszukiwaniu łatwiejszej drogi. Stark poczuł ogromną ulgę, gdy znaleźli się ponownie w pofałdowanym terenie, aczkolwiek było to absurdalne uczucie w wypadku żołnierza

zbliżającego się właśnie do końca bardzo ryzykownej misji.

Komunikator rozbrzmiał niespodziewanym sygnałem alarmowym, na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko szefowej Kidd.

- Sierżancie, padł mi jeden z cartridge'ow tlenowych.

Stark przejrzał uważnie całą listę wyposażenia swojej podwładnej.

- Widzę. Wygląda na to, że załatwiło go skażenie. Pozostałe wyglądają jednak na sprawne.

- Tak, sierżancie. - W jej głosie dało się wyczuć nerwowość i nic dziwnego, zważywszy, że uczestniczyła po raz pierwszy w prawdziwej misji i straciła sporą część zapasu tlenu, będąc z dala od miejsca, gdzie mogłaby otrzymać pomoc.

- Masz jeszcze dwa zapasowe cartridge, Kidd. Jeśli stracisz kolejny, kapral Gomez pójdzie z tobą i podłączysz się do jej aparatu tlenowego. - Stawianie dwóch ludzi obok siebie nie było najrozsądniejsze z taktycznego punktu widzenia, ale nie znał lepszego rozwiązania. - Słyszałaś, Gomez?

- *Si, sargento.* Wyluzuj, Beth - dodała. - Jesteś drobnej budowy, jak ja. Nie taki kloc jak nasi chłopcy. Dasz sobie radę z dwoma cartridge'ami. Czasami wyrabiałam nawet na jednym.

- Dzięki, kapralu.

Drużyna Starka znajdowała się wciąż wewnątrz krateru tak starożytnego, że już niemal całkowicie zaszypanego. Pierwsza dotarła właśnie na skraj otwartej przestrzeni z rafinerią i zwolniła, by nie ściągać na siebie uwagi najemników z bunkra i dwóch sąsiadujących z nim baterii. Gdyby nie wirus, musieliby zmieść te umocnienia z powierzchni ziemi za pomocą ręcznych miotaczy pocisków przeciwpancernych. To by jednak narobiło zbyt wiele hałasu i zdekonspirowało całą operację, nie mówiąc o natychmiastowym zneutralizowaniu wirusa. Dlatego ludzie Vic, poruszając się z największą ostrożnością, rozmieścili ładunki wybuchowe na zewnętrznej obudowie bunkra i pod oboma stanowiskami ogniowymi. Stark natychmiast przełączył się na kamerę zamontowaną na hełmie Reynolds, chcąc przyjrzeć się lepiej fortyfikacjom wroga. Z tej perspektywy od razu zauważył, że bunkier nie wygląda najlepiej. Zewnętrzna osłona odpadła w kilku miejscach, odkrywając betonowe elementy. Światło, ciepło i strumienie gazu wyciekały w co najmniej pięciu miejscach. Makabra. Mogliby równie dobrze postawić wielki neon wskazujący lokalizację ich kryjówek. Siedzący we wnętrzu bunkra najemnicy z pewnością nie zwracali uwagi na to, co dzieje się za jego grubymi murami, licząc, że sieć czujników da im wystarczająco dużo czasu na reakcję, gdyby wydarzyło się coś niezwykłego. Zważywszy na ten fakt i poziom

wyszkolenia korporacyjnych pseudożołnierzy, załoga bunkra powinna być martwa, zanim zda sobie sprawę, że wszystkie odczyty sensorów kłamią.

Pierwsza drużyna zajęła pozycje wokół umocnień, gotowa do wkroczenia w ustalonym czasie bądź w razie gdyby siedzący w nim ludzie jakimś cudem zauważyli, co dzieje się na zewnątrz. Zegary nadal pozostawały zielone, zatem operacja przebiegała znowu planowo i druga drużyna mogła spokojnie ruszyć w stronę rafinerii. Po przebytych kilometrach wiecznie martwego terenu, na którym słabo widoczne kamuflaże skafandrów nie zostawiały wielu odczytów, zabudowania kompleksu przemysłowego przypominały rozświetlony lunapark. Wszystkie sensory w kombinezonach bojowych oszalały. Od hal produkcyjnych biła gorąca luna pulsująca w rytm pracujących automatów. Wyświetlacz Starka dostosował się błyskawicznie do tak intensywnych odczytów, aby nie przepalić żadnego z obwodów. On sam przyglądał się dłuższą chwilę obcemu światu, którego życie mierzone było według zupełnie innych kryteriów.

Jakim cudem sensory wroga mogą wykryć cokolwiek obcego w tym szumie informacyjnym? zastanowił się i zaraz znalazł odpowiedź. Pewnie przekalibrowali je, by notowały wszystko, co wykracza poza parametry wyjściowe. A bunkier z najemnikami stoi tutaj tylko po to, by reagować na potencjalne alarmy i nie niepokoić bez powodu kompanii wydobywczej.

Druga drużyna dotarła już do ogrodzenia rafinerii, trzecia natomiast skręciła w lewo. Stark kazał swoim ludziom zaminować drogę dojazdową, a potem wycofał ich na upatrzone wcześniej pozycje. Ta część operacji była niezwykle prosta dzięki komputerom taktycznym, w które wyposażono wszystkich żołnierzy. Połóż tę minę tutaj, połóż tę minę tam. Bułka z masłem. Wystarczyło kierować się do punktów wyświetlanych na HUD-ach.

Stark przeszedł na pozycję, z której mógł nadzorować całą operację, osłaniając przy okazji swoich ludzi rozmieszczających i aktywujących miny. Obserwacja zwłaszcza tego ostatniego procesu nieodmiennie go fascynowała. Przyglądał się więc uważnie, jak te cuda techniki skanują przestrzeń wokół siebie, a potem zmieniają strukturę i kolor, by wtopić się całkowicie w krajobraz. Nawet on nie był w stanie ich dojrzeć. Te miny potrafiły wytworzyć na zewnętrznej powłoce pory albo ostre krawędzie, by lepiej ukryć swoją obecność. Fascynująca sprawa, ale i niepokojąca, ponieważ przeciwnik dysponował bardzo podobnym wyposażeniem. Gdyby nie mechanizmy samorozbrajające, które po określonym czasie, zazwyczaj kilku dniach, zmieniały te narzędzia zagłady w przedmioty niewiele groźniejsze od kamieni, do których się upodabniały, Ethan za żadne skarby nie postawiłby nogi gdziekolwiek poza perymetrem amerykańskiej linii obrony.

Operacja rozmieszczania min dobiegała już końca, a ludzie wracali kolejno na wcześniej ustalone pozycje, gdy Ethan zauważył, że Sanchez nadal tkwi przy ogrodzeniu rafinerii.

- Vic, co się dzieje z drugą drużyną?

- Trafili na wewnętrzną sieć zabezpieczeń. Zdaje się, że jest niezależna od głównego systemu. - Reynolds zachowała się profesjonalnie, skracając połączenie do niezbędnego minimum.

- Po diabła ktoś montował wokół zwykłej rafinerii takie zabezpieczenia?

- Porucznik Conroy uważa, że takie mogły być wymogi ubezpieczenia.

- Ubezpieczenia?

- Tak. Zwykłego ubezpieczenia. Cywilne brednie. - Teraz, gdy słyszał ją tylko Stark, mogła sobie pozwolić na okazanie niepokoju. - Jeśli jednak ta sieć jest niezależna od głównego systemu, nasz wirus nie mógł jej zainfekować. Sanchez uważa, że zdołają ją obejść w krótkim czasie.

*Też mam taką nadzieję. Zegar podający czas misji zmieniał powoli barwę, jaskrawa zieleń zaczęła ustępować lekkiej żółci. Wypadali z harmonogramu, który jak chyba wszystko, co planowali oficerowie ze sztabu, wymagał od ludzi absolutnej perfekcji, by operacja mogła zakończyć się sukcesem. W tym przypadku planiści wyśrubowali czasy, by dywersanci zdążyli wrócić przed ewentualnym wykryciem wirusa albo przyszpileniem przez jednostki, które natkną się przypadkiem na pułapkę zastawioną przy drodze. Mijały kolejne ciągnące się w nieskończoność minuty, podczas których żółć na cyfrach zaczęła przechodzić w pomarańcz, co groziło rychłym pojawieniem się czerwieni. *Pośpiesz się, Sanchez.**

Nagle ikonki drugiej drużyny ruszyły dalej, dotarły do punktu zbornego za ogrodzeniem rafinerii, a następnie zaczęły się rozdzielać, kierując we wszystkie strony. Pomarańcz zegarów przechodzący powoli w czerwień przestał ciemnieć, reagując na pośpieszne ruchy żołnierzy, którzy starali się jak mogli, by nadrobić opóźnienie. Każdy miał zestaw ładunków i dokładny plan ich rozmieszczenia. Niektóre powinny były trafić na maszyny, inne na budynki, a część zarezerwowano do wysadzenia stacji kolejki magnetycznej prowadzącej do innych kompleksów przemysłowych wroga. Mijały kolejne minuty, podczas których dowódcy pozostałych drużyn czekali, obserwując uważnie przedpole, które mieli osłaniać, i rzucając od czasu do czasu okiem na postępy Sancheza.

Całą wieczność później ikonki oznaczające chłopaków z drugiej zaczęły się cofać w kierunku wyrwy w ogrodzeniu. Dopiero wtedy Stark pozwolił sobie na westchnienie ulgi. *Może uda nam się wrócić cało z tej akcji, pomyślał.*

W tym samym momencie poczuł pulsowanie brzęczyka alarmowego zbroi. Źródłem sygnałów był punkt, w którym droga przecinała jeden z pomniejszych kraterów.

- Zbliża się pojazd - zameldował bezbarwnym głosem system wykrywania ruchu. - Brak identyfikacji.

Ethan zaklął pod nosem i wywołał porucznik Conroy.

- Mam...

- Wiem, sierżancie - przerwała mu, mówiąc szybko podniesionym ze zdenerwowania głosem. Nie potrafiła ukryć strachu. - Co to za wóz?

*Mnie pytasz?* Miała dostęp do tych samych danych co Stark, ale gdy zaczynały się problemy, jako niezbyt doświadczony oficer wołała zasięgnąć opinii swoich podwładnych. Kilka sekund później Ethan zgromadził na taku dane z systemów obserwacyjnych pozostałych członków drużyny, pozwalające mu porównać charakterystyki zbliżającej się maszyny z dostępnymi w bazach danych i wysnuć pierwsze przypuszczenie.

- Najprawdopodobniej mamy do czynienia z lekko opancerzonym wozem bojowym przypominającym eksportową wersję manty. - Kolejne złe wieści. Mogli zniszczyć cywilny pojazd, nie robiąc wiele hałasu, ale powstrzymanie nawet lekko opancerzonego wozu będzie wymagało sporej siły ognia. *Szlag!* - Według mojego taka, poruczniku, to może być maszyna znajdująca się na wyposażeniu najemników.

- U licha, co oni tutaj robią, sierżancie? - marudziła Conroy.

Chcesz, żebym ich o to zapytał?

- Jadą szybko, więc wszystko wskazuje na to, że nie wiedzą o naszej obecności. To zapewne rutynowy patrol albo zmiana obsady bunkra.

Mijały sekundy, a porucznik wciąż zastanawiała się nad pierwszą poważną decyzją na polu bitwy. W tym czasie samochód opancerzony zdążył się zbliżyć do pozycji Starka, a ostatni żołnierz drugiej drużyny opuścił teren rafinerii. Zegar na wyświetlaczu HUD-a zrobił się wściekle czerwony. Gdyby to była normalna operacja, mieliby na głowie pół tuzina oficerów sztabowych i lawinę nowych, wzajemnie się wykluczających rozkazów. Porucznik i jej podwładni zostaliby po stokroć upomniani, że należy przestrzegać ustalonego harmonogramu, otrzymaliby polecenie zniszczenia bądź przepuszczenia manty, okopania się lub wycofania. Tym razem jednak z obawy przed zdradzeniem istnienia wirusa kwatera główna zmuszona była do zachowania ciszy radiowej. Stark o mało nie wybuchnął śmiechem, gdy wyobraził sobie spanikowanych generałów biegnących w bezsilnej złości wokół konsoli komunikacyjnych.

- Sierżancie Stark... - Conroy zamilkła, jakby musiała zaczerpnąć tchu. - Zniszczcie

ten wóz opancerzony, jeśli zdoła pokonać nasze pole minowe.

- Tak jest. - To nie było dobre rozwiązanie. Ethan wiedział, że wirus nie zdoła ukryć hałasu, jakiego przy tym narobią, niemniej nawet on nie potrafił wymyślić lepszego wyjścia z tej sytuacji. - Strzelacie tylko na mój rozkaz - zapowiedział drużynie. Trzyście luf przesuwano się, śledząc pojazd jadący w kierunku ukrytych żołnierzy i przecinający drogę pola minowego. Stark z ponurym uśmiechem satysfakcji na ustach sprawdził raz jeszcze statystyki systemów obronnych manta. Z tak małego dystansu nawet pocisk karabinowy powinien przebić cienkie opancerzenie.

To jednak nie było potrzebne. Manta po przejechaniu mniej więcej jednej trzeciej pola minowego nagle uniosła się trafiona kierunkowym ładunkiem miny przeciwpancernej. Jej dach został rozerwany siłą eksplozji, a przez poszarpany otwór trysnęła w niebo kolumna skroplonego gazu, metalu i innych odłamków. Wóz opadł, skręcił ostro i zarył w pyłe na poboczu szosy. Unosząca się nad nim kolumna rzedła w oczach. Gazy wyparowały niemal natychmiast, a ciała stałe opadały z wolna na powierzchnię Księżyca.

Stark oderwał wzrok od unicestwionego samochodu, widząc ikonki oznaczające kolejne eksplozje. To pierwsza drużyna odpaliła ładunki pod bunkrem, odcinając jego obsadzie kontakt z dwoma stanowiskami ogniowymi i likwidując wszystkie sensory strzegące drogi powrotnej. Najemnicy pewnie zginęli, siedząc z opadniętymi szczękami i gapiąc się na szczątki własnego pojazdu. Mógł się założyć, że nie wiedzieli nawet, co ich zabiło. Ethan poczuł ukłucie żalu po ludziach bawiących się w wojsko, ale nie mających bladego pojęcia, jak wiele im jeszcze brakuje, by mierzyć się z zawodowcami. *Szkoda mi was, ale ta zabawa jest prosta: albo wy, albo my. Żyliście głupio i tak samo zginęliście.*

Wszechświat zamarł, wstrzymując oddech, a przynajmniej tak to wyglądało z perspektywy Starka. Zaraz jednak wszystko wróciło do normy. Skaner pokazywał, że satelity nieprzyjaciela kierują swoje obiektywy w ich stronę, by wypełnić niespodziewaną lukę w sieci obserwacyjnej. *To chyba oznacza, że możemy zapomnieć o naszym wirusie.* Zanim jednak satelity zdążyły się znaleźć na odpowiedniej orbicie zniknęły w serii krótkich rozbłysków plazmy, zniszczone przez orbitalne systemy amerykańskiej obrony. To powinno uniemożliwić namierzenie plutonu Starka przynajmniej przez krótką chwilę, niemniej wróg wiedział już, gdzie znajduje się amerykański pluton, a nie trzeba było wyjątkowego geniusza, by się domyślić, skąd przyszli i którędy będą wracali. To z kolei oznaczało, że za chwilę na tej drodze pojawią się pojazdy, przy których manta będzie wyglądała jak zabawka.

Porucznik Conroy weszła na linię. Głos łamał się jej z przejęcia.

- Do wszystkich drużyn. Wycofujemy się według planu Charlie. Powtarzam,



wycofujemy się według planu Charlie.

Plan Charlie. Głos Conroy aktywował taki plutonu. Na ich wyświetlaczach pojawiły się wytyczne, które można było sprowadzić do jednego mianownika: wypieprzajmy stąd najszybciej, jak się tylko da! Wycofywanie się oddziałami, prowadząc nieustanną obserwację terenu i działania osłonowe, nie miało najmniejszego sensu. Jeśli zostaną dogonieni po tej stronie pylistej równiny, zginą bez dwóch zdań, jak załoga manty. Nie mając żadnej osłony w polu widzenia, ulegną przeważającym siłom wroga. Stark wywołał swoich żołnierzy, mimo że rozkaz dotarł do wszystkich i niektórzy już zaczęli się wycofywać.

- Słyszeliście, co powiedziała pani porucznik. Ruchy! Jeśli ktoś zostanie z tyłu, zaliczy takiego kopa w dupę, że przez tydzień będzie pluł własnym gównem.

Ethan sprawdzał odczyty komunikatora nawet podczas biegu. Pierwsza drużyna wycofywała się pośpiesznie spod zniszczonego bunkra, biegnąc prosto na przełęcz. Druga znajdowała się tuż za nią. Wszyscy jej żołnierze opuścili już dawno teren rafinerii i zmierzali tą samą drogą w kierunku równiny. Najdalej w tyle znaleźli się ludzie z trzeciej. Oni mogli dołączyć do towarzyszy dopiero daleko za ruinami bunkra.

- Gomez, pędź na czoło i podawaj rytm skoków - rozkazał Stark.

Mając kaprała na czele, sam mógł zajmować się maruderami, dzięki czemu trzecia zwiększyła natychmiast tempo marszobiegu.

Gdy Ethan mijał zniszczony bunkier, mając jego zapadniętą konstrukcję po prawej, z komunikatora padło ostrzeżenie nadane przez Sancheza.

- Głowy do góry. Rafineria odlatuje!

Moment później Stark poczuł pod nogami drżenie gruntu spowodowane odpaleniem ładunków. Drobne kamyki leżące w pyłe od niezliczonych stuleci zaczęły staczać się po pochyłościach podrzucane kolejnymi falami wstrząsów. Sierżant zaryzykował rzut oka przez ramię. Skaner zrobił zbliżenie, na którym widać było fragmenty konstrukcji lecących we wszystkich kierunkach, błyskawice tryskające z uszkodzonych linii przesyłowych i walące się powoli budynki. *Niesamowity widok, wart biletu w pierwszym rzędzie, pomyślał.*

- Ruszać się! - wrzasnął na kanale drużyny i kilka zwalniających sylwetek natychmiast zwiększyło tempo.

Nie było czasu na zgrywanie turystów, nie teraz, gdy piechota zmechanizowana już wyjeżdżała z koszar. W trudnym terenie wróg będzie musiał ścigać drugi pluton pieszo, ale dotrze na skraj tego rumowiska szybko dzięki transporterom opancerzonym, ponieważ wrak manty zdradzi z pewnością lokalizację pola minowego. Niestety, między głazami wróg także może narzucić większe tempo biegu - nie musi się bowiem liczyć z długą przeprawą przez

równinę. Jedyna nadzieja w tym, że jednostki pościgowe nie zareagują zbyt szybko na dźwięk alarmu. Ledwie Stark pokonał pierwsze wzniesienie i wpadł między skały, jego zbroja nadała kolejny sygnał alarmowy. Daleko z tyłu na drodze pojawiły się symbole kilku pojazdów zmierzających szybko w kierunku wysadzonej rafinerii.

*To będzie cholernie zły dzień*, pomyślał, skacząc za krawędź grani, by ukryć się przed sensorami wroga, ale sam też stracił z oczu zbliżające się pojazdy.

- Poruczniku, dostrzegłem wozy opancerzone wroga tuż przed tym, jak znalazłem się za wzniesieniem.

- Czy oni was też zauważyli? - wypaliła w odpowiedzi Conroy, jej głos wciąż był zbyt piskliwy i mówiła za szybko.

Ethan zwalczył chęć rzucenia jej zjadliwej uwagi, jego nerwy także były na skraju wytrzymałości.

- Nie wiem, poruczniku. Chyba nie. To trwało mgnienie oka, a poruszający się żołnierz jest o wiele trudniejszy do namierzenia niż jadący czołg.

- Racja. - Wyczuł ulgę w jej głosie. - Może dzięki temu zyskamy trochę czasu.

- Oby, poruczniku... - Stark zagrał na zwłokę, robiąc długiego susa w dół zbocza. *Jeśli mnie zauważyli, mogli pomyśleć, że zostawiliśmy siły osłaniające na tej grani, i teraz zwolnią tempo marszu, by nie wpaść w pułapkę. Szlag by to wszystko! Nie dowiem się tego za żadne skarby, ale i tak nie ma czasu na kombinowanie.* Poczuli, że pędzi przed siebie niesiony na skrzydłach strachu, zupełnie jak wzniesione jego stopami kamienie, które opadną tam, gdzie pozwoli im na to grawitacja oraz ukształtowanie terenu.

Głazy, zbocza i granie, które odgradzały uciekających od pościgu, spowalniały także ich ruchy. Stark nie przestawał poganiać podwładnych, siadając im na karkach niczym pies pasterski, gdy tylko zauważył, że ktoś gubi rytm albo zwalnia. Nawet na moment nie przestał też sprawdzać odczytów wyświetlacza. Jak daleko zdążą dotrzeć, zanim żołnierzy dopadnie wyczerpanie? Pancerze bojowe pomagały, wzmacniając ruchy nóg, ale nawet one miały swoje ograniczenia. Nadmierne naciskanie człowieka, jak i mechanizmów, prowadzi do tego samego. Do utraty resztek bezpieczeństwa. *A mamy tylko jedną szansę na wykonanie tego zadania.*

Za jego plecami pojawił się rój ikonek oznaczających uczestników pościgu. Migotały i przesuwały się nieustannie w dzikim tańcu, gdy komputery próbowały obliczyć ich przypuszczalne pozycje. Zbliżały się tak szybko, ponieważ istniała tylko jedna droga ucieczki z tego krateru.

- Uwaga, za moment otrzymamy wsparcie artyleryjskie. - Skafander Starka przekazał

kolejne ostrzeżenie.

*To chyba najlepsza nowina, jaką dzisiaj usłyszałem!* Natychmiast zadarł głowę, ale nie zobaczył, ponieważ nie miał prawa dostrzec pocisków, które namierzył jego tak. Nadlatujące głowice zniknęły z wyświetlacza za daleko i zbyt szybko. *Szlag. Jesteśmy zbyt głęboko na terytorium wroga.* Dopóki pluton znajdował się pod parasolem linii obrony wroga, amerykańska artyleria nie mogła liczyć na rozbięcie pościgu. Nie będzie drugiej salwy. Pociski także kosztują, a szanse, że któryś przebije się przez obronę nieprzyjaciela, były bliskie zeru.

- Hej, Vic! - zawołał.

- Słucham.

- Czy to porucznik wezwała na pomoc artylerię?

- Owszem - w odpowiedzi Reynolds wychwycił wściekłość i rezygnację. - Skamlała o wsparcie, ale tylko tyle mogli nam zaoferować.

Stark sprawdził to, przełączając się na zhakowane kanały dowodzenia, i usłyszał piskliwe błagania o wsparcie ogniowe dla wycofującego się plutonu. W odpowiedzi padały wyłącznie zdawkowe potwierdzenia odebrania informacji.

- Dlaczego kwatera główna jest dzisiaj taka cicha? - zastanawiał się na głos. - Dlaczego nie instruuje nas, co mamy robić jak przy każdej innej okazji? Wirus padł, więc mogą znów pluć ile wlezie we wszystkie mikrofony.

W śmiechu Vic próżno było szukać rozbawienia.

- Wpadliśmy w gówno po same uszy... Dopóki ktoś wyższy stopniem nie powie, co mamy robić, Conroy będzie odpowiadać za wszelkie straty poniesione przez nas przed dotarciem do transporterów.

Stark skrzywił się.

- Racja. Zapomniałem już, że żaden z wyższych oficerów nigdy nie był niczemu winien. Zwłaszcza gdy coś poszło nie tak. Jedno dobre, że zginiemy, nie słysząc debili drących się, że mamy biec naraz w dwóch kierunkach.

- Nie ma to jak patrzeć z optymizmem w przyszłość.

Ethan sprawdził mapę po raz kolejny, porównując odległości i prędkości, z jakimi poruszały się obie grupy. Wiedział już, co powinien zrobić, ale na razie odwlekał moment decyzji. *Daleko tak nie dojdziemy*, uznał w końcu.

- Sierzancie! - Gomez wywołała go na kanale prywatnym. Głos miała spokojny, ale dyszała mocno po tak długim biegu.

- Słucham. - *Odpowiadaj w ten sam sposób. Spokojnym i miłym tonem. Nie pozwól, by inni się zorientowali, w jakim szambie wylądowali. To tylko kolejne manewry. Głowy do góry,*

*chłopaki, wszystko będzie dobrze.* Zmarszczył brwi, widząc, że ikonka Gomez odpada z szeregu i zostaje coraz bardziej w tyle. - Masz jakiś problem?

- Wszyscy mamy problem. - Mówiła takim tonem, jakby chciała omówić błąd w planie zajęć. - Nie damy rady przebiec tej równiny, sierzancie. Oni są zbyt blisko. Dotrą na grań, zanim oddalimy się na wystarczającą odległość, i wytluką nas jak karaluchy przyłapano na podłodze mesy.

*Powiedz mi coś, czego jeszcze nie wiem.* Doszedł do tego samego wniosku kilka minut wcześniej. Żołnierze byli wykończeni długim marszem do celu i jego zniszczeniem. Godziny wzmożonego wysiłku odcisnęły na nich swoje piętno a wróg był świeży, wypoczęty i wściekły jak jasna cholera. Strach, wyszkolenie i dobra kondycja utrzymywały ludzi Starka w ruchu, ale to było za mało, by zwiększyć dystans.

- Co proponujesz?

- Czy otrzymamy wsparcie po tej stronie równiny?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- W takim razie będziemy potrzebowali ariergardy. Ja zostanę.

- Akurat. - Mógł się domyślić, że Gomez zaproponuje coś takiego, i to znacznie wcześniej niż on. - Zostaniesz na czele formacji, rozumiesz? Drużyna potrzebuje cię na tej pozycji.

- Bardziej potrzebuje wsparcia za plecami.

- Nie. Nie ma sensu, żebyś się cofała. Chłopaki się pogubią, jak zobaczą, że zostajesz z tyłu. *Comprendo?* - Ikonka Gomez przestała się cofać, kapral biegła równo z pozostałymi, prowadząc tę rozmowę. Za to żołnierze zwalniali, próbując się dostosować do podawanego przez nią tempa. - Już ich spowolniłaś. Wracaj natychmiast na czoło!

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, a potem nagle ikonka Gomez przyśpieszyła.

- Dobrze, sierzancie, ale to nie załatwia naszego problemu. - Sądząc po głosie, była wściekła jak wszyscy diabli, co przekładało się także na szybkość jej ruchów.

*Doszłaś do słusznego wniosku, Anito, niestety, to nie ty powinnaś to zrobić.* Ethan przełączył się na kanał dowodzenia.

- Poruczniku, mówi Stark.

- Słucham, sierzancie. - Zmęczona i zmartwiona. Wystraszona, całkiem słusznie zresztą. To nie była sytuacja taktyczna, o jakiej marzyli początkujący oficerowie.

- Poruczniku, nie damy rady przedostać się na drugą stronę równiny, zanim wróg zajmie pozycje na grani i wystrzela nas jak kaczkę. Wykończą nas, jak tylko znajdą się na szczycie.

Minęło kilka sekund, podczas których taniec ikonki na skraju wyświetlacza trwał w najlepsze, wciąż zbliżając się do pozycji zajmowanych przez drugi pluton. W końcu Conroy przemówiła.

- To bardzo prawdopodobne, sierżancie. Ma pan jakieś propozycje? - Wyrażała się zwięźle, zapewne z powodu wściekłości i frustracji, ponieważ nie była w stanie znaleźć żadnego rozwiązania i została zmuszona poprosić o radę zwykłego podoficera, mimo że wszelkie podręczniki dowodzenia odradzały przyznawanie się przed podwładnymi do niewiedzy albo pomyłek. Jakby którykolwiek z kaprali albo sierżantów wierzył w to, że ich przełożeni są nieomylni.

- Musimy stworzyć straż tylną - oświadczył Stark spokojnym tonem. - Ktoś musi powstrzymać pościg i dać czas reszcie na dotarcie do naszego perymetru.

- Nie! - Tym razem odpowiedź przyszła natychmiast. - Nie pozwolę waszej drużynie zostać z tyłu. Wszystkich was tam wystrzelają.

*To miłe z pani strony, poruczniku, pomyślał zaskoczony takim obrotem sprawy. Odrzuciła pani moją ofertę w trosce o swoich ludzi, chociaż chciałem uratować pani tyłek.*

- Wiem, poruczniku, ale do tego zadania nie będzie potrzebna cała drużyna. Jeden dobry żołnierz zdoła ich powstrzymać. - *Mów o tym spokojnie, jak o rozwiązywaniu problemów podczas manewrów.* - Nie mamy innego wyjścia, poruczniku. Stracimy jednego człowieka, ale reszta plutonu zdoła przedostać się przez odkryty teren. - Stark domyślał się, że Reynolds nadal podsłuchuje na kanale dowodzenia. Bez trudu odgadł, jak ona musi się czuć. Kto jak kto, ale Victoria na pewno wiedziała już, o jakim żołnierzu mowa.

Porucznik Conroy odpowiedziała niechętnie, wolno cedząc słowa:

- Nie rozkażę nikomu zostać po tamtej stronie.

- Nie musi pani, poruczniku. Zgłaszam się na ochotnika. To jedyny logiczny wybór. Idę na samym końcu i jestem jednym z najbardziej doświadczonych żołnierzy w tym plutonie. - *Wcisnąć kit porucznikowi i wcisnąć go sobie. Oboje musimy go tyknąć.* - Mam doświadczenie bojowe pozwalające mi na zatrzymanie wroga przez czas potrzebny do wycofania reszty oddziału i dołączenie do niego po wykonaniu zadania. - *Taką mam przynajmniej nadzieję, Boże dopomóż.* - Nie zamierzam dać się tutaj zabić, poruczniku, ale jedyną szansą na umożliwienie ucieczki reszcie oddziału jest opóźnienie pościgu.

Kilka kolejnych sekund. Istniały spore szanse na to, że Conroy konferuje teraz z Reynolds na prywatnym kanale, ale chociaż Stark zwalczył pokusę włączenia podsłuchu, i tak potrafił sobie wyobrazić, jak wygląda przebieg tej rozmowy. „Czy istnieje jakieś inne wyjście z tej sytuacji?” dopytuje się porucznik i zaraz dodaje: „Czy on ma szansę wyjść z tego cało?”.

Odpowiedzi padają proste i krótkie. „Nie” i „Ma”. Słowa te z trudem przejdą przez usta Vic, ale na pewno je wypowie.

W końcu otrzymał zgodę.

- Dobrze, sierżancie. - W głosie Conroy dało się wyczuć ulgę i zarazem wstyd. - Ma pan... utrzymać pozycję tak długo... jak pan uzna to za konieczne. I proszę uważać podczas odwrotu.

- Tajest.

- Sierżancie Stark, gdy zdecyduje się pan wycofać, reszta plutonu powinna być już na pozycjach pozwalających na udzielenie panu wsparcia. Rozpoczniemy ostrzał zaraz po pańskim pierwszym ruchu. Proszę nie przeciągać tego zbyt długo.

- Tajest. - *Gdy zdecyduję, że czas się wycofać, będziecie już zbyt daleko, by móc mnie osłaniać. Jest pani jeszcze niedoświadczona i może pani nie zdawać sobie z tego sprawy, ale ja wiem, że tak będzie, od momentu, gdy zgłosiłem się na ochotnika. Tyle że nie mam wyboru.*

- Nie próbuję zasłużyć na medal. Ruszę za wami, jak tylko wydostaniecie się z zasięgu wroga.

- *Jeśli nie przestanę tego powtarzać, może sam uwierzę...*

- Przyjęłam, sierżancie. Będziemy cię osłaniali, Stark. Będziemy cię osłaniali.

- Tajest. - Słysząc było, że porucznik Conroy ma ogromne poczucie winy, co dobrze o niej świadczyło. Ale to nie ona wpakowała mnie w ten syf ani nie wpłynęła na spadek ratingów transmisji z wojny. Nie zgłosiła się także na ochotnika i nie mogła nic poradzić na to, że wróg zareagował szybciej i sprawniej, niż zakładali nasi sztabowcy. Wreszcie, nikt jej nie pytał o zdanie podczas układania harmonogramu tej misji, a ten, jak zwykle zresztą, nie był tak idealny, jak myśleli stratedzy. - Wykonała pani dzisiaj kawał doskonałej roboty, poruczniku. - *Może Conroy zostanie kiedyś dobrym oficerem, jeśli ktoś taki jeszcze istnieje.*

Po tych słowach znów zapanowała długa chwila ciszy.

- Dzięki, sierżancie Stark. Zobaczymy się po drugiej stronie.

- Tajest. - Ethan wszedł na wewnętrzny kanał sierżantów, widząc, że ktoś się do niego dobija. Wiedział, że to Vic, zanim się odezwała.

- Uważaj na siebie, Ethan. - Żadnej hysterii ani złości. To nie w jej stylu. Ona najlepiej wiedziała, że nie miał dzisiaj innego wyjścia.

- Nie martw się. Przecież wiesz, że nie jestem typem bohatera. Zobaczymy się w bazie.

- Nie martw się, powiadasz? Nie zgrywaj bohatera, Ethan. Nie pozwól, by twój demon pokonał cię tym razem. I nie siedź tam zbyt długo. Wrócimy wszyscy. - W końcu jej głos zaczął zdradzać emocje, które za wszelką cenę pragnęła ukryć.

- Nigdy w to nie wątpiłem. Ale nie mogę zawieść ciebie ani mojej drużyny. Bez względu na cenę. Dopilnuj, by reszta plutonu dotarła do bazy cała i zdrowa.

- Zadbam o to. A ty nie śmieję ginąć za mnie, Ethanie Stark.

- Nie mam zamiaru. Wyluzuj, Vic.

- Dobrze. Ty też.

- Stark. - To był Sanchez, jego głos emanował totalnym spokojem nawet teraz, gdy dyszał ciężko po długim biegu. - Powodzenia.

- Dzięki. Miej oko na moją drużynę.

- Oczywiście.

Jeszcze jedno połączenie, do kapral Gomez.

- Anita, ja przejmuję rolę tylnej straży. - Chciała coś powiedzieć, ale nie dopuścił jej do głosu. - Rozkaz porucznika - rzucił, nie wyjaśniając, że wydany na jego prośbę. - Znajduję się najdalej z tyłu i mam największe doświadczenie.

- Zagranie poniżej pasa, sierżancie. To był mój pomysł.

- Nieprawda. Wpadłem na to samo, zanim zaczęliśmy rozmawiać. To było jedyne rozwiązanie. Przejmij drużynę. Masz doprowadzić ją do naszych linii w jednym kawałku.

- Jak długo pan tam zostanie?

- Tak długo, jak będzie trzeba, i ani sekundy dłużej. Nie martw się o mnie, tylko o resztę drużyny. Do tej pory to było moje zadanie. Teraz cała odpowiedzialność spoczywa twoich barkach.

Odpowiedziała mu dopiero po dłuższej chwili.

- Przyjęłam, *sargento*. *Comprendo*. *Vaya con Dios*.

- Wzajemnie. - Nic innego nie przychodziło mu do głowy. - Bez odbioru.

Przyglądał się uważnie terenowi przed sobą. Najpierw musiał znaleźć odpowiednie miejsca do zainstalowania dwóch miniclaymore'ów. Powinien umieścić je bardzo blisko trasy, jaką prawdopodobnie wybierze kolumna pościgowa, tak by ładunki zostały odpalone poziomo prosto w nadbiegających ludzi. W następnej kolejności musiał wyszukać kryjówkę dla siebie. Miejsce ze sporym polem ostrzału, aby mógł dostrzec i ostrzelać przeciwników nacierających z wielu kierunków. Musiało też zapewniać mu dobrą osłonę od frontu i co jeszcze ważniejsze, od tyłu. Najlepiej gdyby miał za plecami skały. Wolał nie odcinać się na tle horyzontu przy każdym szybszym ruchu. Gdyby tak jeszcze coś mogło go chronić od góry... Wątpił jednak, aby istniało tu aż tak idealne miejsce. Tego rodzaju kryjówka musiałaby być płytką grotą w skalnej ścianie, przed którą leżą sterty głazów. Bronić się tam można, ale człowiek nie ma drogi ucieczki, gdy wróg otoczy wejście. Tylko jak znaleźć

jaskinię w świetle, gdzie nie ma ani atmosfery, ani tym bardziej wody?

Dostrzegł obiecujące miejsce tuż przed wylotem rozpadliny prowadzącej na pylistą równinę. Gdy ustawiał pierwszego claymore'a, ostatni z członków jego drużyny zniknął w głębi wąwozu. Druga mina spoczęła sto metrów dalej. Droga do stanowiska, które sobie upatrzył, była dość stroma, ale to dobrze. Będzie musiał gnać jak szalony, gdy nadejdzie czas.

Stanowisko ogniowe wydawało się świetne. Pole ostrzału było duże, skierowane w stronę, z której miał nadejść pościg. Za plecami Stark miał kilka metrów skalistego wzniesienia, przed sobą niski naturalny wał z głazów. Usiadł na wybranym miejscu, by przekonać się, że jest tak dobrze, jak myślał. Widoczne na wyświetlaczu HUD-a ikonki mknęły w zastraszającym tempie w kierunku przełęczy i jego linii obrony. Z drugiej strony, już na równinie, widział wolno sunące znaczniki własnych ludzi. Wciąż brnęli naprzód, ale od strefy bezpieczeństwa dzieliła ich jeszcze długa droga. Ethan ułożył przed sobą granaty i odstawił odbezpieczony karabin na bok. Czekał otoczony skałami, gwiazdami, głębokimi cieniami i oślepiającym blaskiem. Jeszcze nigdy nie czuł się tak samotny.

\* \* \*

- Ty idioto! - Ojciec wpadł w szał. - Chcesz być bohaterem? Wstąp do pieprzonej policji, na rany Chrystusa! Przynajmniej zginiesz w rodzinnym mieście!

Stali naprzeciw siebie. Tata wciąż w ubraniu roboczym przesiąkniętym smrodem karmy dla ryb i Ethan, dwa miesiące po ukończeniu lokalnego technikum z dyplomem operatora sprzętu elektronicznego, który pozwalał mu na objęcie posady kasjera w pobliskim dyskoncie, gdzie właściciele naprawdę olewali pracowników. Był niespełna dwudziestolatkiem poszukującym pracy, która nie obróciłaby wniwecz wszystkich marzeń o dostatnim życiu, i nadal ubierającym się jak uczeń, którym tak naprawdę wciąż się czuł. Nie wiedział, co ze sobą począć, nie marnując przy tym uzyskanego wykształcenia, dopóki nie trafił na reklamę rekrutacyjną wyświetlaną w przerwie między kolejnymi filmami wojennymi. Była całkiem niezła, aczkolwiek nawet aktorzy w niej grający musieli być święcie przekonani, że i tak nikt nie zgłosi się po niej do armii. Ku zaskoczeniu Starka trzeba było bardzo niewiele, by nabrał przekonania do tego pomysłu. Bez względu na to, w jak wielkie tarapaty się pakował, wstąpienie do wojska oznaczało wyrwanie się z tego miejsca i kierunku marnej pracy.

Teraz, stojąc przed ojcem, zmuszał się do zachowania spokoju, ale gdy przemówił, wyduszał z siebie słowa z trudem jak dzieciak przyłapany na powrocie do domu po ustalonym terminie.

- Myślałem, że będziesz ze mnie dumny.



Akurat! Ojciec, podobnie jak wszyscy jego znajomi, nigdy nie krył pogardy dla mundurowych, niemniej ta właśnie odzywka wydała się Starkowi najsensowniejsza, gdy ćwiczył po drodze do domu swoje kwestie.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - Mężczyzna zaczerpnął tchu, rozejrzał się jak człowiek, który zgubił drogę, a potem ponownie wbił spojrzenie w Ethana. - Posłuchaj mnie uważnie... Masz pewne prawa. Możesz zmienić zdanie. Ile czasu ci dali na potwierdzenie decyzji? Siedemdziesiąt dwie godziny? Powiesz im, że rezygnujesz z zapisania się do armii.

- Z zaciągu. - Nawet znajomość tego terminu zwiększała przepaść między nim i ojcem. - Nie mam zamiaru zmieniać zdania. - On też zaczynał się wkurzać, rozpoczynając kolejną walkę o niezależność i kontrolę nad własnym życiem. - Jestem już dorosły, mogę się zaciągnąć, jeśli zechcę.

- Chłopcze, nie wiesz nawet, co robisz. - Ojciec zerkał nerwowo w kierunku salonu, mając nadzieję, że zobaczy tam żonę, i licząc, że otrzyma z jej strony wsparcie. Niestety, był zdany tylko na siebie, gdyż ona siedziała teraz na kasie w sklepie i miała się pojawić w domu najwcześniej za cztery godziny. Stark zaplanował sobie dokładnie tę akcję, wiedząc, że błagania obojga rodziców mogłyby go złamać. - Posłuchaj mnie choć ten jeden, jedyny raz. Nie wiem, co ci powiedzieli i jakim mundurem machali ci przed oczyma, ale uwierz mi, nie znam nikogo, kto szanowałby wojskowych. A ty? Znasz kogoś, kto służy w armii? Nie, oczywiście, że nie. Ci ludzie są inni. Wysyłają ich do miejsc, których nikt przy zdrowych zmysłach nie chce odwiedzać, aby zabijali, a potem sami ginęli. Chcesz, abyśmy dostali od twoich przełożonych list z informacją, że poległeś w jakiejś bezsensownej wojnie o miejsce, które cały cywilizowany świat ma gdzieś?

Ethan zaczynał się wahać. Jego ojciec zazwyczaj nie wyrażał się tak dobitnie w ważnych sprawach, nie mówiąc już o tym, że rzadko okazywał gniew i inne emocje. Tym razem jednak postanowił przywołać wszystkie wątpliwości, jakie dręczyły jego syna.

Niestety, posunął się o krok za daleko i zepsuł wszystko.

- Nie bądź idiotą! Nie marnuj sobie życia!

Rzucane zbyt często słowa wywołały nieodmienną reakcję.

- Ja marnuję sobie życie? O tak, ty wiesz doskonale, o czym mowa. Może i jestem głupkiem, ale na pewno nie spędzę reszty życia, karmiąc ryby. Wyjadę stąd gdziekolwiek, byle nie skończyć jak ty! - wypalił, przekreślając tym jednym zdaniem cały dorobek życiowy swoich rodziców.

Twarz ojca poczerwieniała, potem zbladła. Starszy mężczyzna obrócił się na pięcie i wyszedł. Od tamtej pory nie zamienili ani słowa. Ethan opuścił dom, zanim matka zdążyła

wrócić z pracy, gdyż nie potrafił znieść myśli o tym, że musiałby odbyć po raz kolejny tę samą rozmowę. Żałował, że nie pożegnał się z nią jak trzeba. Takie odejście z pewnością ją zabolalo. Pisał potem kilka razy do domu i czasami, choć rzadko, otrzymywał odpowiedzi - zawsze spisane ręką matki. Było mu przykro z powodu ostatniej sprzeczki z ojcem. Coraz częściej myślał o przeproszeniu go i zaczęciu wszystkiego od nowa. Chciał pokazać, że szanuje go za ciężką pracę i niełatwe wybory, jakich musiał dokonywać w swoim życiu. I że on sam, służąc w wojsku, pomimo powszechnie krążących opinii uczynił wiele pożytecznych rzeczy. Armia zrobiła z niego mężczyznę, a na to przecież liczył, zaciągając się.

Zabawne... Kiedy człowiek ma trzeci, a potem czwarty krzyżyk na karku, błędy ojca nie wydają się już tak głupie jak kiedyś. Gdzieś po drodze zdał sobie sprawę, że jego tata bardzo się starał i ciężko tyrał. Dowodzenie drużyną niewiele się różniło od tamtej harówki, może z wyjątkiem tego, że Ethan miał pod sobą dwunastu dzieciaków, których zarówno wróg, jak i przełożeni starali się doprowadzić do przedwczesnej śmierci. Zostawił w bunkrze list do ojca, napisany przed rokiem czy nawet dwoma laty. Nigdy nie zdobył się na odwagę, by go wysłać. Tego również żałował.

\* \* \*

- Silne zagłuszanie - zameldował system ostrzegania skafandra tym samym bezosobowym głosem, którym podawał wszystkie rutynowe komunikaty. - Utracono podgląd taktyczny. - Ikonki oznaczające drużyny plutonu Starka i nadciągającego wroga zamarły w miejscach, w których zarejestrowano ostatnie odczyty. Zbroja bojowa próbowała przebić się przez zagłuszanie, zwiększając moc systemów komunikacyjnych, aby przekaz audio i wideo nadal docierał do sztabu. Ktoś musiał wiedzieć, gdzie znajduje się Stark, widzieć, co się z nim dzieje, i mówić mu, co należy robić. Ale nie tym razem. Nie wydając żadnych rozkazów osamotnionemu sierżantowi, oficerowie unikali odpowiedzialności za jego los.

Ethan nie miał jednak żadnych wątpliwości, że relacja jest przekazywana non stop do cywilnych sieci wizyjnych. „Wasi bohaterowie z Księżyca. Twórcy tego i owego prezentują transmisję z ostatniej reduty Starka nadawaną w niemal rzeczywistym czasie”. *Śmieszna sprawa, pomyślał. Tak wielu ludzi ogląda ten sam obraz, który ja teraz widzę. Mam tylko nadzieję, że dowództwo zwiększy opóźnienie na tyle, by wróg nie mógł wykorzystać tych przekazów przeciw mnie. Zazwyczaj trepy pilnowały takich spraw, ale bywały momenty, gdy puszczano wszystko na żywioł. Zwłaszcza gdy pokazywane wydarzenia miały wielkie znaczenie i akcja była ostra. Przynajmniej będzie to ostatni numer, jaki mi wytną.*

Na wyświetlaczu pojawił się nowy spory i bardzo jasny symbol oznaczający, że po ścianie pobliskiego krateru przesuwają się jakiś obiekt. Stark skupił się na nim, powiększając

obraz, i ujrzał, jak opancerzona sylwetka pokonuje szczyt wzniesienia. System IFF zmienił kolor ikonki na czerwony, oznaczający wroga. Ethan wystrzelił trzynabojową serię. Postać zamarła, na pewno otrzymała ostrzeżenie przed nadlatującymi pociskami, ale nie miała już czasu na reakcję. Przewaliła się na plecy prosto na kamienie, odbijając się od nich kilkakrotnie, a potem zamarła; tylko parę strumieni tlenu tryskało w próżnię z otworów w przestrelonym skafandrze. Wróg zrobi się teraz ostrożniejszy. Będzie się poruszał wolniej, próbując wy badać, ilu ludzi pozostało w ariergardzie i gdzie zostali rozmieszczeni. Przy odrobinie szczęścia to rozpoznanie zabierze nawet cenne minuty.

Jakieś poruszenie z lewej. Kilka postaci przemknęło od osłony do osłony, posuwając się szybko do przodu. Byli nieźli, nie wystawiali się na pewny strzał. Czekał więc, dopóki nie został nagrodzony kolejnym ruchem, tym razem po prawej. Ta grupa nie była już tak dobra. Jeden z biegnących poślizgnął się w pośpiechu i próbował właśnie wrócić za osłonę. Zanim jej dopadł, już leżał trafiony w brzuch kulą wystrzeloną przez Starka. Dwaj załatwieni, ale reszta już pewnie wie, gdzie się ukrył. Jeśli tu zostanie, mogą go trafić. Jeśli się poruszy, na pewno zostanie zauważony. Stark nawet nie drgnął.

Cyferki na wyświetlaczu zegara w jego HUD-zie zmieniały się w ślimaczym tempie. Ethan nie zważał już na ich krwistą barwę przypominającą mu gniewnie, że nie trzyma się harmonogramu misji. Raz jeszcze ucieszył się z braku komentarzy rzucanych przez oficerów ze sztabu, ale zaraz przypomniał sobie jakże słuszną uwagę Vic, że żaden trep nie zechce być kojarzony z tą beznadziejną akcją.

Jego tak nadal obliczał potencjalne postępy plutonu, trzy grupy ikonki posuwały się cały czas w głąb pylistej równiny, ale wciąż znajdowały się zbyt blisko wroga i tej grani. A to znaczyło, że nie mógł stąd jeszcze odejść. Może transportery wyjechały im naprzeciw. W takiej sytuacji byliby już bezpieczni. *Nie, nie mogę na to liczyć. Muszę zakładać najgorsze. Muszę powstrzymać wroga jeszcze przez chwilę, by dać chłopcom szansę na pokonanie tej równiny. Jeszcze tylko chwilę.* Nagle całkiem blisko jego pozycji spomiędzy głązów wyłoniła się biegnąca długimi susami postać. W tym samym momencie na jego stanowisko posypał się grad pocisków. Pozostali napastnicy osłaniali swojego towarzysza. Plamka celownika powędrowała w kierunku błyszczącej na wyświetlaczu sylwetki. Stark uniósł broń i wystrzelił jednym płynnym ruchem. Widział na HUD-zie tor pocisku lecącego prosto na osłonę hełmu atakującego go żołnierza. W czerni poszybowały strugi gazu i odłamków. Biegnący zeszywniał nagle i opadł na grunt powoli jak zepsuta zabawka.

Ogień osłonowy osłabł na moment, gdy pozostali napastnicy zdali sobie sprawę z tego, że właśnie stracili kolejnego człowieka, ale wkrótce znów się nasilił. Szlag by ich.

Wkurzyli się na maksa i w dodatku teraz już wiedzą, gdzie jestem. Okay. Nie wychylaj się, chłopie. Niech sobie strzelają. Ty oszczędzasz amunicję. Stark spokojnie przeliczał naboje, podczas gdy wokół niego szalała nawała ognia. Nie daj się zastraszyć. Nie daj się trafić. Zaraz musisz zwiewać. Powtórzył w myślach plan ucieczki, skupiając się na każdym szczególe. Przetaczam się w kierunku zbocza po prawej i ruszam ile sił w nogach, zanim ochłoną i namierzą mnie. Zeskakuję ze skał na pylistą równinę i zapieprzam w kierunku pierwszych głazów, które mogą dać mi osłonę. Strzelam i cofam się o kolejny kawałek. A może po prostu powinienem biec przed siebie, cały czas klucząc? Jeśli tak zrobię, wyrzucę w górę sporo pyłu. Nie będą mogli celować. Łatwizna. Muszę spieprzać, dopóki nie znajdę się poza polem rażenia.

Nagle coś eksplodowało tuż obok niego. Wstrząs rozerwał skałę na drobne kawałki. Kilka takich okruchów trafiło go w bok. *Wystrzelili pocisk przeciwpancerny. Szlag by ich!* Lewa ręka odmówiła mu posłuszeństwa. System medyczny zbroi zareagował z cichym pomrukiem, wstrzykując mu dawkę środka uśmierzającego ból. *Dzięki Bogu nie doszło do poważniejszego rozdarcia hermetycznej powłoki.* Struga wyciekającego tlenu zdradziłaby jego pozycję w mgnieniu oka.

*Dobra, ucieczka z niesprawną ręką będzie trudniejsza, ale wciąż możliwa. Przyjmowane na bieżąco leki pomogą mi utrzymać sprawność i koncentrację.* Taką miał przynajmniej nadzieję. Niezbyt często obrywał. Zazwyczaj wychodził z akcji bez szwanku. Aczkolwiek to mogło się zaraz zmienić. Przez chwilę unikał wzrokiem taka, na którym znajdowała się aktualna pozycja jego plutonu. Teraz jednak skierował spojrzenie na wyświetlacz. Chłopcy byli jeszcze na równinie, ale lada moment powinni dotrzeć do bezpiecznej strefy, gdzie otrzymają pomoc. Po chwili radości na pewno zostanie zorganizowana wyprawa ratunkowa. Dadzą mu osłonę. Musi się stąd zbierać jak najszybciej. Cudowne ocalenie samotnego wilka. Transmisja z tych wydarzeń będzie świetna. Rankingi skoczą niebotycznie i wszyscy będą szczęśliwi. Już niedługo.

*A jeśli jakiś gogus wpadnie na to, zastanawiał się cichy głos w jego głowie, że pokazywanie samotnego strzelca, powstrzymującego wroga do samego końca, będzie o wiele lepszym materiałem? Albo dojdzie do wniosku, że kolumna ratunkowa może ponieść zbyt duże straty? Martwi bohaterowie są lepsi. Przede wszystkim nie mogą pałać żadnego głupstwa, co często się przydarza ich żyjącym odpowiednikom, którzy potrafią być gorsi od wrzodu na dupie. Decyzja będzie prosta, zwłaszcza że w tym przypadku chodzi o sierżanta znanego z takich zachowań. Dlaczego więc nie wysłać grupy ratunkowej z niewielkim opóźnieniem? Napięcie rośnie, a potem wielki żal. Bezpiecznie martwy bohater, którego będzie można*

*uczynić niemalże świętym. Bohater, który oddał wszystko, nawet życie, za towarzyszy broni i ojczyznę. To dopiero zwiększy oglądalność. Wszyscy będą chcieli zobaczyć, jak bohatersko skonał głupi sierżant. Nie, uznał, Vic im na to nie pozwoli. Ona, Gomez, może nawet porucznik Conroy wrócić po mnie. No chyba że się spóźnią, bo ktoś z góry poda im fałszywe informacje na temat aktualnej sytuacji.*

Znów usłyszał alarm. Czujniki ruchu wykryły kilku kolejnych napastników biegnących pod górę pod osłoną zmasowanego ognia. *Do tej pory musieli ściągnąć kogoś z ciężką bronią. Trochę za mocno nawalają jak na bandę piechociarzy.* Skupił się, odczekał jeszcze moment i odpalił pierwszego claymore'a, gdy dwóch napastników znalazło się w polu rażenia. Jednego z nich eksplozja cisnęła na pobliskie głązy, spoczął na nich i tam pozostał. Drugi zwinął się w powietrzu i odpłynął, wolno opadając na pylisty grunt.

*Dobra. To powinno dać im do myślenia. Zaraz zaczną szukać innych min.* Kolejny rzut oka na taka. Pluton docierał już do strefy bezpieczeństwa. *Jeszcze moment. Ruszam, gdy tylko zyskam pewność, że chłopcy są poza zasięgiem. Przetaczam się na prawo i biegnę w dół zbocza. Skaczę na równinę i spieprzam, podczas gdy oni siedzą, zastanawiając się, czy to aby nie kolejna sztuczka.*

System zaalarmował go o zagrożeniu z góry. Stark dostrzegł na wyświetlaczu trajektorię pocisków moździerzowych wystrzelonych z tylnych linii wroga. *Szlag by was wszystkich! Ani drgnij i módl się, by kamuflaż skafandra okazał się wystarczająco dobry. Albo o to, by szybko zabrakło im amunicji.* Nie miał osłony od góry. Nie mógł jej mieć, jeśli nie chciał się znaleźć w pułapce bez wyjścia. Nadszedł czas, by się wycofać. I to jak najszybciej.

Wystrzelone kontenery rozpadły się wysoko nad jego głową, wypuszczając dziesiątki pocisków, które zasypały całą okolicę. Kamuflaż okazał się wystarczająco dobry. W przeciwnym razie Stark zginąłby natychmiast, trafiony co najmniej tuzinem samonaprowadzających się głowic. Nie mogąc wykryć celu, miniaturowe pociski spadały gdzie popadnie albo eksplodowały w locie, jakby miały nadzieję, że ich odłamki osiągną dobrze ukrytego przeciwnika. Stark poczuł piekący ból w prawej nodze, gdy jedna z głowic wybuchła niedaleko jego kryjówki. *Źle. Bardzo źle.* Sprawdził odczyty uszkodzeń. Skafander zdołał zasklepić dziurę, ale z nogą nie poszło mu tak łatwo. Automed zamruczał intensywniej i ból zaczął słabnąć. Zastąpiła go kolejna fala dobrego samopoczucia.

*To jeszcze nie koniec. Sprawdź taka. Odsiecz powinna już wyruszać. A ja nie potrzebuję obu nóg, by się przetoczyć. Zdołam się stąd wydostać.* Przeliczył raz jeszcze dostępną amunicję. Miał dwa granaty, została mu też jedna mina na przedpolu. *Nie ruszaj się... Za szybko cię namierzili. Rzuć oba granaty, by ich rozproszyć, ustaw też claymore'a na*

*samodestrukcję. A potem jazda. Bułka z masłem.*

W dole przed jego stanowiskiem znowu poruszało się wiele postaci częściowo zasłoniętych czerwoną poświatą zalewającą wizjer. *Nie mogę rzucić granatów. Muszę je sobie zostawić na moment ucieczki.* Podniósł broń, oparł ją o jeden z kamieni i wypalił, nie celując. Biegący natychmiast przypadli do gruntu. Nie wiedział, czy trafił kogoś. Ostrzał jego stanowiska znów się wzmógł, wyświetlacz oszalał, gdy do kul dołączyły ładunki energetyczne. Ethan zamrugał oczami, zastanawiając się, jak wyeliminować czerwoną poświatę, która go oślepiała. Między plamami czerwieni dostrzegł kołyszące się źdźbła trawy, zupełnie nie pasujące do gołej skały, która go otaczała.

W szczyt wzniesienia uderzyła rakietą, posyłając w dół mrowie ostrych odłamków. Dwa z nich przebiły skafander Starka, jego ciało, a nawet kamienie, na których siedział. Powłoka materiału zasklepiła się w ułamkach sekund, a pracujący na pełnych obrotach automech zamruczał głośno, wciąż próbując pokonać naturę za pomocą kolejnych dawek chemikaliów. *O Boże. Chyba jednak nie dam rady. Za późno, za późno. Nigdzie się stąd nie ruszę. Jak ci wszyscy chłopcy, których zostawiliśmy w płytkich mogiłach. Teraz moja kolej. Na moment wróciła mu jasność umysłu. Nie czuł bólu ani żalu. Ale pozostałym udało się uciec. Są bezpieczni. Pluton wrócił do bazy. Moja drużyna też. Wykonałem zadanie. Nie zawiodłem ich.*

Mimo końskiej dawki leków wciąż czuł potworny ból. Uszy rozdarł mu ogłuszający ryk. Wróg musiał kontynuować natarcie, ale on już tego nie widział. Za to nadal zaciskał mocno palec na spuście broni. Przy akompaniamencie huraganowego ostrzału komputer jego zbroi zaczął wyliczać bezosobowym głosem listę usterek i uszkodzeń. Stark nie słyszał go jednak w tym harmidrze. Wydawało mu się za to, że ktoś wypowiada albo wykrzykuje jego imię, lecz nie potrafił się już skoncentrować na żadnym dźwięku ani obrazie. Czerwona mgła zakryła całe pole widzenia, usuwając mu sprzed oczu widmową trawę, a potem ktoś zarzucił na jego umysł czarną jak noc kurtynę wypełnioną głazami, pyłem i oślepiającym blaskiem.

**CZĘŚĆ TRZECIA**

**IDŹ I POWIEDZ**

**SPARTANOM**

Najpierw ujrzał światło. Rozmyty blask miejscami przechodzący w oślepiającą jasność. Plamy ciemności kondensowały się z wolna, tworząc pasy na tle błękitu, jakby niebo popękało, pozwalając, by przez szczeliny sączyła się kwintesencja kosmicznej pustki. W końcu odzyskał ostrość widzenia i zrozumiał, że niebo przed jego oczyma jest w rzeczywistości pomalowanym skalnym sufitem, na którym płonęło mrowie fluorescencyjnych lamp.

- Ja nie umarłem. - Nie wypowiedział tych słów, co najwyżej ulotniły się z jego zaschniętej krtani.

- Nie, Ethanie, nie umarłeś.

Stark poruszył głową, obracając ją ostrożnie, dopóki nie dostrzegł twarzy Victorii.

- Zatem nie jesteś aniołem.

- Na razie nie i raczej nie licz, że stan ten ulegnie zmianie w dającej się przewidzieć przyszłości. - Na twarzy Reynolds pojawił się grymas wściekłości, gdy wysuwała palec w jego kierunku z taką szybkością, że mimowolnie spróbował się odsunąć. - Ty pieprzony idioto! Nie waż mi się robić czegoś równie głupiego!

- Nie ma za co.

- Powiedziałeś, że nie zostaniesz tam dłużej niż trzeba. A wiesz co? Brakowało sekundy, żebyś wylądował w worku, gdy po ciebie wróciliśmy pod osłoną czołgu i czterech transporterów opancerzonych. Gdyby nie to, że jeden z wozów był zaadaptowany na szpital polowy, nie przeżyłbyś nawet drogi do naszych linii.

Stark spróbował się uśmiechnąć i ze zdziwieniem odkrył, że mięśnie jego twarzy nie reagują na polecenia mózgu. Bogu dziękował, że nie widzi się teraz w lustrze.

- Wiedziałem, że wróćcie po mnie ze wsparciem.

Vic usiadła, wzrok jej jednak nadal płonął.

- To się myliłeś. Te czołgi i transportery nie ruszyłyby się z miejsca bez względu na to, jak bardzo by cię szatkowano. Najpierw błagaliśmy o to wsparcie, potem groziliśmy, a na koniec sami ruszyliśmy po ciebie. Dopiero wtedy ktoś podjął decyzję. Brygada nie mogła sobie pozwolić na utratę całego plutonu. Cywilbanda popłakałaby się chyba, widząc tyle ofiar, a nasz generał straciłby okazję do załapania się na kolejne zaszczyty po niebotycznym



wzroście oglądalności, jaki zanotowały stacje transmitujące twoją ostatnią bezsensowną walkę. Wróciliśmy, przetoczyliśmy się po bandzie piechociarzy, którzy już świętowali swoje zwycięstwo, wyciągnęliśmy twoje poharatane, bliskie śmierci ciało i zaciągnęliśmy je za nasze linie obrony, mając na plecach połowę korpusu ekspedycyjnego. Rozumiesz, co do ciebie mówię, Ethan? Chcieli cię tam zostawić. - Pochyliła się, spoglądając mu intensywnie w oczy, jakby szukała w nich odpowiedzi. - Po jaką cholere to zrobiłeś, Stark?

- Z powodów osobistych.

- Akurat. - Zignorowała jego odpowiedź. Następne słowa, choć ostre, zabrzmiały dziwnie łagodnie w zaciszu szpitalnej sali. - Wzgórze Pattersona. Byłeś tam.

- Skąd wiesz?

- Domyśliłam się, nazwij to przecuciem, jeśli chcesz - Najgorsza katastrofa we współczesnej historii amerykańskiej armii. Wydarzyła się dekadę temu. Dwie kompanie naszych chłopców otoczone na odkrytym wzgórzu i wystrzelane, ponieważ nikt nie przyszedł im z odsieczą. Tylko trzech ludzi zdołało się przedrzeć nocą, zanim wróg dokończył rzezi. Byłeś jednym z nich, Ethan. Dlaczego, u licha, nie powiedziałeś mi o tym?

Stark przypatrywał się mlecznobiałej ścianie, którą miał przed oczami, jakby jej faktura miała dla niego ukryte znaczenie.

- Z nikim nie rozmawiam na ten temat.

- Zauważyłam. - Vic wysunęła dłoń i ostrożnie odwróciła głowę Starka, by znów mógł ją widzieć. - To jest ten twój demon. Tak naprawdę nigdy nie opuściłeś Wzgórza Pattersona. Część twojego umysłu utknęła na tym trawiastym wzniesieniu.

Stark próbował unikać jej wzrokiem, ale nie puściła jego głowy nawet na moment.

- Straciłem tam wielu przyjaciół, Vic. Oni zginęli, ja przeżyłem.

- Tak działa przeznaczenie.

- To musi być coś więcej - zaprotestował. - Przeżyłem z jakiegoś powodu. Może dlatego, żebym dopilnował, aby podobna sytuacja nie miała miejsca w przyszłości.

- A może to tylko kwestia przypadku? Jak szczęśliwy los na loterii.

- Do cholery, Vic, to musiało coś znaczyć! - Stark zadrżał, poczuł ból w setkach miejsc otaczających liczne rany, które powinny go zabić. Stojący obok monitor zamruczał, jakby nie zgadzał się z jego opinią, i zwiększył dawki podawanych leków. Ból zaczął słabnąć, podobnie jak ożywienie. Nie odszedł całkiem, niemniej został uwięziony za grubym murem, zza którego nie był w stanie kąsać umęczonego ciała. - To musiało coś znaczyć - powtórzył Stark.

Vis spojrzała na niego z powagą.

- Chcesz o tym teraz porozmawiać?

- Nie.

- Posłuchaj, brałam udział w wielu naprawdę paskudnych starciach.

- Ale nie w takim.

- Przecież to wydarzyło się tak dawno temu!

- Nie. - Stark pokręcił głową wpatrzony gdzieś w przestrzeń. - Nie. To dzieje się każdej nocy, Vic. Każdej nocy. - Przeniósł na nią spojrzenie oczu zamglonych na skutek stosowanych leków i wspomnień, które właśnie doń powróciły. - Atakowali nas przez cały dzień, ostrzeliwując z broni ręcznej, naporzając we wzgórze z dział i moździerzy. A my nie mogliśmy się nawet okopać, bo tuż pod darnią kryła się lita skała. Nie było się za czym schować, wokół rosła wyłącznie trawa. Ścinana szrapnelami, zroszona krwią, wdeptana w ziemię... - zamilkł na moment.

- Ciebie też trafili? - zainteresowała się Vic.

- Mnie? - zdziwił się Stark i wzruszył ramionami. - Nie. Szeregowy Ethan Stark wyszedł stamtąd bez jednego draśnięcia. Nie wiem do dzisiaj, jakim cudem. Byłem tak cholernie młody, przestraszony i zmęczony, że nie potrafiłem utrzymać w rękach karabinu. Leżałem więc, patrzyłem na tę trawę i modliłem się. W końcu zapadła noc. Dzięki Bogu był akurat nów, więc zrobiło się naprawdę ciemno. Nie mogli nas widzieć. I ja też nie widziałem tych wszystkich ciał, które mnie otaczały. A to byli moi przyjaciele, Vic.

- Wiem... Dlaczego nie weszli na to wzgórze i nie wyrznęli was do końca?

- Bali się nas. Mimo że kopali nam dupska przez cały dzień, mieli cykora przed spotkaniem twarzą w twarz, zwłaszcza po ciemku. Tak przynajmniej twierdziła Kate.

- Kate?

- Kapral Kate Stein. Mówiłem na nią „starsza siostra. A ona nazywała mnie młodszym braciszkiem. Ocaliła mnie. pokazała, jak walczyć z głową. - Stark mrugał przez moment szybko. - Moja zbroja padła całkowicie. Wyczerpały się akumulatory. Wypiąłem je i ruszyłem na poszukiwanie kogoś żywego. Tak na nią trafiłem.

- Ona także przeżyła?

- W pewnym sensie. - Przelknął głośno ślinę. - Straciła obie nogi. Gdyby nie automed, nie przetrwałaby nawet do momentu naszego spotkania.

*Chryste, Kate, wyciągnę cię stąd. Obiecuję. Wyniosę cię. Dotargam do naszych.*

*Nie. Wynos się. Ty i każdy, kto może jeszcze chodzić o własnych siłach.*

*Nie zostawię cię. Nie zrobię tego. Zostanę z tobą i pozostałymi rannymi.*

*Nie zostaniesz, młodszy braciszku. Nie marnuj życia. Ja z tego nie wyjdę. Zapomnij o*

*mnie. Ratuj siebie.*

*Nie zostawię cię na pastwę wroga!*

*Zanim tu przyjdą, ja już nie będę żyła, bracie. Zachowałam sobie ostatni granat, na wypadek gdybym się myliła.*

*Nie, nie. Słuchaj, wkrótce nadejdzie odsiecz.*

*Odsiecz? Rozkaszlała się chrapliwie, plując krwią. Oprzytomniej. Zagłuszyli nasze wezwania o pomoc, mają wystarczająco dużo broni przeciwlotniczej, by trzymać nasze helikoptery ewakuacyjne na dystans, a wszyscy durnie z gwiazdkami, którzy przyprowadzili nas na to pieprzone wzgórze, już pozdychali. Jeśli ktoś przyjdzie nam z odsieczą, I tak nie zdąży na czas.*

*Musi być jakieś inne wyjście.*

*Czasami wszystkie wyjścia prowadzą do jeszcze gorszej sytuacji. Wynoś się stąd, Ethanie. Nie po to uczyłam cię, jak walczyć, żebyś umierał tutaj za nic, a zostając, niczego nie dokonasz.*

*Ale...*

*Idź. Mnie nie zdołasz uratować, ale może uda ci się ocalić życie komuś innemu, kiedyś.*

*Zrobię to.*

- Ethanie? - Vic pochyliła się nad nim, przyłożyła mu dłoń do policzka. - Jesteś tu?

- Tak.

- Co tam się wydarzyło? Pomiędzy tobą a Stein?

- Nie mogłem jej pomóc. Nie potrafiłem jej podnieść. Ale zostawiła sobie granat. - Victoria pokiwała głową z zaciętą miną. - A mnie kazała spieprzać w podskokach. - Stark uśmiechnął się tak niespodziewanie, że zaskoczona Reynolds drgnęła. - Wiesz, co mi powiedziała na koniec? Żebym rozładował broń, zanim zacznę się przekradać przez linie nieprzyjaciela.

- Kazała ci rozładować broń? Dlaczego?

- Ponieważ wystraszony człowiek, mając przy sobie naładowaną broń, instynktownie naciska na spust - wyjaśnił Stark. - Gdybym to zrobił, opadliby mnie jak muchy. A kiedy nie masz amunicji, zaczynasz kombinować, jak by tu się schować. Dzięki tej radzie przeżyłem.

Vic nie przestawała kiwać głową, tym razem w zamyśleniu.

- Dobra rada. Domyślam się, że jej posłuchałeś.

- Mhm. Zanim opuściliśmy to miejsce, upewniliśmy się, że każdy z rannych, który nie potrafił iść o własnych siłach, ma wystarczający zapas broni i amunicji. Ci, którzy mogli się jeszcze ruszać, mieli spory problem z odczołganiem się ze wzgórza, głównie za sprawą bujnej

roślinności. Wróg nas zauważył, ale kilku chłopaków udało się dotrzeć do linii drzew. Boże, jak tam było ciemno. Takiej czerni nie widziałem nigdy potem, nawet tutaj. Nie widziałeś wroga, dopóki na niego nie wpadłeś. Nie można było zrobić kroku bez lęku, że nadejście na coś i narobi hałasu. To była najdłuższa noc w moim życiu.

- Ale cię nie zauważyli.

- Mało brakowało, naprawdę mało. Ale Kate mnie ocaliła. Dwa razy znalazłem się tak blisko wroga, że instynktownie naciskałem spust, lecz nie strzeliłem, ponieważ nie miałem amunicji. Przeklinałem ją w myślach, gdy oddalali się ode mnie. Inni w takich sytuacjach nie wytrzymywali i otwierali ogień. Słyszałem ich. Długo nie pożyli... - zawiesił głos na moment.

- Tuż przed świtem znowu usłyszałem ciężką artylerię. Zaatakowali wzgórze wszystkim, czym dysponowali. Towarzyszyła temu palba z broni maszynowej. Wybuchy granatów. Ale nie trwała zbyt długo... - znowu zamilkł. - Pędziłem przed siebie ile sił. Kilka godzin później natknąłem się na amerykański patrol idący naszym śladem.

- Odsiecz? Była już tak blisko?

- Nie tak znów blisko, a poza tym to był tylko niewielki oddział. - Stark przymknął na moment oczy. - Opowiedziałem im o wszystkim. Nie uwierzyli mi, sądzili, że zdezerterowałem, ale wkrótce dwa inne patrole trafiły na kolejnych ocalonych opowiadających to samo co ja. Dzięki naszym ostrzeżeniom chłopaki z tego oddziału mogli wycofać się zawczasu i ocalić życie.

Vic odchyliła się, przygryzając dolną wargę.

- Skopaliśmy im potem dupska. Rozmawiałam z ludźmi, którzy uczestniczyli w operacji odwetowej.

- Tak. Skopaliśmy im dupska - przyznał Stark kwaśnym tonem. - Ale wszystkie późniejsze sukcesy nie przywróciły życia poległym na tym wzgórzu.

- Racja - przyznała Reynolds.

- Nic nie mogłem dla nich zrobić. Nikt nie mógł im pomóc. Aż do dzisiaj.

- A co mógłbyś zrobić, Ethanie?... To znaczy wtedy.

- Mogłem zostać, Vic. Tam na wzgórzu z tymi, którzy nie potrafili się ruszyć.

- I zginąć razem z nimi, gdy nadszedł świt? Tak, to by rzeczywiście wiele zmieniło.

Cieszę się, że posłuchałeś Kate Stein.

Stark leżał przez chwilę, milcząc.

- Nadal jej słucham - powiedział.

- I dobrze. Zachowaj lepiej to swoje poświęcenie na naprawdę dobrą okazję.

- Taką jak osłanianie plutonu wycofującego się po pylistej równinie? - W jego głosie

dało się wychwycić nutkę tryumfu.

Obrzuciła go wściekłym spojrzeniem.

- Wystawienie się na pewną śmierć nie było częścią tego planu. Podobno miałeś ich powstrzymywać przez chwilę i wycofać się za nami.

- Nie było żadnego planu, miałem ich powstrzymywać, dopóki nie dotrzecie na bezpieczną odległość.

- Nie musiałeś zgrywać bohatera, żebym ocalała! To ty masz być żywy i pilnować swojej drużyny. Jako wymagający sierżant stanowisz o wiele większą wartość dla nas wszystkich. Zapamiętaj to sobie i przyjmij do wiadomości, że nikt z góry nie zamierzał wysłać odsieczy i zgarniać stamtąd konającego żołnierza.

Chciał zbyć tę ostatnią uwagę wzruszeniem ramion, ale ból nie pozwolił mu na wykonanie tak gwałtownego ruchu.

- Wiedziałem, że po mnie wróćcie.

- Zatem uważasz, że jestem równie głupia jak ty? - Vic pokręciła energicznie głową. - Ethanie, nie stać nas na stracenie ciebie. Nie każę ci bynajmniej zapominać o przeszłości, ale na Boga, nie pozwól, by ona tobą kierowała. Bądź ostrożniejszy. - Pogrzebała w kieszeni i wyjęła z niej pudełeczko. Rzucone w kierunku Starka wylądowało na jego piersi miękko dzięki zmniejszonej grawitacji. - Masz swoją Srebrną Gwiazdę, pospołu z czterema Purpurowymi Sercami przyznanymi pewnemu dzielnemu sierżantowi. Czujesz to Ethan? Cztery Purpurowe Serca. Dostajesz pierwsze, jesteś szczęściarzem, przy drugim masz wielkie szanse na wykitowanie. Trzecie zazwyczaj dostaje się pośmiertnie. A tobie dali od razu cztery. Następnym razem, gdy zaczną do ciebie strzelać, padnij chociaż na ziemię. - Vic wyszła, pozwalając, by zasłona wisząca obok łóżka Starka opadła z wolna; pofałdowana materia niechętnie poddawała się słabemu księżycowemu ciężeniu. Ethan leżał w kompletnej ciszy, przyglądając się niebu wymalowanemu na chropawym suficie.

Nieco później wpadł do niego Sanchez. Skinął głową na powitanie, a kąćki jego ust zadrgały nerwowo w parodii uśmiechu, gdy pytał:

- Wszystko w porządku?

- Zgodnie z oczekiwaniami.

Skwitował słowa Starka kolejnym skinieniem głowy.

- Twoja drużyna też jest cała i bezpieczna. Gomez trzyma ją twardą ręką. Dorobiłeś się dobrego kaprała.

- Wiem. - Ethan próbował wyciągnąć rękę, ale musiał z tego zrezygnować, czując protest obolałego ciała. - Dzięki, że zajęłeś się nimi, Sanchez.

- Tyle przynajmniej mogłem dla ciebie zrobić. - Sanchez odwrócił się, by wyjść, ale zatrzymał się w pół kroku. - Dzięki za ocalenie chłopaków.

- Nie ma sprawy.

Stark nie był pewien, czy jego kolega opuszcza izolatkę, uśmiechając się jak przy wejściu.

Niewiele osób odwiedzało go przez kolejne dni, a potem tygodnie rekonwalescencji. Nawet przy wsparciu najnowocześniejszej techniki ludzkie ciało wymagało czasu, by zaleczyć rany będące efektem stosowania najdoskonalszych rodzajów broni. Stark zdawał sobie sprawę, że na oddział szpitalny mieli wstęp wyłącznie oficerowie i niektórzy z najstarszych stopniem podoficerów, a Sanchez i Vic musieli poświęcać sporo czasu własnym oddziałom, ponieważ wojna trwała i zdawała się nie mieć końca. Któregoś dnia jednak zobaczył przy swoim łóżku gości, których pojawienie się wywołało jego spore zakłopotanie, a nawet lekki niepokój.

Pierwszy do sali wkroczył człowiek z szerokimi epoletami, na których pyszniły się orły pułkownika. Obrzucił Starka spojrzeniem pełnym dezaprobaty, potem podniósł kołdrę, by przyjrzeć się opatrunkom.

- Nie możecie leżeć prościej? - zapytał.

- Nie, sir.

Pułkownikowi było chyba obojętne, jaka padnie odpowiedź. Postukał w gips w kilku miejscach i rzucił jeszcze:

- Postarajcie się, na litość boską, wyglądać jak prawdziwy wojskowy.

Stark nie skrzywił się, nie otworzył też ust, aczkolwiek wymagało to od niego sporo trudu. Nadal zastanawiał się nad wystarczająco ciętą odpowiedzią, gdy zasłona znów powędrowała w górę i obok łóżka pojawił się kolejny pułkownik w asyście gromadki cywilów obojga płci. *No nie. Cywilbandę mi tu ściągnęli. O co im, u licha, biega?*

- To jest Stark - przedstawił go pierwszy z pułkowników, nie kryjąc rezerwy w głosie.

- To jest sierżant Stark, sir - poprawił go równie ciepłym tonem Ethan.

- Sierżant Stark - wychrypiał oficer, rzucając leżącemu spojrzenie sugerujące, że krnąbrny żołnierz poniesie konsekwencje. Ethan nie spuścił jednak wzroku i to pułkownik poddał się w tej rundzie pierwszy.

Po tym krótkim wprowadzeniu zapanowała niezręczna cisza. Stark wciąż zachodził w głowę, czego ci ludzie mogą chcieć.

- Został pan ranny podczas bitwy? - zapytał w końcu jeden z cywilów.

Ethan przeniósł wzrok na drugiego trepa, a ten skinął głową na znak, że można

odpowiedzieć, aczkolwiek w jego oczach dało się wyczytać, że nie znosi rannego jeszcze bardziej niż jego kolega.

- Zgadza się.

Kobieta w spódnicy i zakiecie podeszła bliżej, pochyliła się nawet nad łóżkiem. Stark nie miał nic przeciw temu, jako że babka była całkiem do rzeczy, a on także mógł się jej teraz lepiej przyjrzeć.

- Musiał pan bardzo cierpieć - stwierdziła w końcu.

- Owszem. - Ethan nie miał w zwyczaju rozmawiać z obcymi o swoich dolegliwościach, a przy cywilbandzie zrobił się bardziej małowówny niż zazwyczaj.

Kobieta przeniosła strapiony wzrok na tabliczkę w nogach łóżka, na której był wyświetlany stan pacjenta.

- Ale wydobrzeje pan? Wszystkie rany się zagoją?

- Tak mi mówiono.

Kobieta przygryzła wargę, potem spojrzała niepewnie na pozostałych cywilów. Jeden z nich, mężczyzna w wieku Starka, zapytał:

- Czy może nam pan opowiedzieć, jak do tego doszło?

Drugi z pułkowników odezwał się szorstkim tonem, spoglądając gdzieś w bok, jakby chciał podkreślić, że nie ma zamiaru brać udziału w tej rozmowie.

- Sierżant Stark prowadził akcję opóźniającą ruchy wroga, podczas gdy jego pluton zmierzał w kierunku amerykańskich linii obrony po zakończonej sukcesem misji zniszczenia obiektu przemysłowego należącego do wroga.

Cywilbanda spoglądała po sobie, jakby pułkownik przemówił w obcym im języku, a Ethan zwalczył kolejną pokusę, by dogryźć swojemu przełożonemu.

*Zmierzał w kierunku...? Dlaczego boicie się powiedzieć: Wycofywał? Nagle przed oczami znów miał obraz pocisków roztrzaskujących się o skały wokół stanowiska, na którym starał się zatrzymać wroga. I dlaczego ten dupek dekujący się na tyłach mówi o naszej operacji w taki sposób, jakby chciał umniejszyć jej znaczenie?* Stark wzruszyłby ramionami, gdyby nie gips pokrywający większość jego ciała.

- Robiłem, co mi kazano. Przecież widzieliście to podczas transmisji.

Cywilbanda wyglądała na mocno zaskoczoną.

- Nie oglądamy wojskowych kanałów - wyjaśniła kobieta, która zagadnęła Ethana pierwsza. - Tutaj ich nie transmitują.

- Nie? - Zaskoczony Stark spojrzał na obu pułkowników, szukając u nich potwierdzenia tej informacji.

- Ze względów bezpieczeństwa - rzucił jeden z nich. - Nie chcemy ryzykować przejścia sygnału przez jednostki wroga, gdyż to zagrażałoby relacjonowanym operacjom.

*Zatem dlaczego transmitujecie je na Ziemię, gdzie wróg może je sobie oglądać do woli, podobnie jak cywilbanda?* Stark czuł narastającą niepewność. Jej źródłem byli ci nieznani mu ludzie, którzy go odwiedzili, dezaprobata w wypowiedziach pułkowników i przecucie, że wpakowano go w jakąś aferę z cywilbandą na pierwszym planie, której zupełnie nie rozumiał, a która z pewnością zakończy się kolejnymi problemami, jakby było mu ich jeszcze mało.

Cywile wymienili spojrzenia, ale nie odezwali się słowem. Pożegnali za to Starka, kiwając z szacunkiem głowami, gdy opuszczali szpitalną salę. Jeden z pułkowników posyłał sierżantowi ostrzegawcze spojrzenia, dopóki sam nie wyszedł, opuszczając za sobą kotarę. *Wątpię, aby pytanie, o co tu chodzi, skończyło się dla mnie dobrze, uznał Ethan. Boże, nie mogę się doczekać powrotu do mojej jednostki.*

W końcu zdjęto mu gips i rozpoczęła się rehabilitacja. Lekarka o wiecznie zmęczonym spojrzeniu obejrzała Starka, po czym pokręciła głową, czytając jego kartę na ekranie laptopa.

- Nie powinnam pana jeszcze wypisywać - stwierdziła w końcu.

- Dlaczego? - zapytał. - Czy coś jest nie tak?

- Nie z panem. - Lekarka westchnęła i wpisała coś do komputera, zanim go wyłączyła.

- Proszę mnie posłuchać, sierżancie. Jestem jak inżynier naprawiający najbardziej skomplikowane mechanizmy na świecie, a potem odsyłający je innym, aby mogli je znowu zniszczyć. Nie sposób czuć satysfakcji, rozumie pan.

- Jeśli to pani poprawi humor, mogę obiecać, że zrobię wszystko, by już tu nie wrócić.

Uśmiechnęła się, ale jej spojrzenie nadal wyrażało ogromne zmęczenie.

- Wiem, że będzie się pan starał, sierżancie. Jeszcze kilka dekad temu rany, jakie pan otrzymał, pozbawiłyby pana życia albo przynajmniej okaleczyły na zawsze. Dlatego proszę nie próbować tego po raz drugi.

- Dlaczego wszystkie kobiety, które ostatnio spotykam, udzielają mi identycznych rad? - odpowiedział, szczerząc do niej zęby.

- Może dlatego, że to naprawdę dobre rady. - Lekarka wyciągnęła do niego dłoń. - Powodzenia, żołnierzu. Otrzymałeś oficjalny wypis i pozwolenie na powrót do jednostki.

- Dzięki. - Uścisnął jej rękę i wstał, by wyjść.

- A tak na marginesie - dodała - jadał pan ostatnimi czasy sześć posiłków dziennie. Teraz pański organizm nie będzie potrzebował już tyle pokarmu, ale przyzwyczajenie nie



zniknie od razu, proszę więc ograniczać ilość jedzenia przynajmniej do czasu, gdy apetyt się unormuje.

- Sześć posiłków dziennie? Dlaczego tego nie zauważyłem?

Lekarka uśmiechnęła się raz jeszcze, tym razem trochę radośniej, nawet wyraz jej oczu zmienił się nieco.

- Cud nowoczesnej medycyny, sierżancie. Nie tylko obserwujemy procesy uzdrawiania ciała, ale je także przyspieszamy. W ciągu miesiąca przeszedł pan proces rehabilitacji, który powinien trwać pół roku. Coś takiego wymaga jednak podkręcenia paru procesów. Staramy się je tak synchronizować, by leczeni nie poczuli się zdezorientowani. Teraz znowu pan zwalnia, więc nie będzie powodów do zmartwień o ile przestanie pan się opychać w podwójnym tempie.

Stark opuścił gabinet i ruszył wymalowanym białą farbą korytarzem, zatrzymując się tylko na chwilę, by sprawdzić na terminalu informacyjnym datę i godzinę. *No, nie wierzę. Ta lekarka mówiła prawdę. Minął tylko miesiąc.* Gdy zobaczył swoje niewyraźne odbicie na ekranie terminalu, natychmiast wróciły odległe - przynajmniej jego zdaniem - wspomnienia. Znowu poczuł, jak pociski i odłamki przeszywają jego ciało. *Niesamowite. Ale ta kobieta w jednym miała rację. Powymyślali te wszystkie cuda, żeby żołnierz taki jak ja szybciej wracał na pole walki i ponownie dawał się okaleczyć.*

Ruszył dalej, ale zatrzymał się w pół kroku i wstukał numer swojej jednostki, by sprawdzić, gdzie ulokowano pluton podczas jego rekonwalescencji. *Sądziłem, że chłopcy potraktują mnie jak zupełnie obcego faceta, gdy wrócę, ale teraz wcale nie jestem tego taki pewien...*

Dziwna sprawa. Nie podobało mu się to, co miało nastąpić niebawem, wiedział jednak, że nie zdoła tego uniknąć, więc lepiej, jeśli załatwi sprawę jak najszybciej. To jednak w niczym nie poprawiło mu humoru, gdy otwierał drzwi prowadzące do pomieszczeń przydzielonych tymczasowo jego drużynie. Przymykając oczy i zaciskając zęby, sierżant Ethan Stark wszedł, by stanąć twarzą w twarz ze swoimi podwładnymi.

Ktoś musiał powiadomić kapral Gomez o jego wypisaniu ze szpitala. Zebrała drużynę i ustawiła ją w idealnym szyku. Każdy żołnierz stał wyprostowany jak drut, w nieskazitelnie czystym mundurze. Stark zatrzymał się w kroku, balansując ciałem, co nie było takie trudne, gdy spędziło się na Księżycu tyle czasu co on, a potem uśmiechnął się niechętnie.

- Wydaje wam się, że jesteście strażą honorową przed Pentagonem?

Gomez zdołała zachować kamienną minę. Podeszła do niego marszowym krokiem i wyprężyła się w przepisowym salucie.

- Sierzancie, melduję drużynę gotową do inspekcji.

Stark zwalczył pokusę obdarzenia jej kolejnym uśmiechem i oddał salut - sztywno z powodu zastałych mięśni. Żołnierze nawet nie drgnęli, stali niewzruszenie, robiąc dla niego lepszy pokaz niż dla któregokolwiek z oficerów. Nagle zdał sobie sprawę, że ta ceremonia ma dla nich ogromne znaczenie. Wyrażali wdzięczność w sposób, jaki ich zdaniem najbardziej do niego przemawiał. Przeszedł więc za Gomez wzdłuż szeregu, przyglądając się surowo każdemu z osobna, ale nie dostrzegł poważniejszych uchybień regulaminowi. Po dokonaniu inspekcji ostatniego munduru stanął ponownie naprzeciw drużyny, pozwalając sobie na lekki uśmieszek.

- A niech mnie, wyglądacie naprawdę świetnie.

Gomez zasalutowała jeszcze sprężystiej, nadal zachowując kamienną minę.

- Dziękujemy, sierzancie.

- Nie. To ja dziękuję. - Wskazał palcem na stojących w szeregu żołnierzy. - Widzicie, małpoludy, miałem rację: jeśli chcecie, możecie wyglądać jak ludzie. Dzięki, że pozwoliliście mi to ujrzeć na własne oczy. Proszę dać komendę spocznij, kapralu Gomez, zanim chłopakom stawy zesztynnieją i nie będą się mogli ruszyć.

- *Si, sargento!* - Anita uśmiechnęła się w końcu. I to tak szeroko, że jej poważna zazwyczaj twarz nabrała głupkowato wyrazu. - Słyszeliście, co sierżant powiedział? - zwróciła się do członków drużyny. - Spocznij!

Równiutki szereg żołnierzy rozsypał się jak za dotknięciem magicznej różdżki. Ludzie nie ruszyli się jednak z miejsc, wielu rozglądało się za to niepewnie. W końcu Murphy zebrał się na odwagę, podszedł z wyrazem zakłopotania na twarzy, zasalutował Starkowi i wrócił na swoje miejsce. Mendoza zrobił to samo, po nim kolejno: Hoxely, Billings i cała reszta. Na tym ceremonia się zakończyła. *Nie ma chyba zbyt wielu sensownych sposobów na wyrażenie wdzięczności za uratowanie życia, pomyślał Ethan, a jest ich jeszcze mniej, gdy chodzi o godne przyjęcie takich podziękowań.*

- Dobra, małpoludy. Z tego, co słyszałem, niedługo kończy się wam urlop. Ja spędziłem ten czas przykuty do łóżka na sali szpitalnej. Mam nadzieję, że wam bardziej się poszczęściło.

Sądząc po szerokości uśmiechów, nie mogli narzekać na brak uciech.

- Szkoda, że pana z nami nie było, sierzancie.

- Miałem inne zobowiązania. Jak tam wyniki testów sprawności po urlopie, kapralu?

Gomez skrzywiła się, wyrażając niezadowolenie.

- Można powiedzieć, że były przyzwoite, sierzancie.

- Byliśmy świetni! - zaprotestował Murphy. - Same rekordy, sierzancie.

- Rekordy? W czym?

- We wszystkim - oznajmił z dumą Chen. - Wiedzieliśmy, że pan do nas wraca, sierzancie, i dlatego wypruwaliśmy z siebie flaki, żeby przygotować się do służby. Żeby panu nie podpaść.

- Jasne - prychnęła kpiąco Gomez. - I ani razu nie trzeba było was poganiać. - Odwróciła się do Starka, tym razem pozwalając sobie na lekki uśmiech. - Wypadli dobrze, *sargento*. Naprawdę dobrze.

- Niesamowite. Jestem z was dumny. A teraz wyskakiwać mi z mundurów wyjściowych i zakładać polowe. Ja też muszę wrócić do formy i dlatego będę potrzebował partnerów do ćwiczeń.

Gdy drużyna pognała do swoich przedziałów, Ethan skinął głową, prosząc Gomez, by została.

- Czy ktoś jeszcze wie o moim powrocie?

- Tylko reszta plutonu.

- Cały pluton już wie? Jak się dowiedzieliście?

Gomez wyszczerzyła wszystkie zęby w znaczącym uśmiechu.

- Mam swoje źródła, sierzancie.

- Wspaniale. Ty i sierżant Reynolds. Wszyscy mają tu jakieś źródła, tylko nie ja.

- A po co panu źródła, sierzancie? Ma pan przecież mnie i Victorię.

- Powiedzmy.

W tym momencie Reynolds wetknęła głowę do sali, zupełnie jakby jej imię było zaklęciem materializującym ją w bunkrze trzeciej drużyny.

- Witaj w domu, żołnierzu.

- Dzięki. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? Czyżbyś chciała zaprosić mnie na powitalną paradę?

Victoria pokręciła głową z udawaną powagą.

- Wybacz. Nie będzie żadnej parady. Nie dali nam słoni i klaunów. Ci ostatni mają za dużo roboty w kwaterze głównej. - Wskazała głową koniec korytarza. - Przyszłam cię ostrzec. Kapitan Noble zmierza w tym kierunku.

- Kto taki?

- Kapitan Noble - wyjaśniła, wruszywszy ramionami. - Nowy dowódca kompanii. Przysłali go, kiedy byczyłeś się w gipsie.

Stark westchnął ciężko.

- Jak go oceniasz?

Reynolds raz jeszcze wzruszyła ramionami.

- Jest jeszcze zbyt świeży. Objął dowodzenie przed tygodniem. Nie zdążył narobić wielu szkód.

- Pewnie dlatego, że nie miał na to czasu - podsumował Ethan. - Czy towarzyszy mu porucznik Conroy?

- To ty nic nie wiesz? - Vic poruszyła się niepewnie.

- Nie, nic a nic. Ja nigdy nic nie wiem, dopóki ty mi nie powiesz. Co mnie ominęło tym razem?

- Zabrali ją stąd, kiedy leżałaś w szpitalu. Dostała przeniesienie na nowe stanowisko, grubo przed czasem.

Stark zmarszczył brwi z zaskoczenia.

- Dlaczego? Jeśli dobrze pamiętam, wypad zakończył się spektakularnym sukcesem. Zmalowała coś innego?

- Nie, niczego nie musiała zmalować, wystarczyło, że poczuła, iż powinna przyjść ci z pomocą. Zrobiliśmy coś na własną rękę, Ethanie. Wróciliśmy po ciebie, lekceważąc wydane rozkazy, ryzykując utratę wozów bojowych. Generałom bardzo się to nie spodobało. Ktoś musiał za to wszystko zapłacić i padło na Conroy.

- Szlag - mruknął Stark. - Nie była taka zła. Naprawdę chciała po mnie wrócić?

- Tak. W każdym razie nie bruździła za bardzo, gdy zdecydowaliśmy się iść po ciebie. Ethan pokręcił głową.

- Kiedyś zostanie dobrym oficerem.

- Co znaczy, że długo nie pociągnie - dodała Vic, uśmiechając się szelmowsko, i zniknęła za drzwiami.

Stark przypomniał sobie w tym momencie, że tuż za nim stoi Gomez.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś, Anito?

- Może dlatego, że nikt mnie nie zapytał.

- Co wiesz o tym kapitanie? Co ludzie mówią na jego temat? - Tylko tyle, że sądząc po jego zachowaniu, powinien się nazywać zupełnie inaczej.

Stark roześmiał się i rozejrzał po sali, jakby czegoś szukał.

- No zobacz, z wrażenia zapomniałem zapytać Reynolds, kto przyszedł na miejsce Conroy.

Anita rozłożyła ręce w dobrze znanym geście „ja tam nic nie wiem”.

- Na razie nie przysłali nikogo.

- Jak to: nikogo? - Uśmiech zniknął z twarzy Starka. - Dziwna sprawa. Przecież mają w sztabie kolejki poruczników czekających na objęcie dowodzenia plutonem.

- Jak widać, *sargento*, plotki o tych kolejkach muszą być mocno przesadzone. Noble przyleciał tu z ostatnim rzutem kapitanów i pułkowników. Nie przysłano za to ani jednego porucznika.

- Ciekawe. - Zamyślony Ethan podrapał się po skroni. - Czyżby ktoś chciał zakończyć tę bezsensowną wojnę i ściągnąć nas z powrotem na Ziemię?

Gomez zaprzeczyła zdecydowanym ruchem głowy.

- Na pewno nie o to chodzi, sierzancie. Na kilka dni przed pańskim powrotem zapędzili nas do roboty przy rozładunku naprawdę dużej dostawy amunicji. Ktoś raczej chce podkreślić tempo walk.

- Masa pocisków i brak nowych oficerów? To się kupy nie trzyma.

Cokolwiek Stark chciał dodać, musiało pozostać w domyśle. Anita strzeliła bowiem obcasami i ryknęła na cały głos: - Baczość! - oznajmiając przybycie przełożonego. Ethan także wyprostował się automatycznie, odwracając się jednocześnie w kierunku drzwi.

Stojący w nich kapitan skinął głową, machając od niechcienia ręką.

- Spocznijcie. Wy jesteście Stark?

Ethan zrobił krok do przodu, zachowując idealnie obojętną minę.

- Melduje się sierżant Ethan Stark, sir.

Noble posłał mu krzywy uśmiech, w jego mniemaniu zapewne przyjacielski.

- Cieszymy się, że wróciliście do nas, sierzancie. Można powiedzieć, że w samą porę.

- Dziękuję, sir. To bardzo miłe z pana strony, sir - odparł Ethan, zachowując daleko idącą ostrożność. Za każdym razem gdy przełożony mówił „my”, można było się spodziewać problemów. „W samą porę” także brzmiało złowroźnie.

Kapitan wskazał ręką na przygotowane do przeglądu skafandry wiszące na ścianie.

- Wiecie, jaki jest największy problem z tym złodem? - Nie czekając na reakcję Starka, sam sobie odpowiedział: - Ma ograniczoną mobilność.

- Kapitanie - zaczął Ethan - jeśli pan...

- Zgadza się. Ograniczoną mobilność. Niesamowita sprawa. Mamy już prawie koniec dwudziestego pierwszego wieku, a nasza piechota porusza się równie wolno jak średniowieczna.

- Te zbroje sprawdzają się na polu walki, sir.

Noble pokręcił głową.

- Tylko wtedy, sierzancie, gdy żołnierz nie musi się poruszać zbyt szybko. A to za

mało. Ale przed nami otwierają się niesamowite perspektywy. Nowy sprzęt z Combat Systems Development jest już gotowy do prób polowych. Firma szuka właśnie odpowiednio dobrej drużyny, na której mogłaby je przeprowadzić. A pańscy chłopcy należą do najlepszych prawda, sierzancie?

Stark próbował równocześnie okazać dumę i dezaprobatę. Jego niepokój rósł z każdym słowem wypowiedianym przez kapitana.

- Zależy, jak na to patrzeć. - Ja widzę wybitną jednostkę. I dlatego wytypowałem waszą drużynę do przeprowadzenia testów Zbroi Bojowej o Zwiększonej Mobilności. Byłem pewien, że żołnierz o tak znakomitej reputacji jak wy będzie szczęśliwy, mogąc wziąć w nich udział, i to na ochotnika.

Na ochotnika. Stark wiedział z doświadczenia, że te słowa zabijają częściej niż najnowocześniejsza nawet broń. Jeszcze większe zastrzeżenia poczuł, gdy zaczął się zastanawiać, co przełożony mógł mieć na myśli, mówiąc: „Żołnierz o tak znakomitej reputacji”.

- Co ma zwiększać jej mobilność?

- Plecak raketowy, sierzancie. Zamiast chodzić, będziecie mogli...

- Latać? - zapytał Stark, nie zważając na groźną minę kapitana, któremu wpadł w słowo. - Znowu wracamy do tego pomysłu, sir? Z całym szacunkiem, sir, ale przeżycie na polu bitwy zależy w największym stopniu od umiejętności nierzucania się w oczy wrogowi. A nie sposób tego dokonać, kiedy człowiek unosi się w powietrzu.

Kapitan wyciągnął obie dłonie przed siebie, pragnąc uspokoić rozmówcę.

- Tu chodzi tylko o ograniczone możliwości lotu, sierzancie. Góra kilka sekund.

- Tyle wystarczy. Ledwie człowiek odbije się od ziemi, namierzy go i zlikwiduje z pięć niezależnych systemów wroga.

- Sierzancie, powinniście dać szansę tym udoskonalonym zbrojom...

- Nie, dziękuję, sir. Nie, dziękuję... - powtarzał Stark. - Zdaję sobie doskonale sprawę, kapitanie, że chłopcy z Combat Systems stają na głowie, żeby nas zabijać w coraz to wymyślniejszy sposób, i dlatego produkują sprzęt, który nigdy nie zadziała w warunkach bojowych, ale na rany Chrystusa jeśli aż tak bardzo zależy im na naszej śmierci, może po prostu stworzą podświetlane tarcze, które poprzyczepiamy sobie do tyłków.

- Rozumiem. - Kapitan Noble uśmiechnął się krzywo. - Postaram się zapamiętać wasze uwagi, sierzancie.

- Sir, nalegam, aby wycofał pan kandydaturę mojej drużyny z programu testów polowych nowej zbroi.

Noble raz jeszcze obdarzył go przelotnym uśmiechem, unikając przy tym patrzenia prosto w oczy. Potem natychmiast obrócił się na pięcie i wyszedł. Stark rzucił okiem na Gomez przysłuchującą się uważnie niedawnej wymianie zdań.

- Czy on przychylił się do mojej prośby?

- Nie wiem, sierżancie. Właściwie nawet się nie odezwał.

- I to mnie właśnie martwi. Może za bardzo na niego naskoczyłem.

- Na niego? - Gomez zanosła się śmiechem. - Nie ma takiej możliwości, sierżancie.

Gorsza sprawa, że kapitan nie znalazł chwili, by pogratulować panu postawy podczas ostatniej misji.

- Przecież mnie pochwalił. Wspomniał coś o mojej reputacji.

- W ustach takiego faceta podobna uwaga mogła znaczyć cokolwiek, zarówno dobrego, jak i złego.

- Wiem. Ale i tak gównu mnie to obchodzi.

Przez następne kilka dni Stark miał wrażenie, że nie stracił ostatniego miesiąca, a pobyt w szpitalu i rekonwalescencja po misji były tylko złym snem. Za każdym razem jednak gdy brał prysznic, zauważał świeże blizny na ciele, mimo że medycy zrobili, co mogli, by nie były widoczne. *To ślady, które widać*, myślał w takich momentach, *a kto wie, co kryje się pod nimi. Chyba nie chcę tego wiedzieć.*

Ku jego dalszemu zdumieniu zmianom uległa także polityka rotacji. Oddziały siedzące w bunkrach pozostały na linii frontu jeszcze przez kilka tygodni, a reszta jednostek cieszyła się przedłużonym urlopem.

- Jak to sobie załatwiłeś? - dopytywał sierżant Nguyen siedzący w bunkrze, który już dawno miała zająć drużyna Ethana.

- To nie moja robota - protestował Stark. - Przykro mi, że utknęliście tam na dłużej.

- W takim razie komu to zawdzięczamy? I co tu się, u licha, wyrabia?

- Albo nikt tego nie wie, albo nie chce powiedzieć. Słuchaj, mam być dzisiaj w kwaterze głównej po odbiór pewnych dokumentów. Rozpytam się przy okazji, o co chodzi.

Robota papierkowa całe dekady temu przestała mieć jakikolwiek związek z papierem i ręcznym pisaniem, niemniej załatwienie czegokolwiek w administracji nadal trwało godzinami głównie dlatego, że większość oficerów uważała, że gromadzenie masy danych jest tożsame z dobrym rozeznaniem w sytuacji. Stark sterczał więc przed ladą w wydziale kwatermistrzowskim, bębniąc palcami o blat, i starał się powściągnąć narastające rozdrażnienie, które przynajmniej jego zdaniem, urzędasy celowo prowokowały swoim zachowaniem.

- Ethan Stark? Jak ci leci, stary przyjacielu?

Odwrócił się, słysząc znajomy głos, choć nie potrafił go przyporządkować do żadnej twarzy. Zaraz jednak wyszczerzył zęby, widząc przed sobą kobietę, która wypowiedziała te słowa.

- Sierżant Bev Manley. Jakim cudem nie wygnali cię jeszcze na ciepłą emeryturkę?

Odpowiedziała mu uśmiechem, wskazując kciukiem za plecy.

- Nadal sprawiam ludziom zbyt wiele uciechy. Chodźmy do mojego kantorka, pogadamy na osobności.

Jej biuro mogłoby z powodzeniem pełnić rolę szafy, ale i tak było wyjątkowo przestronne jak na księżycowe warunki. Bev usiadła naprzeciw Starka, skinęła w stronę terminalu komputerowego i powiedziała:

- Gratuluję.

- Dzięki. Powiesz mi czego?

- Właśnie otrzymałam wiadomość od kapitana Noble'a, że zgłosiłeś swoją drużynę do programu testowania nowej zbroi. Na ochotnika.

- Co za cholerny obszczymur.

Manley zaśmiała się.

- Nie zabrzmiało to zbyt radośnie, zwłaszcza jak na ochotnika.

- Zatlukę gada - wycharczał Stark. - Przysięgam. Następnym razem gdy pójdzie z nami na akcję, o ile taka gnida ruszy kiedykolwiek dupę zza biurka. Wpakuję mu kulkę prosto między te świńskie oczka.

- Nie marnuj na niego amunicji - poradziła mu. - Zresztą to zupełnie nie w twoim stylu.

- Jasne. Co zatem powinienem zrobić twoim zdaniem?

Jej uśmiech poszerzył się jeszcze bardziej.

- Wiesz, Ethan, ciągle nam się coś gubi w sieci. Najnormalniej w świecie znika. - Pochyliła się i nacisnęła jeden z klawiszy. - Sam zobacz, nie ma już wiadomości od kapitana Noble'a.

- Naprawdę? - Ethan także się uśmiechnął. - Jakie są szanse, że nasz kapitan Nobel odkryje ten podstęp?

- Zerowe. Przeniosą tłustego durnia za kilka miesięcy wciąż zadowolonego jak norka, że zrobił dobrze któremuś z generałów kręcących Combat Systems Development. - W oku rozanielonej Manley pojawił się zły błysk. - A ja żałuję, że nie będzie mnie przy tym, jak kiedyś odwoła się do tej swojej zasługi, licząc na nagrodę.



- A jeśli generał będzie chciał sprawdzić, co się dzieje? Nie zostawiłaś jakiegoś śladu w systemie?

Manley przewróciła oczyma.

- No co ty. Nie pamiętasz, co mówiono, kiedy nam dostarczano te komputery? Wiadomości, które na nie trafiają, są w stu procentach zabezpieczone i nienamieralne.

- Ile czasu potrzebowałaś, żeby się do nich dostać?

- Jeden dzień. Ale od tamtej pory znalazłam znacznie więcej luk. Nie musisz się o mnie martwić. Nie zostawiłam żadnych śladów.

Stark wyciągnął do niej rękę.

- Jestem twoim dłużnikiem, Bev. Wielkim.

- Nie, jesteśmy teraz kwita. Pamiętasz, ocaliłeś mi życie wtedy na Ziemi, kiedy powstańcy próbowali zająć naszą bazę na Madagaskarze.

Stark podrapał się po skroni.

- No tak, szlag, zupełnie o tym zapomniałem.

- A ja nie. - Wskazała mu drzwi. - Uważaj na siebie, małpoludzie.

- Staram się, jak mogę, kiedy akurat nie chronię tyłków takich dekonników jak ty. - Stark zamarł w pół ruchu, podnosząc się z krzesła. - Słuchaj, a może pomogłabyś mi w uzyskaniu pewnych papierzysk. Utknąłem przy ladzie, próbując załatwić tę sprawę...

- Czy ja wyglądam na kogoś, kto dokonuje cudów? - zapytała Manley. - No dobra, już dobra. Pokaż mi to zapotrzebowanie. Zobaczę, co da się zrobić. - Zmarszczyła brwi, widząc dane przesuwające się po ekranie palmtopa Starka.

- A cóż to takiego?

- Sądziłem, że kto jak kto, ale ty powinnaś to wiedzieć.

- Osobiste oceny sprawności dla każdego żołnierza twojej drużyny? Dane z ostatnich sprawdzianów? Skonsolidowane raporty dyscyplinarne? Kto zamawia takie cudactwa?

Stark rozłożył bezradnie ręce.

- Nie wiem. Nasz kapitan twierdzi, że uzyskał dostęp do tej dokumentacji, a ja nie mam powodów, by mu nie wierzyć. Powinienem zwrócić się z tym do jego adiutanta, ale gnojek nie odbiera telefonów. Starego też nigdy nie ma w biurze, więc pomyślałem, że sam ich tutaj poszukam.

- Aha. - Manley odwróciła się raz jeszcze do terminalu i wpisała hasło. - Blokada? Nie mam dostępu? Akurat. Wystarczy użyć paru wytrychów... o... i już jesteśmy. Cholera. Zażądali podobnych danych o każdym żołnierzu pierwszej dywizji. Dlaczego nikt mnie o tym nie powiadomił? - Spojrzała na Starka. - Takie dokumenty powinny przechodzić przez moje

ręce.

- Może nie zaliczyłaś ostatniego testu na lojalność - zażartował Ethan.

- Możliwe - burknęła, a jej palce zatańczyły na klawiaturze. - Tropy z samej góry zażyczyły sobie tych danych. Gdyby mnie o to poprosili, zgrałabym im bazy danych z mojego kompa i oszczędziłabym sztabowcom kupę czasu. Szykuje się jakiś niezły przekręt, Ethanie...

- Czyli nic nowego. - Stark przyjrzał się jej uważnie. - Wyglądasz na mocno zaniepokojoną. Chyba nie tym, że tropy kombinują jak koń pod górkę? Do tego wszyscy już przywykliśmy.

- Wykorzystali zewnętrzne kanały. Chcieli ocen niezawodności wszystkich żołnierzy i ściągnęli je sobie zewnętrznymi kanałami. Czy to ci coś mówi?

- Nie ufają tobie, mnie ani tym chłopakom, którzy dla nas pracują.

- O tym samym pomyślałam. - Manley pokręciła głową, cała radość wyparowała z jej twarzy. - My nie ufamy naszym przełożonym, a oni nam. Niezły sposób na prowadzenie wojny. - Stuknęła opuszką palca w ekran terminalu. - I jeszcze jedno. Przygotuj się na przeniesienie do ciasniejszych przedziałów, posiedzisz w nich, zanim wrócisz na front.

- Dlaczego? Podobno nie ma być już więcej uzupełnień.

- I nie będzie - potwierdziła Manley. - Ale przyszły rozkazy, by zagęścić ludzi przebywających tymczasowo w koszarach, i to co najmniej dwukrotnie.

- Dlaczego? - powtórzył Ethan.

- Postaram się dowiedzieć! - fuknęła.

- Dzięki, ale chyba znam kogoś, kto będzie znał odpowiedź na to pytanie.

Pół godziny później i kilka kilometrów dalej Vic Reynolds przyglądała się obojętnym wzrokiem, jak Stark zajmuje miejsce naprzeciw niej.

- Możesz mi powiedzieć, o co chodzi z tym zagęszczaniem ludzi? - zapytał bez ogródek, wskazując kciukiem w kierunku koszar.

Wydęła wargi.

- Skąd o tym wiesz?

- Też mam swoje źródła. Zatkanęło cię?

- Owszem.

- Mów, o co tu chodzi.

- Jeszcze nie ogłoszono tego oficjalnie...

- Tyle to i ja wiem. Ale nie pytam o wersję oficjalną. Chcę wiedzieć, o co tu biega, a jeśli ktoś może mieć pojęcie, to tylko ty.

Tym razem to ona uśmiechnęła się przelotnie.

- Reputacja potrafi czasem niezle dopiec człowiekowi. Dobra. Chcesz wiedziec, dlaczego mamy zagęścić ludzi? Robimy miejsce dla uzupełnień.

- Nie żartuj. - Wbił w nią uważne spojrzenie, wypatrując jakiegokolwiek śladu kpiny.  
- Uzupełnienia? Takie prawdziwie prawdziwe uzupełnienia? Kogo nam tu jeszcze ściągnąć? Świętego Mikołaja?

- Jeśli Mikołaj pokaże się w bazie, lepiej, żebyś miał dobre usprawiedliwienie dla swoich ostatnich wyczynów.

- Tłumaczenie akurat mam opanowane do perfekcji. - Stark zmarszczył brwi, nie spuszczać badawczego spojrzenia z twarzy przyjaciółki. - Dlaczego się nie cieszysz? To przecież dobra wiadomość.

Reynolds unikała jego wzroku, z wyrazu twarzy też nie potrafił nic wyczytać.

- Zależy, co rozumiesz pod pojęciem „dobra”.

- Okay, Vic. Skończmy z tymi gierkami. Co tu się wyrabia? Dlaczego nie cieszysz się, że dostaniemy uzupełnienia?

Gwiazdy zdążyły się przesunąć o kolejny milimetr na czarnym jak atrament nieboskłonie, zanim wydusiła z siebie:

- Dobre pytanie. Nie zastanawiałeś się nigdy, kogo mogą nam tu przysłać w charakterze uzupełnień?

- Szczerze mówiąc, nie - burknął rozdrażniony jej unikami. - Kogo, u licha, możemy dostać w charakterze uzupełnień? Druga dywizja ma pełne ręce roboty na Ziemi.

- Ma - potwierdziła Vic.

- Zatem?

- Zatem przyślą nam trzecią. I to całą.

Stark gapił się na nią. Słowa powoli wsączały mu się do mózgu i tam grzęzły, ponieważ nie pasowały do reszty układanki.

- Trzecia dywizja to przecież rezerwa strategiczna. Gwardia kontynentalna.

- Zgadza się - potwierdziła oba fakty na raz.

- Nie mogą wysłać tutaj tych wszystkich pięknych chłopców i dziewczynek. Kto będzie stanowił wsparcie brygady pancerniej, gdyby tam, w dole, coś poszło nie tak?

- Nie ma już żadnej brygady pancerniej, Ethanie. Została rozwiązana, a jej wyposażenie trafiło do trzeciej dywizji żeby mogła uzyskać pełną sprawność bojową.

Oczy Starka poruszyły się, jakby miały własną wolę, skupiając się na czymś znajdującym z dala od twarzy Reynolds. Spoglądał teraz na powierzchnię Księżyca widoczną na jednym z ekranów. Skały. Pył. Czarne cienie i oślepiający blask. Ludzie nie pasowali do

tego miejsca, podobnie jak słowa usłyszane przed chwilą od Vic nie pasowały do jego wizji świata.

- Dlaczego? - wydusił z siebie w końcu.

- Wielkie natarcie. Mamy przełamać linie obrony wroga. Zakończyć tę wojnę totalnym zwycięstwem. - Jej twarz pozostała bez wyrazu, kiedy wypowiadała kolejne słowa wypranym z uczuć tonem.

- Słodki Jezu - wyszeptał Stark, zamykając na chwilę oczy. - Powiedz, że to jakiś żart. Powiedz, że wymyśliłaś sobie to wszystko.

- Wybacz. Nie mogę tego zrobić.

- Wysyłają tutaj, na górę, całe odwody strategiczne, żeby przełamać impas na froncie?

- Zgadza się. Zaczną pakować ludzi do statków za niespełna dwadzieścia cztery godziny. Cała dywizja ma tu trafić do końca tygodnia.

- Cholernie szybko. Będą musieli ich upychać jak sardynki w puszkach.

- Chcą wykorzystać element zaskoczenia.

- Jeśli chodzi o mnie, udało im się aż za dobrze. Co te nowe oddziały mają niby robić? Sprzątać bajzel po tym, jak cudownym sposobem przejdziemy przez umocnienia wroga?

- Nie. Oni pójną na czele.

Stark walnął pięścią w ścianę z taką siłą, że widoczny na ekranie krajobraz zakołysał się mocno.

- Przecież to tak durny pomysł, że nawet nasze trepy nie mogły na niego wpaść. Trzecia dywizja to same żółtodzioby, nie mające pojęcia o warunkach panujących na Księżycu. Będą tak zaabsorbowani nauką chodzenia w zmniejszonym ciężeniu, że zapomną o strzelaniu. Zostaną...

- Powiedz to komuś, kto tego jeszcze nie wie - przerwała mu Vic. - Nikt nas nie pytał o radę i nie zapyta, a gdybyśmy nawet sami chcieli coś powiedzieć, trepy nie będą słuchać.

- Wiem. - Stark przeniósł wzrok ze swoich rąk na Reynolds. - Dlaczego wysyłają ich na szpicę? Jest jasne jak słońce, że my się tam nie rwiemy, ale dlaczego oni, u licha?

Vic uśmiechnęła się ironicznie.

- Ponieważ nie ma w nas ducha walki, Ethanie. Wypaliliśmy się tutaj.

- Bez jaj. Do tego prowadzi wojna. Ktoś to w końcu zauważył?

Reynolds zignorowała jego przycinki.

- A trzecia dywizja ma ponoć bardzo wysokie morale.

- Jasne, że ma. Jej żołnierze uważają pewnie, że będą tutaj łapali pociski zębami, co jednak nie zmienia faktu, że nie brali udziału w prawdziwej bitwie od piętnastu, a może nawet

dwudziestu lat.

- Przejawiają za to ducha walki, który ma im pomóc w pokonaniu wroga. A my, marne robale, będziemy pełznąć ich zwycięskim szlakiem.

Stark zagapił się znowu na księżycowy krajobraz, czując, jak gniew i poczucie bezsilności ogarniają jego duszę.

- Przypomnij mi, ile milimetrów opancerzenia daje człowiekowi duch walki?

- To nie był mój pomysł, Ethanie.

- Gdyby był, osobiście odstrzeliłbym ci głowę.

- Powiedz to generałowi Meechamowi.

- Komu?

- Generałowi Meechamowi. - Na usta Vic wpełzł gorzki uśmiezek. - Naszemu wielkiemu strategowi i myślicielowi.

- Liznałem nieco wiedzy o taktyce w minionych latach, ale nigdzie nie widziałem takiego nazwiska.

- No to teraz zobaczysz. Przylatuje tutaj, by uraczyć nas swoim konceptem „rewolucyjnego pomnożenia sił”. Nazywa go wojną synergiczną.

Stark przewrócił teatralnie oczami.

- Uciszyć się, serce moje.

- Tak, tak. W każdym razie będziemy mieli sporo lektury, zanim ruszymy do ataku.

- Przedstawiają nam cały plan zawczasu? - Stark nie krył zaskoczenia. - W sumie nieźle.

Vic wyszczerzyła zęby, ale tak, jakby ją zabolęły.

- Ja nic nie mówiłam o czytaniu planów. Raczej o zapoznawaniu się z ideami oraz podbudową teoretyczną... - przymknęła na moment oczy, by przypomnieć sobie nazwę - „przyłoczenia mas wroga za pomocą ducha bojowego i nadrzędnego paradygmatu ideowego”.

- Co ty pitolisz...? - Starkowi opadła szczeka.

- Nawet nie pytaj. Ciesz się, że to nie ty pójdziesz na szpicy.

Gdy Ethan wrócił na swoją kwaterę, czekała tam już na niego wiadomość, z której wynikało, że trzecia drużyna ma opuścić połowę pomieszczeń, które jej do tej pory przysługiwały. Jego podwładni nie przestali narzekać nawet wtedy, gdy w koszarach pojawiły się pierwsze oddziały trzeciej dywizji. Nowi gapili się na wszystko jak turyści z prowincji po raz pierwszy odwiedzający metropolię. Potykali się też i nieustannie wpadali na siebie, nie mając doświadczenia w poruszaniu się przy tak niskim ciężeniu. Zdecydowana większość gapiała się bez przerwy na skały. Te, w których wykuto korytarze i pomieszczenia sypialne.

Najbardziej ciekawiły ich głązy ustawione jako punkty oparcia w miejscach, gdzie człowiek nie do końca mógł liczyć na pomoc grawitacji. Nad głowami mieli metalowe sklepienie kryjące mechanizmy, bez których życie tutaj byłoby niemożliwe: systemy ogrzewania, nawilżacze i rury dostarczające tlen.

Stark miał okazję przyjrzeć się tej kolonii z wysoka, gdy pełnił służbę na jednym z okolicznych wzniesień. Jej szczytowa część, pokryta kopułami sklepień i łączącymi je liniami korytarzy, kojarzyła mu się czasami z przerośniętym mrowiskiem. Tu i ówdzie widać było wysokie wieże i skupiska domków zbudowanych z grubych bloków kamienia wydobywanego spod powierzchni Księżyca. Grubych nie dlatego, że miały stanowić obciążenie - przy tutejszej grawitacji wszystko wydawało się lekkie - lecz by izolowały wnętrza, które w przeciwnym razie traciłyby zbyt dużo ciepła i atmosfery. Dodatkowo chroniły one mieszkańców przed uderzeniami małych meteoroidów oraz radiacją. Ta panorama w niczym nie przypominała wizji z filmów fantastycznych, których reżyserzy - starający się odgadnąć przyszłość ludzkości - stawiali smukłe wieże wznoszące się wysoko pod przezroczystymi kopułami. Może w bajkach ładnie to wyglądało, ale stworzenie podobnych budowli w rzeczywistości było niemożliwe choćby dlatego, że kosztowałyby krocie i szybko zostałyby zniszczone, nawet w warunkach pokoju. Siły natury i tak zrobiłyby swoje. Aby zobaczyć strzeliste konstrukcje, trzeba się było udać w pobliże księżycowych kompleksów przemysłowych, tam rozjarzone miriadami świateł kratownice pięły się tak wysoko, że wydawać się mogło, iż muszą runąć pod swoim ciężarem. Tak przedstawiała się rzeczywista przyszłość ludzkości zmuszonej do wznoszenia laboratoriów i fabryk na tej pozbawionej życia kosmicznej skale.

Nowi żołnierze, co Stark szybko zauważył, mieli tendencję do tłoczenia się na dziedzińcach i wszędzie tam, gdzie sklepienia albo ściany wykonano z grubych przezroczystych płyt, dzięki czemu można było oglądać roztaczające się za nimi widoki. Żaden na razie nie zauważył hermetycznych grodzi, które miały się zatrzasnąć, gdy tylko automatyka zarejestruje najdrobniejszą nieszczelność czy pęknięcie okna. Ethan, podobnie jak większość weteranów, wolał oglądać te widoczki z większego dystansu, nie przytykając nosa do szyby, za którą znajdowała się najczystsza próżnia.

- Potrzebujecie pomocy? - zapytał Murphy, gdy żołnierze z trzeciej dywizji pojawili się w zajmowanym przez niego przedziale.

- Na pewno nie od ciebie - burknął jeden z szeregowców, wywołując tym chichoty kolegów.

- Co chciałeś przez to powiedzieć? - zirytował się Murphy.

Stark wkroczył do akcji, zanim ludzie z trzeciej zdążyli otworzyć usta, i zmierzył ich twardym jak stal wzrokiem.

- Nic napastliwego, zgadza się? - rzucił.

Nowi wymienili niepewne spojrzenia, a w końcu jeden z nich odparł:

- Tak, sierżancie.

- Co: tak, sierżancie?

- Tak, sierżancie, nie mieliśmy na myśli nic napastliwego.

- Świetnie. Macie przyjmować bez szemrania każdą pomoc oferowaną przez księżycowych weteranów. - Ethan przeniósł wzrok na Murphy'ego. - Może zrobisz sobie dzisiaj wolny wieczór - zaproponował. - Zbierz chłopaków i lećcie na miasto. To może być ostatnia taka okazja w tym miesiącu.

Murphy posłał żołnierzom z trzeciej nienawistne spojrzenie, ale posłusznie skinął głową.

- Dobrze, sierżancie. Idzie pan z nami?

- Nie. Muszę się napić.

Klub dla wszystkich szarż na końcu korytarza nie wydawał się już tak wielki. Nie teraz, gdy całą podłogę i niemal wszystkie krzesła zawałono sprzętem należącym do żołnierzy z uzupełnień. Stark starał się ignorować spojrzenia śledzące go w drodze do kontuaru. W tym momencie znów zdał sobie sprawę, jak bardzo różni się jego swobodny sposób poruszania się w strefie niskiego ciężenia od niezdarności przybyszów z Ziemi.

- Stark? Ethan Stark?

Odwrócił się z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Rash Puratnam? Skąd się tu wzięłeś, chłopie? Nie widziałem cię od czasu...

- ...gdy przeniosłem się do trzeciej dywizji.

- Tak. Powiedz, u licha, dlaczego się na to zdecydowałeś?

- Moja młodsza siostra założyła mundur, więc pomyślałem, że powinienem się nią zaopiekować. - Puratnam wyszczerzył zęby. - A teraz jest twarda jak stal. I to ona pilnuje mojego tyłka. - Wskazał głową pobliski dystrybutor. - Napijesz się kawy, twardzielu?

- Na pewno nie wolisz piwa?

- Nie. Jestem na służbie. Zaraz wracam do mojej jednostki.

Usiedli przy niewielkim stoliku, tuląc w dłoniach kubki z parującym naparem. Rash spoglądał w swoją kawę, jakby chciał zapomnieć o kręcącym się wokół tłumie.

- Jesteś pewien, że nadal służysz w trzeciej dywizji? - Stark spróbował zażartować z dawnego kolegi. - Nie wyglądasz mi na tak nakręconego jak pozostali.

Puratnam nawet się nie uśmiechnął.

- Może dlatego, że powąchałem prochu, zanim nas tutaj przeniesiono? Reszta chłopaków... Możesz mi wierzyć, Ethan, zostali znakomicie wyszkoleni. Może nawet za dobrze. Ale to nie weterani. Nie byli w akcji od wstąpienia do gwardii kontynentalnej. - Skrzywił się, jakby go coś zabolalo. - O niczym nie mają pojęcia. Sądzą, że skoro przygotowano ich do udziału w walkach, to muszą zwyciężyć.

- Na tym rzecz polega - przypomniał mu Stark. - Trzeba trochę powalczyć, żeby nauczyć się tego i owego, ale jeśli morale ludzi jest niskie, niczego nie dokonasz.

- Samym morale też niczego się nie osiągnie... Widziałem, jak ty się poruszasz i jak niezdarni są moi ludzie. Nie ma porównania.

Stark zbył ten argument machnięciem ręki.

- Mam za sobą kilka lat praktyki.

- I o tym właśnie mówię. Nam każą się przygotować do ofensywy w ciągu tygodnia. Tygodnia! Więcej mieliśmy na zaaklimatyzowanie się w strefach tropikalnych na Ziemi.

- To prawda. - Ethan gapił się przez moment we własną kawę. - Co mam ci powiedzieć, Rash? Że twoi chłopcy poniosą ogromne straty tylko dlatego, że nie będą potrafili poruszać się jak trzeba? Gdyby to ode mnie zależało, coś takiego nigdy nie miałyby miejsca.

- Sierżanci nie dowodzą armiami - przypomniał mu Puratnam.

- To prawda. Co mam więc zrobić? Powiedz mi, a wypruję z siebie flaki, by tego dokonać.

Rash roześmiał się.

- Wiem, że byłbyś do tego zdolny. Jeszcze pamiętam, że każdy oficer, który usłyszał, iż sierżant Stark ma z nim do pomówienia, natychmiast brał nogi za pas.

Stark także wyszczerzył zęby z uciechy.

- Powiadasz, że znają mnie z tego i w trzeciej dywizji?

- Jak to ujął nasz pułkownik... „Nie chcę widzieć żadnego wyszczekanego podoficera w mojej jednostce. Oczekuję, że żołnierze wykonają bez szemrania każdy rozkaz”.

- Ja wykonuję rozkazy. Zazwyczaj.

- Ha! - Puratnam znów się roześmiał, ale zaraz spoważniał. - Dzięki za dobre chęci, ale obawiam się, że i tak będziemy musieli wziąć udział w tej bitwie.

- Rash...

- Nie, proszę. Nie składaj obietnic, których nie jesteś w stanie dotrzymać. - Sierżant Puratnam przechylił swoją filiżankę najpierw w jedną stronę, potem w drugą. - Byłeś kiedyś



w Grecji, Ethan?

- Chodzi ci o ten kraj w Europie? Nie sędzę.

- A ja byłem. - Rash przygryzł dolną wargę. - Pilnowaliśmy granicy. Chyba. A może chodziło o coś zupełnie innego. Niemniej mają tam takie miejsce, w którym wieki temu poległa garstka facetów. Nie pamiętam już nazwy tego wąwozu, ale wiem, że nazywano ich Spartanami.

- W życiu o kimś takim nie słyzałem.

- Jak już wspominałem, działo się to w zamierzchłej przeszłości. Coś koło trzech setek Spartan otrzymało rozkaz zablokowania wąwozu przed armią nieprzyjaciela. Przed naprawdę wielką armią. I zatrzymali ją tam przez jakiś czas. Byli czymś na kształt elitarnej jednostki sił specjalnych. Jednakże zostali w końcu pokonani i wybici do nogi. Nie chcieli się bowiem wycofać ani poddać. - Puratnam pokiwał głową w zamyśleniu. - Postawiono im w tym wąwozie pomnik. Całkiem ładny. Napis na nim głosi coś w stylu: „Przechodniu, idź i powiedz Spartanom, że wciąż tu jesteśmy, jak nam kazali”.

- Dlaczego mówisz mi właśnie o nich?

- Bo to oni przychodzą mi na myśl, gdy zastanawiam się nad naszą sytuacją. Zostali i walczyli, bo tak im kazano. Grecy powiedzieli mi później, że Sparta leżała daleko od tego wąwozu. Czy my nie robimy tutaj czegoś podobnego? - Puratnam nagle zmarkotniał. - Tak, wiem... Ty zachowałbyś się tak samo jak oni.

- Odwal się. Ja tylko robię, co do mnie należy.

- Nie - poprawił go Rash. - Robisz to, co twoim zdaniem należy zrobić. Chciałeś ocalić swoją drużynę. Żołnierzy, z którymi walczyłeś. Ale co by było, gdyby któryś z pułkowników albo generałów wydał ci taki rozkaz? Kazał ci tkwić tam aż do usranej śmierci?

Tym razem śmiech Starka zabrzmiał wyjątkowo chrapliwie.

- Człowieku, dopiero co się dowiedziałem, że chcieli mnie tam zostawić na pewną śmierć, żeby ukryć kilka nieprawidłowości, do jakich dopuścili.

- Czyli rozumiesz, o czym mówię? Nie ufamy ludziom, którzy wydają nam rozkazy. Wykonujemy naszą robotę, wypełniamy obowiązki, ale czy postąpilibyśmy jak ci Spartanie? Czy raczej dalibyśmy z siebie wszystko na polu walki, a potem wycofalibyśmy się, ponieważ nie wierzylibyśmy, że to, co nam mówią, jest prawdą i ma ogromne znaczenie?

Stark przemyślał to sobie dokładnie, a potem jeszcze raz, równie dogłębnie.

- Nie wiem - przyznał w końcu. - Nie chciałbym zawieść ludzi, których los zależy ode mnie. Nie poddałbym się, wiedząc, że moi podwładni zostaną zabici albo że wróg rozwali wszystkich na zapleczu frontu. Walczyłbym do samego końca na pierwszej linii.

- Tak. Ja też. Aczkolwiek mam świadomość, że gdzieś znajduje się inna linia. Granica, którą kiedyś przekroczyć. Nie myślałem o niej, odkąd zaciągnąłem się do armii, ale dzisiaj jestem pewien, że ona istnieje. - Milczał przez całą minutę, ale Stark go nie poganiał. - Dziwna sprawa. Ruszenie do ataku jest takie proste. Nie masz czasu na myślenie. Po prostu zrywasz się do biegu i gnasz przed siebie. Dopiero później robi się nieciekawie, jak już zaczyna do ciebie docierać, gdzie jesteś i dokąd biegniesz. Oni wydadzą nam ten rozkaz, a my go wykonamy. Czy twoi chłopcy wytrzymają?

Stark spojrzał na niego wymownie.

- Dlaczego o to pytasz? Pieprzona pierwsza dywizja wytrzymywała gorsze rzeczy. Nie ma w mojej jednostce żołnierza, który mógłby was zawieść.

- Wybacz. Wybacz. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Za dużo się nasłuchałem pieprzenia, jacy jesteście wypaleni i zawodni.

- Powiedz to wrogowi, który do tej pory za każdym razem dostawał od nas niezłe bęcki.

- Celna uwaga. Nie wierzyłem w to tak do końca, zwłaszcza że te opinie dotyczyły właśnie was, aczkolwiek zdawałem sobie sprawę, że kilka lat walk potrafi wypalić nawet najlepszych ludzi. - Puratnam dopił kawę, wstał zdecydowanym ruchem i wywaliłby się, gdyby nie chwycił w porę za skraj blatu. - Miło cię znów widzieć, ale muszę już wracać do swojej jednostki. Jeszcze dzisiaj mamy rozpocząć treningi w warunkach niskiego ciężenia.

- Sztab przewidział w harmonogramie szkoleń przerwy na sen?

Zamiast roześmiać się z żartu, Puratnam zrobił kwaśną minę.

- Chyba nie. Jedziemy na okrągło. Pełne obciążenie, skoki, biegi, wykorzystywanie pędu.

- Słowami nie powstrzymasz kul, Rash.

- Wiem. Masz dla mnie jakąś radę?

- Żadna rada ci nie pomoże - stwierdził Stark. - Umiejętność swobodnego poruszania się na powierzchni Księżyca wymaga czasu i praktyki. Tego nie nauczysz się w kilka chwil. To kwestia odpowiednich odruchów. Wystarczy drobna pomyłka, zbyt mocne odbicie i stajesz się celem. Bardzo wolno lecącym celem. Nam udało się przetrwać tak długo tylko dlatego, że strona przeciwna również potrzebowała czasu na przywyknięcie do nowych warunków. Wy jednak będziecie mieli przeciw sobie twardych weteranów, takich jak my. A nie zdołacie osiąść naszej wiedzy podczas szkoleń trwających tydzień albo dwa. Nawet całodobowych.

Twarz Puratnama poczerwieniała, zacisnął palce na kubku tak mocno, że odkształcił

metalową powierzchnię. - Wiem... - wyszeptał po chwili. - Mówiłem o tym moim przełożonym, ale mieli to gdzieś. Otrzymaliśmy rozkazy i musimy je wykonać, choćby trzeba było zejść na dno piekła albo przetrzymać kolejny potop.

- Na Księżycu nie ma wody, Rash.

- Zatem pozostaje nam tylko to pierwsze. Do zobaczenia, Ethan.

- Uważaj na siebie, przyjacielu.

Puratnam pokręcił głową.

- Mam pod sobą wielu ludzi i na nich muszę przede wszystkim uważać. Zupełnie jak ty. - Opuścił klub, zataczając się od stolika do stolika i wpadając po drodze na innych żołnierzy z trzeciej dywizji. Odbijali się od siebie jak piłki albo balony.

Stark opuścił głowę, a potem zamknął oczy, starając się wsiąknąć w ciemność i o niczym nie myśleć. Po chwili wstał od stolika i wyszedł, ignorując zazdrość oraz pogardę bijące z twarzy otaczających go żołnierzy. *Muszę się stąd wydostać. Ilu z tych durniów nie będzie żyło już za dwa, trzy tygodnie?* Opuścił sektor koszarowy. Nogi same go niosły wykutymi w skale korytarzami w kierunku barów Zewnętrznego Miasta.

Wszystkie lokale wyglądały identycznie, przynajmniej z zewnątrz. Drzwi i okno wystawowe obok. Ściany z księżycowego kamienia. Odróżnić je można było wyłącznie po szyldach wiszących nad wejściem. Niektóre ledwie się jarzyły, od innych biła feeria neonowych barw. Stark przystanął przed kilkoma frontonami, ale odchodził, gdy z wnętrza dobiegł głośniejszy gwar, który mogli czynić wyłącznie nowi z trzeciej dywizji. W końcu dotarł do knajpki, gdzie panował spokój. Zajrzał do środka i zrozumiał, dlaczego nikt tu nie wrzeszczy.

Speluna wyglądała równie marnie, jak wszystkie „interesy” w Zewnętrznym Mieście. Stały w niej zaledwie cztery niewielkie stoliki. Dwa zestawiono ze sobą, aby cała drużyna z trzeciej mogła usiąść razem, przy jednym z pozostałych Stark dostrzegł swoich chłopców. *No tak. Kazałem im się wyrwać na miasto i zabawić. To chyba nie był najlepszy pomysł.* Znowu moment zawahania. Postanowił przyjrzeć się sytuacji, pozostając na zewnątrz.

Billings zerknęła w kierunku rozbawionych chłopaków z trzeciej.

- Strasznie są głośni.

Gomez wzruszyła ramionami.

- Dopiero co przylecieli, Nance. Są jeszcze zieloni. Daj im upuścić pary.

Z gwaru panującego przy długim stoliku dobiegł jeden głośniejszy okrzyk.

- Hej, wy tam z pierwszej, nie potrzebujecie kogoś, żeby odprowadził was do domciu?

Murphy spurpurowiał na twarzy i już otwierał usta, by coś odpowiedzieć, ale zamilkł,

czując na ramieniu dłoń Gomez.

- Sierżantowi to by się nie spodobało - stwierdziła Anita, odwracając się do podchmielonej grupki. - Wy też wyluzujcie, chłopcy. Niska grawitacja i sztucznie generowana atmosfera potrafią zdezorientować człowieka. Zwłaszcza na samym początku.

- Ja tam czuję się świetnie - oświadczył jeden z nowych. - Jestem gotowy wygrać tę pieprzoną wojnę.

- Świetnie. Co powiecie, chłopcy, na powitalną kolejkę od weteranów?

- Nie przyjmujemy rad i piwa od pozbawionych jaj cudaków - mruknął ktoś z trzeciej.

Gomez skrzywiła się i zaczęła namierzać śmiałka wzrokiem, wykrzywiając z pogardą usta.

- Teraz to sprawa osobista. Który z was, ziemskie szczury rzucił tę zniewagę? - Odpowiedziała jej cisza i śmiechy. - Jak widzę, mówiono o was prawdę, trzecia potrafi mieć ozorami, ale nie walczyć.

Stopy uderzyły o posadzkę. Żołnierze siedzący przy połączonych stolikach zerwali się na równe nogi. Od grupki nowo przybyłych oderwał się zwalisty sierżant. Poruszał się całkiem sprawnie, gdy zmierzał w stronę Gomez, aczkolwiek w jego ruchach wciąż było widać sporą niepewność.

- Co powiedziałaś?

Anita nadal siedziała, jakby nie chciała pozwolić, by mierzył się z nią wzrostem.

- Powiedziałam, że wystarczy nam walka z wrogiem. Nie musimy łać się między sobą.

- Usłyszałem co innego.

Gomez wzruszyła ramionami, udając brak zainteresowania.

- Ale to właśnie miałam na myśli, *compadre*.

Wielki sierżant pochylił się i wbił serdelkowaty paluch w pierś Anity.

- Za długo tkwiłaś na tym kamieniu i chyba zapomniałaś o zasadach panujących w wojsku. Nie jestem twoim pieprzonym *compadre*, tylko sierżantem. Zapamiętaj to sobie.

Gomez wodziła wzrokiem od palca wbijającego się jej w pierś do wykrzywionej ze złości twarzy wielkoluda.

- Zabieraj te łapy... *compadre*.

- Powiedziałem, że jestem sierżantem... - zaczął z groźbą w głosie dryblas z trzeciej dywizji.

- Podobnie jak ja. - Stark wkroczył do baru i zatrzymał się przy stoliku swoich ludzi. Jego przeciwnik był może o cal wyższy od niego, ale to Ethan wyglądał o wiele groźniej. - Co tu się wyrabia, u licha?

- Wasz kapral... - zaczął sierżant z trzeciej.

- To jakiś dupek - przerwała mu Gomez.

Twarz dryblasza pociemniała, niewiele brakowało, by stała się równie czarna jak nieboskłon nad ich głowami. Palec zniknął w masywnej pięści. Stark uniósł obie dłonie, trzymał je otwarte, tworząc ścianę pomiędzy Anitą a rozwścieczonym podoficerem z trzeciej dywizji.

- Dość tego, Gomez. Przesadziłaś.

- Ale...

- Nie ma żadnego ale. Wiesz, co masz zrobić.

Teraz i Anita poczerwieniała na twarzy, ale wstała posłusznie od stołu.

- Przepraszam za brak szacunku dla starszego stopniem, sierzancie. To się już nie powtórzy.

Stark przeniósł wzrok na podoficera z trzeciej.

- Zadowolony?

Tamten jednak pokręcił tylko głową, zupełnie jak byk zapatrzony w czerwoną płachtę.

- Ona...

- Pytałem, czy zadowolili pana przeprosiny złożone przez kapral Gomez - zapytał Ethan, podnosząc głos.

Ton, jakim wypowiedział te słowa, musiał się przebić przez bariery gniewu. Sierżant z trzeciej wybełkotał coś, a potem zamilkł. Jego wzrok spoczął na baretkach zdobiących pierś Ethana. Zmrużył oczy, odcyfrowując nazwisko wypisane na drugiej kieszeni.

- Ty jesteś Stark? No to okay. - Zaciskając zęby, skinął szybko głową. - Skoro tobie tak na tym zależy. - Odwracając się raptownie, ruszył w stronę swojego stolika. A w każdym razie usiłował to zrobić. Nienawykły do poruszania się w niskiej grawitacji wyleciał w powietrze płaskim łukiem, jakby zamierzał doskoczyć na swoje miejsce. - Chodźcie - zawołał w locie do swoich podwładnych. - Znajdziemy sobie inną budę.

Żołnierze z trzeciej dywizji opuścili lokal, starając się wyglądać groźnie i godnie. Gomez odprowadzała ich wzrokiem ostrym jak promienie celowników laserowych.

- Dlaczego kazał mi pan przepraszać tego wielkiego tłustego...

Jeszcze raz uniósł rękę, tym razem otwartą dłonią w kierunku Anity.

- Nie możesz obrażać podoficera na oczach jego podwładnych. Koniec, kropka.

*Comprendo?*

Cały żar ulotnił się z jej oczu w ułamku sekundy.

- Cholera - usiadła, unikając wzroku Starka. - Przepraszam, sierzancie. Powinnam o

tym pomyśleć.

- Owszem, powinnaś. Masz szczęście, że się wycofał, zamiast dać ci nauczkę.

- Akurat, sierżancie - prychnął Murphy. - Podwinął ogon, bo przeczytał pańskie nazwisko.

- Wątpię. Nie znam go.

- Ale on zna pana - wtrącił Chen. - Wszyscy pana znają. Ma pan niezłą reputację.

- Pieprzenie - zbył go Stark. - Jestem tylko zwykłym sierżantem.

- Jest pan sierżantem, który zapobiegł przerwaniu linii obrony, gdy nieprzyjaciel przeprowadził kontrnatarcie - poprawiła go Billings. - Jest pan sierżantem, który nie zawahał się pozostać na terytorium wroga, by ocalić resztę plutonu. Wszyscy o tym wiedzą, nawet te głąby z trzeciej dywizji. Ci, których nie było wtedy na Księżycu, widzieli wszystko w wizji.

- I co z tego? - zapytał Ethan. - Wykonywałem tylko swoją robotę.

- Zrobił pan znacznie więcej, niż było trzeba - zapewnił go Murphy. - Sierżancie, ilekroć trafiamy do baru, chłopaki z innych jednostek, jak tylko się dowiedzą, że jesteśmy z trzeciej drużyny, chcą nam stawiać drinki w zamian za opowieści o panu.

- Jaja sobie ze mnie robisz.

- Skąd, sierżancie. - Murphy pochylił głowę, by nikt nie mógł dostrzec, że się zaczerwienił. - Do cholery, byłem naprawdę dumny z tego, że służę w pańskiej drużynie. Jest pan kimś w rodzaju bohatera.

- Pieprzenie. - Stark rozejrzał się po barze z udawaną odrazą. - Już wy, małpoludy, wiecie to najlepiej. Bohater to palant, który przypadkowo znajduje się w odpowiednim miejscu i odpowiednim czasie.

- I robi, co trzeba - dorzuciła Anita.

- No dobra. Zrobiłem, co trzeba. I co z tego?

- Gdyby pan tego nie zrobił - zauważył Chen - już byśmy nie żyli.

- Może tak, a może nie. Podziękowaliście mi za to już jakiś czas temu. Co doceniam.

Ale ani słowa więcej na ten temat.

- Dobrze, sierżancie - zgodziła się Billings. - Ale i tak tego panu nie zapomnimy.

- Obawiam się, że będzie mi to ciężko do końca życia. - Stark rozejrzał się, potem skupił ponownie wzrok na swoich podwładnych. - Chyba nie powinienem był was wysłać do Zewnętrznego Miasta tej nocy. Za dużo tutaj nowych.

- Owszem - przyznał Murphy. - I wszyscy szukają zaczepki, sierżancie. Chyba jeszcze nigdy nie brali udziału w prawdziwej walce.

- Nie brali - potwierdził Ethan. - Ale wkrótce wezmą. Jeśli to, co do mnie dotarło, jest

prawdą, czeka ich najstraszliwsza z bitew. Dlatego trzymajcie się od nich z dala. Niedługo zbiorą takie bęcki, że sami spokornieją.

- Chyba powinniśmy wracać do koszar - stwierdziła Billings. - Chociaż zrobiło się tam trochę ciasno. Muszę dzisiaj spać na podłodze.

- Jeśli chcesz, przyjmę cię na swoją pryczę - zasugerował Chen.

- Możesz sobie o tym pomarzyć, ziemski szczurze.

Gdy pozostali zaczęli się zbierać do wyjścia, Stark pochylił się nad Gomez.

- Wiesz może, gdzie jest Mendoza?

- Tak, sierzancie. Po drodze skręcił do baru Patton. Zdaje się, że prowadzi tam filozoficzne, jeśli dobrze zapamiętałam, dysputy z gościem, do którego należy ta buda.

- Dzięki. - Wskazał głową resztę drużyny. - Będziesz potrzebowała pomocy, żeby ich bezpiecznie doprowadzić do koszar?

- Nie, *sargento*. Przecież to rzut beretem stąd.

Stark wrócił na ulicę, mimowolnie rzucając okiem w górę. *Nie patrz w tamtą stronę. Po co to robisz? Są tam wyłącznie kamienne sklepienia albo stalowe kratownice, a nad nimi gwiazdy, Słońce, w które nie sposób spojrzeć, i Ziemia, którą można sobie pooglądać, ale nic więcej*, HUD wysłał ci ostrzeżenie, gdyby coś spadało. Zabawne, jak życie człowieka może się zmienić. Tam, na dole, nigdy bym nie pomyślał o czymś takim. Skręcił w lewo i ruszył ku obrzeżom miasta.

Kilka minut później znalazł się w głębi szerokiego tunelu, tak charakterystycznego dla tej części kolonii. Stanął pod neonem migającym czerwienią, bielą i błękitem, którego zwoje układały się w nazwę „Patton”. Blask bijący z szyldu ledwie oświetlał środek tunelu, którym płynęły strumienie ludzi i - sporadycznie - wózków elektrycznych. *W miejscach, do których cywilbanda rzadko zagląda, nikomu nie chce się wymieniać żarówek, nie mówiąc już o układaniu kabli zasilających*, pomyślał. Oparł się o tłoczone płyty metalu, z których zrobiona była fasada baru, i zapatrzył w migający kolorami neon, czekając, aż z drzwi wyłoni się znajoma sylwetka żołnierza.

- Mendoza.

Zaskoczony szeregowiec drgnął nerwowo, a potem wszedł w krąg migotliwego światła rzucanego przez neon.

- Słucham, sierzancie?

- Pozwól, że zapytam cię o coś, co nurtuje mnie od bardzo dawna. Dlaczego, u licha, nie jesteś oficerem?

Mendoza zawahał się, spojrzawszy najpierw Starkowi w oczy, potem w głąb mrocznego

tunelu.

- Mój ojciec był oficerem, sierżancie.

- Pieprzysz. - Ethan poczuł się nagle nieswojo. Wolał nie myśleć, jakie zrządzenie losu sprawiło, że syn oficera został zwykłym żołnierzem. - Słuchaj...

- Nic się nie stało, sierżancie. - Mendoza przerwał przeprosiny. - Mój ojciec odszedł ze służby w stopniu porucznika. Nie miał szans na dalszą karierę, ponieważ był człowiekiem honoru i nie zamierzał traktować kolejnych stopni jak zdobyczy politycznych. Tak długo mi to wpajał, aż sam zrozumiałem, w czym rzecz. Nie miałbym żadnej przyszłości w kadrze, która dzisiaj rządzi armią.

- To na pewno nie było dla niego łatwe.

- Ale mówił prawdę. Prości żołnierze nie są może aniołami - Mendoza uśmiechnął się ze smutkiem - ale przynajmniej nie okłamują się wzajemnie. Dlaczego zadał mi pan to pytanie właśnie teraz, sierżancie? Przecież służę w pańskiej drużynie od kilku lat.

- Ponieważ trzeba nam dobrych oficerów, Mendoza. Jeśli wierzyć pogłoskom, które do mnie ostatnio docierają, kwestia ta staje się coraz bardziej paląca. Nie mógłbyś spróbować zmienić tego stanu rzeczy? Poprawić istniejącego systemu?... - Stark zrozumiał, że nie ma racji, zanim dokończył ostatnie zdanie. Człowiek bez wielkiego doświadczenia niewiele zdziała w zderzeniu z mechanizmami rzeczywistego świata, a to właśnie starał się zasugerować.

Mendoza po raz kolejny puścił mu to płazem. Pokręcił tylko głową i stwierdził z pełną powagą:

- To nie takie proste, jak by się wydawało, sierżancie. - Zawsze będzie sporo złych oficerów, którzy nie dbają o nic prócz własnej kariery i mają gdzieś słowa przysięgi. Przeszłość nie różni się pod tym względem od dnia dzisiejszego, jeśli jednak równowaga ulega zachwianiu, jeśli zbyt wielu dobrych oficerów wkurza się i odchodzi ze służby, pozostawiając swobodę działania złym, zepsucie armii następuje bardzo szybko, ale jej naprawa musi trwać całymi latami. Dzisiaj obsesyjni karierowicze trzymają łapę na systemie awansów, nie mówiąc o przydziałach, i eliminują każdego, kto nie chce grać według ich zasad.

Stark pokiwał głową ze smutkiem.

- Zatem każdy, kto powie generałowi, że jego pomysł jest do bani, może się spodziewać degradacji i ancla. A całujący go po dupie klakierzy załapią się na szybsze awanse.

- Mniej więcej - przyznał Mendoza. - Korupcja w armii nabrała zastraszających



rozmiarów po zakończeniu zimnej wojny. Tej z połowy dwudziestego wieku. W ciągu zaledwie kilku dekad zwolniono wtedy ze służby masę doskonałych oficerów, przetrwali wyłącznie ci, którzy mieli polityczne koneksje, ponieważ robili wszystko, by ocalić własne tyłki, kompletnie olewając przy tym podwładnych i wykonywane przez nich misje.

- Chcesz powiedzieć, że już nic nie da się z tym zrobić? Armia już zawsze będzie taka?

Mendoza zawahał się.

- Historia uczy, że przeżarte korupcją armie rozpadały się, zwłaszcza gdy dochodziło do wojen, ale Stany Zjednoczone są supermocarstwem. Posiadamy arsenały strategiczne, z którymi nikt i nic nie może się równać. Broń nuklearna to zaledwie ułamek naszej potęgi. Nikt nam nie jest w stanie zagrozić, tak więc armia nie stanie nigdy w obliczu straszliwej totalnej porażki. Nie mam pojęcia, czym ten impas może się skończyć. Przegrana powinna doprowadzić do usunięcia złych oficerów i próby uzdrowienia systemu, aczkolwiek wątpię, by w aktualnej sytuacji było to wykonalne. Co musiałyby się stać, żeby wywalono na zbity pysk aż tylu patałachów, robiąc miejsce dla porządnych ludzi?

Stark zmarszczył brwi. Przymknął też powieki, chroniąc oczy przed blaskiem neonu.

- To naprawdę przerażająca wizja.

- Nie zamierzałem pana straszyć, sierżancie - zapewnił go pośpiesznie szeregowy. - Czasami mam za dużo przemyśleń na jakiś temat i kiedy zaczynam mówić, zupełnie nieświadomie wplątam je w to, co chciałem powiedzieć.

- Ale bardzo często masz rację. Marnujesz się jako zwykły żołnierz, nie mogę ci jednak radzić, abyś został oficerem, skoro ojciec wpoił ci przekonanie, iż nie powinieneś tego robić. Wiem też, że to, co powiedziałeś o naszych dzisiejszych przełożonych, jest najczystsza prawda. Mam tylko nadzieję, że mylisz się, uważając, iż to się nigdy nie zmieni. Armia w końcu się rozpadnie, jeśli dowódcy będą dbali nie o swoich ludzi, tylko o stanowiska.

- Czy coś się szykuje, sierżancie? Widzę mnóstwo nowych żołnierzy, a każdy z nich wydaje się niesamowicie pewny siebie.

- Owszem, zadzierają nosa jak diabli. - Stark rzucił okiem na przechodzącą opodal grupkę chłopaków z trzeciej dywizji. Zdradzał ich bardzo chwiejny krok. - Wiesz dużo o historii... A co możesz powiedzieć o początkach korporacji?

Mendoza skrzywił się.

- Niewiele, sierżancie.

- Co nimi kieruje? Rozumiem, że chcą zarobić jak najwięcej. Ale czy tylko o to chodzi?

- Niezupełnie. Posiadanie worków pieniędzy jest niewątpliwie miłym doświadczeniem, ale to im już nie wystarcza. Bez względu na to jak wiele mają, zawsze będą chcieli więcej.

- Zawsze? Nigdy nie będą mieli dość?

- Nie, sierżancie. Nigdy nie będą mieli dość. Co rok muszą mieć większe przychody i zwiększać stan posiadania, inaczej konkurencja uzna, że padają. Jeśli któraś korporacja opanuje wszystkie rynki świata, i tak w którymś momencie dojdzie do jej upadku, ponieważ nie będzie w stanie dalej się rozwijać. Nigdy nie rozumiałem tej filozofii, ale nie jestem ekonomistą, tylko zwykłym żołnierzem. - Mówiąc to, Mendoza wyglądał na zakłopotanego. - Czy pańskie pytanie ma coś wspólnego z przybyciem nowych jednostek?

- Możliwe. Wróg spychając nas do obrony tego skrawka Księżyca, uniemożliwia korporacjom dalsze podboje. Tak to przynajmniej wygląda moim zdaniem. Dzięki, Mendoza. Reszta drużyny wraca właśnie do koszar. Powinieneś udać się ich śladem. - Stark uściśnął ramię Mendozy, co wywołało na zwykle lekliwym obliczu szeregowca blady uśmiech, a potem obrócił się na pięcie i ruszył samotnie w stronę własnej kwatery.

*Nie wiem, co się dzieje. Nie wiem też dlaczego. Ale to w armii nic nowego. Idę o zakład, że zdaniem Mendozy zawsze było tak samo.* Przyśpieszył kroku, jakby od tempa marszu zależało, czy najbliższe dni będą mu się dłużyły.

Przyszła poczta. Pod tą archaiczną nazwą kryło się niezwykle ważne wydarzenie w życiu żołnierzy. Formy przekazu zmieniały się z czasem, od papieru czerpanego, na którym skreślano atramentem kilka słów, przez przenośne pamięci aż po niemal niezniszczalne dyski zawierające obraz i dźwięk. Ludzie jednak reagowali na pocztę niezmiennie, nawet największy twardziel miał łzy w oczach, gdy po przejściu dyżurnego pozostawał z pustymi rękoma. Choć właściwie należałoby powiedzieć: największy twardziel albo największa twardzielka.

Tylko Stark był wyjątkiem od tej reguły. Mając wokół siebie członków mundurowej rodziny i z braku dziewczyny, która tęskniąc, wypisywałaby długie epistoły, nigdy nie czuł się zawiedziony, gdy „listonosz” mijał jego przedział, nie zostawiając żadnej przesyłki. Tymczasem dzisiaj otrzymał nie jeden, ale aż dwa dyski. Trzymał je w dłoni, zastanawiając się, kto też mógł je wysłać.

Miał ten przywilej, że nie musiał walczyć o każdą chwilę intymności jak jego podwładni ściśnięci w koszarach. Zamknął więc drzwi przedziału i włożył pierwszy dysk do czytnika.

- Witaj, Ethanie Stark. - Kobieta. Cywil. Wyglądała ślicznie i zgrabnie w jasnych

ciuchach. Miała dziwaczną fryzurę, jedną z tych, za którymi przepadały pracownice kolonii księżycowej. To ona odwiedziła go jakiś czas temu w szpitalu, aczkolwiek po dziś dzień nie miał pojęcia, w jakim celu. - Jestem Robin. Robin Masood. Chciałabym porozmawiać z tobą, gdy zajrzysz znowu do New Plymouth. Mój numer znajdziesz na tym dysku. Zadzwoń, proszę. Naprawdę chciałabym cię znowu zobaczyć. - Ekran ściemniał, gdy krótka wiadomość dobiegła końca.

- Co to miało być? - mruknął Stark, gładząc się po brodzie.

Kobieta z cywilbandy, całkiem atrakcyjna i mająca z pewnością spore powodzenie u facetów, wysłała wiadomość do podoficera. Nie mógł powiedzieć, że to mu nie schlebia, ale czuł podświadomie, iż ta babka musi należeć do zupełnie innej ligi. Mogła umawiać się z oficerem, ale na pewno nie z kimś takim jak on. Nie wyglądała na laskę, którą można wyrwać za kilka piw, a on właśnie w takich kręgach się obracał. *Czego ona może chcieć?* zastanawiał się w myślach. *Zalóżmy, że wyskoczę jutro do miasta. To lepsze niż kręcenie się po koszarach wypełnionych nadęciuchami z trzeciej dywizji. Ona na pewno nie mieszka w Zewnętrznym Mieście. Wygląda na cywilbandę z najwyższej półki. Może nie powinienem... Daj spokój, Stark, czego się boisz? Jeśli czepią się ciebie gliniarze, dasz im tym razem popalić.* Otworzył załącznik wiadomości od Robin Masood i zapisał sobie jej numer na palmtopie, zanim sięgnął po kolejny dysk.

Czytnik połknął go bez problemów. Ethan zmarszczył brwi, widząc twarz mężczyzny na ekranie, równie dobrze mogłaby należeć do niego, gdyby dodać mu ze dwadzieścia lat. Takie właśnie oblicze widział w tanich lunaparkach, gdy spoglądał w postarzające lustra.

- Ethanie - odezwała się jego podstarzała wersja. Gdy usłyszał ten głos, napłynęła fala wspomnień. Wszystko uległo odwróceniu, teraz to on był młodszą kopią człowieka z ekranu.

- Tato... - Zdążył wypowiedzieć tylko to jedno słowo, zanim ojciec odezwał się ponownie, krzywiąc się przy tym, jakby każde słowo raniło jego krtań.

- Ethanie - powtórzył. - Dostałem list od... ciebie i... niech to wszyscy diabli. Dzięki. Może i byłeś wielkim głupkiem, zapisując się do woja, ale cieszę się, że żyjesz. Nie rozumiałem wielu rzeczy, które mówiłeś i robiłeś, ale domyślam się, że jesteś dzisiaj bardzo odpowiedzialnym człowiekiem. Od ciebie zależy los wielu ludzi. A to... to jest naprawdę ważna sprawa. Ja nigdy nie wzięłbym na siebie tak dużej odpowiedzialności. Jestem tylko hodowcą ryb, jak mi to zawsze powtarzałeś. Odpowiadam wyłącznie za te pieprzone ryby. No i za ciebie... oraz matkę. Dlatego pomyślałem, że zawiodłem nadzieje, jakie we mnie pokładałeś. Miałem jednego syna, jedną szansę i spieprzyłem ją koncertowo. - Ojciec Ethana spuścił wzrok, znowu poruszał bezgłośnie ustami, jak zawsze, gdy cierpiał. - A może, mimo

wszystko, nie było tak źle. Twoja przyjaciółka, kobieta o nazwisku Reynolds, przesłała mi kopię pochwały, którą otrzymałeś. - Nagle Stark zobaczył w oczach ojca coś, czego nigdy wcześniej w nich nie widział. Szczerze mówiąc, dostrzegł aż dwie rzeczy. Łzy i coś jeszcze. - Zamierzałeś oddać życie za swoich przyjaciół. I omal do tego nie doszło. Po tym jak przyszedł list od Reynolds, zamówiliśmy kopię transmisji i obejrzelśmy ją uważnie. Jak ci się to udało? Tak wielu ludzi próbowało cię zabić. Tyle pocisków wystrzelili, ale ty trwałeś na stanowisku, ponieważ wiedziałeś, że to twoja powinność. - Ojciec podniósł wzrok, jakby chciał spojrzeć mu prosto w oczy. Kręcił przy tym głową z niedowierzaniem. - Synu. Nie wierzyłem, że mi kiedyś dorównasz, a okazało się, że to ja jestem przy tobie nikim. Mam gdzieś te wszystkie bujdy o bohaterstwie, niemniej jestem pewien, że potrafisz zadbać o swoich ludzi. Ty ich nigdy nie zawiedziesz, Ethanie. Ja ciebie zawiodłem, ale ty jesteś lepszy ode mnie i czuję prawdziwą dumę, gdy to mówię. Nie zawieź swoich ludzi, bo oni potrzebują ciebie tak samo, jak ty potrzebujesz ich. - W tym miejscu ojciec zaczął zerkać za ekran, jakby zapomniał wyuczonego wcześniej tekstu. - Ja, no... ja... cieszę się, że napisałeś. Cieszę się, że z tobą wszystko w porządku. Jeśli pojawisz się kiedyś tu, na dole, zajrzyj do nas, proszę. Możesz nawet przyjechać w tym, no, mundurze, jeśli zechcesz. Jestem pewien, że wyrosłeś na przystojnego mężczyznę. Tak dawno się nie widzieliśmy. - Postarzała twarz ojca zastąpił rozmyty obraz, a moment później dysk wysunął się z odtwarzacza, gotowy do usunięcia albo ponownego odtworzenia.

Stark wyjął go i zważył w dłoni jak najcenniejszy talizman.

- Nie zawiodłeś mnie, tato - wyszeptał w końcu. - Nie do końca. Ale dzięki. I nie martw się. Nie zawiodę moich małpoludów. - Wyjął z kieszeni czysty dysk, wsunął go do szczeliny i zaczął nagrywać odpowiedź, próbując zignorować fakt, że mówi równie urywanymi zdaniami jak jego ojciec.

\* \* \*

Stark stał pod drzwiami apartamentu Robin, zastanawiając się po raz setny, co tak wysoko postawiona kobieta może chcieć od niego, prostego żołnierza. Czuł się dziwnie w mundurze, otoczony tłumem ludzi w cywilnych ubraniach, pośród totalnie niewojskowej architektury, jaką można było znaleźć wyłącznie w tej części New Plymouth. Zesztywniał, gdy w pobliżu zatrzymał się na moment funkcjonariusz policji. *Nie jestem już szczeniakiem. Jeśli ten palant spróbuje mnie przegonić...*

- Przepraszam - zagadnął go funkcjonariusz bardzo uprzejmym tonem, nie kryjąc przy tym zaciekawienia. Na pewno jednak nie było w jego głosie wrogości. - Czy mogę panu w czymś pomóc?

- Nie. Dziękuję.

- Jeśli potrzebuje pan wskazówki dotyczącej drogi...

- Jestem tu, gdzie powinienem być! - Ethan przerwał dość obcesowo, wskazując drzwi.

- Rozumiem. Gdyby jednak potrzebował pan pomocy, jestem do dyspozycji.

Stark obrócił w końcu głowę i spojrzał groźnie na funkcjonariusza.

- Dziękuję. Skoro już rozmawiamy, może mi pan powiedzieć, skąd u pana tyle wyrozumiałości dla żołnierza?

- Nie rozumiem.

- Ja też nie. Jestem wojskowym, jak widać. Stoję pośrodku cywilnej dzielnicy. Czy to pana nie niepokoi?

Funkcjonariusz zrobił wielkie oczy.

- Nierzęsto widuję tutaj ludzi w mundurach, stąd moje zaciekawienie. Ja dbam o spokój tej okolicy, tak jak pan dba o spokój całej kolonii.

Stark ugryźł się w język i pozwolił policjantowi dokończyć zdanie. - I nie czuje pan obaw?

- Większość z nas obawia się raczej o żołnierzy na pierwszej linii.

- Nie o tym... Zresztą nieważne. Dziękuję, poradzę sobie. - Przyglądał się odchodzącemu w głąb tunelu funkcjonariuszowi. Widział go wyraźnie, oświetlenie mieli tutaj tak dobre, że w wielu miejscach pod ścianami rosły na gazonach prawdziwe rośliny. *O co mu chodziło? Cholernie dziwna sprawa. Chyba powinienem był posłuchać Vic.*

- Chcesz, żebym ci towarzyszyła? - zapytała Reynolds z pełną powagą, gdy omawiał z nią plany na ten wieczór.

- Dwie kobiety na jednej randce? - zażartował Stark. - Moja reputacja wystrzeliłaby w górę jak rakieta.

Nawet się nie uśmiechnęła.

- Ethan, znasz babki służące w woju, takie jak ja, ale nie masz bladego pojęcia o życiu cywilbandy, a już zwłaszcza nie wiesz nic o tamtych kobietach. Pomogłabym ci uniknąć problemów.

- Dzięki, mamusi, ale dam sobie radę sam.

- Najczęściej wypowiedane ostatnie słowa frajera - burknęła, ale gdy odchodził, przyglądała mu się z niepokojem w oczach.

Drzwi apartamentu Robin uchyliły się w końcu, ukazując uśmiechniętą kobietę.

- Dziękuję, że pan przyszedł. To dla mnie bardzo ważne.

- Czy mogę zapytać dlaczego? - Stał na środku niewielkiego pomieszczenia będącego jednocześnie salonem, sypialnią i gabinetem.

- Moja przyjaciółka pragnie z panem porozmawiać. - Robin wskazała mu dłonią wnękę kuchenną.

Stała tam druga kobieta, w średnim wieku i z pasemkami siwizny na skroniach. Biła od niej aura typowa dla kogoś, kto jest niezwykle ważną osobą w swoim zawodzie. Stark z trudem powstrzymał się od zaskłutowania, gdy podeszła do niego, wyciągając na powitanie dłoń.

Wymienili uścisk dłoni, po czym Ethan usiadł niezręcznie na wskazanym krześle naprzeciw obu kobiet.

- Napije się pan czegoś? A może podać coś do jedzenia? - zapytała Robin.

- Nie, dziękuję. - Na półce obok stała śmieszna figurka, jej zabawną twarz zdobił szeroki uśmiech. Stark poczuł rozbawienie, przypominając sobie wydarzenia z dzieciństwa. - Należy do pani? - zapytał, wskazując zabawkę.

Robin uśmiechnęła się półgębkiem, jakby poczuła się zakłopotana.

- Tak. Matka podarowała mi ją, gdy opuszczałam Ziemię. Należała do niej. Uważała, że będzie mi przypominała dom.

- I przypomina?

- Owszem. Dlaczego pan pyta?

Dotknął ostrożnie roześmianej twarzy.

- Moja mama też taką miała. Na Ziemi. Chyba wszystkie kobiety w jej wieku dostawały takie lalki.

- Wiele z nich - potwierdziła druga z kobiet. - To był kiedyś wielki przebój. Gdzie pan mieszkał?

- Chodzi pani o to, gdzie dorastałem? - Stark raz jeszcze uśmiechnął się do śmiesznej postaci. - Na przedmieściach Seattle.

- Naprawdę? - zdziwiła się Robin. - A ja pochodzę z okolic Portland. Nie wiedziałam, że w Seattle także istniał fort.

- Bo nie istniał. Moi rodzice nie byli wojskowymi. Dorastałem w podobnym otoczeniu jak wy. Tak sądzę.

- To dość rzadkie w armii.

- Cóż, taki już jestem. Mocno nietypowy. - Stark rozluźnił się, jakby ta śmieszna figurka była talizmanem przywołującym wspomnienia z cywilnego życia. - Zabawna sprawa, pani też pochodzi z Północno-Zachodniego Wybrzeża i ma taką samą laleczkę.

- Pake. Nazywali je paka, ale pojęcia nie mam dlaczego. Chadzał pan na plażę?

- Jasne. Jak wszyscy.

- Jak mi brakuje plaż... - westchnęła w zadumie Robin. - Co ja bym dała, żeby na Księżycu były oceany.

- Mamy tu tylko morza - zażartował Stark.

- Ale one się nie liczą - odpowiedziała, prychając śmiechem.

Na chwilę zapadła cisza.

- Dlaczego chciały się panie ze mną spotkać? - zapytał w końcu Ethan. Nic nie wskazywało bowiem na bardziej osobisty cel tej wizyty, poza luźną atmosferą rzecz jasna, i dlatego od razu przypomniał sobie niedawne nieufne nastawienie Vic.

- Panie Stark... - zaczęła starsza z kobiet.

- Sierzancie.

- Słucham? - wyglądała na autentycznie zaskoczoną.

- Sierzancie. Taki mam stopień w woju. To znaczy w armii. Jestem sierżantem.

- Rozumiem. - Skinęła głową na znak, że wie, o czym mowa. - Zatem sierzancie Stark, nazywam się Cheryl Sarafina. Jestem dyrektorem wykonawczym zarządcy kolonii, pana Campbella. Wie pan, o kim mówię?

- O kimś, kto stoi na czele władz cywilnych.

- Zgadza się. James Campbell jest najwyższym przedstawicielem obieralnych władz New Plymouth, co oznacza, że jest najważniejszą osobą wśród cywilów przebywających na Księżycu, aczkolwiek jego władza jest poważnie ograniczona ze względu na panujący tutaj stan wyjątkowy... - Sarafina zamilkła i wbiła smutne oczy w Starka. - Panie... przepraszam, sierzancie Stark, chciałabym zadać panu kilka pytań dotyczących armii.

- Nie mogę szanownej pani podać żadnych szczegółów dotyczących naszych działań, dopóki nie otrzymam zgody moich przełożonych.

- Szanownej pani? - rozbawił ją tym określeniem. - Bez obaw. Nie zamierzam wypytywać o to, czego panu nie wolno powiedzieć. Chciałabym jedynie poznać pańską opinię na kilka tematów.

- Moja opinię? - Roześmiał się. - Jestem sierżantem. Nikogo nie obchodzi, co myślę i mówię, może z wyjątkiem moich podwładnych.

- Mnie obchodzi. - Sarafina pochyliła się, przewiercając go wzrokiem. - Sierzancie Stark, czy uznałby pan negocjacje pokojowe zmierzające do zakończenia walk o Księżyc za akt zdrady?

- Słucham? - Podrapał się po głowie, potem spojrzał na stojącą obok pakę.

- Dlaczego miałbym uznawać je za akt zdrady?

- Ze względu na wszystkich towarzyszy broni, którzy tutaj polegli, i bitwy stoczone przez pana, by wygrać tę wojnę.

- Szanowna pani, ja tu walczę głównie o to, by moi ludzie mogli przeżyć. A co do towarzyszy broni, straciłem ich zbyt wielu, tutaj i w wielu innych miejscach, do których nas posyłano. Ale strata nawet jednego to zbyt wiele, tyle pani powiem. Niestety śmierć kolegów jest codziennością, z tym że nikt prócz nas tym się nie przejmuje.

Sarafina nie ukrywała zdziwienia.

- Prócz was i waszych przełożonych, rzecz jasna.

- Może paru, reszcie to zwisa. Dla ludzi z dowództwa jesteśmy co najwyżej elementami strategicznej układanki.

- Nie rozumiem.

Stark wzruszył ramionami.

- Ja też, proszę szanownej pani. Dlaczego pani wypytuje o te sprawy?

- Ponieważ ludność cywilna New Plymouth - wtrąciła Robin - pragnie zakończenia tej wojny. Nie możemy osiągnąć zakładanych celów, gdyż cała uwaga władz skupia się dzisiaj na walkach. Sporą część pozyskiwanego urobku musimy oddawać w formie kontrybucji dla rządu, a wprowadzone przez wroga częściowe blokady ograniczają dostęp do importowanych dóbr. Nie wspomnę już o wysokich podatkach na wszystko, co tutaj trafia.

- Podatki? - zdumiał się Stark. - Wydawało mi się, że cywilbanda wybiera tylko tych, którzy obiecują jak najniższe obciążenia podatkowe. Czyżby nawet to uległo zmianie od czasu, gdy się zaciągnąłem?

Robin Masood uśmiechnęła się z goryczą.

- Nie chodzi o to, że odmawiamy wspierania podatkami armii, która nas broni, ale zauważyliśmy, że nakłada się na nas za wysokie obciążenia. O wiele większe niż na naszych partnerów z Ziemi. I nie możemy nic z tym zrobić. Nie pozwala nam się nawet stworzyć takiego samorządu, jaki mamy w Ameryce, ponieważ do zakończenia działań wojennych na Księżycu będzie trwał stan wyjątkowy. Nie mamy też możliwości głosowania na naszych przedstawicieli w Waszyngtonie.

- Co więcej - dodała Cheryl - korporacje, które nas tutaj wysłały, wyłożyły spore pieniądze i naciskają dzisiaj, abyśmy zwiększali wydobywanie i produkcję. A my nie jesteśmy w stanie sprostać ich wymaganiom, ponieważ płacimy kontrybucję i musimy ograniczać działalność z powodu toczonych wojny.

- Można więc powiedzieć, że znajdujecie się między młotem a kowadłem. Wasi



przełożeni także nie chcą słuchać żadnych tłumaczeń.

Uśmiech Sarafiny był wyjątkowo ponury.

- Sierżancie Stark, czy mówi coś panu określenie „pańszczyzna”?

- Raczej nie.

- Dotyczy ono chłopów, którzy byli tak zadłużeni u swoich właścicieli, że musieli na nich pracować do końca życia. Ci ludzie nie decydowali o własnym losie. W gruncie rzeczy byli niewolnikami. Mamy już dość podobnego losu, sierżancie Stark, ale nie poprawimy go, dopóki trwa wojna. I dlatego chcemy wynegocjować zawieszenie broni.

Stark znowu wzruszył ramionami.

- Negocjujcie. Nic mi do tego.

Cheryl spoglądała mu prosto w oczy.

- Jak już wspomniałam, pańscy przełożeni poinformowali mnie, że wszelkie próby dogadania się z przeciwnikiem zostaną uznane przez podkomendnych za akt zdrady. Twierdzili, że żołnierze nigdy się na coś takiego nie zgodzą.

- Mnie nikt nigdy o zdanie nie pytał. - Stark skrzywił się. - U licha, brałem udział w ponad dziesięciu kampaniach. Większość się skończyła nie po naszej myśli. Ale nikt nigdy nie pytał mnie, czy mi się to podoba. Tutaj będzie podobnie, jak sędzę.

- Zatem twierdzi pan, że nie będzie miał nic przeciw prowadzeniu negocjacji?

- Szanowna pani, zazwyczaj nie mam nic przeciw temu, żeby ludzie do siebie nie strzelali.

Kobiety wymieniły znaczące spojrzenia.

- Wygląda na to, że pańscy przełożeni skłamali - stwierdziła Sarafina.

- Nas okłamują bez przerwy - przyznał Ethan i nagle zmarszczył brwi. *Cholera. Tego nie powinienem był mówić. Za bardzo się odprężyłem. Co z tego, że Robin z Portland ma taką samą lalkę jak moja mama. Obie należą przecież do cywilbandy.* - Przepraszam za nadmierną szczerłość. Domyślam się, że moi przełożeni nie byłiby zbyt szczęśliwi, gdyby dowiedzieli się, co o nich powiedziałem, nawet jeśli to tylko moja prywatna opinia.

- Sierżancie, przysięgam, że wszystko, co pan tutaj powie, pozostanie między nami - obiecała Cheryl. - Pańscy przełożeni nie dowiedzą się nawet, że rozmawialiśmy.

*Czy mogę jej zaufać? Sam nie wiem. Wydaje się miła, ale... Vic miała rację. Wpłynąłem na zupełnie obce wody.*

- Wolałbym, aby nie powtórzyła pani moich słów nikomu.

- Nikomu? - Nie spodobała jej się ta perspektywa.

- Nikomu.

- Proszę to rozważyć raz jeszcze. Uważam, że to bardzo ważna informacja, zwłaszcza dla pana Campbella i pozostałych mieszkańców New Plymouth.

*Gdyby chciała mnie okłamać, obiecałaby wszystko, byle pociągnąć tę rozmowę. Tak. Nie mam cienia wątpliwości..*

- Dobrze, może pani powiedzieć Campbellowi. Ale tylko jemu. Czasami zdarza mi się niepotrzebnie coś chlapać.

Sarafina nie starała się nawet ukryć ulgi.

- Oczywiście. Ma pan na to moje słowo, sierżancie Stark.

- Dzięki. Obawiam się jednak, że niewiele wam pomogę w sprawie negocjacji. Nie mam żadnej władzy poza moją drużyną, a to tylko dwunastu ludzi. Przełożeni dali mi dość jasno do zrozumienia, że nie zamierzają mnie słuchać.

Cheryl uśmiechnęła się.

- Wręcz przeciwnie, sierżancie Stark. Już pan nam bardzo pomógł. Zrozumienie strony przeciwnej daje ogromną przewagę w polityce. Domyślam się, że w wojsku jest podobnie.

- Zgadza się.

- I dlatego zrozumienie motywacji pańskich przełożonych pozwoli nam na wynegocjowanie pokoju.

- Życzę powodzenia. - Rozejrzał się, by ukryć rodzącą się niepewność. - Domyślam się, że to był prawdziwy i jedyny powód naszego spotkania. Nie chodziło paniom o sprawy osobiste. Pragnę zaznaczyć, że bynajmniej nie oczekiwałem czegoś takiego - dodał pośpiesznie.

Robin spłonila się lekko.

- Bardzo pana przepraszam. Musiał pan spodziewać się czegoś zupełnie innego po moim liście.

- Niczego mi pani w nim nie obiecywała.

- Wiem, ale... Proszę mi wybaczyć, nie pomyślałam, jak pan go może odebrać. To nie była sprawa osobista.

Stark uśmiechnął się.

- Proszę się nie przejmować, jestem do tego przyzwyczajony. - Wskazał palcem na pakę. - Miło było ujrzeć ją po tylu latach. Moja mama ją uwielbiała. Ale to było dawno temu. Wraca pani czasem do Portland?

- Nie stać mnie na to. Zadłużam się coraz bardziej, jak chyba wszyscy w kolonii. A pan był ostatnio w Seattle?

- Nie zaglądałem tam dłużej niż pani do swojego domu. Czy mogę służyć czymś jeszcze? Bo nie brakuje nam ostatnio zajęć. Chyba powinienem już wracać do koszar.

Sarafina odwróciła wzrok.

- Jeszcze jedno, sierżancie. Czy ludność cywilna New Plymouth może coś dla was zrobić?

- Dla mnie? - Ethan pokręcił głową. - Ja niczego nie potrzebuję.

- Nie dla pana, dla was, wojskowych. Czy możemy coś dla was zrobić?

Czasami zdarzało się coś, co zupełnie nie pasowało do sytuacji. Ostatnio nawet częściej niż zwykle. Najpierw ten gliniarz, teraz to pytanie. Stark masował się po karku w głębokim zakłopotaniu.

- Dlaczego pani o to pyta? - wymamrotał w końcu.

Odpowiedziała mu Robin, wyciągając rękę w kierunku kosmodromu.

- Widujemy je dość często. Czasem tylko kilka, kiedy indziej wiele. Chodzi mi o... te... pojemniki na zwłoki.

- Worki na zwłoki - poprawił ją. - Tak, wiem, ta nazwa już od dawna do nich nie pasuje, ale tak właśnie na nie mówimy.

- Giniecie za nas - kontynuowała Robin, a jej oczy nagle zaczęły czerwienieć. - Wiemy o tym. Zapewniacie nam bezpieczeństwo, płacąc za to własnym życiem i zdrowiem. To był jeden z powodów wizyty w szpitalu, podczas której pokazano nam pana. Chciałyśmy dowiedzieć się czegoś więcej o waszym poświęceniu.

- Jeden z powodów? - zdziwił się Ethan.

Na ustach Sarafiny pojawił się blady uśmiech.

- Chciałyśmy także usłyszeć kilka szczerych opinii z ust prawdziwych żołnierzy. Ale nie dano nam na to szansy, jak pan zapewne pamięta. Towarzyszący nam oficerowie ostrzegali, by nie zadawać zbyt wielu pytań, a gdy odpowiedź mogła być dla nich niewygodna, sami wyręczali pacjentów.

- I dlatego postanowiliśmy umówić to spotkanie. Teraz rozumiem.

- Czuje się pan lepiej, wiedząc o tym?

- Lubię wiedzieć, o co chodzi i co się dzieje - potwierdził Stark. - Dzięki tej ciekawości jeszcze żyję. A wracając do kwestii, jak możecie wspomóc żołnierzy. Nie mam pojęcia. Nie zdołacie przejąć kontroli nad naszymi oficerami i jak same stwierdziłyście, nie macie też prawa głosu, więc żaden z polityków nie zechce was wysłuchać. A korporacje odpowiedzialne za ten bajzel mają was w kieszeni. Tak więc nie wiem, co powiedzieć. Może spotykajcie się od czasu do czasu z którymś z nas.

- Rzadko widzimy tutaj personel wojskowy - zauważyła Sarafina. - Nowo przybyłe oddziały maszerują prosto do zamkniętych dzielnic... - Zamilkła na moment, popadając w głębokie zamyślenie. - Ostatnio przywieziono tutaj masę żołnierzy.

Stark opuścił wzrok.

- O tym nie wolno mi rozmawiać.

- Wszyscy mówią o jakiejś wielkiej ofensywie - wtrąciła Robin. - W wiadomościach aż roi się od informacji na ten temat.

- W wiadomościach? - Ethan zrobił wielkie oczy.

- Ostatnio był w dzienniku wywiad z jakimś oficerem, może nawet generałem. Gadał jak najęty o wygraniu tej wojny dzięki zastosowaniu zupełnie nowej taktyki.

- Generał? Czy przypadkiem nie nazywał się Meecham?

- Chyba tak. Wyglądał na bardzo pewnego siebie.

Stark wołał przelknąć kolejną odpowiedź. *Pewny siebie.*

Łatwo być pewnym siebie, gdy nie ma się pojęcia o prawdziwym życiu. Jak te biedne dranie z trzeciej dywizji. Jedyna różnica między nimi a generałem polega na tym, że oni wykrwawiają się na śmierć podczas bitwy, a on będzie się temu przyglądał z wygodnego fotela w kwaterze głównej. Pokręcił głową.

- Przykro mi. Nie mogę rozmawiać na ten temat. I nie chcę.

Robin otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale Sarafina uciszyła ją, unosząc dłoń.

- Oczywiście, sierżancie.

- Dziękuję. - Stark znowu poczuł się niezręcznie. - Chyba już pójdę.

- Rozumiem. - Cheryl wstała razem z nim i ponownie wyciągnęła dłoń. - Dziękuję, sierżancie Stark. Życzę panu powodzenia.

- Dzięki. - Ethan uścisnął jej rękę. - Ale to nie mnie powinna pani życzyć powodzenia, tylko tym nowym. - Zwracając się do Robin, dodał: - Mam nadzieję, że wkrótce odwiedzi pani rodzinne Portland.

Wyszedł i znowu stanął na środku korytarza w cywilnej dzielnicy. Jej mieszkańcy przystawali, gapiąc się na niego, a w zasadzie na mundur, który zupełnie nie pasował do tego miejsca. Po raz pierwszy od bardzo dawna Stark patrzył cywilom prosto w oczy i ku swojemu zdumieniu zauważał w nich o wiele więcej zainteresowania niż lęku czy wrogości. *Wojo woju nierówne*, pomyślał. *Najlepiej to widać, gdy człowiek spojrzy na małpy z trzeciej dywizji i moich chłopców. Może więc cywilbanda także nie stanowi monolitu?* Ta myśl zaniepokoiła go, ponieważ naruszała posady świata z jego wyobrażeń. Czy to możliwe, że tutejsze wojo może mieć coś wspólnego z cywilbandą mieszkającą na Księżycu? Cóż, świat musiał już

widzieć dziwniejsze rzeczy.

Korytarz prowadzący do przedziału Starka wiódł obok mesy będącej w rzeczywistości zwykłym przedziałem sypialnym, tyle że pozbawionym drzwi oraz łóżka, w których miejsce wstawiono kilka stolików i automat dystrybutora napojów. Przechodząc obok, dostrzegł na jednym z krzeseł Vic. Usiadła tak, by mieć dobry widok na wejście.

- A ty co tutaj robisz? - zapytał.

Uśmiechnęła się wymijająco.

- Nic. Spędzam wolny czas.

- Dziwne miejsce jak na rzadką chwilę odpoczynku. Nie mów, że czekałaś na mój powrót.

- Dlaczego miałabym to robić? - prychnęła. - Jesteś już dużym chłopcem.

- Akurat. - Stark usiadł naprzeciw niej. - Zapytasz?

- Nie.

- Okay. Chciała ze mną pogadać, a właściwie nie ona, tylko jej przyjaciółka, kobieta wysoko postawiona w tutejszych władzach cywilnych.

Vic uniosła brew.

- Chciały pogadać? Z ciebie jest kiepski rozmówca...

- Wiem, ale nie o takie pogawędki chodziło. Zadawały mi masę pytań.

- Pytań? - Vic pochyliła się ku niemu z poważną miną. - Jakiego rodzaju?

Ethan machnął lekceważąco ręką.

- Nie chodziło o żadne tajemnice wojskowe. Wyobraź sobie, że nasze dowództwo karmi cywilbandę tekstami, iż ta wojna trwa tak długo, ponieważ żołnierze, tacy jak ja i ty, upierają się, by walczyć aż do zwycięstwa.

Reynolds zaśmiała się pod nosem, kręcąc głową.

- Daj spokój.

- Poważnie. Mówiły to serio i były mocno zdziwione, gdy okazało się, że nikt nas o takie sprawy nie pyta, a przecież prawda jest taka, że nikt z nas nie chce przeciągania tej wojny w nieskończoność... - Stark zamilkł, widząc dziwny wyraz twarzy Vic. - Coś nie tak?

- Ethan - odezwała się z wyraźną nutą złości w głosie - jak sądzisz, co zrobią nasi przełożeni, gdy ktoś z władz cywilnych powie im, że kłamali?

- Wolałbym nie zgadywać - odparł ze spokojem. - Ale nie ma obaw, nikt nie wyskoczy z takim tekstem. Obiecały, że nie powiedzą żadnemu oficerowi o rozmowie ze mną.

- A ty im uwierzyłeś?

- Tak. Nie od razu, ale w końcu mnie przekonały.

- To cywile! - Twarz Vic stężała ze złości. - Dla nich jesteśmy kimś w rodzaju gladiatorów, którzy powinni umierać dla rozrywki tłumu! Zawsze głosują przeciw zwiększeniu wydatków na wojo! Mają w dupie ciebie i nas wszystkich!

- Vic, cywilbanda nie ma dostępu do transmisji z pola walki, odebrano jej też prawo głosu i... możesz mi wierzyć lub nie... interesuje się naszym losem.

- Pieprzenie. Oj, Ethan, jak łatwo złapać cię na piękne oczy...

- Posłuchaj mnie! Może nie jestem najbardziej rozbawionym facetem na tej skale, ale potrafię zauważyć, kiedy ktoś mnie robi w wała. One mnie o nic nie prosiły, Vic.

- Jasne - burknęła. - Tylko następnym razem, gdy zaproszą cię do siebie, nie zdziw się, jeśli każde twoje słowo trafi potem do wizji. Albo któraś zacznie się drzeć: „Ratunku, gwałciciel!”, żeby zaistnieć choć przez pięć minut w publikatorach.

- Wiem, że to cywilbanda, ale... - zawahał się, próbując znaleźć odpowiednie słowa, szybko jednak zrezygnował. - Ani ona, ani jej przyjaciółka nie zachowywały się jak cywile rozmawiający z wojskowym. Tym razem było inaczej.

- Co znaczy: inaczej?

- Sam nie wiem. - To wyznanie uspokoiło nieco gniew Reynolds. - Po prostu było inaczej niż zazwyczaj. Do licha, Vic, kiedy wracałem tutaj przez cywilne dzielnice, mógłbym przysiąc, że kilka osób uśmiechnęło się do mnie, i to naprawdę przyjaźnie. Nawet gliniarz był dla mnie miły.

- Cóż, świat musiał już widzieć dziwniejsze rzeczy... - westchnęła, nieświadomie powtarzając myśl Ethana. - Mimo wszystko dobrze ci radzę, nie idź na kolejne spotkanie z tą kobietą.

Stark wyszczerzył zęby.

- Dlaczego? Czyżbyś była zazdrosna?

- Daj spokój, proszę! - Skrzywiła się mocno.

- Spędzamy ze sobą mnóstwo czasu...

Pokręciła głową, jednocześnie przewracając oczami.

- Robimy to, ponieważ jesteśmy przyjaciółmi. Ale nawet gdybyśmy nie byli dobrymi znajomymi, i tak czułabym się zobligowana do otworzenia oczu naiwnym idiotkom, którym wydawałoby się, że możesz być niezłą partią.

- Dzięki. Ja też cię lubię. - Stark opuścił wzrok na moment. - One powiedziały mi coś jeszcze, Vic. Wygląda na to, że nasz generał Meecham był gościem jakiegoś programu publicystycznego i opowiadał w nim o szczegółach mającej nastąpić ofensywy.

- Obiło mi się o uszy.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

- Ponieważ nie wierzyłam, że to możliwe. Ale jak się okazuje, to prawda?

- Tak mi przynajmniej mówiły te babki. W przygotowanej dla nas wersji dziennika musieli to wyciąć. - Stark zacisnął pięść. - Nam nie pozwalają oglądać wystąpień generała, ale cywilbanda i obcokrajowcy mogą się go napatrzeć i nasłuchać do woli. Cholernie sensowne posunięcie. Vic, dlaczego mam wrażenie, że oglądam w zwolnionym tempie katastrofę pociągu?

- Pewnie z tego samego powodu co ja. - Reynolds ustawiła swój palmtop pod takim kątem, by i on mógł patrzeć na ekran. - Pokażę ci coś jeszcze. Jutro rano sztabowcy Meechama zrobią nam odprawę. Wszyscy podoficerowie z pierwszej dywizji, nie znajdujący się aktualnie na pierwszej linii, mają się na niej stawić. Obowiązkowo. A sierżanci z frontu otrzymają bezpośredni przekaz.

- Jezu! - Ethan przymknął oczy, by odczytać napisy z ekranu. - Mam przeczucie, że to będzie coś naprawdę paskudnego.

Zanim rozpoczął się występ wysłannika generała, wszyscy zebrani musieli odcierpieć swoje jak na tradycyjnej odprawie. *Tylko wojo*, pomyślał Stark, *jest w stanie zaprojektować krzesła, które będą szczytem niewygody nawet w tak niskiej grawitacji, jaka panuje na Księżycu*. Zmienił pozycję chyba już po raz dziesiąty od momentu zajęcia miejsca, a potem zaraz odwrócił głowę, czując lekkie klepnięcie w ramię.

- Czego?

- Co ty tutaj robisz, Stark? Myślałam, że wiesz już wszystko na temat wojen i wojowania.

Ethan uśmiechnął się, słysząc ten przyjacielski docinek.

- Sierżancie Yurivan. Słyszałem, że znowu dołek: braliście udział w rozróbie.

- Ja? - Stacey zrobiła niewinną minę. - Skąd. Jak zwykle okazałam się niewinna.

- Jasne - wtrąciła siedząca opodal Reynolds. - Czy to znaczy, że udało ci się zniszczyć wszystkie dowody winy?

- Co do sztuki. - Sierżant wskazała ręką na wysoką scenę w głębi sali. - A teraz staram się poznać sekrety, którymi nasz tu obecny kolega Stark nie chciał się ze mną podzielić.

- Skąd ci przyszło do głowy, że znam jakieś sekrety? - zainteresował się Ethan.

- Wciąż żyjesz - wyjaśniła Yurivan. - A powinieneś zginąć już z dziesięć razy. Istnieje limit głupich posunięć, jakich może się dopuścić żołnierz, zanim zagrają mu albo jej nad grobem, ale ty, Stark, wciąż się tu kręcisz. Albo jesteś bardzo przebiegły, albo masz

niesamowite szczęście.

Sanchez odwrócił się, by wtrącić do tej rozmowy swoje trzy grosze.

- Albo jest po prostu wyjątkowo głupi.

- To też możliwe - przyznała rozbawiona do łez Yurivan. - Skąd te ponure miny, koledzy?

- Może dlatego, że spędzono nas tutaj, byśmy wysłuchali teorii pewnego generała, które ponoć mogą zrewolucjonizować współczesne działania wojenne - wyjaśnił z udawaną powagą Stark. - Szczerze mówiąc, dałbym się zastrzelić, żeby tylko tego nie słuchać.

- A ja wręcz przeciwnie. - Stacey wyszczerzyła się radośnie.

Reynolds uniosła brew, okazując sceptycyzm.

- Doznałaś wstrząśnienia mózgu? Czy może starasz się o zwolnienie ze służby ze względu na niepoczytalność?

- Nic z tych rzeczy - odparła Yurivan. - Po prostu zaciekawiała mnie koncepcja lansowana przez generała. Syn Edzia. Ciekawe, kim okaże się ten mityczny heros?

Stark zaśmiał się pod nosem.

- Nie syn Edzia, Stacey, tylko synergia.

- Wy wiecie swoje, a ja swoje. - Yurivan rozsiadła się wygodniej z grymasem zadowolenia na twarzy. Jak klasowy błazen, którego otoczenie nagrodiło oklaskami za kolejny udany kawał. Wsłuchiwała się z lubością, gdy siedzący wokół ludzie powtarzali jej słowa.

- Bacność! - Wszyscy sierżanci zerwali się na równe nogi, wyprężając torsy na widok pułkownika w idealnie skrojonym i czystym mundurze. Sprężystym krokiem zmierzał w kierunku proscenium. Niskie ciężenie nieco mu w tym przeszkadzało, więc efekt był daleki od zamierzonego.

- Spocznij - rozkazał oficer z wyraźną wyniosłością w głosie. - Nazywam się pułkownik Penter, jestem członkiem Dowództwa Połączonych Sztabów Lunarnego Korpusu Ekspedycyjnego. Mam przyjemność i obowiązek przedstawić wam założenia niesamowitej rewolucji w działaniach wojennych, której autorem jest generał Meecham. - Po chwili miotania się po scenie pułkownik znalazł w końcu właściwy przycisk i ciężka kurtyna za jego plecami uniosła się majestatycznie, odsłaniając ogromny ekran projekcyjny. Widać było na nim obraz jakiegoś sektora pierwszej linii w pełnym ultra HD, z ikonkami i trójwymiarowym odwzorowaniem terenu. Po prostu cud techniki. - Widzicie przed sobą idealnie odwzorowane środowisko, w którym toczymy walki na Księżycu.

Stark przechylił się lekko w stronę Victorii.



- Od kiedy to gromadzenie i wyświetlanie danych na ekranie jest równoznaczne ze zrozumieniem sytuacji? - wyszeptał jej w ucho.

- Nie jest i nigdy nie było - mruknęła w odpowiedzi.

- Jak słusznie zauważa generał Meecham - pułkownik przemawiał tonem nauczyciela ze szkoły podstawowej - zrozumienie wroga jest warunkiem koniecznym do jego pokonania. - Przepraszam, sir - odezwał się ktoś po prawej z głębi sali - ale czy Sun Tzu nie powiedział tego już kilka tysięcy lat temu?

Pułkownik zamilkł, zacisnął mocno usta.

- Komentarze są zbędne i niemile widziane. Oczekuję, że będziecie słuchali mojego wystąpienia w ciszy i skupieniu. Kontynuując rozpoczęty wątek... Zrozumienie wroga wymaga skrupulatnej analizy jego zachowań z uwzględnieniem uwarunkowań historycznych. Tym sposobem otrzymujemy matryce czynników, które zmuszały przeciwnika do podjęcia bądź zaniechania działań. Musimy jednak pamiętać, że ogromny wpływ na nie będą miały także nasze działania, zarówno te wykonywane, jak i przewidywane. - Uśmiechnięty szeroko pułkownik Penter uniósł palec wskazujący dla podkreślenia swoich słów. - Wojna synergiczna opiera się na oszacowaniu sił obu stron konfliktu ze szczególnym uwzględnieniem wszystkich warunków fizycznych oraz na ocenie pozostałych czynników, na przykład natury psychologicznej, dzięki czemu możemy otrzymać bardzo konkretny plan działania i przewidzieć wyniki wprowadzenia go w życie. Przykładowo: przy obliczeniach prowadzonych dla starcia niewielkiego oddziału korelacja będzie częściowo uzależniona od właściwej oceny czynników wpływających na przebieg walki i danych o rozmieszczeniu żołnierzy. Opracowywanie strategii walki w zróżnicowanym terenie będzie możliwe dzięki wyczerpującym analizom wszystkich dostępnych danych, na które nałożymy następnie wzorce rozmieszczenia i ruchów poszczególnych pododdziałów. Wymagania logistyczne opierają się na analizach danych historycznych, w których uwzględnia się na przykład aktualne trendy w zużyciu zapasów amunicji podczas okresów wzmożonej aktywności. Jest rzeczą oczywistą, że niektóre wartości tych wyliczeń muszą być uśredniane, aby zminimalizować możliwość wystąpienia anomalii na wykresach końcowych.

- Jakżeby inaczej - mruknął pod nosem Sanchez.

- Właściwe wektory siły - kontynuował tymczasem pułkownik Penter - ustalamy na podstawie drugo- i trzeciorzędnych analiz wysokiego stopnia, ze szczególnym naciskiem na teorię związków decyzyjnych i narzędzia przyspieszonego zarządzania kryzysowego... - Zamilkł na moment, dla podkreślenia wagi wyводу unosząc drugą dłoń z taką siłą, że zachrząściły mu rzędy medali zakrywających niemal całą pierś. - W tym momencie dodam

tylko, że ten aspekt wojny synergicznej doczekał się osobnego wykładu, wygłoszonego osobiście przez generała Meechama na kolegium Połączonych Sztabów.

*Miło z jego strony, pomyślał zjadliwie Stark, wciąż próbując ogarnąć strumień żargonowych wyrażeń, którymi sypał pułkownik. Zawierzenie ogromnej liczby istnień ludzkich temu stekowi bzdur może być zabawne, oczywiście na swój chory sposób.*

- Te paradygmaty są niezwykle oczywistymi, podstawowymi, mającymi wpływ na siebie wektorami, a ich wyniki są bardzo łatwe do przewidzenia. Wielki wkład generała Meechama w sztukę nowoczesnej wojny polega na rozpoznaniu wzorców tychże paradygmatów, zebranie ich w jednolite, ale zarazem mocno zdywersyfikowane programy taktyczne, czyli... nie zawaham się użyć tego sformułowania... nadparadygmaty zdolne do stworzenia modeli przełamujących wszystkie standardowe modele obrony dzięki dziesiątkom odrębnych czynników zależących w dużej mierze od mentalnej dyscypliny dowódców wszystkich szczebli. - Pułkownik sięgnął po wskaźnik laserowy. Trzymał go w dłoni niczym miecz, gdy tryumfalnym ruchem przesunął rękę w kierunku ekranu. - Na tej prezentacji widzicie typową sytuację na wybranym odcinku księżycowego frontu. Osoby nie mające dostatecznej wiedzy na temat wojny synergicznej mogą uważać, że dokonanie przełomu będzie wymagało przytłaczającej przewagi w ludziach i sprzęcie, gdyż tylko taką metodą można rozbić standardowe linie obrony zbudowane w oparciu o tradycyjne myślenie strategiczne, uwzględniające rzecz jasna aktualne warunki terenowe i układ sił. Ale nie o tym będziemy mówili.

- W takim razie o czym, u licha? - mruknął poirytowany Stark, kierując te słowa do Vic.

- On chyba sam tego nie wie - odparła równie cichym głosem.

- Jak słusznie zauważył kiedyś Napoleon, morale jest po trzykroć ważniejsze od posiadanej siły. - Pułkownik Penter wodził wskaźnikiem po ekranie, zamaszystymi ruchami pokazując istotne dane. - Zaaplikowanie wiedzy o wojnie synergicznej w jej najczystszej formie pozwoli nam na uzyskanie takiej właśnie przewagi w omawianym sektorze. Aplikując paradygmaty wyższego stopnia odpowiednio skupionym odbiorcom, nie tylko powielimy błyskotliwe zwycięstwa Napoleona, ale też zwielokrotnimy ich efekty. Krótko mówiąc, mając więcej żołnierzy i kierując się zasadami wojny synergicznej, możemy mówić nawet o przewadze rzędu dziewięć do jednego!

Wśród audytorium dały się słyszeć szmery, a potem jeden z sierżantów wstał, by zabrać głos.

- Proszę o wybaczenie, sir, ale czy pan powiedział przed chwilą, że w pańskich

planach trzech żołnierzy będzie miało siłę dziewięciu ludzi?

Pułkownik skinął głową z nieukrywaną satysfakcją.

- Zgadza się. Oczywiście to bardzo uproszczony obraz sytuacji, ale mniej więcej tak to będzie wyglądać. Jeśli jednak nałożymy na siebie kilka paradygmatów i dodamy przewagę technologiczną, jaką dysponujemy, wskaźnik wirtualnej przewagi równie dobrze może sięgnąć wartości dwanaście do jednego.

- Trzech żołnierzy będzie równych dwunastu przeciwnikom?

- Nie, nie, nie. Jeden żołnierz będzie im równy! - Pułkownik machnął ręką. - A to i tak bardzo zachowawcze szacunki, gdyż nie uwzględniono w nich tak znaczących czynników jak choćby doskonale talenty przywódcze wyższej kadry oficerskiej.

*O Boże. Starka zatkało na moment. Opierają swoje plany na szacunkach mówiących, że dysponujemy dwunastokrotnie większą liczbą ludzi, niż faktycznie stacjonuje na Księżycu? I jeszcze gratulują sobie tego, jacy są wspaniali? Zanim zdążył uporządkować myśli, wstał kolejny z sierżantów.*

- Za pozwoleniem pana pułkownika, czy na ekranie widzimy aktualny obraz tego sektora frontu?

- Zgadza się, sierżancie. Zapewniam, że to najbardziej aktualny obraz.

- W takim razie pragnąłbym zauważyć, sir, że mamy do czynienia z bardzo niekompletnym przekazem. Nie widzę na przykład wielu fortyfikacji przeciwnika, które na pewno tam się znajdują.

Penter skinął zdecydowanie głową.

- Zgadza się. Po dokładnej analizie doszliśmy do wniosku, że rzeczone umocnienia są od dawna opuszczone, ale zbudowano je dla zmylenia naszego wywiadu.

- Sir? - Na twarzy sierżanta widać było spory niepokój. - Prowadziłem na tym odcinku wiele patroli. Naprawdę wiele. Te umocnienia są prawdziwe.

- Nie, sierżancie. Nie są. Wiemy doskonale, że wasze oceny... nazwijmy je przesadzonymi... są jedną z przyczyn zastoju na froncie, niemniej...

- Pułkowniku - przerwał mu sierżant rozwścieczony tak jawnym pomówieniem - nie możecie obliczać przewagi, nie przyjmując do wiadomości istnienia stanowisk obrony przeciwnika.

- Już wam mówiłem - wysyczał lodowatym tonem Penter - że obraz zdolności obronnych wroga powstał w wyniku przeprowadzenia niezwykle szczegółowych analiz wszystkich danych, jakie zebrał nasz wywiad.

- Nikt mnie o nic nie pytał, sir. Ani żadnego z żołnierzy służących na tym odcinku

frontu, więc nie bardzo rozumiem, o jakich źródłach wywiadu mówimy.

Pułkownik szczyrzył zęby, ale w tym grymasie niewiele było z uśmiechu.

- Obawiam się, że generał Meecham i jego planiści nie potrzebują przepytawać pyskanych podoficerów, by uzyskać niezbędne dane o stanie gotowości bojowej przeciwnika.

Gdy pobiełały z wściekłości sierżant usiadł, Stark wyszeptał do Vic:

- Pułkownik sam się nam wystawił. Wspomniął o „niezbędnych” danych. Gdyby nie uznali, że siły przeciwnika są o wiele słabsze niż w rzeczywistości, plan generała Meechama nie zadziałałby nawet przy bezsensownym założeniu, że nasze morale jest wyższe.

- To prawda - przyznała Reynolds. - Skreślili te oddziały wroga, które im nie pasowały do planu. Łatwy ruch do wykonania dla każdego, kto nie będzie musiał potem z nimi walczyć.

- Proszę wszystkich zebranych o uwagę. - Głos Pentera przebił się przez coraz głośniejszą wrzawę. - Zaraz będę kontynuował przekazywanie wam niezbędnej wiedzy. - Laserowy wskaźnik znów zaczął szaleć po ekranie. - Wróg obnażył przed nami swoje słabe punkty i właśnie tam skoncentrujemy wysiłki związane z wojną synergiczną. Zmylimy siły przeciwnika, przeprowadzając liczne akcje dywersyjne na całym odcinku frontu. Gdy to nastąpi, przeprowadzimy serię skoordynowanych ciężkich ataków przeciw wybranym sektorom, do których wróg nie będzie w stanie wysłać na czas uzupełnień, i jego jednostki rezerwowe zostaną wycieńczone próbami powstrzymania natarć. Najważniejszym elementem planu będzie ściśle trzymanie się ustalonych harmonogramów. Wróg nie zdoła ustalić najbardziej krytycznych punktów, jeśli nasze ataki będą trwały nieprzerwanie. Najważniejsze będzie jednak to, by nasi żołnierze wyglądali podczas tych akcji groźnie i zdecydowanie. To powinno zachwiać morale przeciwnika. Siła ognia ludzi naciskających spust ze strachu nie będzie dla nas przeszkodą. - Penter uśmiechnął się tryumfalnie. - Ostatnie zdanie było dosłownym cytatem z generała Meechama.

Stark wstał, ściągając na siebie uwagę wszystkich zebranych, mimo że Vic szarpała go wymownie za rękaw, radząc, by tego nie robił.

- Pułkowniku, skoro wasz plan przewiduje, że jednostki trzeciej dywizji pójdą na czele tych ataków, sugerowałbym, aby dać im nieco więcej czasu na przyzwyczajenie się do poruszania przy niższej grawitacji...

- To niemożliwe. Nie będziemy odwlekać momentu pewnego zwycięstwa.

- ...albo skonstruować harmonogramy w taki sposób, by dopuszczały pewną swobodę, co pozwoliłoby skompensować ewentualne problemy z poruszaniem się trzeciej dywizji w obcym jej środowisku i trudnym terenie.

- To niemożliwe - powtórzył Penter. - Teoria wojny synergicznej wymaga precyzyjnej koordynacji wszystkich elementów. Tylko tak możemy uzyskać wymagane zwielokrotnienie sił na wybranych odcinkach.

- Wasze plany nie będą precyzyjne, pułkowniku, jeśli nie uwzględnicie w nich rzeczywistych warunków.

- Nasze plany odzwierciedlają doktrynę, sierzancie - upierał się Penter, purpurowiejąc na twarzy.

*Czasami bardziej oplaca się myśleć, niż cytować doktryny...*

- Pułkowniku - kontynuował Stark - trzecia dywizja nie wykona zadań w sugerowanym czasie, ponieważ nie działała wcześniej na Księżycu. Oddziały pójdą w rozsypkę, usiłując nadrobić spóźnienia, albo zostaną w tyle, starając się zewrzeć szeregi. To nie teoria, tylko fakty. Każdy zjadacz kamieni to panu powie.

- Zjadacz kamieni? - Pułkownik pokręcił głową z odrazą. - Zakładam, że chodziło wam o weterana walk na Księżycu. Niestety, sierzancie, wszystko wskazuje na to, że ktoś musi was, weteranów, ponownie zmotywować. Planiści sztabowi są pewni, że doborowe oddziały poradzą sobie zgodnie z harmonogramem.

- ZRIWR - mruknęła Reynolds. Tym skrótem określali powiedzenie: „Zamknij ryj i wykonuj rozkazy”.

- Z całym szacunkiem, sir - odezwał się Ethan. - Czy pan powiedział przed momentem, że nasze oddziały nie są doborowe?

- Moje słowa przemawiają same za siebie. Doborowi żołnierze nie staraliby się podważyć każdego zdania, jakie tutaj wypowiedziałem! Następny głos z sali zostanie uznany za niesubordynację. Zrozumiano?!

Stark stał jeszcze przez kilka sekund ze wzrokiem wbitym w pułkownika, a potem zajął miejsce z taką nonszalancją, że znów skupił na sobie całą uwagę.

Penter zaczął wymachiwać wskaźnikiem, recytując teorie Meechama z takim zapalem, jakby to były wersy Biblii, a podoficerowie siedzieli, milcząc jak groby, co w końcu zwróciło uwagę wykładowcy. Wyłączył promień lasera z godnością wojownika odkładającego skrwawiony miecz i spojrzał wyzywająco na zgromadzonych.

- Widzę, że na darmo strzępię sobie język. Koniec odprawy. - Zszedł z proscenium, niezdarnie próbując zachować dumną postawę. - Ktoś zapomniał podać komendę „baczość” - zauważył Sanchez.

- Wątpię, aby skleroza dyżurnego miała z tym jakiś związek - zasugerował Stark. - Spieprzajmy stąd w cholere.

Stacey Yurivan przeszła obok, łypiąc podejrzliwie w ich kierunku.

- Wystarczy mi tego gówna na dłuższy czas - rzuciła i zaraz dodała, koncentrując wzrok na Ethanie: - I ty im na to pozwolisz, Stark?

- No co ty. Mam zamiar wejść do gabinetu generała, powiedzieć mu w oczy, że jest idiotą, i sprzedać kopa w tłusty zad.

- Naprawdę? - Twarz jej od razu pojaśniała.

- Akurat. Naprawdę uważasz, że jestem aż tak powalony?

- No wiesz... - Udało się jej zrobić urażoną minę. - Jeśli jest tutaj ktoś powalony, to tylko ty.

- Dzięki - rzucił Stark, wkładając w to słowo cały sarkazm, na jaki było go stać. - Zakładam jednak, że czułabyś się paskudnie, gdyby wyznaczili cię do mojego plutonu egzekucyjnego.

- Nawet bardzo - przyznała, szczerząc zęby, i chwyciła go za łokieć, gdy zaczął się obracać. - Jeśli uznasz, że coś jednak z tym zrobisz, powiedz mi o tym.

- O czym ty bredzisz?

- Może o niczym. Do zobaczenia, Stark. - Yurivan zniknęła w tłumie.

- Czy tutaj dzieje się coś, o czym jeszcze nie wiem? - zapytał Ethan.

- Ja o niczym takim nie słyszałam - zastrzegła się Vic, obrzucając go twardym spojrzeniem. - A powinnam?

- Nie pogrywaj sobie ze mną w ten sposób. Momencik. - Stark podszedł do mijanego właśnie terminalu komunikacyjnego i wybrał numer kwatery swojej drużyny. Zgodnie z przewidywaniami Mendoza był na miejscu, właśnie wpatrywał się uważnie w ekran czytnika.

- Cześć, Mendoza.

Zaskoczony szeregowiec skupił wzrok na komunikatorze.

- Słucham, sierżancie.

- Słyszałeś o facecie nazwiskiem Napoleon?

- Napoleon Bonaparte?

- Tak. Chyba tak. To był jakiś wielki generał?

Mendoza pokiwał zdecydowanie głową.

- Tak, sierżancie. Wielki wódz, żył kilka stuleci temu.

- Wygrał jakieś bitwy? - dopytywał dalej Stark.

- O tak, nawet wiele. Był geniuszem strategii w swoich czasach.

- Aha.

- Aczkolwiek jego armie ponosiły ogromne straty - dodał natychmiast Mendoza -

zwłaszcza gdy nakazywał im atakować silnie umocnione pozycje wroga. A potem dokonał najazdu na Rosję.

- Najechał na Rosję? - zdziwiła się Vic.

- Tak, sierżancie Reynolds. - Mendoza skrzywił się. - Stracił wtedy niemal cały korpus ekspedycyjny. Około miliona żołnierzy.

- Około miliona? - zapytał z niedowierzaniem Stark. - Jesteś tego pewien?

- Tak, sierżancie. To była militarna porażka na niespotykaną dotąd skalę.

- Dzięki, Mendoza. Do zobaczenia wkrótce. - Ethan rozłączył się i spojrzał ponuro na pozostałych podoficerów plutonu. - Cudownie. Nasze trepy podziwiają gościa, który stracił milion ludzi podczas jednej kampanii.

- A w każdym razie korzystają z jego rad - dodała Vic.

- Ujrzeliśmy przyszłość działań wojennych - podsumował Stark - która jest do bani.

- Wściekasz się, bo sam nie wymyśliłeś wojny synergicznej - rzuciła Reynolds.

- Nie, raczej dlatego, że nadal nic z tego wszystkiego nie rozumiem.

- Przecież to proste - burknął Sanchez. - Wojna synergiczna polega na wygrywaniu bitew, kiedy nie ma się wystarczającej ilości sprzętu i wojska.

Stark pokiwał głową, ale już z pełną powagą.

- Sądysz, że ta idea oszołomi wroga w równym stopniu jak naszych oficerów?

- Nie - odparł z niewzruszonym spokojem Sanchez.

- Czy twoim zdaniem zadziała?

- Nie.

- Zatem jakim wynikiem zakończy się prześwietna ofensywa generała Meechama?

Po raz pierwszy, przynajmniej za pamięci Ethana, maska obojętności zniknęła na mgnienie oka z twarzy Sancheza. Widać było po jego oczach, że ma złe przeczucia.

- Co ja o tym wszystkim sądzę? Uważam, że wróg skopie nam tyłki. Stracimy przy okazji masę żołnierzy. Nawet anioły zapłaczą, gdy to ujrzą. - I znów ukrył twarz pod maską obojętności.

- Czuję, że się nie mylisz, Sanchez - stwierdził Stark po dłuższej chwili milczenia. - Czy ktoś jeszcze ma ochotę się upić? - Jego komunikator zaćwierkał, zanim Sanchez i Reynolds zdążyli odpowiedzieć.

- Sierżancie, kazano panu stawić się jak najszybciej w dowództwie u majora Fernandeza.

- Major Fernandez? Kto to jest? I o co chodzi?

- Nie znam odpowiedzi na żadne z tych pytań, sierżancie.

- Świetnie. Dziękuję. - Stark uniósł ręce do góry w dobrze znanym geście. - I tak moje plany na ten wieczór szlag trafił. Do zobaczenia w koszarach.

- Baw się dobrze, Ethan. - Vic pożegnała go skinieniem głowy. - I postaraj się nie wpakować w jeszcze większe tarapaty.

- Bez obaw. - Ruszył w stronę kwatery głównej, podczas gdy pozostali sierżanci skierowali się ku zaciszu własnych kwater.

Dowództwo. Szerokie tunele o wygładzonych ścianach, żeby trepy mogły się czuć prawie jak na Ziemi. Tłumy oficerów, większość tak zaaferowana, jakby piastowała najważniejsze stanowiska w historii, co jednak nie przeszkadzało im gapić się bezczelnie na samotnego sierżanta wstępującego w te progi. Jedna z kobiet w stopniu majora wskazała go palcem, gdy przechodził obok.

- Poprawcie natychmiast te baretki - rozkazała wyniosłym głosem. - Wszystkie są postrzępione.

- Tajest. - Klótnia z nią nie miała sensu. Oboje doskonale wiedzieli, że służąc na Księżycu, nie sposób dostać nowych baretek, ale nie o nie tutaj chodziło, tylko o podkreślenie, kto kim rządzi.

Zanim Stark trafił do drzwi z tabliczką „Fernandez”, nadział się na pułkownika, który w podobnie idiotyczny sposób zareagował na widok jego odznaczeń. Zawahał się przed wejściem, pamiętając, że oficerowie tak często zmieniają przydziały, iż służby techniczne nie nadążają ze zmienianiem opisów na ich gabinetach, nie wspominając już o wiążących się z tym kosztach. W końcu jednak jego kłykcie wylądowały na napisie, niestety nie czyniąc żadnego widocznego uszczerbku.

- Wejść!

Stark przekroczył próg i znalazł się w nieco tylko większej wersji szafy niż te, w jakich mieszkali cywile zatrudnieni w kolonii księżycowej. Major Fernandez uśmiechnął się na jego widok i wskazał jedyne wolne krzesło. Sam rozparł się wygodnie, mierząc wzrokiem gościa.

- Zapewne zastanawia się pan, sierżancie, dlaczego pana wezwałem.

Stark zmrużył lekko oczy.

- Szczerze mówiąc, tak, sir.

- Walczy pan o Księżyc już od jakiegoś czasu, jeśli się nie mylę? - Fernandez nie czekał na odpowiedź i od razu przeszedł do rzeczy. - To musiało być ciężkie przeżycie, nawet jak na żołnierza.

- Robiłem tylko to, co wszyscy inni, majorze.



- Proszę mi powiedzieć, jak się pan z tym czuje?

- Słucham?

Fernandez uśmiechnął się pod nosem.

- Tak między nami, sierżancie. Nienawidzi pan przełożonych?

Jaja sobie robi. Między nami, akurat.

- Nie - oświadczył zwięźle Stark. Nienawiść to bezsensowne uczucie.

Major przeniósł wzrok na blat biurka i spoważniał w jednej chwili.

- Naprawdę? Nie czuje pan złości? Ani chęci zemsty?

- Zemsty za co, sir?

- Za poległych towarzyszy broni. Miał pan przecież przyjaciół, którzy polegli w walkach.

- Wszyscy mieli - przyznał Stark.

- I nie ma pan zamiaru ich pomścić?

- Z całym szacunkiem, sir, nie mam pojęcia, do czego pan zmierza.

Major Fernandez machnął lekceważąco ręką.

- Co by pan powiedział na zabicie oficerów, którzy wysyłali pana na pole bitwy?

Nigdy nie miał pan na to ochoty?

- Nie, sir.

Wzrok majora raz jeszcze zbłądził na biurko. Na czole oficera pojawił się jeszcze głębszy mars.

- Nawet w głębi duszy nie chciał pan przejąć dowodzenia ludźmi?

- Nie, sir.

Tym razem Fernandez spoglądał na blat znacznie dłużej. Potem po prostu wskazał Starkowi drzwi. Przyjacielska postawa zniknęła w jednej chwili.

- To wszystko, może pan już iść.

- Dziękuję, sir.

Ethan wyszedł na szeroki korytarz ze szczerym postanowieniem opuszczenia jak najszybciej kompleksu dowodzenia.

- Stark?

Nie rozpoznawał tego głosu, ale odwrócił się posłusznie w kierunku osoby wypowiadającej jego nazwisko, mając nadzieję, że to nie kolejny major albo pułkownik.

- Tak, to ja.

Kobieta w stopniu sierżanta, która go zawołała, uśmiechnęła się szeroko.

- Nie poznajesz mnie?

- Obawiam się, że nie. - Ethan zmarszczył czoło, przeszukując pamięć. - Ty chyba byłaś w pierwszym batalionie...

- Zgadza się - skinęła głową z wyraźnym zadowoleniem. - Utknęłam w tych kazamatach władzy, odkupując grzechy, podczas gdy wy, chłopaki, zarabiacie uczciwie na pierwszej linii. A ty co tutaj porabiasz?

- Jeszcze nie wiem - przyznał. - Major Fernandez wezwał mnie do siebie.

Dziewczyna z dowództwa uniosła brwi ze zdziwienia.

- Major Fernandez zaprosił cię na rozmowę?

- Tak, ale nie powiedział nic konkretnego. Zadał mi tylko kilka durnych pytań, potem wściekł się i kazał mi wyjść.

- Jest dobrze, skoro nie kazał cię aresztować. - Pokręciła głową i rozejrzała się wokół.

- W kwaterze głównej ściany mają oczy i uszy. Dlatego nie mogę ci za dużo powiedzieć. Major Fernandez jest naszym oficerem bezpieczeństwa.

- Chcesz powiedzieć, że przechodziłem test na lojalność? - zapytał Stark, czując, że zaczyna się pocić.

- Usiadłeś na krześle?

- Tak.

- Jest podłączone do zdalnego wariografu. Sprawdzał twoją prawdomówność, zadając ci te pytania.

- Szlag! - Stark potrząsnął gniewnie głową. - To dlatego bez przerwy zerkał na biurko. Myślisz, że zaraz mnie przytkną?

- Powiadasz, że się wściekł? - dopytywała się. - Nie podobały mu się twoje odpowiedzi?

- Chyba tak. Bez przerwy mnie pytał, czy nie mam ochoty na wystrzelanie oficerów, a ja na to, że nie. Nie lubię zabijać ludzi. Na tym polega moja robota, ale nikt mi nie każe jej lubić.

- Cha! - zaśmiała się pod nosem. - Gratulacje. Zdałeś test. Przez przypadek, jak widzę. Major zadał ci po prostu niewłaściwie sformułowane pytania. Gdybyś oblał, Fernandez kazałby cię aresztować zaraz po opuszczeniu jego gabinetu.

- Dzięki. Nie wiesz może, dlaczego mnie wybrano?

Wzruszyła ramionami.

- Oni działają losowo. Tak przynajmniej twierdzą. Takie testy prowadzi się od dawna, ale ostatnimi czasy są coraz częstsze. Wygląda na to, że góra czegoś się obawia.

- Powinni się obawiać wroga, a nie własnych ludzi.

- Masz rację - przyznała, machając mu ręką na pożegnanie. - Ciekawa uwaga, swoją drogą.

Stark rozmyślał przez całą drogę do koszar. Starał się zrozumieć, kto jest dzisiaj jego największym wrogiem; dlaczego cywilbanda zaczęła się zachowywać zupełnie inaczej; czemu sztab chce rzucić masy nieprzygotowanych żołnierzy do ostatecznego szturmu, który ma tak niewielkie szanse powodzenia; czy oficerowie są naprawdę aż tak głupi, że poświęcą całe jednostki, byle utrzymać oglądalność transmisji z wojny; jak to możliwe, że korporacje nigdy nie są zadowolone z uzyskiwanych profitów; i jaki jest sens w gnębieniu woja przez własnych politruków w przeddzień wielkiej bitwy. Tak się wgłębiał w te tematy, że aż mu ochota przeszła na jakiekolwiek myślenie.

Kilku chłopaków z jego drużyny kręciło się po koszarach, rzucając lekceważące uwagi na temat ludzi z trzeciej, którzy nie potrafili zrobić kilku kroków bez wpadnięcia na ścianę albo któregoś ze swoich kumpli.

- Hej, Gomez - przywołał Anitę machnięciem ręki. - Musimy pogadać.

Wstała i podbiegła do niego, nie kryjąc zaniepokojenia.

- Coś nie tak, sierzancie?

- Nie. Chciałem cię tylko o coś poprosić.

- Nie ma sprawy. O co chodzi?

- To nie rozkaz - wyjaśnił Ethan - tylko sprawa osobista. Nie musisz tego robić, jeśli nie chcesz.

- Okay - zgodziła się natychmiast, mimo że w jej oczach wciąż kryło się zdziwienie. - Co mam zrobić?

- Anita, potrzebuję dostępu do pewnych plików... - Słuchając kolejnych szczegółów, robiła coraz większe oczy. - Możesz mi je ściągnąć? - zakończył.

- Jasne. Naprawdę będzie ich pan potrzebował, sierzancie?

- Nie wiem. Może. Nigdy nie sądziłem, że to powiem, ale niewykluczone, że trzeba będzie po nie sięgnąć. Wolę przygotować się na taką ewentualność.

- I będzie pan przygotowany - obiecała Gomez. - Dostarczę je panu do wieczora.

- Pamiętaj, że nie musisz tego robić - przypomniał jej ponownie. - Jeśli nie chcesz, nie mieszaj się w tę sprawę.

- *Sargento*, powiedział pan przed chwilą, że może pan potrzebować dostępu do tych danych, więc myślę, że powinnam panu pomóc.

- Dzięki. Tylko postaraj się, żeby ochrona baz danych nie zauważyła twojej obecności.

Anita zrobiła urażoną minę.

- Jasne, *sargento*. Proszę mi zaufać. Nikt nie zauważy, że tam byłam. - Odeszła szybko z pewnością żołnierza, któremu przydzielono niezwykle ważne, ale zarazem proste zadanie.

Stark spoglądał za nią, bijąc się z myślami. Nie wierzę, że kazałem jej to zrobić! Niemniej mogę potrzebować tych danych. Oddałbym wszystko, gdyby ktoś mógł mi powiedzieć wyraźnie, co jest dobre, a co złe w tym bajzlu.

Dwie kolejne odprawy. Trzy następne dni. Sześć pobudek i capstrzyków. Dziewięć przerw na posiłki w wydzielonych mesach. Żołnierze trzeciej dywizji powoli uczyli się, jak chodzić, nie wpadając na siebie wzajemnie i nie przewracając mebli. W tym samym tempie tracili animusz, gdyż zaraz po zajęciach na strzelnicy trafiali na plac apelowy, gdzie oswajano ich z niskim ciężeniem, a już moment później zaczynała się ostra zaprawa zakończona kolejnym apelem, po którym kierat zaczynał się od początku.

Stark, podobnie jak pozostali podoficerowie pierwszej dywizji, trzymał swoich ludzi z dala od nowo przybyłych oddziałów.

- Sierzancie - zagadywał go Chen - chciałbym wyskoczyć na moment z tych cholernych koszar, zrobić to i owo, a nie tkwić w zatłoczonym przedziale albo co najwyżej w zasyfionej mesie. Już lepiej byłoby, gdybyśmy zostali na froncie.

- Właśnie - wtórował mu Murphy. - Nie możemy nawet się dopchać do symulatorów, bo przed każdym stoi długa kolejka chłopaków z trzeciej.

- Zgłaszasz się na ochotnika na dodatkową zaprawę? - zdziwił się Ethan.

- No nie, ja tylko...

- Tak myślałem. Słuchajcie, małpoludy, nie mogę wam ulżyć, ale na pocieszenie powiem jedno. To nie potrwa długo. Wytrzymajcie jeszcze trochę. Musicie być ostrzy jak brzytwy, gdy przyjdzie pora.

- Powiada pan, sierzancie, że niedługo zrobi się mniej tłoczno w koszarach?

- Tak. - Stark odwrócił się, by nie widzieli jego ponurej miny. - Obawiam się, że niedługo będzie tu naprawdę dużo wolnej przestrzeni.

Gdziekolwiek zajrzał, trafiał na ludzi z trzeciej dywizji i ślady po ich ostrym szkoleniu. Kręcił się jakiś czas po głównych ciągach komunikacyjnych, mając nadzieję na ponowne spotkanie Rasha Puratnama, ale widział wokół siebie wyłącznie obce twarze. Jego własny przedział sypialny wydawał mu się zbyt ciasny tego wieczora. Był jak mroczna szafa, do której sen na pewno nie zechce zawitać, dlatego Stark zszedł do mesy, mając nadzieję, że tam spotka jakąś bratnią duszę.

Zanim dotarł do zaciemnionej sali, dostrzegł błyski świadczące o tym, że ktoś ogląda

wizję, chyba z wyłączoną fonią, ponieważ na korytarz nie dobiegał żaden dźwięk. Zajrzał do wnętrza i dostrzegł samotną sylwetkę przy jednym ze stolików.

- Vic?

Reynolds powitała go leniwym machnięciem ręki.

- Cześć, Ethan. Czemu się kręcisz o tej porze?

- Nie mogłem zasnąć. - Opadł na krzesło stojące obok niej i gapił się przez chwilę na nieme obrazy płynące po ekranie. - A ty czemu tu siedzisz?

- Mam wrażenie, że lada moment rozpęta się cholerny sztorm. - O tak. Będzie naprawdę wielki.

- Obiecuj mi coś, proszę.

- Nie ma sprawy. Mów.

- Ja...

Dźwięk dzwonka alarmowego przerwał jej w pół zdania. Oboje równocześnie sięgnęli do komunikatorów, z których popłynęła wiadomość wypowiedziana monotonnym tonem.

- Przygotować pododdziały do akcji. Punkty zbrojne znajdziecie w takach pancerzy bojowych. Wszystkie jednostki mają być gotowe do walki o godzinie drugiej zero zero.

- Coś mi się zdaje, że sztorm już się rozpoczął - mruknął Stark. - O co chciałaś mnie poprosić, Vic?

- O nic. Chodźmy już. To będzie naprawdę długi dzień.

Drużyna Starka nocowała w dwóch sąsiadujących ze sobą zatłoczonych przedziałach. Sięgnął do paneli sterowania i zapalił w obu światła.

- Witam panie i panów. Wszyscy wstajemy i zakładamy zbroje. Nadszedł rozkaz wymarszu.

- Do diabła, sierżancie - zrzędziła Billings. - Zasnęłam dopiero dwie godziny temu.

- Zatem spałaś o dwie godziny dłużej ode mnie. Ruszać się, małpoludy!

Punkt zborny plutonu Starka znajdował się na zewnątrz kolonii, na skraju rozległej równiny tuż za linią frontu, lecz na tyle blisko umocnień, by sami mogli tam dojść. Transportery dowoziły oddział za oddziałem i natychmiast zawracały po kolejne jednostki. Stark bez przerwy skanował odczyty kolejnych żołnierzy, sprawdzając, czy ich wyposażenie nie ma najmniejszych usterek. *Szlag. Czuję pietra. Czyżby dlatego, że oberwałem paskudnie podczas ostatniej operacji? Nie, raczej nie. To musi być coś innego.* Rzucił okiem w stronę frontu, za własne linie, aż po horyzont, przed którym kryły się fortyfikacje wroga. *Nie, nie obawiam się ich. A w każdym razie nie bardziej niż zazwyczaj.* Nagle podjął decyzję i ruszył szybkim krokiem do pierwszej drużyny, kierując się na stanowisko Reynolds.

- Vic, mam złe przeczucia. Czy ciebie też coś niepokoi?

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. - Oslona jej hełmu skierowała się w jego stronę, ale nie widział niczego przez matową pokrywę. Nie odbijały się w niej nawet gwiazdy błyszczące na czarnym niebie. Nie widział też otaczających ich skał ani swojej sylwetki.

- Do cholery, Vic, ruszamy do akcji. Jeśli wiesz coś, o czym ja też powinienem wiedzieć, najwyższa pora, byś mi to przekazała.

- Wróg spodziewa się tego ataku.

Wypowiedziała te słowa tak szybko, że Stark nie od razu zrozumiał.

- Skąd to wiesz?

- Mam przyjaciela w wywiadzie. Zajrzałam do niego po tym, jak powiedziałeś, że cywilbanda oglądała wystąpienie generała w wizji. Wróg także je widział, nie mówiąc o całej masie polityków i oficerów, którzy strzępili potem języki w dziennikach. Stąd wiedzą o ofensywie i o tym, że Meecham zamierza realizować swoje teorie. Z tego też powodu okopali się głębiej i wzmocnili linie obrony.

- Dlaczego nie zmieniliśmy planu działania, skoro nasz wywiad o tym wie?

- Dlatego, że żaden oficer wywiadu nie powie Meechamowi nic, czego nasz geniusz nie chce słyszeć. Wszelkie meldunki albo bagatelizował, albo interpretował na swoją korzyść.

- Rozumiem. Dzięki. Powodzenia.

Kolejna opancerzona postać pojawiła się w pobliżu. Poruszała się tak niezręcznie, że Stark zaczął myśleć, iż któryś z żołnierzy trzeciej dywizji zaplątał się nie tam, gdzie trzeba. Sprawdził odczyty na skanerze, by zidentyfikować przybysza. Kapitan Noble. *Ależ szczęście nas kopnęło...*

- Kompania Bravo - zagaił dowódca. - Macie, że tak powiem, iść tam, gdzie wskazują komputery taktyczne, i wykonywać wszystkie wydane wam rozkazy. Ja zajmę pozycję w miejscu... z którego będę miał pełen ogłęd sytuacji.

- Cóż za porywająca mowa - zadrwił Sanchez na kanale sierżantów. - Nasz nowy kapitan ma wielki dar motywowania podwładnych.

- Oby tylko cały czas trzymał się z dala - burknął Stark.

- W związku z tym, że pierwszy pluton nadal nie ma dowódcy - oświadczył tymczasem Noble, aczkolwiek bez entuzjazmu - ja obejmę nad nim osobistą pieczę.

- Nic nie mów, Ethan! - ostrzegła Vic.

- Postaram się.

Nagle na ekranach taków pojawiły się pakiety rozkazów. Ethan pognął do swojej drużyny, aby mieć pewność, że wszyscy żołnierze znajdują się na wyznaczonych pozycjach.

- Nie spać mi tam! - rzucił w biegu.

- Co się dzieje, sierżancie? - zapytała Gomez.

- Chyba rozpoczynamy wielką ofensywę. Ale nie mam pojęcia, jaka będzie w niej nasza rola. Wykonujcie polecenia taków.

- Okay, sierżancie.

Zaczęło się odliczanie, otrzymali kolejne rozkazy.

- Trzecia drużyna, naprzód!

Trasa wyznaczona przez taki prowadziła prosto na linie obrony wroga. Stark skorzystał z furtki do kanałów dowodzenia i zobaczył, że wszystkie jednostki otrzymały identyczne polecenia. *Nie wiem, czy ten manewr zdoła ogłupić wroga, ale muszę przyznać, że sam nie mam pojęcia, co się tutaj dzieje.*

Drużyna minęła linię amerykańskiej obrony, ludzie spinali się coraz bardziej, wchodząc na pas ziemi niczyjej pomiędzy umocnieniami. Na razie jednak wróg nie rozpoczął ostrzału. Zbocze wznoszące się przed chłopakami z trzeciej drużyny było mroczne i ciche, jakby nie kryło więcej oznak życia niż przeciętny głaz leżący na powierzchni Księżyca. Stark i jego ludzie zatrzymali się na pozycjach wyznaczonych przez taki. Natychmiast ukryli się, gdzie kto mógł, i skierowali broń na szczyt grani.

- Ty tam, ustaw swoich ludzi na wyznaczonych pozycjach.

Stark sprawdził dane na komunikatorze, by się upewnić, że ten komunikat z dowództwa skierowano właśnie do niego.

- Sir, moi ludzie znajdują się nie dalej niż metr od wyznaczonych pozycji. Przesunięcia wynikają z konieczności znalezienia osłony na wypadek ostrzału ze strony przeciwnika.

- Nie zezwalamy na żadne przesunięcia! Ustawcie swoich ludzi na wyznaczonych pozycjach!

Stark policzył w myślach do dziesięciu. Bardzo wolno. Lepiej oszczędzać słowa na dalsze etapy tej operacji. Jestem pewien, że czeka nas coś o wiele gorszego od tego.

- Słuchajcie, małpoludy. Wracać na wyznaczone pozycje. Macie stać dokładnie na markerach.

- Ale sierżancie...

- Wykonać!

Stark wstrzymał oddech, obserwując, jak kilku jego ludzi przesuwają się nieznacznie, gotów w każdej chwili wydać im kolejny rozkaz, tym razem przeciwny, gdyby wróg uznał, że warto wygarnąć do tak łatwych celów, jednakże od strony fortyfikacji przeciwnika nie

dobiegał żaden dźwięk.

Minęło jeszcze trochę czasu, kolejne odliczanie dobiegło końca. Wydano im następny pakiet rozkazów. Podjąć marsz. Ostrzelać pierwszą linię obrony przeciwnika. Stark w osłupieniu przyglądał się wektorom na swoim HUD-zie. *Co to za atak? Coś mi tu nie gra. Strzelanie z tych pozycji nic nam nie da. Dywersja? Możliwe. Ale wróg już by otworzył do nas ogień, gdyby uważał, że stanowimy zagrożenie. A może czeka po prostu, aż podejdziemy jeszcze bliżej?*

- Ruszamy dalej. Zachować pełną ostrożność. - Stark przemykał od głazu do głazu, jednym okiem wyszukując kolejne osłony, drugim monitorując sytuację idących jego śladem członków drużyny. - Schowaj ten czerep, Chen. Kidd, rób krótsze skoki.

- Okay, sierżancie.

- Tajest, sierżancie.

Ethan dotarł do pozycji wyznaczonej przez taka. Przyklęknął za niewysokim nawisem i przygotował broń. Gdy jego ludzie kolejno zajmowali swoje stanowiska, uniósł karabin i wymierzył w domniemane pozycje przeciwnika. Gdy kolejne odliczanie doszło do zera, zaczął strzelać.

- Otworzyć ogień! - rozkazał i strumienie ołowiu poszybowały w kierunku cichej i wydawałoby się, martwej grani. Pierwszy magazynek opróżniony. Stark zmienił go i znów rozpoczął ostrzeliwanie celów wskazywanych przez taka, ponieważ nie widział niczego, co zasługiwałoby na posłanie kulki. Kilka stanowisk ogniowych wroga odpowiedziało chaotycznym ogniem, kule zasypały okolicę, nie czyniąc nikomu krzywdy. Stark przełączył się na moment na kanał dowodzenia i zobaczył, że wszystkie oddziały wokół perymetru prowadzą takie same zaczepne działania. Zaraz jednak wrócił do sprawdzania sytuacji własnej drużyny. Następne odliczanie dobiegło końca, aktywując kolejny rozkaz. - Wycofać się.

Stark wykonał go równie ostrożnie jak poprzedni, nakazujący mu zbliżyć się do linii wroga. Obrął jedynie nieco zmienioną trasę na wypadek, gdyby któryś z przeciwników namierzył jego ślady. Wkrótce wraz z resztą drużyny znalazł się ponownie w punkcie zbiornym.

- Zadanie wykonane - zameldował.

- Świetnie - odparł kapitan Noble wesołym, ale nieobecny głosem, jakby sytuacja na polu walki zupełnie go nie interesowała.

- Kapitanie - kontynuował Stark - jeśli mieliśmy tym wypadem zmylić przeciwnika, zawiedliśmy. Nie udało się sprowokować odpowiedzi, która mogłaby sugerować, że ktoś tam



przejął się naszymi działaniami.

- Dziękuję, sierżancie.

- Kapitanie, w mojej ocenie nasza akcja nie spełniła pokładanych w niej nadziei.

- Sierżancie Stark - tym razem w głosie kapitana nie było już tak wiele wesołości - nie pan będzie oceniał, czy ta akcja spełniła pokładane w niej nadzieje czy nie.

- Przeciwnik nie odpowiedział na nasze działania zaczepne.

- Dość tego, Stark. Róbcie, co wam każe tak.

Leżysz na kamieniach, wokół ciebie jest ich pełno, jak okiem sięgnąć same głązy, aczkolwiek nawet po kilku latach bytności w tym miejscu wciąż ci się wydaje, że nie jest ich tak wiele, ponieważ horyzont - iluzorycznie - jest na wyciągnięcie ręki. Pył wciąż wisi nad powierzchnią, jakby nie mógł opaść, wznoszony co rusz przez krzątanie, bieganie, kopanie, wybuchy i uderzenia wszelkiego rodzaju. Bez względu na to jak bardzo uparty jest Księżyc w dążeniu do tego, by każda jego drobina spoczęła na swoim miejscu, ludzie nie pozwalają na to, wracając uporczywie w te same miejsca. Weterani tej kampanii nazywają to zjawisko „księżycową mgłą”, a znaleźć je można wszędzie tam, gdzie ludzie walczyli albo pracowali. Coś w rodzaju smogu, tyle że w miejscu, gdzie nie ma grama atmosfery.

Stark zaczynał czuć ziąb przez warstwy skafandra mimo niezwyklej wprost izolacji. Stopa zaczynała mu drgać, co oznaczało, że noga cierpnie coraz bardziej. Poruszył nią kilkakrotnie wewnątrz nogawki, starając się, by materiał nie drgnął. Miał nadzieję, że nawet tak niewielkie napięcia mięśni przywrócą mu krążenie i rozgrzeją członki. Czuł urojony ból w miejscach, które dawno temu przeszły odłamki skał, jakby jego komórki wciąż pamiętały o rozmiarach zniszczeń i przypominały mu, że niedługo może liczyć na powtórkę tamtych wydarzeń.

Skupiał się na sobie od bardzo długiej chwili, nawet wtedy, gdy rzucał okiem na skaner, by sprawdzić stan drużyny. W końcu nie wytrzymał i otworzył furtkę do systemu dowodzenia, by zobaczyć to, co mieli przed oczyma wszyscy oficerowie.

Gdy dotarł na kanały zarezerwowane dla najwyższych szarż, w końcu udało mu się pojąć, jak wygląda naprawdę plan tego natarcia. Trzy brygady trzeciej dywizji zostały rozmieszczone w równych odstępach na perymetrze otaczającym kolonię. Jedna z nich znajdowała się za jednostką Starka. W momencie gdy skupił na niej wzrok, ikonki poruszyły się, co oznaczało, że teraz one znajdują się na czele.

- Vic, masz na podglądzie kanał dowodzenia?

- Tak.

- Dali tym małpom wsparcie broni pancernej. Oni naprawdę wysłali czołgi w

pierwszej linii natarcia.

- Zauważyłam - odparła Reynolds głosem tak nieobecnym, jakby postanowiła, że nie weźmie udziału w tym, co za chwilę się wydarzy.

- Do cholery, kto wysyła czołgi na nieruszoną jeszcze linię umocnień? Wykończą je szybciej niż piechotę.

- Wiem.

Stark nie spuszczał wzroku z ekranu taka. Zapominając na moment o poszarpanym księżycowym krajobrazie, obserwował ruch masy ikonki do momentu, gdy czoło natarcia znalazło się tuż za jego stanowiskiem. Czekał na coś, co powinno się wydarzyć, aczkolwiek nie potrafił jeszcze sprecyzować, czego mu w tym obrazie brakowało.

- A gdzie jest nasza artyleria? Dlaczego nie rozpoczęto jeszcze ostrzału pozycji wroga?

- Nie będzie żadnego ostrzału, Ethan. Nie pamiętasz? Chcą, by wróg widział, co go czeka, i posrał się ze strachu.

To była naprawdę szalenie logiczna logika, z rodzaju tych, jakimi kierują się światy zamieszkałe wyłącznie przez generałów. Stark gapił się na ekran, chłonąc widoki, jakich nie spodziewał się ujrzeć poza symulatorami. Cała brygada nacierała w luźnym szyku, kierując się na wybrany punkt w linii obrony przeciwnika. Stanowiła wzniesiony wysoko młot, który miał zmiażdżyć fortyfikacje siłą woli i masą ciał ludzi stanowiących jego korpus. Czołgi sunęły bez wysiłku w zwartej masie ludzkiej, wybijając się ponad nią niczym ruchome fortece. Czarne pancerze najeżone lufami skierowanymi na milczące wciąż stanowiska wroga.

*Swoją drogą to piękny widok. A raczej: wspaniały. Patrz. Zapamiętaj. Po tej bitwie już nikt nigdy nie zobaczy czegoś takiego.* Stark zmówił szybką modlitwę za żołnierzy idących do ataku, zdając sobie sprawę, że to naprawdę marna namiastka zdrowego rozsądku.

Trzecia brygada minęła wysunięte pozycje, niektóre z jej oddziałów przeszły między ludźmi Ethana, którzy gapili się z otwartymi ustami.

- Sierżancie - wywołała go Billings - czy oni mają zamiar...

- Zamknij się. Niech mi nikt nie otwiera pyska.

Nieco dalej nacierające jednostki zaczynały iść w rozsypkę, nie mogąc utrzymać jednolitego tempa marszu w tak trudnym terenie przy braku ziemskiej grawitacji. Wróg nadal nie reagował, chociaż czołowe jednostki zbliżały się do jego pozycji. Mroczny szczyt grani wydawał się pusty i martwy z perspektywy skaczących do przodu żołnierzy. Większość nacierających nie miała czasu myśleć o kryciu się, gdyż całą uwagę musieli skupiać na nadążaniu za wytycznymi taków.

Może to rzeczywiście zadziała, pomyślał Stark w przypiływie desperacji. Może wróg przerażony tym widokiem naprawdę da nogę. Może, może, a niech to szlag...

Jego HUD eksplodował. Ethan wciąż był podłączony do kanału dowodzenia, więc widział wyraźnie, jak grań na całej długości rozjaśnia się, jakby strzelający chcieli zaćmić ogniem z luf wschód prawdziwego słońca. Nadlatujących pocisków było tak wiele, że oznaczające je symbole nakładały się na siebie, zasłaniając całe pole widzenia. Słabe osłony, jakie nieśli nacierający w pierwszym szeregu żołnierze, zostały pokonane w kilka milisekund. Potem fala ognia przetoczyła się po kolejnych formacjach, siejąc śmierć i zniszczenie.

Stark przyglądał się z przerażeniem, jak całe jednostki są unicestwiane. Zielone ikonki zmieniały masowo kolor, powiadamiając o śmierci właściciela zbroi, albo znikaly, gdy systemy skafandrow były kompletnie niszczone. Idący na lewej flance pluton zamarł, wszyscy żołnierze polegli w ciągu kilku sekund. Migające upiornym światłem markery tworzyły niemal idealnie prostą linię. Czołgi zamieniły się w kule plazmy, gdy dopadły ich sfory pocisków przeciwpancernych. Potężne czołgi rozrywane wewnętrznymi eksplozjami masakrowały idącą wokół nich piechotę nie gorzej od szrapneli.

Formacje poszły w rozsypkę, ich symbole nakładały się na siebie, gdy oddziały z czoła rozpoczęły paniczną ucieczkę, mieszając się z kompaniami wycofującymi się w bardziej zorganizowany sposób. Najdziwniejsze było jednak to, że część brygady wciąż parła do przodu, wchodząc prosto w strefę śmierci, gdzie nikt nie miał prawa przeżyć dłużej niż kilka sekund. Kanały łączności, przeciążone ponad miarę i zagłuszone przez wroga, wypełniały tysiące fragmentarycznych komunikatów.

- ...skąd oni strzelają?
- Dalej, dalej...
- Sanitariusz! Sanit....
- ...umocnione stanowisko wroga po prawej...
- ...nie mam na taku...
- ...sierżancie? Poruczniku? Jest tam kto?
- ...ostrzelajcie go...
- ...dawaj...
- ...zabity. Zabili go!
- ...gdzie, gdzie?
- Naprzód...

Nagle kakofonia rozmów skończyła się jak ucięta nożem. Stark sprawdził komunikator, szukając przyczyny. Filtrują nieautoryzowane przekazy na poziomie

nadajników. Teraz możecie sobie wrzeszczeć do woli. Wołania o pomoc, raporty dla sąsiednich jednostek, ostatnie słowa tych, którzy mieli czas, by je wypowiedzieć, wszystko to pójdzie w kosmos.

Wielu żyjących jeszcze żołnierzy trzeciej dywizji nadal parło do przodu, padając trupem bądź odnosząc rany. Ich kolumny wyparowywały jak krople wody rzucone na rozpalony metal. Czasami niewielkim oddziałom udawało się dotrzeć do umocnień wroga. Tu i ówdzie kilka zielonych ikonек wspinało się po urwisku, prosto na siejące śmierć lufy. Docierały na szczyt i tam ginęły w osamotnieniu, ostrzeliwane ze wszystkich stron.

Fala cofnęła się. Ocaleni uciekali, ponosząc jeszcze więcej ofiar niż podczas pierwszej fazy ataku. Ethan przypatrywał się tej masakrze, jego tak nadal był ciemny i cichy.

- Kapitanie - zapytał w końcu - mamy osłaniać ich odwrót?
- Wasze rozkazy są na taku, sierżancie.
- Kapitanie, oni są tam masakrowani, a my leżymy tutaj beczynnienie.
- Nie chcę słyszeć ani jednego słowa z twoich ust, Stark.

Ethan poczuł dreszcz przesywający całe jego ciało, ale zmilczał tę uwagę. Sprawdził na kanale dowodzenia, jakie rozkazy są wydawane atakującym jednostkom. Niedobitki trzeciej dywizji dotarły na odległość niespełna stu metrów od pozycji zajmowanych przez pierwszą. Tam zatrzymały się, kryjąc pośród głazów, zamiast uciekać dalej, co oznaczało, że nie utraciły do końca dyscypliny.

Nawała z grani w końcu osłabła, zmieniając się w rzadszy, ale precyzyjniejszy ogień, którego zadaniem była likwidacja każdego amerykańskiego żołnierza dostrzeżonego w polu rażenia. *No i macie wasz pieprzony nowatorski atak*, pomyślał Stark. *Teraz ogłoście zawieszenie broni, żeby sanitariusze mogli zebrać rannych.*

Zamiast tego zobaczył na kanale dowodzenia, jak kolejna brygada trzeciej dywizji zrywa się do przeprowadzenia podobnego ataku mniej więcej pod kątem stu dwudziestu stopni od jego pozycji. Zacisnął powieki, nie chcąc na to patrzeć, a potem znów usłyszał sygnały alarmowe i zrozumiał, że kolejne kilka tysięcy żołnierzy zostało zmasakrowanych. Bezsensowne natarcie trwało tak długo jak pierwsze. *Dość. Już dość. Do jasnej cholery, to nie działa. Wasze ataki sekwencyjne i skupienie sił nie dają nic prócz stracenia większej liczby własnych żołnierzy.*

Trzecia brygada wykonała jednak ten sam manewr i została rozgromiona jak dwie poprzednie. Stark leżał nieomal obezwładniony wydarzeniami, których był mimowolnym świadkiem, a potem z niedowierzaniem spojrzął na ekran, gdzie pojawiły się nowe rozkazy dla niedobitków z trzeciej dywizji. Nie tylko tych, których miał przed sobą, ale i z dwóch

pozostałych brygad.

- Frontalny atak. Uderzyć na wyznaczone cele.

Ślepo posłuszni żołnierze zrywali się na równe nogi jednostka po jednostce i próbowali posuwać się do przodu, tym razem nieco ostrożniej i sprytniej, kryjąc się za dostępnymi osłonami, ale padali jak muchy, nie mając doświadczenia w obcowaniu z księżycowym ciężeniem. Przeciwnik znów wzmocnił ostrzał, potem jeszcze bardziej, dziesiątkując nacierające oddziały. Atak załamał się, jakby trzecia trafiła na niewidzialną ścianę. Żołnierze przypadli do ziemi.

Kanał dowodzenia, do którego podpięty był Stark, znów ożył. To dowództwo zaczęło kierować poszczególnymi oddziałami, posyłając je kolejno do przodu.

- Kompania Bravo. Nacierajcie i przejmijcie cel Yorktown. Potwierdźcie odbiór.

Kompania Bravo pierwszego batalionu pierwszej brygady trzeciej dywizji. Drużyna Starka też należała do kompani Bravo, ale pierwszej dywizji. Dlatego czuł wyjątkową więź z tymi szalonymi niedoświadczonymi żołnierzami, których masakrowano teraz na pierwszej linii frontu. Więź wynikającą z jednej jedynej litery alfabetu, którą mieli na rękawach munduru. Inna kompania Bravo była roznoszona na strzepy przez ogień wroga, i to go bolało jeszcze bardziej.

Po dłuższej chwili nadeszła odpowiedź, słowa były urywane, jakby wypowiadający je człowiek miał problem z ułożeniem ich w odpowiedniej kolejności.

- Mówi porucznik McMasters, aktualny dowódca kompanii Bravo. Zostało mi dwadzieścia pięć procent stanu osobowego. Nie usłyszałem ostatniego rozkazu. Proszę o jego powtórzenie.

- Kompania Bravo, nacierajcie i przejmijcie cel Yorktown.

Kolejna chwila ciszy, podczas której Stark leżał w pyle, przyglądając się błyskom towarzyszącym brutalnej walce. Chwila, podczas której żołnierze ginęli w nierealnej wręcz ciszy. Rozrzucone po okolicy wraki czołgów i wozów opancerzonych jarzyły się plazmowym blaskiem. W świecie zbyt martwym, by mógł powstać choć jeden jęczyczek płomienia, rozgrzane paliwo i eksplodująca wciąż amunicja tworzyły kule oślepiającego światła. W końcu nadeszła kolejna odpowiedź, słowa padały znacznie wolniej, z przerwami, jakby dla podkreślenia ich wagi.

- Powtarzam, zostało mi zaledwie dwadzieścia pięć procent stanu osobowego. Znajdujemy się pod bardzo silnym ostrzałem. Nie możemy kontynuować ataku.

- Poruczniku McMasters, tu sztab dywizji. Rozkazujemy panu atakować cel Yorktown zgodnie ze wskazaniem komputera taktycznego. Albo wykona pan rozkaz, albo zostanie

pozbawiony stanowiska. Proszę potwierdzić odbiór.

Stark przestał się gapić w migające światełka i skupił wzrok na swoim HUD-zie, na którym szeregi różnokolorowych ikonki ukazywały przebieg aktualnej linii frontu. Z łatwością potrafił sobie wyobrazić położenie McMastersa. Czuł taką samą frustrację i bezsilną wściekłość. Wiedział też zawczasu, jaka padnie odpowiedź.

- Tu kompania Bravo. Potwierdzam przyjęcie rozkazu. Atakujemy cel Yorktown.

Ethan zmówił w myślach kolejną modlitwę, mimo że był świadom bezsensowności tego czynu. Jedyne, co mógł w tej chwili robić, to leżeć w tym pyłe i czekać, wsłuchując się w chaotyczne krzyki, które świadczyły o tym, że już dawno utracono kontrolę nad polem bitwy.

Jakieś dziesięć minut później, gdy na ekranie komunikatora wciąż widział beznadziejne poświęcenie zdziesiątkowanych oddziałów, w eterze pojawił się kolejny komunikat.

- Tu kompania Bravo. - Tym razem głos był ledwie słyszalny z wycieńczenia i całkowicie pozbawiony emocji.

- Wasz sygnał jest mocno zagłuszony. Czy to pan, poruczniku McMasters?

- Mówi kapral Cozek, tymczasowy dowódca kompanii Bravo. Porucznik McMasters nie żyje. Zostało nas nie więcej niż dziesięciu, wliczając w to mnie.

- Kontynuujcie atak, kompania Bravo. Głos Cozeka byłby zupełnie nierozpoznawalny, gdyby nie to, że Stark dostroił się do jego częstotliwości.

- Ludzie, na litość boską, większość moich podwładnych jest ranna. Nie możemy się ruszyć. Zabierzcie nas stąd!

Stark przyjrzał się danym z HUD-a. Ikonki oznaczające żołnierzy kompanii Bravo układały się w półksiężyc jakieś trzysta metrów przed dotychczasową linią frontu, dalej od jakiegokolwiek jednostki trzeciej dywizji, która zdołała przetrwać do tej pory. Wokół nich aż roiło się od symboli oznaczających zagrożenie, a każdy gasnący znacznik oznaczał kolejny wybuch, pocisk i śmierć.

- Kompania Bravo, kontynuujcie atak. To rozkaz.

- Nie możemy! - wrzasnął Cozek. - Przyszpilili nas ciężkim ogniem. Nie utrzymamy tych pozycji, jest nas mniej niż dziesięciu.

- Kapralu Cozek, odbieramy panu dowodzenie kompanią Bravo. Proszę je przekazać swojemu zastępcy i kontynuować atak. Czekamy na potwierdzenie.

Odpowiedź nie nadeszła. Albo był to akt nieposłuszeństwa, albo wróg zdołał całkowicie zagłuszyć nadajniki, aczkolwiek niewykluczone, że ta cisza oznaczała definitywną

zagładę kompanii Bravo. Stark przyglądał się obrazowi na wyświetlaczu, próbując skupić się na własnej analizie strategicznej, byle tylko nie myśleć o ludziach uwięzionych pomiędzy wrogiem a jego pozycją. Sytuacja powoli stawała się jasna mimo wysiłków wroga zakłócającego wszystkie pasma łączności i mimo braku dostępu do wielu istotnych elementów, których Ethan nie był w stanie zobaczyć przez furtkę w systemie dowodzenia. Dowództwo próbowało zaradzić totalnej katastrofie, rzucając do walki najmniej przerzedzone oddziały, które nie miały żadnych szans na zwycięstwo, a gdy ich w końcu zabrakło, sięgało po rezerwy, usiłując w panice załatać luki w oryginalnym planie. Wszystko się sypało, trepy nie miały bladego pojęcia, co robić - wołały przy tym poświęcić kolejne masy żołnierzy, niż przyznać się do porażki. Po raz pierwszy od chwili wstąpienia do armii Stark poczuł szczerą nienawiść do nieznanym mu z imienia ludzi dowodzących operacjami. *Nienawiść nie jest rozwiązaniem*, starał się przemówić sobie do rozsądku. *Ale te ofiary są jeszcze bardziej bezsensowne...*

- Zabierzcie nas stąd, na litość boską! - błagał ktoś. Jego słowa zagłuszył częściowo chrzęst wydawany przez elementy zbroi, gdy wołający o pomoc człowiek usiłował znaleźć kryjówkę wśród kamieni i żwiru.

Stark nadal leżał bez ruchu, czując, jak w jego wnętrznościach buzuje palący ogień. Miał wrażenie, że trawi go potok kwasu, którego intensywność wzrasta w miarę nasilania się rzezi. Kolejne myśli rykoszetowały w jego umyśle. Lawiny wspomnień i wizji. Kapral Pablo Desoto rozerwany na strzępy przez bezpośrednie trafienie pociskiem artyleryjskim. Głos ojca mówiący: „Nie możesz ich zawieść, ich życie zależy od ciebie”. Znow leżał pod tamtą odległą granią i wstrzymywał pościg, okłamując się, że lada moment nadejdzie odsiecz, choć wiedział doskonale, że przełożeni będą mieli gdzieś jego i pozostałych żołnierzy, dopóki dane im będzie siedzieć wygodnie z dala od linii frontu i bawić się w „kto szybciej awansuje”. I kolejny obraz, sprzed lat, gdy inni jego przyjaciele ginęli jeden po drugim w trawie śliskiej od krwi. To działo się nie pierwszy raz. I miało wydarzyć się ponownie, choć nie powinno.

Do diabła, przecież obiecał coś Kate.

*Nie możesz im pomóc, młodszy braciszku. Ratuj siebie.*

*Nie! Obiecałem.*

*Ratuj siebie.*

*Nie. Nie tym razem.*

Stark leżał na zmrożonej księżycowej skale, czując, jak ogień w jego trzewiach narasta, jak wypełnia mu klatkę piersiową, a potem krtań. Ręce drżały mu mimowolnie, wzrok miał mętny. Napięcie wzrosło do tego stopnia, że zaczynało mu brakować tchu. Nagle

jakby wszystko zamarło, a moment później ucisk zniknął. Cokolwiek było jego przyczyną, zniknęło w mgnieniu oka. Ethan wciągnął łapczywie powietrze do płuc, gdy dotarło do niego, że ogień w jego żołądku wygasł, pozostawiając po sobie wyłącznie lodowatą pewność i spokój. Spojrzał na wyświetlacz HUD-a, na którym każde migotanie ikonki oznaczało śmierć kolejnych żołnierzy, i nagle znalazł rozwiązanie, jakby ostatni element tej błyszczącej układanki trafił na swoje miejsce. Wywołał pliki - te, o które wcześniej poprosił Gomez - i nałożywszy je na ikonkę kapitana Noble'a, przełączył się na kanał ogólny, by pozostali sierżanci słyszeli przebieg rozmowy.

- Kapitanie, mówi sierżant Stark.

- No - burknął rozwścieczony i przybity dowódca. - Czego znowu chcecie?

Ethan postarał się, by jego kolejne słowa brzmiały spokojnie i formalnie.

- Moja drużyna i ja ruszamy z pomocą niedobitkom kompanii Bravo pierwszego batalionu pierwszej brygady trzeciej dywizji.

- Co takiego? - Noble nareszcie wyrwał się z zamyślenia. - Nic mi nie wiadomo o takich rozkazach. Kto wam je wydał?

- Nikt, kapitanie. Działamy na własną rękę.

- Nie wolno wam działać na własną rękę! Co tam się wyrabia?

- Zamierzam uratować tych żołnierzy - oświadczył z pełnym spokojem Stark. - Nie będę siedział na tyłku i patrzył, jak ci ludzie giną, ponieważ banda idiotów ze sztabu kazała im dokonać samobójczych ataków.

- Stark, pozbawiam was dowodzenia i każę aresztować!

- Wiedziałem, że pan to powie, kapitanie. - Stark aktywował ściągnięty wcześniej plik o niewinnej nazwie, pomagający obejść zabezpieczenia sieci, zwany powszechnie „fragiem”. Dawno temu jedynym sposobem na pozbycie się głupiego bądź zniechęconego oficera było poświęcenie jednego z granatów. Taktykę tę zwano fragowaniem, czyli rozczłonkowaniem, bowiem delikwent kończył zazwyczaj rozerwany na strzępy. Teraz, gdy wszyscy polegali na elektronice, wojo znało znacznie prostsze, pewniejsze i nie tak zabójcze metody, pozwalające jednak osiągnąć podobny cel. Stark w życiu nie sądził, że będzie musiał sięgnąć po pliki fragujące, czyli zbiór nielegalnych programów połączonych przez nieznanego żołnierza dekady temu i okresowo upgrade'owanych przez jego równie anonimowych następców, ale dzięki Gomez miał go na podorzędu, tak na wszelki wypadek. Wskazał wirusowi cel i kapitan Noble utracił kontrolę nad systemem komunikacji, bronią, a nawet motoryką zbroi.

- Ethan? - W komunikatorze rozległ się głos przerażonej Vic. - Straciłam łączność z dowódcą? Sfragowałeś kapitana?



- Tak.

- Czyś ty oszalał? Blokując mu systemy, odciąłeś go też od konsoli dowodzenia i łączysz ze sztabem.

- O to mi właśnie chodziło.

- Ethan, to oznacza, że kwatera główna nie odbiera przekazów z jego kamery. Nie zdołamy tego ukryć ani wytłumaczyć, ponieważ nie bierzemy bezpośredniego udziału w walkach.

- Wiem o tym, ale mam to gdzieś. Nie pozwolę wystrzelać tych chłopaków.

- Ethan... - zamilkła, jakby przeraziła ją ta myśl. - Nie wygłupiaj się, człowieku - dokończyła po chwili.

- Za późno. - Stark wyszczerzył zęby w parodii uśmiechu. - Wkraczam do akcji, Vic. Biorę moich ludzi z sobą. Idziesz z nami?

- Ja nie... - Jej irytacja wyparowała w jednej chwili.

Stark ujrzał ją oczami wyobraźni. Widział wyraźnie, jak twarz kobiety zastyga w maskę z kamienia, podczas gdy myśli wirują w jej głowie. Musiała przeciwstawić lojalności poczucie obowiązku i zdecydować, po której stronie powinna się opowiedzieć.

- Nie mamy całej nocy, paniusiu.

- Zamknij mordę, małpoludzie - wycharczała w odpowiedzi. - Tak, idę z wami. Ja też mam tego dosyć.

- Sanchez? Jaka jest twoja decyzja?

- Jesteś pewien, że powinniśmy to zrobić? - zapytał dowódca drugiej drużyny obojętnym tonem, jakby konferowali w koszarach o nic nie znaczących szczegółach misji.

- Tak. Jestem pewien. Wchodzisz w to? Razem ze mną i Vic?

- Wchodzę. - Sanchez byłby idealnym graczem w pokera.

- Dobra, Stark - wtrąciła Victoria. - Ty dowodzisz. Co robimy?

Co powinni zrobić? Nie mogli korzystać ze znienawidzonych, ale czasami bardzo pomocnych taków. Żaden oficer nie będzie im przeszkadzał. Do akcji wkroczą sami doświadczeni żołnierze, wykonujący wyłącznie jego polecenia. Ethan poczuł nagle, że paniczny strach i niepewność próbują przebić lodowy pancerz determinacji, ale zdołał odeprzeć ten atak. *Dobra. Muszę podejść do tego od innej strony. Co by mi powiedzieli, gdyby rozkazali nam wykonać tę misję? Otrzymałbym sekwencję rozkazów na taka. Czyli idź tam, zrób to. Dobrze.* Poczuł się lepiej. Raźniej.

- Przesyłam wam dane na komputery taktyczne. Co o tym myślicie?

Transmisja trwała kilka sekund, kolejne chwile były potrzebne pozostałym sierżantom

na przeanalizowanie planu. Sanchez odezwał się pierwszy.

- Nie da rady. Jeden pluton do tego nie wystarczy. - Daj spokój, to całkiem rozsądny plan - zaprotestowała Vic.

- Owszem - przyznał Sanchez. - Ale nie da rady go wykonać, mając do dyspozycji trzy drużyny. Potrzebowalibyśmy całych plutonów. To plan obliczony na kompanię.

Kompania. Stark spojrział z ponurą miną na przedpole. Pierwotnie nie zamierzał wciągać w tę akcję nikogo innego, bo to oznaczałoby dłuższą ławę oskarżonych podczas sądu polowego. Teraz jednak musiał przekonać kolejnych sześciu sierżantów, by wsparli jego akcję. Zebrał się w sobie i przełączył komunikator na pozostałe plutony.

- Pierwszy pluton, trzeci pluton, mówi Stark.

- Jestem. - Podesta z pierwszego plutonu odpowiedział natychmiast. - Co mamy robić?

- Proszę?

- Co mamy robić? - powtórzył sierżant Podesta. - Słyszeliśmy każde twoje słowo. Wiemy, co jest grane. Sfragowaliśmy naszego porucznika i czekamy na rozkazy. Jak chcesz wyciągnąć stamtąd tych biednych drani?

- Trzeci pluton?

- Jesteśmy z wami.

Stark sprawdził odczyty na HUD-zie, zastanawiając się, jak szerokim echem może odbić się jego akcja. Wszyscy sierżanci mogli porozumiewać się na swoim poziomie systemu łączności. *Tak chyba wygląda kamyk, który porusza lawinę*, pomyślał i zaraz pokręcił głową. *Zajmij się swoją robotą. Resztą będziesz się przejmował później.*

- Przesyłam dane z mojego taka. Będziecie w stanie wykonać te rozkazy?

- Bez problemu.

Pierwszy i trzeci pluton miały przejść na flanki i prowadzić ogień osłaniający w kierunku stanowisk wroga. W tym samym czasie żołnierze pierwszej i trzeciej drużyny drugiego plutonu musieli dotrzeć w pobliże pozycji zajmowanych przez zdziesiątkowaną kompanię Bravo i ewakuować je na względnie bezpieczne pozycje zajmowane przez drugą.

- Może być nas za mało - stwierdził sierżant Tostig z trzeciego plutonu. - Ogień przeciwnika jest tam zbyt silny. Żeby go stłumić, potrzebowalibyśmy siły ognia całej kompanii.

- Wiem - przyznał zduszonym głosem Ethan. - Ale nie martw się. Będziemy dysponowali wystarczającą siłą ognia. Ruszajcie, a ja zajmę się organizacją wsparcia. - Znowu to poczuł: balansowanie pomiędzy posłuszeństwem i lojalnością, chwila wahania przed podjęciem ostatecznej decyzji.

Moment później zgłosili się kolejni podoficerowie i świat wokół zmienił się nie do poznania.

Stark połączył się z dywizyjną artylerią. Z obcym światem, którego mieszkańcy kryli się pod tarczą antyrakietową daleko za linią frontu, obsługując plujące ogniem stalowe potwory. Ich życie w niczym nie przypominało losu piechoty, ale mimo dzielących ich różnic liczył, że artylerzyści okażą lojalność towarzyszom broni.

- Grace?

- Tak. Tutaj starszy sierżant Grace.

- Mówi Stark.

- Ethan Stark? Nie widziałem cię kopę lat, stary małpoludzie. Dlaczego łączysz się z nami na tym kanale? - Mimo lekkiego tonu w głosie artylerzysty dało się wyczuć niejakie napięcie.

- Chciałbym, abyście walnęli wszystkim, co tam macie, w następujące pozycje. - Ethan zaznaczył odpowiednie koordynaty. - Najpóźniej za dziesięć minut.

- Wszystkim? - Mimo braku wizji Stark nieomalże widział, jak sierżant kręci z niedowierzaniem głową. - Muszę mieć potwierdzenie od pułkownika, zanim wydam taki rozkaz. Nie mogę przyjmować poleceń od byle piechociarza, nawet jeśli to stary kumpel od kielicha.

- Możesz.

- Nie mogę. Chyba że twój kapitan to zatwierdzi.

- Nie da rady. Został wyłączony z akcji.

- Co takiego? - Teraz Grace z pewnością drapał się po łbie. - Przecież wy znajdujecie się poza strefą walk.

- Tak, to prawda.

- W takim razie poproś któregoś z pozostałych oficerów.

Ethan zaczerpnął głęboko tchu.

- Wszyscy nasi przełożeni zostali wyłączeni z akcji.

- Wszyscy? - Stark ujrzał oczami wyobraźni, jak Grace próbuje się połączyć z pierwszą linią, by sprawdzić statystyki. - Ale jak...? Sfragowaliście wszystkich oficerów?

- Krzywdy im nie zrobiliśmy. Słuchaj, idziemy na pomoc małpoludom z trzeciej, których przyskrzyniono u podnóża grani, i potrzebujemy wsparcia artylerii. Rozumiesz, Grace, czy mam ci to przeliterować?

Cisza przeciągała się. W tym czasie Stark mierzył wzrokiem teren, który jego ludzie będą musieli pokonać, gdy już ruszą. Zastanawiał się, ile czasu będą potrzebowali miotający

się sztabowcy, by zauważyć, że na tym odcinku frontu dzieje się coś dziwnego. Na przykład, że utracili łączność z oficerami dowodzącymi jednostkami nie biorącymi udziału w walkach albo że oddziały te ruszają w pole bez wydanych im rozkazów. Czekaając, skłął też w myślach wszystkich dekonników z zaplecza frontu.

- Stark? - odezwał się Grace. - Wy naprawdę to zrobicie? I chcecie wsparcia artyleryjskiego?

- Tak. Dasz nam je? Czy może wolisz rozpieprzyć nas zamiast wroga?

Stark usłyszał pełen złości, zduszony śmiech.

- Pieprzyć to. Najwyższy czas. Mam brata w trzeciej dywizji. Znaczący miałem. Daj mi kilka minut, a nasz pułkownik także zniknie z eteru. Otrzymasz wsparcie artyleryjskie, Stark. Tylko wyciągnij stamtąd naszych chłopców.

W następnej kolejności Stark połączył się ze swoją drużyną.

- Słuchajcie, sfragowałem kapitana Noble'a i zamierzam z własnej inicjatywy wyciągnąć chłopaków z trzeciej dywizji, którzy utknęli na pierwszej linii. Tak więc nie musicie iść ze mną ani wykonywać moich rozkazów. - Ethan zamilkł i wbił wzrok w zegar odliczający czas harmonogramu, którego on sam był autorem.

- Jakie są te rozkazy? - zapytała w końcu Gomez.

- Nie musicie ich wykonywać - powtórzył Stark.

- Ale to pan je wydaje, sierżancie? - zainteresował się Murphy.

- Tak, ja.

- Tyle chciałem wiedzieć. Jesteśmy z panem.

Ethan uśmiechnął się pod nosem. Znow poczuł, że lód wypełniający jego duszę topnieje.

- Macie wszystkie dane na takach. Ruszamy za kilka minut. Jakies pytania? - Przełączył się na kanał dla szeregowców. - Mendoza?

- Słucham, sierżancie.

- Co sądzisz o moim planie? Obleci twoim zdaniem?

- Owszem, sierżancie. - Mendoza nie krył zdziwienia, że przełożony pyta go o takie rzeczy.

- Świetnie. Jeśli będziesz miał jakieś pomysły związane z dowodzeniem tą akcją, zgłaszaj się do mnie, i to natychmiast. Nie siedź na dupie i nie zachowuj niczego dla siebie. Zrozumiano?

- Tajest, sierżancie. - Tym razem odpowiedź była głośna, pobrzmiwała w niej nuta dumy.

Stark przełączył się ponownie na poziom kompanii. Gdy zegar odliczający sekundy zrobił się zielony, wrzasnął:

- Jazda!

Kompania Bravo pierwszej dywizji ruszyła do przodu, przemieszczając się w martwym krajobrazie z wyćwiczoną swobodą. Przeciwnik potrzebował kilku minut, by dostrzec nowe zagrożenie. Ostrzał pozycji niedobitków z trzeciej słabł stopniowo - strzelcy przenosili ogień na chłopców z pierwszej.

Stark przylgnął do głazu większego od niego ze dwa razy, gdy po przeciwnej stronie walnął w grunt pocisk artyleryjski. W próżni nie słyhać huku, za to potężna eksplozja wstrząsnęła wszystkim wokół. Dawaj, Grace. W tej samej chwili od strony zaplecza nadleciała pierwsza fala pocisków. Amerykańska artyleria miała dokładne namiary wrogich umocnień i zasypała je morzem ognia. Przez moment Starkowi się wydawało, że na jego oczach rozgrywa się Armagedon, ostateczna bitwa wieńcząca zagładę świata, zaraz jednak skoncentrował się na swoim zadaniu. Starał się ignorować posłańców śmierci mknących wysoko nad jego głową.

Ogień przeciwnika osłabł, praktycznie biorąc zamilkł, gdy wrogie oddziały zniknęły w głębi umocnień. Ethan na to tylko czekał. Prędzej czy później działa Grace'a zamilkną i wróg znów wytknie głowy z okopów, by czekać na kolejną kompanię, która powtórzy niedawne błędy swoich poprzedników i zaatakuje od frontu zbyt potężne jak na jej siły fortyfikacje i zbyt licznych obrońców.

Tym razem jednak będzie inaczej. Pierwszy i trzeci pluton nie poszły do przodu, tylko zajęły pozycje na flankach, skąd dobrze ukryci żołnierze mogli zasypać morderczo celnym ogniem te stanowiska, których obsady wciąż prowadziły ostrzał przedpoła. Drugi pluton parł w tym czasie do przodu, zostawiając w tyle jedynie drużynę Sancheza. Pozostali żołnierze dotarli na wysunięte pozycje w poszukiwaniu niedobitków kompanii Bravo i wycofali się, zabierając ich z sobą jak fala cofająca się po zmyciu zamku z piasku.

Stark pochwycił leżącego żołnierza, nie zważając na przyczajonych wokół ludzi Victorii, którzy otwierali właśnie ogień.

- Chodź ze mną, chłopie - zawołał, widząc, że szarpany żołnierz przewala się bezwładnie. Eksplozja urwała mu całą rękę. - Szlag by to. Wynieś tego biedaka - rozkazał Chenowi, popychając zwłoki w jego kierunku.

- Ewakuujemy też zabitych? - zdziwił się szeregowy.

- Tak. Do cholery, kompania Bravo nie zostawi poległych towarzyszy broni z trzeciej dywizji. Wszystkich stąd ewakuujemy. Żywych i martwych. Zrozumiano?

Głośne okrzyki radości odpowiedziały na jego wołanie. Zdziwił się i uśmiechnął przez łzy, dopadając kolejnej postaci w zbroi bojowej.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

- Kim wy jesteście, u licha? - Chłopak z trzeciej trząśł się cały, jego nerwy nie wytrzymały ogromu tragedii w tej martwej scenerii.

- Aniołami miłosierdzia. Spieprzaj, człowieku, na tyły. Moi ludzie ci pomogą. - Stark popchnął go w kierunku innego chłopaka z drużyny, ruszając ku kolejnej postaci. Tak wielu martwych i tylko kilku żywych... - Żyjesz jeszcze? - zapytał, podnosząc leżącą między kamieniami żołnierkę. W odpowiedzi próbowała się obrócić w kierunku pozycji wroga, odruchowo naciskając na spust dawno opróżnionej broni. Stark wyrwał jej karabin z rąk i odrzucił daleko. Broń poszybowała łagodnym łukiem, a on w tym czasie walnął opancerzoną pięścią w zrytą pociskami osłonę hełmu zszokowanej kobiety. - Dość się już nawalczyłaś. Wracaj na tyły.

Pchnięta łagodnie poleciała prosto w ramiona Billings.

- Zaraz zrobi się tutaj znowu gorąco - ostrzegła go Reynolds.

- Wiem, Vic. - Zaabsorbowany ewakuacją nie zauważył rosnącej intensywności ostrzału z grani. Na przedpole znów zaczął się sypać grad pocisków mózdzierzowych i artyleryjskich. Przeciwnik zrozumiał w końcu, z kim ma do czynienia i co się tutaj dzieje. Stark zatrzymał się na moment, by sprawdzić odczyty na HUD-zie.

- Zaraz dotrzemy do ostatnich.

- Połowa mojej drużyny pomaga twoim chłopcom. Musimy się stąd zmywać.

- Dobrze, już dobrze. Trzecia drużyna, wycofujemy się. Przestańcie przekazywać małpoludów z trzeciej podwładnym Sancheza, tylko chwytajcie, kogo tam znajdziecie, i wycofujcie się na pozycje wyjściowe. - Sam się pochylił i chwycił za uprząż na zbrojach bojowych, wewnątrz których nie tliło się już życie, przyciągnął bezwładne ciała do siebie, błogosławiąc zmniejszone ciężenie, i wykonał pierwszy skok w kierunku amerykańskich pozycji.

Dotarli do pierwszych bunkrów, za którymi mogli znaleźć osłonę. Tam przekazali ewakuowanych rannych z trzeciej w ręce oczekujących sanitariuszy. Kilku ocalonych nadal było w szoku, nie zdając sobie jeszcze sprawy, jak wielu kolegów - których widzieli zaledwie tego ranka - nie wróci z misji nigdy, a przynajmniej do nastania Sądu Ostatecznego, który zakończy dzieje świata. Tego odległego, wiszącego teraz nad księżycowym horyzontem. *O ile, pomyślał z goryczą Stark, ten dzień właśnie nie nadszedł, a to miejsce nie jest dnem piekiel, do których trafiła zła część ludzkości.*

- Wygląda na to, że wirus się rozprzestrzenił - rzuciła Vic z udawaną obojętnością.

- O czym ty mówisz? - Gdy Stark spojrział na skaner taktyczny, zauważył że wiele jednostek pierwszej dywizji posuwa się naprzód, by wydostać z potrzasku pojedyncze grupki walczących wciąż jeszcze chłopców z trzeciej. - Czyżby dowództwo w końcu poszło po rozum do głowy?

Zanim Vic zdążyła odpowiedzieć, rozległ się obco brzmiący głos.

- Co teraz, Stark?

Ethan sprawdził tożsamość nadającego i zauważył, że pytanie zadał ledwie mu znany sierżant z batalionu stacjonującego po przeciwnej stronie perymetru.

- Co...?

- Potrzebujemy rozkazów. Nie wiemy, co mamy robić, Stark.

- Tak - poparł go ktoś inny. - Co ze sfragowanymi oficerami?

Zewsząd posypały się pytania:

- A jeśli teraz nastąpi kontratak? Mamy go odpierać?

- Stark, potrzebujemy więcej pomocy medycznej, mamy tutaj masę rannych chłopaków z trzeciej dywizji.

- Chwila! - wrzasnął Ethan. - O co wam wszystkim chodzi?

- Proszę cię o wydanie rozkazów, Ethan - podpowiedziała mu Vic.

- Dlaczego akurat mnie?

- Bo ty przejąłeś dowodzenie. Lepiej im odpowiedz.

- Ale ja nie... - *Właśnie że tak.* Stark gapił się przez moment na ekran skanera taktycznego. - Dobra. Ile jednostek sfragowało swoich oficerów? - Wszyscy próbowali odpowiedzieć jednocześnie. - Spokojnie! Spróbujmy podejść do tego inaczej. Która jednostka jest nadal dowodzona przez oficera?

Tym razem cisza przedłużała się w nieskończoność.

- Stark? - odezwał się w końcu jakiś głos. Rozpoznał go, to była dziewczyna, z którą rozmawiał na korytarzu w kwaterze głównej zaraz po wyjściu od Fernanda. - Wszyscy oficerowie w dowództwie zostali sfragowani i rozbrojeni. Musieliśmy to zrobić, gdy zorientowali się, w czym rzecz, i zaczęli wydawać rozkazy, by nasze oddziały zaczęły pacyfikować swoich. Doszło nawet do tego, że zażądali, aby marynarka zbombardowała wasze pozycje.

- Przecież to jakieś szaleństwo. Gdyby nawet wprowadzili ten plan w życie, pozbawiliby kolonię całej obrony.

- Możliwe. Nie twierdzą, że to był przemyślany plan z ich strony, mówię tylko, że coś

takiego zamierzali zrobić. Teraz wściekają się jak cholera, ale mamy ich wszystkich pod kluczem. Nie widzę żadnych komunikatów od oficerów znajdujących się w polu, więc zakładam, że wy także macie sytuację pod kontrolą.

- Ethan! - ponagliła go Vic. - Musisz powiedzieć ludziom, co mają robić.

- Okay. - *Co ja mam im powiedzieć? Nie chcę, żeby wszyscy łączyli się ze mną i pytali o rozkazy. Ale kto im je wyda, jeśli nie ja? Przeze mnie nie mamy już nad sobą ani jednego oficera. Tak, ja to zacząłem, więc ja odpowiadam teraz za sytuację. Przynajmniej na razie.* - Jednostki osłaniające wycofywanie żołnierzy z trzeciej dywizji powinny prosić o wsparcie sąsiadów i sierżanta Grace z centrum dowodzenia artylerią naszej dywizji. Pozostałe jednostki mają się wycofać na pozycje wyjściowe. Jeśli któryś oddział nie ma przydziału do bunkrów, wraca do koszar. To będą nasze rezerwy.

- A co z oficerami?

- Upewnijcie się, że zostali rozbrojeni, i osadźcie ich w aresztach. Spróbujemy upakować, ilu się da, w obozie karnym, a dla pozostałych wymyślimy jakieś cele. - Nagle coś go tknęło. - Czy ktoś jest w kosmodromie?

- Tak, Stark. Jesteśmy na miejscu.

- Czy macie tam naziemne systemy obrony przeciworbitalnej?

- Mamy. Wysłałem już ludzi, żeby je przejęli. Chłopaki z obrony przeciwlotniczej nie wiedzieli, po której stronie powinni się opowiedzieć, więc zdecydowaliśmy na wszelki wypadek za nich.

- Dzięki. Świetna robota.

- Zgłasza się kwatera główna. - Znow usłyszał znajomy głos. - Co mamy zrobić z transmisją wizyjną?

- Nadal ją nadajemy?

- Tak. Ale nie wiem, czy ktoś na Ziemi już się połapał w sytuacji.

*Nawet ja jeszcze się w tym wszystkim nie połapałem.*

- Czy możecie przesyłać sygnał tak, by nikt nie zauważył, że usunęliśmy oficerów?

- Myślę, że to możliwe. Możemy skupić się na akcji ratowania niedobitków z trzeciej dywizji.

- Dobrze. To powinno dać nam trochę czasu. Zróbcie tak.

- Stark? - wywołał go kolejny sierżant. - Co mamy robić, jeśli wróg rozpocznie kontratak?

- Pozwolimy mu na to - odparł Ethan. - Pozwolimy mu robić, co tylko zechce, a potem rozpieprzymy każdego, kto wejdzie nam w pole rażenia.



- To się nazywa plan. Przechodzimy do koszar. Będziemy czekać w rezerwie na następne rozkazy od ciebie.

Nowe rozkazy ode mnie?

- Vic, co tam się wyrabia?

- Moje gratulacje, właśnie dorobiłeś się armii.

- Nie chcę mieć żadnej pieprzonej armii!

- Ale ją masz, więc lepiej się zastanów, co zamierzasz z nią zrobić.

\* \* \*

Wrócił do kwatery głównej. Szedł tymi samymi bardzo szerokimi korytarzami wykonanymi z największą precyzją. Dzisiaj wyglądały jednak zupełnie inaczej, gdyż nie było w nich ani jednego oficera patrzącego z wywyższością czy nadętego do granic możliwości. Kilku szeregowców kręciło się po kompleksie, część pełniła warty, inni chyba nie mieli nic do roboty. Grupa takich leni wyszczerzyła się głupio na widok Starka, ale jedno groźne spojrzenie wystarczyło, by przyjęli postawę godną żołnierza.

Dziewczyna, z którą rozmawiał tutaj podczas poprzedniej wizyty, powitała go przed szerokimi opancerzonymi wrotami.

- Witam ponownie.

- Dzięki. Jak ty się nazywasz, u licha?

- Tanaka - przedstawiła się, nie przestając szczerzyć zębów. - Jill Tanaka. Generał jest za tymi drzwiami - wskazała głową płytę ze stali. - To cela, w której przetrzymywano ludzi wskazanych przez Fernandeza. Pomyślałam, że to idealny apartament dla pana Meechama.

- Z pewnością - burknął Stark. - Nie chciałbym cię pouczać, Jill, ale panuje tutaj cholernie wielkie rozprężenie.

Uśmiech natychmiast spelzł jej z twarzy.

- Wiem. Młodzi poborowi są wciąż w szoku. Zwłaszcza ci, którzy służyli tutaj. Mieliśmy tak wielu trepów zgrywających władców wszechświata, że można było się załamać. A potem nagle zrozumieli, że to oni teraz rządzą.

- Nie oni rządzą, tylko my.

- No tak... - Tanaka zamyśliła się na moment, potem skinęła głową. - Skoro przedtem wykonywali moje polecenia, teraz także powinni to robić.

- Otóż to. Chyba nadszedł czas, by złożyć wizytę naszemu generałowi.

Tanaka machnęła kartą magnetyczną przed panelem zamka, wpuszczając Starka do środka. W odróżnieniu od całej reszty kompleksu dowodzenia tego pomieszczenia nie zaprojektowano z myślą o wygodzie. Generał Meecham siedzący na skromnym metalowym

krześle, które stanowiło jedyne wyposażenie celi, miał na sobie pozbawiony baretek wymięty mundur. *Tanaka także nieco poniosło, skoro zapakowała naszego geniusza tutaj, zamiast odesłać go z innymi oficerami do obozu karnego. Tam przynajmniej mają prycze w celach...*

- Chciał pan mnie widzieć, generale? - zapytał beznamiętnym tonem.

- Tak, chciałem zobaczyć zdrajcę, który splamił honor amerykańskiej armii - oświadczył Meecham.

*Szkoda, że nie mam ze sobą lustra, pomyślał Stark.*

- Aha. No to mnie pan zobaczył. Czy to wszystko, generale?

- Powinienem kazać pana rozstrzelać, i to już dawno temu.

- Zdaje pan sobie sprawę, że jest pan kawałem głupiego sukinsyna? - Stark uśmiechał się, gdy to mówił. - Chciałem to panu wygarnąć w twarz już dawno temu. Jest pan durniem. Najwykolejszym kretynem. Przez pana poległy tysiące ludzi, znakomitych żołnierzy, ale to jeszcze nic. Teraz grozi pan osobie, która ma pełne prawo pana rozstrzelać. Czy to już wszystko czy uraczy mnie pan kolejnymi równie lotnymi przemyśleniami?

- Chwileczkę. - Widać było, że Meecham z trudem, ale jednak zdołał się wziąć w garść. Uśmiechnął się nawet całkiem przyjaźnie. - Wszyscy popełniamy błędy, sierżancie. W wirze akcji, gdy człowiek nie potrafi ocenić właściwie wszystkich informacji, nawet najlepszy żołnierz może zareagować w sposób, którego będzie potem żałował. - Ethan spoglądał na niego, milcząc jak grób. - Możemy jeszcze puścić w niepamięć ostatnie wydarzenia. Nikomu nie zależy na tym, by ta rebelia trwała nadal. Oficjalnie nic się jeszcze nie wydarzyło. I może nic się nie wydarzyć.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

Meecham pochylił się do Starka, na jego twarzy widać było niezwykle skupienie.

- Tylko tyle, że możecie się jeszcze wycofać. Wypuść mnie i pozostałych oficerów, Stark. Pozwól nam przywrócić dyscyplinę. Obiecuję, że nie wyciągniemy żadnych konsekwencji, jeśli się teraz poddacie.

- Dlaczego miałbym w to uwierzyć?

- Bo to leży w pańskim najlepiej pojmowanym interesie, Stark. I w moim także. Co masz zamiar zrobić? Musisz przecież jakoś opłacać swoje oddziały.

Ethan zachował obojętną minę.

- Dam sobie z tym radę.

- Naprawdę? A co z wrogiem? Sądzisz, że będzie czekał cierpliwie, aż zdążycie się przeorganizować? A może uderzy na was wszystkim, co ma, kiedy tylko dotrze do niego, że znaleźliście się w izolacji? A co z ludnością cywilną kolonii? Jak chce ją pan kontrolować? I

proszę nie zapominać o korporacjach, sierzancie. To one pociągają za wszystkie sznurki. Tak dzisiaj działa nasz świat. A pan właśnie zajął większość źródeł przychodu z Księżyca i zablokował możliwość sięgnięcia po kolejne. Korporacje zrobią wszystko, by odzyskać swoją własność bez względu na koszty. Co będzie, jeśli za ich namową Ameryka przeprowadzi operację odwetową i wyśle tutaj kolejne siły, by odzyskały kontrolę nad sytuacją?

- Nie znam jeszcze odpowiedzi na wszystkie pytania - przyznał Stark - ale poradzimy sobie, mimo że w pańskich ustach brzmi to niezwykle poważnie.

- My? - zdziwił się Meecham. - Istnieją jeszcze jacyś „my” czy jest pan jedyną osobą wydającą teraz rozkazy?

- Na razie jestem tylko ja.

Generał uśmiechnął się dziko, obnażając wszystkie zęby.

- A Fernandez wydał o panu pozytywną opinię. To jego powinienem rozstrzelać, nie pana. Nie, sierzancie Stark, jest pan zbyt dobrym żołnierzem, żeby się pana pozbywać.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Możemy się dogadać, Stark. Potrzebuję w sztabie ludzi, którzy znają się na rzeczy. Urodzonych przywódców. Takich jak pan. Zrobię z pana oficera. I to od razu majora albo jeszcze lepiej pułkownika. Co pan na to?

Ethan roześmiał się.

- Zatem zwrócę panu żołnierzy, dostanę awans i wszyscy będziemy żyli długo i szczęśliwie? Naprawdę uważa pan, że nikt nigdy nie dowie się o naszym buncie?

Meecham skinął twierdząco głową.

- Jak już wspomniałem, jest pan sprytnym żołnierzem. I ma pan rację, będziemy potrzebowali kozła ofiarnego. A może nawet dwóch albo trzech. Ale to nie może być pan. Pan musi wyjść z tego szamba, pachnąc różami.

- A jaki los spotka kozły ofiarne?

Meecham uśmiechnął się raz jeszcze, tym razem po koleżeńsku.

- Wiem, Stark, że musi pan mieć jakichś wrogów. Ludzi, których wolałby pan nie widzieć wokół siebie. Tych, którzy skrzywdzili pana w przeszłości. Na nich wszystko zwalimy. Tak czy siak, będzie pan górą.

- Dlaczego miałby pan to dla mnie zrobić? - zapytał Ethan, zniżając głos.

- Ponieważ i ja wyjdę z tej afery obronną ręką. Tak się dobija targów, Stark. Kiedy zostanie pan pułkownikiem, wezmę pana pod swoje skrzydła i nauczę wszystkiego, co trzeba, by za jakiś czas awansował pan do stopnia generalskiego.

- Jasne.

- Czy to oznacza, że dobiliśmy targu? - zapytał Meecham nieco zbyt gorliwie.

- Targu? - Stark pokręcił głową, nie kryjąc dłużej odrazy. - Panu się chyba wydaje, że wszyscy jesteśmy jak wy i myślimy wyłącznie o sobie. Przykro mi. Nie będzie żadnych układów. Ja tego nie robię dla siebie.

Generał poczerwieniał z wściekłości i porzucił przyjazną maskę.

- Pożałujesz tych słów.

- Wątpię. Jest wiele rzeczy, których będę żałował po dzisiejszych wydarzeniach, ale z pewnością nie tych słów.

Meecham wstał, zadzierając nosa, jakby chciał spojrzeć na Ethana z góry.

- Zginiesz śmiercią zdrajcy. Lojalni żołnierze przybędą tutaj i zdławią tę rebelię. Zmażą tę plamę z honorowej historii naszej armii.

Stark znów zareagował wybuchem śmiechu, tym razem ostrzejszego i bardziej kpiącego.

- Doprowadził pan do wymordowania tychże lojalnych żołnierzy, generale. A może nie zauważył pan tego, płaszcząc dupsko w wygodnym fotelu?

Meecham pokręcił głową.

- Taka bywa cena zwycięstwa, ale ludzie pańskiego pokroju nigdy tego nie rozumieją.

Stark zacisnął dłonie w pięści i opuścił je znaczącym gestem, okazując rozmówcy najwyższą pogardę.

- Dość tego. Niech pan zachowa te gadki dla cywilbandy z Ziemi.

- Gadki? - Meecham obrzucił Starka uważnym spojrzeniem, jakby chciał utrwalić sobie w pamięci jego obraz. - Cóż takiego mam zakomunikować obywatelom Stanów Zjednoczonych?

- Pojęcia nie mam. Nie jestem politykiem.

- Ja też nim nie jestem. Ma pan przed sobą żołnierza, który nadal wierzy w honor, lojalność...

- Zamknij pysk! - Stark podszedł o krok, teraz ich twarze dzieliło kilkanaście centymetrów. Czuł, że jego ciałem wstrząsa narastająca furia, zdołał ją jednak zdławić. - Nie jesteś żołnierzem, tylko politykiem, który dla niepoznaki zdjął garnitur i przypinał sobie gwiazdki. Twoja lojalność ogranicza się wyłącznie do własnej osoby. Co ty wiesz o wojsku? Rozkazywałeś nam z pozycji jakiegoś wszechwiedzącego bożka, którego słowa miały być traktowane jak prawda objawiona, i biada temu, kto je kwestionował. Prześcigałeś się z pozostałymi oficerami, wydając debilne rozkazy, których jedynym celem było

zaimponowanie kongresmanom. Pieprzysz mi tu o ogromnej odpowiedzialności, ale obwiniałeś wszystkich wokół za każdą porażkę. Kolekcjonowałeś medale za odwiedzanie różnych miejsc, nie za dokonania. Masz może jakiś, który nadano ci za odwagę? Traktowałeś swoich żołnierzy jak ikonki w nic niewartym systemie dowodzenia. - Stark obrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi. - Zabiłbym cię tutaj, teraz, własnymi rękami, ale nie jesteś wart tego trudu.

- Przygotuj się na trudniejsze decyzje - prychnął generał, purpurowiejąc na twarzy. - Będziecie musieli walczyć za siebie, skoro odmawiacie walki w imię przysięgi, którą złożyliście.

Ethan zamarł w pół kroku, potem obrócił się ponownie do Meechama, kręcąc zdecydowanie głową.

- W imię przysięgi? My jej nie złamaliśmy. Broniliśmy konstytucji Stanów Zjednoczonych, walczyliśmy za obywateli naszej ojczyzny, którzy żądali wysyłania nas na kolejne misje, ale protestowali przeciw wydatkom na armię, a potem siedząc wygodnie przed wizją, oglądali, jak za nich ginimy. Walczyliśmy nawet za pozbawionych moralności polityków, którzy wygłaszali płomienne mowy o naszej szlachetności i bezgranicznym poświęceniu, ale robili co mogli, by nam utrudnić życie. Niewykluczone, że musieliśmy też walczyć za korporacje, dla których nasza śmierć była kolejnym sposobem na zwiększenie zysków. Tak, walczyliśmy za to wszystko i ginęliśmy, jeśli zaszła taka potrzeba, ale wie pan co, generale? Mamy już dość walki za takie ścierwa jak pan.

Stark wyszedł z celi, trzaskając drzwiami.

- Nie poszło najlepiej? - zagadnęła go Vic.

Obrzucił ją gniewnym spojrzeniem, starając się stłumić targające nim emocje.

- A ty co tu robisz, u licha?

- Staram się być pomocna. - Wskazała głową drzwi celi. - Dobra robota. Nie wiedziałam, że jesteś aż tak wygadany.

- O czym ty mówisz? I skąd wiesz, co ja tam powiedziałem?

Reynolds westchnęła z rezygnacją.

- Twoja naiwność potrafi być czasami rozbrajająca, Ethan, ale weź się w końcu w garść. To cela służby bezpieczeństwa. Jest w niej pełno pluskiew.

- No tak. - Stark pacnął się dłonią w czoło. - Mogłem się tego domyślić. Ale dlaczego słuchałaś tej rozmowy?

- Pytasz, dlaczego ja i pozostali sierżanci jej wysłuchaliśmy?

Tym razem opadła mu szczęka.

- Wszyscy...?

Tanaka podeszła do niego i poklepała go po ramieniu.

- Ludzie chcieli wiedzieć, jak poradzisz sobie z Meechamem.

- Cholera. Nikt mi tutaj nie ufa? Sądziście, że dobiję z nim targu?

Vic ujęła go pod drugie ramię, kręcąc zdecydowanie głową.

- Nieliczni mogli tak myśleć, ale wszyscy wiedzieliśmy, że Meecham nie odpuści i spróbuje cię podejść, i dlatego chcieliśmy usłyszeć twoją odpowiedź, żeby się upewnić w naszym przekonaniu.

- Rozumiem - mruknął Stark, ruszając w głąb korytarza. - Czuję się taki zmęczony...

- Ale odpoczynek musi jeszcze poczekać - stwierdziła Vic, chwytając go za rękę. - Mamy naradę.

- Kto ma naradę?

- Wszyscy sierzanci. Trzeba podjąć ważne decyzje. - Pociągnęła Ethana za Tanakę.

Szli jeszcze lepiej wykończonym tunelem niż te w kompleksie dowodzenia. Tutaj na ścianach wisały obrazy i wielkie monitory.

- Słuchaj, Vic - zagadnął Stark po drodze. - Meecham musiał wiedzieć o pluskwach w celi. Dlaczego więc próbował się ze mną układać, mając świadomość, że wszyscy mogą to słyszeć?

Wzruszyła ramionami.

- Może miał nadzieję, że nie odrzucisz jego propozycji i to zmniejszy wiarę ludzi w ciebie. Mógł też dojść do wniosku, że wyłączyłeś podsłuch przed wejściem do celi.

- Aha - mruknął Ethan, drapiąc się za uchem. - Nigdy bym na to nie wpadł.

- Wiem.

Tanaka dotarła do rzeźbionych drzwi, które rozsunęły się przed nią, odsłaniając wnętrze luksusowo umeblowanego pomieszczenia. Na jego środku stał długi stół, ale nie z taniego metalu ani księżycowego kamienia, tylko z pochodzącego z Ziemi najprawdziwszego polerowanego drewna. Ściany pokrywała boazeria także wykonana z lśniących złotawo listewek. Większość foteli ustawionych wokół stołu była już zajęta przez ludzi z dystynkcjami sierzantów. Sporą ich część Stark znał z nazwiska albo z widzenia. Vic podprowadziła go do stojącego najdalej pustego fotela, znajdującego się przy samym szczycie stołu, a potem zajęła miejsce obok.

- Mamy dwie sprawy nie cierpiące zwłoki - oznajmiła. - Podoficerowie, którzy nie biorą osobistego udziału w tej naradzie, są z nami połączeni komunikatorami, więc będziemy mogli podjąć decyzje w pełni kolektywnie.

- Jakie to sprawy? - zapytał ktoś przez komunikator.

- Po pierwsze, musimy zdecydować, co robimy z oficerami - oświadczyła z pełnym spokojem Vic.

- Rozstrzelać drani! - zawołał ktoś z głębi pomieszczenia. - Ustawić pod ścianą i rozwalać bez pardonu.

W odpowiedzi rozległo się wiele okrzyków poparcia.

- Nie! - Głos Starka przetoczył się nad stołem, ucinając wrzawę. - Zastanówcie się, proszę. Jesteśmy żołnierzami. Zastanówcie się dobrze... - powtórzył, zniżając głos, tak że pozostali zebrani musieli się teraz bardzo koncentrować, aby go słyszeć. - Chcecie rozstrzelać bezbronnych ludzi? Nie ma sprawy. Ale co potem?

- O co ci chodzi, Stark? - zapytała Yurivan, nie wstając z fotela.

- Nie wszyscy z nich zasługują na śmierć. - Ethan pochylił się lekko, by lepiej widzieli jego groźne spojrzenie. Omiatał siedzących wzrokiem jak wieżyczka wozu bojowego ze sprzężonymi karabinami maszynowymi. - Wielu oficerów szło do ataku z trzecią dywizją. Kilku mieliśmy po swojej stronie, kiedy przejęliśmy inicjatywę. Tak, wiem, to byli tylko ci najmłodszy, ale kto jest w stanie wyznaczyć granicę, powyżej której można wystrzelać tych ludzi z zimną krwią? Jeśli ich wybijemy, nie będziemy lepsi od najgorszych spośród nich. - Zaczerpnął tchu, czując wrogość bijącą nie tylko od zebranych, ale też od słuchających przez komunikatory. - Co ważniejsze, wydając rozkaz rozstrzelania wszystkich oficerów, skażecie się na niezłe piekło. Ja wam to mówię. Wojsko potrzebuje przełożonych, ludzi, którzy będą dowodzić. Fakt, że większość z tych, których pozamykaliśmy, do niczego się nie nadaje, nie oznacza jeszcze, że nie będziemy potrzebowali tych paru, którzy się wyróżniają. Załatwcie ich, a każdy, kto zajmie ich miejsce... może ja, a może ktoś z was... będzie cały czas żył z myślą, że i jego kiedyś spotka podobny los. Zaczniemy się bać, nie mając pewności, czy komuś nie przyjdzie do głowy, że trzeba się nas pozbyć z jakiegoś powodu. Chcecie mieć znowu dowódców, którym nie można ufać? Chcecie iść do boju, nie mając nikogo nad sobą? Chcecie stworzyć precedens mówiący, że żołnierz może zabić swojego przełożonego tylko dlatego, że go nie lubi? Zastanówcie się nad tym. Nie pogarszajmy naszej sytuacji. Nie rozpoczynajmy koła terroru, bo sami staniemy się jego ofiarami, zanim wykona kolejny obrót.

Te słowa trafiły do nich. Gniew przeradzał się w niepewność, gdy sierżanci wymieniali spojrzenia.

- To celne spostrzeżenia, ale zapominacie o istnieniu jeszcze jednego ważnego czynnika - oświadczyła Vic, przerywając ciszę.

- Jakiego?

- Wielu żołnierzy zostawiło kogoś na Ziemi. Mówię o ich bliskich. Ci ludzie staną się zakładnikami w rękach polityków. Dopóki będziemy mieli wystarczającą liczbę więźniów do wymiany, możemy liczyć na ściągnięcie tych rodzin tutaj.

Chudy jak tyczka sierżant pokiwał nerwowo głową.

- Racja, cholerna racja. Ty masz łeb.

Siedzący daleko w dole stołu Grace uniósł pięść.

- Dobra. Resztę możemy puścić wolno, ale chcę tą ręką zabić Meechama za zmarnowanie życia mojemu bratu i tysiącom innych żołnierzy trzeciej dywizji.

Stark podniósł się wolno z fotela.

- Ja też straciłem tam wielu przyjaciół, Grace, ale miałem to szczęście, że w czasie szturmie nie zginął mój brat, więc nie próbuję nawet równać się z tobą. Jednakże zabicie Meechama będzie równoznaczne z wyświadczeniem mu przysługi. - Znów zaczęły się szmery komentarzy. - Poważnie. Teraz jest człowiekiem, który przegrał bitwę, utracił jednostkę, na której przez wiele dziesięcioleci opierało się bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych. Mało tego, utracił kontrolę nad resztą korpusu księżycowego i jedyną tutejszą kolonią. Jest skończony. Odeślijmy go na Ziemię, a zostanie żywcem pożarty. Przez trepów z Pentagonu, cywilbandę, polityków i korporacje, którym odebraliśmy przychody.

Yurivan uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Generałowie po przejściu na emeryturki zawsze załapywali się na lukratywne posadki w korporacjach. Wątpię jednak, by Meecham mógł na to liczyć.

Stark potaknął.

- Do diabła, istnieją spore szanse, że władze każą go rozstrzelać, zamiast fundować mu przez resztę życia skromną celę w forcie Leavenworth. Jakkolwiek spojrzeć, dostanie za swoje, a my będziemy mieli czyste ręce.

- Głosujmy - zaproponowała Tanaka. - Kto jest przeciw?

Grace patrzył spode łba, ale nic nie powiedział. Nikt inny się nie odezwał.

- Zatem załatwione. Resztę tej bandy zostawimy sobie jako kartę przetargową. Jaki jest drugi punkt programu?

- Kto obejmie dowodzenie? - zapytała Vic.

- My.

- Słucham? - zdziwiła się Reynolds. - Jacy my? Chcecie wprowadzić w armii demokrację? Będziemy przegłosowywać każdą decyzję? Nawet to, która jednostka ma iść w pierwszej linii? Jaki wyrok ma wydać sąd polowy w sprawie każdego oskarżonego szeregowca? Kto uda się na patrol? Któremu sektorowi będziemy udzielali wsparcia



ogniowego i w jakiej sile? Naprawdę uważacie, że to ma sens?

Odpowiedziała jej cisza i masa ponurych spojrzeń.

- Co zatem proponujesz? - zapytał ktoś przez komunikator.

- Musimy wybrać szefa.

Stark znowu zerwał się z fotela, zwracając na siebie uwagę wszystkich obecnych.

- To nie wystarczy, Vic. Niepotrzebny nam szef, tylko przełożony. Ktoś, kto będzie nami dowodził. To nie ulega najmniejszej wątpliwości. Bez niego nie będziemy wojem.

- Mam już dość przełożonych - burknął ktoś z zebranych.

- Daj spokój - odezwała się Yurivan, aczkolwiek z wyraźną rezerwą. - Stark ma rację. Skończy się dyscyplina, już niewiele do tego brakuje, a to nas może drogo kosztować.

- Zgadzam się z tą opinią - oświadczył tyczkowaty sierżant. - Ale ten dowódca, kimkolwiek będzie, musi mieć absolutny posłuch u ludzi, jak słusznie zauważył Stark. Kogo wyznaczymy na to stanowisko?

- Kogoś, kto ma dobre rozeznanie w taktyce - zasugerował Ethan. - Jak choćby koleżanka Reynolds.

Tyczkowaty pokręcił głową.

- Nawet gdyby nie chodziło o twoją przyjaciółkę, i tak głosowałbym przeciw tej kandydaturze. Dobry dowódca nie musi być geniuszem strategicznym, wystarczy, że słucha rad mądrzejszych podkomendnych. Nam jest potrzebny ktoś, kto wie, że gwiazdki na pagonach to nie ozdóbka ani przywilej, lecz odpowiedzialność. Ktoś, kto nie wbije nam noża w plecy, gdy tylko uzyska nad nami władzę. Ktoś, kto będzie dobrym przywódcą i nigdy nie zapomni o swoich ludziach.

- Ktoś, komu możemy zaufać, powiadasz? - zapytała Yurivan. - Ktoś, kto wie, że tu nie chodzi wyłącznie o niego? - Wyciągnęła rękę, wskazując Starka. - Ja tu widzę tylko jednego takiego.

- Diabła tam! - wkurzył się Ethan. - Nie o to mi chodziło! Nie chcę tego stanowiska!

- Więc tym bardziej się na nie nadajesz - zauważył ktoś.

- Nie mam kwalifikacji. Jestem zwykłym dowódcą drużyny. Nie mogę kierować ruchami całej dywizji.

- Moim zdaniem możesz - oświadczyła sierżant Manley. - Zwłaszcza że będziesz miał do pomocy takich specjalistów jak ja. Każdy dowódca musi mieć przecież swój sztab.

- Dzięki wielkie. - Stark powiódł wzrokiem po zebranych. - Nie prosiłem o to stanowisko, nie chciałem go i nadal nie chcę.

- Głosujemy - oświadczyła nieprzejeđnanym tonem Tanaka - a szczegółami zajmiemy

się później. Chcę mieć nad sobą kogoś, kto opanuje sytuację, zanim kaprale i szeregowi uznają, że czas wziąć sprawy w swoje ręce.

- Święta racja - poparła ją Manley. - Zgłaszam kandydaturę Starka.

- Nie zgadzam się! - zaproponował Ethan.

- Chcesz powiedzieć, że nie przyjmiesz tego stanowiska, jeśli twoja kandydatura zostanie przegłosowana? Odrzucisz odpowiedzialność za ludzi?

- Tego... - Stark zagryzł wargę. - Tego nie powiedziałem. Dobrze o tym wiecie. Nigdy nie rezygnuję z odpowiedzialności za ludzi.

- Świetnie. Są jeszcze jakieś kandydatury? No dalej.

- Co powiecie na Marię Vasquez z trzeciego batalionu drugiej brygady?

- Odwalcie się ode mnie - zaprotestowała wskazana.

- W drugim batalionie pierwszej brygady jest Smith...

- Który Smith?

- Richard. Richard T. Smith.

- Nie ma mowy - odezwał się kolejny kandydat. - Wyłączcie mnie z tej zabawy.

Przecież większość z was nawet mnie nie zna.

- Mnie też - poparła go Vasquez. - Nowy dowódca musi mieć nazwisko przez duże N, żeby ludzie patrzyli w niego jak w obrazek.

- Racja - przyznała Manley. - Czyli wracamy do kandydatury Starka.

- Wam się wydaje, że jestem nowym wcieleniem Chrystusa czy jak? - zapytał Ethan.

- Co to, to nie - odparła Yurivan. - Ale będziesz go zastępował, dopóki nie wróci.

- Głosujmy - zaproponowała Manley. - Kto jest za tym, aby Ethan Stark objął stanowisko głównodowodzącego naszymi siłami na Księżycu z pełnymi prerogatywami, jakie przysługują takiemu oficerowi?

- Z zastrzeżeniem - wtrącił któryś z sierżantów - że nadal będzie konsultował się z nami w razie konieczności. Zgadzasz się na ten warunek, Stark?

- Jeśli mam zostać dowódcą, to będę się zachowywał jak dowódca - oświadczył Ethan.

- A co do rozmów z wami i zasięgania opinii? Możecie mnie rozstrzelać, jeśli przestanę was słuchać.

- Świetnie. Kto jest przeciw? - Na sali zapadła cisza. - Wygląda na to, że zostałeś naszym dowódcą, Stark. Jak mamy się do ciebie zwracać?

- Sierzancie.

Wokół stołu rozległy się śmiechy.

- To będzie twój honorowy stopień - stwierdziła Manley. - Od tej pory będziemy się

do ciebie zwracali per „dowódco”. To wydaje mi się lepsze niż „generale”.

- Sporo czasu minie, zanim przyzwyczaję się do tego - burknął Stark.

- Gratulacje, Ethan. - Vic wyciągnęła do niego dłoń, szczerząc zęby.

- Wielkie dzięki - odpowiedział jej skromniejszym uśmiechem. - Wiecie, czego mi teraz trzeba? Szefa sztabu.

Twarz Reynolds natychmiast spoważniała.

- Trzeba ci wielu innych...

- Kogoś mającego dobre wtyki i sporą wiedzę taktyczną - kontynuował Stark. - Zatem gratuluję ci, Vic. Tobie i Bev Manley. Sama przed chwilą twierdziłaś, że przyda mi się ktoś z twoim doświadczeniem administracyjnym.

Yurivan zerwała się teatralnie z fotela.

- Spieprzam stąd, zanim Stark przydzieli mi jakąś robotę.

- Marne szanse, że poszedłby na takie ryzyko, Stacey - zażartował ktoś z głębi sali. - A może zrobiłby z niej szefa bezpieczeństwa?

Tym razem śmiechy były o wiele głośniejsze i ostrzejsze. Stark przyjrzał się uważnie twarzom ludzi zgromadzonych wokół stołu, oceniając ich nastroje. *Są zmęczeni. I trochę wystraszeni, ale to chyba normalne w takiej sytuacji.*

- Słuchajcie. Proponuję, abyście wrócili do swoich jednostek i zajęli się przywróceniem dyscypliny. Żołnierze tego potrzebują, a wy nie mniej od nich. Zmieniliśmy tak wiele zasad, według których żyliśmy, że powinniśmy się skupić na ocaleniu tych, które nam pozostały.

- Świetny pomysł.

Znowu zapadła chwila niezręcznej ciszy, a potem Yurivan podeszła do Ethana, jak zwykle z głupim uśmiechem na twarzy, i zasalutowała sprężyście. Odpowiedział jej takim samym gestem, kręcąc głową z irytacji.

- Spieprzaj mi z oczu, Stacey.

- Tak jest, dowódco.

Pozostali poszli w jej ślady, oddając honory nowemu dowódcy z taką częstotliwością, że musiał stać, cały czas trzymając palce przy czole.

Gdy drzwi zatrzasnęły się za ostatnim z sierżantów, Stark zauważył, że po przeciwnej stronie sali konferencyjnej wisi wielki monitor transmitujący obraz z powierzchni Księżyca. Podeszedł do niego i zamarł, przyglądając się skałom, pyłowi i czerni nieba tak idealnej, jaką można zobaczyć wyłącznie w pustce. Blask Słońca ożywił na tym obrazie nienaturalnie ostre cienie. Szaleńczy wir bitwy odszedł już w przeszłość, dając ocalałym z pogromu

kombatantom złudne poczucie spokoju przed czekającymi ich kolejnymi starciami. Na widzianej okiem kamery panoramie nie dało się dostrzec żadnego ruchu. Tylko gwiazdy krążyły po nieboskłonie powoli, leniwie, podobnie jak cienie przesuwające się po pozbawionych życia skałach.

- Chyba jakoś to przeżyję - mruknął pod nosem.

- Co powiedziałeś? - zapytała Victoria.

Stark obrócił się i zobaczył, że stoi tuż obok niego, spoglądając pytająco.

- Nic takiego. Po prostu wyłączy ze mnie zmęczenie po bitwie. - Wrócił na swój fotel i opadł na niego ostrożnie. Nagle odniósł wrażenie, że grawitacja ziemskiego satelity uległa zwielokrotnieniu i przyciąga go o wiele mocniej niż staruszka Ziemia. - Nie spodziewałem się czegoś takiego. W życiu bym nie pomyślał, że mogę być motorem takich zmian.

Usiadła obok niego.

- Ostrzegałam cię przed twoim demonem, Ethan. Mówiłam, że będziesz musiał żyć z tym, co ci robi.

- Jakoś to przeżyję. Tak mi się przynajmniej wydaje. Nie mogłem pozwolić na to, by zmarnowano tyle istnień ludzkich. Zwłaszcza że widziałem szansę na ratunek. Ale naprawdę nie chciałem czegoś takiego.

- A czego byś chciał, Ethanie Stark?

- Czego bym chciał? - Spojrzał na własne dłonie zamyślony, a potem utkwiał wzrok w twarzy Vic. - Chciałbym budzić się rano, wiedząc, co mam robić, kim się opiekować i komu zgłaszać problemy. Chciałbym mieć przełożonych, którzy dbaliby o mnie i drużynę bardziej niż o swój awans. Chciałbym, żeby wszystko było zgodne z regulaminem, dopóki go szlag nie trafi, a skoro już do tego dojdzie, pragnąłbym, by starszy stopniem mówił mi, co mam robić. Chciałbym, by wszystko znajdowało się na swoim miejscu, jak należy... - Przerwał na moment, widząc, że Vic słucha go z wielkim zainteresowaniem. - Chciałbym wiedzieć, czy postępuję słusznie, gdyż wszystko, co mi mówiono o honorze i wierności, zdaje się świadczyć, iż jestem winny zdrady. Ale to tylko marzenia i nie mają szans na realizację. Zwłaszcza teraz. Obecnie to ja muszę podejmować decyzje za innych i dbać o nich, co nie będzie łatwe, gdy przyjdzie mi wysyłać ich na trudne misje, podczas których mogą zginąć. Wolałbym, aby ktoś inny podejmował takie decyzje, niemniej wiem, że muszę spełnić pokładane we mnie nadzieje. I dlatego wypruję z siebie flaki, by sprostać temu zadaniu.

Reynolds uśmiechnęła się nostalgicznie.

- Nie będę w stanie pomóc ci we wszystkich sprawach, ale spróbuję. A jeśli chodzi o honor i lojalność, obawiam się, że nie ma człowieka, który mógłby cię o nich jeszcze czegoś

nauczyć.

- Vic, do cholery, musimy się teraz przejmować wrogiem, cywilnymi mieszkańcami kolonii, zdobywaniem podstawowego zaopatrzenia, nie mówiąc o własnym rządzie i armii.

- Zgadza się. Prezesi korporacji dostaną piany na pysku na samą myśl, że utracili tutejsze złoża i fabryki. Każą politykom zrobić wszystko, by je odzyskać, a ci wykonają polecenia sponsorów. Jak zawsze zresztą.

- O, tak... - Stark podsumował gorzko ostatnie wydarzenia: - Wygrałem jedno starcie. Ocaliłem życie kilku ludziom. A teraz będę musiał wysłać ich na kolejne bitwy, by wygrywali je dla mnie.

Victoria Reynolds pokiwała głową.

- Trudna misja może się zrobić wyłącznie jeszcze trudniejsza. Potraktuj to jako okazję do doskonalenia.

Zaśmiał się, słysząc ten stary żart, potem wstał z fotela.

- Mam teraz milion spraw na głowie, Vic. Od czego tu zacząć?

- Ustal priorytety.

- Dobrze. Co jest teraz najważniejsze?

- To był naprawdę długi dzień. Co powiesz na piwko?

- Muszą być co najmniej dwa.

- Umowa stoi.